

# WIELKI EXODUS POLAKÓW

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

WIELKI EXODUS POLAKÓW  
INFORMATOR

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK



Nr 7 (129) • ROK XII • LIPIEC 2006

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

WIESŁAW KOSTERSKI  
– BENEDYKT XVI w KL Auschwitz-Birkenau



AGNIESZKA  
ZAJĄC-JĘDRYCZKA

– Niemoralni  
pracodawcy

Bez nestorów  
– krytycy  
o krytyce literackiej

Dwa Anioły:  
JOANNA  
KŚCIUCZYK  
i JACENTY  
JĘDRUSIK

KRYSTYNA  
HESKA-  
KWAŚNIEWICZ  
– Przypomnienie  
Alojzego Targa

Nowe wiersze:  
BRZOSKA,  
DZIEKAŃSKA,  
MELECKI





Działające w Warszawie od 1989 roku Towarzystwo Przyjaciół Śląska przyznało po raz 12. swoją doroczną nagrodę – w tym roku jedną. Popiersie Ślączki z jabłkiem w wyciągniętej dłoni (rzeźba Piotra Gawrona) otrzymał obchodzący w tym roku 70. rocznicę urodzin wybitny pianista i pedagog prof. Andrzej Jasiński, od czasu studiów nieprzerwanie związany z macierzystą Akademią Muzyczną w Katowicach. Laudację na cześć laureata wygłosił rektor katowickiej AM prof. Eugeniusz Knapik. Obecni licznie zebrani goście w sali na Zamku Ostrogskich mieli okazję wysłuchać recitalu fortepianowego w wykonaniu Laureata. Uroczystość ta jest co roku okazją do spotkania Ślązaków osiadłych w Warszawie, a jest wśród nich bardzo wiele znakomitości z różnych dziedzin. Na zdjęciu prezes Towarzystwa dr Józef Musioł (z lewej) w chwili wręczenia nagrody prof. Andrzejowi Jasińskiemu.

30 maja w sali Parnassos Biblioteki Śląskiej miała miejsce promocja książki autorstwa Krystyny Bochenek i Dariusza Kortko pt. „Dobry zawód”. Książka, wydana przez Wydawnictwo „Znak” i Bibliotekę Śląską, jest zbiorem rozmów, jakie autorzy przeprowadzili z wybitnymi lekarzami, najlepszymi specjalistami w swoich dziedzinach, cenionymi badaczami, mistrzami dla młodych adeptów medycyny. Gośćmi spotkania byli profesorowie: Paweł Lampe, Bogusław Maciejewski, Jerzy Hołowiecki, Grzegorz Opala, Violetta Skrzypulec oraz Andrzej Nowak i Franciszek Kokot.

Na zdjęciu:  
W kolejce po autograf Krystyny Bochenek  
– współautorki „Dobrego zawodu”.



Foto: Zbigniew Sawicz



Foto: Teatr Ateneum

Theater Kranevit z Berlina zdobył nagrodę za najlepszy spektakl podczas V Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalkowych „Katowice – dzieciom”. Na zdjęciu laureatki: Mo Bunte i Anna Katherina Kaufmann oraz przewodniczący jury Karel Brožek. Więcej o festiwalu na stronach 47-48.



Foto: Krzysztof Lisiak

Spektaklem „Intryga i miłość” Fryderyka Schillera Czesław Stopka świętował swój jubileusz 50-lecia pracy artystycznej na scenie Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego. Należy do najciekawszych indywidualności teatru polskiego. Związany był z teatrami w Szczecinie, Zielonej Górze, Bydgoszczy, Toruniu, Olsztynie i dwukrotnie z teatrem katowickim. Wszędzie pozostawiał znaczące kreacje – wcielał się w role Hamleta, Zawiszy Czarnego, Jagona, Fausta, Konrada, króla Edypa, Myszkina. Był bohaterem różewiczowskiej „Kartoteki”, Jamesem w „Zmierzchu długiego dnia”, Hercogiem w „Gorzkich żalach w stróżówce”. Jego kreacje były wielokrotnie nagradzane na festiwalach teatralnych.



KOMPANIA  
PIWOWARSKA



SPONSOR „ŚLĄSKA”

# ŚLĄSK

## MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 7 (129). Rok XII. LIPIEC 2006 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE  
TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 032-253-62-21  
e-mail: slask@neostrada.pl  
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:  
**TADEUSZ KIJONKA**  
redaktor naczelny  
**FELIKS NETZ**  
zastępca redaktora naczelnego  
**WIESŁAWA KONOPELSKA**  
sekretarz redakcji  
**KRZYSZTOF KARWAT**  
dział kulturalny

**BOGDAN WIDERA**  
dział społeczno-historyczny  
**WOJCIECH ŁUKA**  
dział graficzny

**MIROSLAW KORBEL**  
nadzór techniczny i poligraficzny  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

**ANNA STRUMIŁOWSKA**  
**IRENA FALKIN-SIBIGA**  
korekta

**ADRES REDAKCJI:**  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,  
tel./fax 032-206-82-71.

**DTP:** STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,  
ul. Dąbrowski 15/12, tel. 032-354-09-88,  
032-781-06-48

**Druk:** PW „Tolek”  
**DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI**  
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpłatnie – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł., półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

## W NUMERZE:

<b>GTL: BILANS TRZECIEJ KADENCJI (P.G.)</b> .....	4
<i>Wiesław Koterski</i> <b>MODLITWA I CISZA</b> .....	5
<i>Rozmowa z ks. Jerzym Szymikiem</i> <b>ZROZUMIEĆ BENEDYKTA</b> .....	6
<b>WIELKI EXODUS POLAKÓW</b> Dyskusja w redakcji „Śląska” .....	8
<i>Jarosław Juszkiewicz</i> <b>GO WEST</b> .....	14
<i>Agnieszka Jędrzycka-Zajac</i> <b>NIEMORALNI PRACODAWCY</b> .....	16
<i>Roman Adler</i> <b>BHP OD PIASTA</b> .....	18
<i>Maciej Melecki</i> <b>WIERSZE</b> .....	22
<i>Rozmowa z Joanną Kściuczyk i Jacentym Jędrusikiem</i> <b>DWA ANIOŁY</b> .....	24
<i>Grzegorz Sztol</i> <b>JAK ZE SUSZCA POWĘDRUJĘ</b> .....	28
<i>Witold Turant</i> <b>DZIADY PRZYDROŻNE</b> .....	32
<i>Krystyna Heska-Kwaśniewicz</i> <b>PRZYPOMNIENIE ALOJZEGO TARGA</b> .....	38
<i>Barbara Dziekańska</i> <b>WIERSZE</b> .....	41
<i>Rozmowa z Adamem Sikorą</i> <b>CZAKRAMY ŚLĄSKIEJ ENERGII</b> .....	42
<i>Bogdan Widera</i> <b>TEATR MÓJ WIDZĘ... LALKOWY</b> .....	47
<i>Wojciech Brzoska</i> <b>WIERSZE</b> .....	48
<i>Rozmowa z Rajmundem Hanke</i> <b>PIEŚŃ USZŁA CAŁO...</b> .....	50
<b>BEZ NESTORÓW.</b> Dyskusja o stanie krytyki literackiej na Śląsku .....	52
<i>Bogdan Nowicki</i> <b>WSPÓŁCZESNOŚĆ I TRADYCJE: WYDAWNICTWO UNIA</b> .....	57
<i>Izabela Mikrut</i> <b>REDUTKI</b> .....	58
<b>POCZET DOWÓDCÓW POWSTAŃ ŚLĄSKICH</b> .....	
<i>Zdzisław Janeczek</i> <b>JAN FASKA (1893-1953)</b> .....	61
<i>Barbara Firla</i> <b>INDIAŃSKIE INSPIRACJE ŁABUZA</b> .....	64
<i>Wiesława Konopelska</i> <b>DWIE RZECZY WISTOŚCI</b> .....	65
<i>Krzysztof Uniłowski</i> <b>PRZYPIS NIE JEST NAUKĄ ŁATWĄ ANI MAŁĄ</b> .....	66
<i>Jarosław Starzyk</i> <b>PEJZAŻE OBOWIĄZKOWE</b> .....	80
<b>WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY</b> .....	81

Pismo wspierane  
finansowo przez  
**ZARZĄD  
WOJEWÓDZTWA  
ŚLĄSKIEGO**



oraz dotowane przez  
**URZĄD MIASTA  
KATOWICE**



Zrealizowano w ramach  
**PROGRAMU  
OPERACYJNEGO  
PROMOCJA  
CZYTELNICTWA  
ogłoszonego  
przez MINISTRA  
KULTURY  
I DZIEDZICTWA  
NARODOWEGO**

### W kolorze:

● Andrzej Łabuz – grafiki i rysunki (str. A) ● Lech Kołodziejczyk – malarstwo. Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi (str. B) ● Polscy Monachiści – wystawa w Muzeum Historii Katowic (str. C) ● Znaki i Tworze Miasta – Nowe oblicze katowickiego ronda (str. D).  
**Na okładce:**  
Wiatrak w Kaletach-Zielonej nad zalewem  
**Fotografia:**  
Jarosław A. Krawczyk

<b>ŚLĄSKI MIESIĄC</b> .....	2
<b>NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA</b> <i>Marek S. Szczepański</i> <b>DEKALOG CNÓT OBYWATELSKICH (II)</b> .....	21
<b>POZA KADREM</b> <i>Feliks Netz</i> <b>WSZYSCY JESTEŚMY CHRYSTUSAMI</b> .....	37
<b>PEJZAŻ MITOLOGICZNY</b> <i>Antoni Halor</i> <b>JESZCZE O MIKOŁÓWIE</b> .....	46
<b>ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzczyzna</b> <i>Jan Miodek</i> <b>NAZWY MIEJSCOWE NA OPOLSCZYŹNIE</b> .....	60
<b>EKOLOGIA</b> <i>Rozmowa z Mieczysławem Chorałym, pasjonatem przyrody, biologiem molekularnym</i> <b>WIĘCEJ POKORY...</b> .....	62
<b>OPERA</b> <i>Wiesława Konopelska</i> <b>WIELKIE WYZWANIE</b> .....	68
<b>TEATR</b> <i>Marcin Halaś</i> <b>SCHIZOFRENIA CZY ŻYCIE?</b> .....	69
<b>PANORAMA POWSTAŃCZA</b> <i>Iwona Kłopotka</i> <b>W HOŁDZIE WSZYSTKIM WALCZĄCYM</b> .....	70
<i>Magdalena Dziadek</i> <b>MIEDZY NUTAMI</b> .....	71
<b>KSIAŻKI</b> <i>Karol Maliszewski</i> <b>POETA NIE MUSI STAĆ NA JUDAHU SKALE</b> .....	72
<i>Marta Cuber</i> <b>BESTIA I HUBA</b> .....	73
<i>Bogdan Nowicki</i> <b>AUTORYTET</b> .....	74
<i>Andrzej Linert</i> <b>FRESKI PALESTYŃSKIE</b> .....	74
<i>Agnieszka Botor-Fick</i> <b>POWROTY DO SCHULZA</b> ..	75
<i>Ewa Pilarz</i> <b>NA UDEPTANEJ ZIEMI</b> .....	76
<i>Izabela Mikrut</i> <b>W KAŻDYM SIEDZI DUREŃ</b> .....	77
<i>Bogdan Widera</i> <b>NOTY O KSIĄŻKACH</b> .....	78
<b>PODKOPKI</b> .....	79
<b>NOTATNIKI KULTURALNE</b> <i>Wiesława Konopelska</i> <b>KATOWICE</b> .....	90
<i>Jan Picheta</i> <b>BIELSKO</b> .....	92
<i>Elżbieta Kot</i> <b>CZĘSTOCHOWA</b> .....	93
<i>Marek Świercz</i> <b>OPOLE</b> .....	94
<i>Jacek Sikora</i> <b>ZAOLZIE</b> .....	95

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48/022/532-87-31.  
www.ruch.com.pl

EO-071684130

C 77868

351071111

biblioteka  
EO  
Śląsk

ŚLĄSK

■ **DZIAŁACZ** Prawa i Sprawiedliwości 48-letni Wojciech Poczachowski, dotychczasowy rzecznik prasowy Urzędu Miasta Świętochłowice, został nowym prezesem Radia Katowice.

■ **TRZECI** dzień maja jest na Śląsku świętem szczególnym. Oprócz uchwalenia Konstytucji 3 Maja Ślązacy obchodzą także rocznicę trzeciego powstania śląskiego. W tym roku od tego zrywu minęło 3 maja 85 lat. Mszę świętą pontyfikałną z tej okazji odprawił w katowickiej archikatedrze metropolita górnośląski abp Damian Zimoń. Pod pomnikiem Wojciecha Korfańskiego, przywódcy powstania, złożono kwiaty i odbył się Apel Poległych.

■ **TRAGICZNE** statystyki. W ubiegłym roku na Śląsku zatrzymano rekordową liczbę prawie 19 tys. pijanych kierowców, którzy spowodowali 2 tys. wypadków i kolizji. Zabili 31 osób i raniili ok. 600, na ich leczenie i rehabilitację wydano kilka milionów złotych.

■ **WYKŁADOWCY** Uniwersytetu Śląskiego wpadli na pomysł, żeby kształcić studentów, którzy w przyszłości będą organizować wyjazdy po kraju i świecie, w tym wycieczki w wysokie góry i jaskinie. Pracami nad uruchomieniem nowej specjalizacji zajmuje się niewielki zespół z Zakładu Geo-Ekoturystyki, który powstał kilka miesięcy temu.

■ **ROWERZYSTA**, który 5 V wjechał swoim składakiem pod policyjny radiowóz miał... 6 promili alkoholu w krwi. 36-latkowi nie się stało. Co dziwne, logicznie odpowiadał na pytania policjantów. Nawet lekarz z Izby Wyrzecznień nie pamięta takiego wypadku.

■ **UCZNIOWIE** Szkoły Podstawowej nr 14 uroczyście przeszli 5 V opiekę nad mogiłą powstańców śląskich w Sośniczy. Teraz chcą szukać rodzin powstańców.

■ **ZDIEK**ij unijnej dotacji wieża ciśnień stanie się punktem widokowym i atrakcją turystyczną liczącą ponad 200 lat kopalni „Igłany” w Rybniku.

■ **DZIAŁACZE** Prawa i Sprawiedliwości obradowali 7 maja w Katowicach. III Zjazd Regionalny był zamknięty dla mediów.

■ **AKADEMIA** Ekonomiczna w Katowicach chce być uniwersytetem. Zmiana nazwy ma ułatwić absolwentom uczelni znalezienie pracy za granicą, gdzie słowo „akademia” rodzi nieporozumienia. W Niemczech np. kojarzy się z firmami konsultingowymi. Kilka dni temu w AE rozpoczęła się reorganizacja.

■ **LEKARZE** w domu, szpitale opustoszały. Lekarze, którzy pojawili się w szpitalach wykonują tylko operacje ratujące życie. Niektórzy ubrali się na czarno. W najbliższych dniach pacjentów przestaną przyjmować przyszpitalne poradnie. Od czasu strajku pielęgniarek Śląsk nie przeżył podobnej akcji. Do strajku prawdopodobnie przyłączy się kolejne szpitale.

■ **BYŁY** dyrektor Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach, Jan P., na początku stanu wojennego zwolnił 18 dziennikarzy związanych z opozycją. Katowicki IPN przedstawił mu z tego tytułu zarzuty nadużycia prawa.

■ **CHORZÓW** przedstawił ulepszoną ofertę na Euro 2012. Poprzednia miała formalne braki, także dlatego tak słabo wypadła w porównaniu z Poznaniem, Gdańskiem i Wrocławiem. Marek Kopel prezydent Chorzowa chce powtórzenia rankingu miast kandydujących do organizacji Euro 2012. Napisał w tej sprawie list do ministra sportu Tomasza Lipca, ale usłyszał „Nie ma mowy”.

■ **GLIWICCY** naukowcy pochwalili się bezzałogowym śmigłowcem własnej konstrukcji. Jest niewielki, waży zaledwie 9 kg i porusza się z prędkością 130 km/godz. Zabiera superczułą kamerę, która pozwala na obserwację celów nawet w nocy. Może być wykorzystany do poszukiwania ludzi albo wysłany do miejsc, do których nie dotrą ratownicy. Będzie mógł strzec granic, monitorować linie wysokiego napięcia lub uszkodzone konstrukcje budowlane.

■ **PONAD** 2 tys. lekarzy z naszego regionu wzięło 10 V udział w manifestacji zorganizowanej w Warszawie. Wrócili niezadowoleni, bo nic się nie zmieniło. Będą dalej strajkować.

■ **ZORY** obchodziły 11 V Święto Ogniove. Uroczystość nawiązuje do tragicznych wydarzeń sprzed trzystu lat. 11 maja 1702 r. szalejący pożar zniszczył centrum miasta. Mieszkańcy przyrzekli wtedy organizować coroczne procesje, które mają uchronić Zory od klęski ognia.

■ **KSIĄŻĘ** Aleksander Józef Sułkowski chce odzyskać zamek w centrum Bielska-Białej. Przed bielskim Sądem Rejonowym próbował zawrzeć ugodę ze Skarbem Państwa, ale sprawa zakończyła się fiaskiem. Natomiast inny Sułkowski, mieszkający w Paryżu Hubertus, którego dziadek urodził się w bielskim zamku, nie tylko nie ma żadnych roz-



czeń, ale co roku przekazuje pieniądze na konto Muzeum mieszcącego się w zamku.

■ **KATOWICKA** Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zatrzymała dwóch biznesmenów - Roberta W. i Adama M., którzy na zlecenie mafii paliwowej pośredniczyli w kupowaniu w Rafinerii Czechowice komponentów do produkcji m.in. benzyny. Skarb państwa mógł na tym stracić 180 mln zł.

■ **COŚ** dla entuzjastów militariów. W piwnicach Muzeum Zamkowego w Pszczynie otwarto zbrojownię. W gablotach jest ponad 400 eksponatów. Jednym z najstarszych jest zbroja maksymilińska z ok. 1520 r. Z okazji 60-lecia pszczyńskiego muzeum otwarta została również wystawa poświęcona księżnej Daisy, czyli Marii Teresie Olivii Cornwalis-West: „Księżna Daisy von Pless: Szczęśliwe lata”.

■ **SIEDMIU** górników zostało niegroźnie rannych po wstrząsie w kopalni „Rydultowy-Anna”. W rejonie tąpnięcia pod ziemią przebywało 53 górników. Wszystkich udało się wyprowadzić na powierzchnię.

■ **ZABYTKOWĄ** kopalnię „Królowa Luiza” obejrzymy na brytyjskim dokumencie. Film nakręcono dla kanału Discovery. Brytyjska ekipa przyjechała do Zabrza, bo w całej Europie nie mogła znaleźć tak dobrze zachowanej zabytkowej kopalni.

■ **PACIENT**, który nie odczuwa bólu, szybciej wraca do zdrowia, rzadziej ma powikłania. Wiedzą o tym anestezyjodzy ze Szpitala Klinicznego nr 1 w Zabrze. Narodowy(!) Fundusz Zdrowia(!) nie chce jednak dać im pieniędzy na walkę z bólem.

■ **SEITNA** rocznica urodzin znakomitego matematyka profesora Stanisława Turskiego, urodzonego w Sosnowcu, przypada 15 maja (zmarł 3 stycznia 1986 r.). Prof. Stanisław Turski był m.in. rektorem Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1952-1968.

■ **CZTEREJ** poszkodowani w katastrofie na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich pozyskują do sądu właściciela zawałonej hali. Domagają się odszkodowania, a najciężej ranny - dożywotniej renty.

■ **SĄD** Rejonowy w Katowicach uznał 15 V, że Andrzej Sośnierz, poseł PiS-u i kandydat na szefa NFZ, prowadził działalność ubezpieczeniową bez zezwolenia. Jednocześnie sąd stwierdził, że samo uznanie Sośnierza za winnego jest wystarczającą karą, dlatego zdecydował o warunkowym umorzeniu postępowania.

■ **DO** śmiertelnego wypadku doszło 15 V w kopalni „Bielszowice” w Rudzie Śląskiej. Ze wstępnych ustaleń wynika, że górnik został prawdopodobnie wciągnięty w napęd przenośnika węglowego.

■ **OFICEROWIE** Biura Spraw Wewnętrznych KGP zatrzymali 16 V trzech policjantów z Bytomia. Są podejrzeni o przyjęcie łapówki od członka jednej ze śląskich grup przestępczych i zaniechania czynności służbowych.

■ **PROFESOR** Jerzy Szuba, rektor Politechniki Śląskiej w latach 1965-1974 zmarł 15 V w wieku 89 lat. Żołnierz Armii Krajowej, powstaniec warszawski, odznaczony m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

■ **KONKURS** ogłoszony przez Urząd Marszałkowski na stanowisko dyrektora Stadionu Śląskiego

wygrał Marek Szerzbowski, sekretarz SLD w Katowicach i radny z listy tej partii.

■ **PONAD** 2000 lekarzy i pielęgniarek z dwóch tysiąch szpitali przeszło 17 V ulicami miasta w protestie przeciw niskim płacom.

■ **BESKIDZKIE** Centrum Onkologii uruchamia pierwszy w Polsce program wczesnego wykrywania czerniaka. Jego inicjatorem jest prof. Artur Zembowicz, pochodzący z Bielska wybitny dermatolog ze szpitala w Bostonie.

■ **ARĘSZTOWANO** księdza Józefa K. podejrzanego o sprzedaż należącej do wspólnoty ormiańskiej w Gliwicach kamienicy i przywłaszczenie 800 tys. zł.

■ **METROPOLITA** górnośląski abp Damian Zimoń poświęcił 19 maja pomnik Jana Pawła II, który stanął na placu koło katowickiej archikatedry. Uroczystości towarzyszyły tłumy wiernych, wyrażających uznanie dla twórcy dzieła, artysty rzeźbiarza Gustawa Zemly, autora niejednego już dzieła na Śląsku.

■ **PODCZAS** sobotniej (20 V) majówki-festynu na osiedlu Witosza pseudokibice GKS-u Katowice i Ruchu Chorzów stoczyli ze sobą regularną bitwę. W powietrzu latały: kostki brukowe, kosze na śmieci i ławki.

■ **ROZPOCZĄŁ** się strajk w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka i Matki. Od 22 V szpital pracuje jak na ostrym dyżurze, większość lekarzy jest w domach. Zamknięto przychodnię. Dzieciom nie wykonuje się żadnych planowanych zabiegów. Górnośląskie Centrum jest trzecią co do wielkości w Polsce placówką leczącą dzieci.

■ **MALUTKA** parafia w Leśnej koło Żywca postanowiła oddać hołd Janowi Pawłowi II. Na tutejszym kościele powstała dokładnie taka sama mozaika, jaką Ojciec Święty polecił wykonać na ścianie Pałacu Apostolskiego w Watykanie. Mozaikę poświęcono 21 maja.

■ **ŚLĄSKA** policja dostała 22 V najnowocześniejsze w kraju ruchome stanowisko dowodzenia. Wyposażona w kamery, mikrofony, łączność satelitarną jest najdroższą (600 tys. zł) furgonetką w regionie.

■ **MAFIA** w Hucie Katowice zarobiła miliony złotych. Do Huty Katowice przez cztery lata wjeżdżały pociągi pełne gruzu i smoly. Huta płaciła za to jak za złom najwyższej jakości. 23 V policja zatrzymała osoby zamieszane w ten proceder.

■ **TROJACZKI** przyszły na świat 22 maja rano w myślowickim Szpitalu Miejskim nr 1. Weronika, Alicja i Paulina Aksamit. Jak na trojaczki były wyjątkowo duże.

■ **WYBITNA** aktorka scen polskich związana z Teatrem Śląskim w latach 1959-1963, Anna Ciepiewska, zmarła 20 maja.

■ **SETKI** tysięcy mieszkańców naszego regionu wybrało się 26 maja do Częstochowy na spotkanie z papieżem Benedyktem XVI. Każdy mógł wziąć udział w nabożeństwie najowym, które poprowadził Ojciec Święty. Początek i zakończenie okolicznościowej homilii oraz błogosławieństwo Benedykta XVI wygłosił bardzo poprawnie po polsku.

■ **PRAWIE** 10 tys. osób czekało tego samego dnia na piekarskiej kalwarii na papieski śmigłowiec. Nie zawiedli się. Helikopter z Ojcem Świętym na pokładzie po godz. 20 zatonął w powietrzu dwa kilometry od Krakowa.

■ **WYROKI** dla strażników za ucieczkę Ryszarda Niemczyka z wadowickiego więzienia: półtora roku więzienia w zawieszeniu na cztery lata dla dołwody zmiany i strażników. Ich przełożeni zostali uniewinnieni.

■ **NA** koniec pierwszej pielgrzymki do Polski papież Benedykt XVI odwiedził 28 maja były obóz koncentracyjny w Auschwitz-Birkenau. W bloku 11 spotkał się z 32 byłymi więźniami.

■ **CO** najmniej 9 mln zł bezprawnie pobrali pracownicy Instytutu Medycyny Pracy w Sosnowcu - twierdzi Najwyższa Izba Kontroli. Pracownicy administracyjno-ekonomiczni wypłacali sobie miliony za fikcyjne umowy o dzieło. - Skala nadużyć w Instytucie jest ogromna - stwierdził 29 V prezes NIK.

■ **ŚLĄSKA** policja rozbiła gang złodziei samochodów. Złodzieje ukradli co najmniej 400 aut o wartości ok. 20 mln zł. Czuli się bezkarni, bo współpracujący z nimi dwaj zawodowi elektronicy na samochodach klientów prywatnych warsztatów uczyli się rozbijać alarmy.

■ **MIAŁA** być czerwona kartka dla ministra sportu, ale dostało się też piłkarzom. Kibice zgromadzeni 30 V na Stadionie Śląskim wygwizdali zespół Pawła Janasa, który po przegranym meczu z Kolumbią w fatalnych nastrojach wyjechał późnym wieczorem do Niemiec.



**Trochę historii:** Fundacja Pracownicza PRO-EKO w Łaziskach Górnych (graficzną prezentację zamieszczamy na 4 stronie okładki) powstała w 1993 r. z inicjatywy ówczesnego kierownictwa Elektrowni Łaziska oraz organizacji związkowych działających w firmie. Główną jej misją było (i jest, oczywiście, nadal) niesienie pomocy pracownikom Elektrowni Łaziska, ich rodzinom, rencistom i emerytom. Działalność Fundacji szybko jednak „wyszła poza bramy” jednego zakładu pracy i można bez przesady stwierdzić, że dziś służy całemu społeczeństwu Ziemi Śląskiej. I nie tylko, bo podejmowane przez tę – nie bójmy się tych słów – **INSTYTUCJĘ DOBRA PUBLICZNEGO** zadania przekroczyły już granice Polski.

Mówiąc o działaniach Fundacji, można je pogrupować w następujące bloki tematyczne:

- ochrona zdrowia
- dobro dzieci
- działalność kulturalna
- pomoc społeczna
- działania na rzecz ekologii
- działania na rzecz pracowników oraz emerytów i rencistów Elektrowni Łaziska.

Dla wszystkich, którzy pamiętają dymy nad Łaziskami, priorytetowe potraktowanie w tym wyliczeniu ochrony zdrowia jest sprawą oczywistą. Warto, dla ilustracji skali podejmowanych w tym zakresie przedsięwzięć, odwołać się do konkretnych przykładów. PRO-EKO współuczestniczyło w remontach i modernizacjach wielu placówek służby zdrowia, sfinansowało albo partycypowało w finansowaniu zakupów sprzętu medycznego. **Lista beneficjentów tej pomocy jest imponująca:**

- Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Tychach (remonty, modernizacje, zakup sprzętu)
- Szpital Powiatowy w Mikołowie (modernizacja oraz rozbudowa, sprzęt dla oddziałów i izby przyjęć)
- Szpital św. Józefa w Mikołowie (remont obiektu, zakup sprzętu medycznego)
- wiele klinik w Górnośląskim Centrum Medycznym w Katowicach-Ochojcu (remonty, modernizacje, zakupy sprzętu medycznego)
- Klinika Laryngologiczna w Zabrze (remonty, zakup sprzętu medycznego)
- Centrum Leczenia Oparzeń w Siemianowicach Śl. (współfinansowanie zakupu sprzętu medycznego)
- Szpital im. Łęczyńskiego w Katowicach (zakup sprzętu laboratoryjnego)
- Szpital Dziecięcy w Chorzowie – oddział onkologiczny (zakup sprzętu medycznego)
- Szpital Miejski w Żorach (remont oddziału dziecięcego oraz zakup sprzętu medycznego)
- Fundacja Rozwoju Kardiologii w Zabrze
- Górnośląskie Centrum Rehabilitacji Repty (remonty, zakup sprzętu medycznego) oraz w Ustroniu

- Szpital Urazowo-Ortopedyczny – Piekary Śl. (remonty, zakup sprzętu medycznego)
  - Szpital Chorób Płuc – Orzesze (remonty i zakup sprzętu medycznego)
  - Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego w Katowicach (zakup wyposażenia karetki pogotowia)
  - Sanatorium Reumatologiczne w Gozdzalówkach (remonty, zakup sprzętu, współfinansowanie kabiny niskich temperatur).
- Wiele przedsięwzięć zrealizowano wspólnie ze Stowarzyszeniem NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ZDROWIA w Katowicach.

W zakresie działań „dla dobra dziecka”, Fundacja od początku swej działalności współfinansuje wyjazdy dzieci na „zielone lekcje” ze szkół powiatu mikołowskiego, współuczestniczy w organizacji kolonii charytatywnych dla dzieci specjalnej troski. Ponadto Fundacja była fundatorem budowy placów zabaw dla

- Festiwal Viva il Canto – Cieszyn
- Festiwal Jazzowy – Czehów
- Festiwal Piosenki Ekologicznej – Gostyń

- Powiatowy Przegląd Piosenki i Poezji Krokus – Łaziska Górne
- Plener Malarski – Łaziska Górne.

Fundacja współuczestniczy również w remontach i modernizacjach zabytkowych obiektów sakralnych w Borowej Wsi, Woszczycach i w Cwiklicach.

**W zakresie pomocy społecznej** Fundacja PRO-EKO współpracuje ze Związkiem Diabetyków w Mikołowie, Związkiem Niewidomych w Mikołowie, z PCK w Łaziskach Górnych i domami pomocy społecznej w Orzeszu i Strumieniu. Współdziała także z Katolickim Stowarzyszeniem Niepełnosprawnych w Bytomiu oraz Ośrodkiem Caritas w Borowej Wsi i Caritas – Polska.

Jeżeli chodzi o przedsięwzięcia na rzecz ekologii, Fundacja m.in. współfinansowała organizowane w okolicznych szkołach konkursy z okazji Dnia Ziemi. Jest także inicjatorem zbiórki odpadów niebezpiecznych (m.in. baterii). Fundacja finansowała także opracowania naukowe z zakresu ekologii.

Szczególne miejsce w codziennej pracy Fundacji zajmują **działania na rzecz pracowników, emerytów i rencistów** Elektrowni Łaziska poprzez współorganizowanie

opieki zdrowotnej, współudział w firmie PROELMED, organizowanie doraźnej pomocy, wspieranie finansowe klubów seniora działających przy elektrowni oraz współpraca z Towarzystwami Przyjaciół Muzeum Energetyki a także Miłośnikami Turystyki Rowowej działającymi przy elektrowni.

Tak szeroki zakres podejmowanych działań został dostrzeżony i doceniony. Fundację uhonorowano licznymi listami gratulacyjnymi, dyplomami od organizacji i instytucji oraz wyróżniono:

- Odznaką Honorową Ministra Edukacji Narodowej – za zasługi dla oświaty
  - dyplomem uznania Konsula RP w Honolulu
  - specjalnym dyplomem Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Tychach
  - tytułem Dobrodzieja Roku 2003 Wadowickiego Centrum Kultury
  - statuetką „Bocianie Gniazdo” – Kapituły Mężów Stanu – Bujaków
  - statuetką „Przyjaciół GCR Repty”
  - statuetką Kierownika Kliniki Kardiologii prof. Andrzeja Bochenka
  - statuetką Polskiego Radia „Mecenas Kultury 2002”
  - specjalną statuetką laureata konkursu Łoży katowickiej BCC
  - specjalnym dyplomem Caritas Ośrodka dla Niepełnosprawnych w Borowej Wsi.
- Dla dobra publicznego – to najważniejsze przesłanie przyswiecające pracy i działaniom Fundacji Pracowniczej PRO-EKO w życiu społeczeństwa Województwa Śląskiego.

## Dla dobra publicznego

dzieci m.in. w Łaziskach Górnych, Gostyni, Strumieniu. Dzieciom poszkodowanym przez tsunami w Indiach, Fundacja, wspólnie z Caritas-Polska, buduje ośrodek wychowawczy. A dla dzieci z miejscowości Bursztyn na Ukrainie zorganizowano zbiórkę odzieży i słodyczy. W latach 1998-2004 Fundacja była kilkakrotnie organizatorem badań profilaktycznych. Dotyczyły one wad postawy i chorób górnych dróg oddechowych, na terenie Łazisk Górnych i powiatu mikołowskiego. W sumie z badań tych skorzystało ponad 1200 dzieci. Fundacja współfinansuje także szereg inwestycji w Domu Pomocy Społecznej dla dzieci w Strumieniu, szczególnie przy organizacji Szkoły Życia. Swą pomocą obejmuje także dzieci z Domu Dziecka z Orzesza i Ośrodka Caritas w Borowej Wsi.

Osobny rozdział to **działalność na rzecz kultury**. Od lat Fundacja Pracownicza PRO-EKO współfinansuje wiele imprez kulturalnych organizowanych przez Muzeum Śląskie, Muzeum Energetyki w Łaziskach Górnych, Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, Teatr Mały w Tychach oraz Domy Kultury w Łaziskach Górnych, Gostyni i Mikołowie. Można tu wymienić takie inicjatywy jak:

- Festiwal Piosenki Religijnej – Katowice-Panewniki
- Festiwal Piosenki Religijnej – Mikołów
- Dni Muzyki – Mikołów
- Dni Mikołowa – Mikołów
- Festiwal Piosenki Żeglarskiej – Łaziska Górne

# GTL: Bilans trzeciej kadencji

Już po raz czwarty odbyło się Zgromadzenie Walne Sprawozdawczo-Wyborcze Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, uformowany został nowy zarząd, ustalono skład komisji oraz wyznaczone zostały kierunki działalności tej największej w kraju regionalnej organizacji społeczno-literackiej, która nadal się rozrasta i liczy obecnie 148 członków. Do jej największych osiągnięć zaliczyć trzeba powołanie miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” – czasopisma ukazującego się systematycznie od jesieni 1995 roku, które w listopadzie ubiegłego roku obchodziło z nie-małym rozgłosem swe 10. urodziny.

Powołanie tej organizacji nastąpiło 19 grudnia 1992 roku, w setną rocznicę utworzenia stowarzyszenia o tej nazwie w Bytomiu, w okolicznościach, które zasługują na przypomnienie. Tego dnia podczas zwołanego zebrania założycielskiego pojawili się licznie przedstawiciele środowisk literackich Katowic, Opola, Bielska i Zaolzia a na liście członków założycieli widniały podpisy 83 osób. Był w tym gronie również Kazimierz Kutz, od początku wspierający powołanie GTL-u. Stowarzyszenie to miało od początku formułę szeroką, nastawioną na integrowanie ludzi pióra i nauk humanistycznych bez względu na przynależność organizacyjną i środowiskowe podziały, tak iż znaleźli się na liście zarówno członkowie ZLP i SPP, co również miało istotne znaczenie.

Był to – co potwierdziły następne lata – ważny akt dla stanu i rozwoju życia literackiego na obszarze historycznego Górnego Śląska, w okresie gdy po 190 roku nastąpiło spontaniczne ożywienie inicjatyw i tradycji lokalnych. Zapewne nie doszłoby wówczas do powołania tej nowej organizacji, gdyby nie 100. rocznica utworzenia w roku 1892 w Bytomiu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Tamten fakt – co mocno podkreślił w swoim sprawozdaniu prezes ustępującego zarządu – stał się „zarzewiem powołania stowarzyszenia o tej historycznej nazwie, która okazała się wartością samą w sobie, ale i cennym kapitałem tradycji. Miało to ważne znaczenie, gdy w nowej sytuacji ujawniło się wówczas w kraju wiele inicjatyw lokalnych wynikających z aspiracji miejscowych środowisk, nawiązujących do wzorców i tradycji regionalnych, w przeszłości szczególnie żywych na Górnym Śląsku”. A pierwsze lata 90. to – jak pamiętamy – także czas szczególnego nasilenia nurtów i koncepcji związanych z rozwojem najszerzej pojętej samorządności, gdy podejmowano podstawowe decyzje związane z gruntowną reformą państwa.

Powstające Górnośląskie Towarzystwo Literackie wpisywało się w tym momencie w nurt bardzo ważnej i godnej pamięci tradycji. Przecież bezpośrednim inicjatorem powołania tej organizacji w roku 1892 był Julian Łukaszewski – mianowany przez Romualda Traugutta 1 listopada 1863 roku komisarzem pełnomocnym Rządu Narodowego na cały zabór pruski, organizator polskiego uchodźstwa po powstaniu styczniowym w Rumunii i twórca założonej tam w 1867 roku Biblioteki Polskiej. To z jego inicjatywy i jego wysiłkiem Biblioteka ta została w 1892 roku przekazana do Bytomia na własność i do dyspozycji utworzonego w tym celu Towarzystwa Literackiego – a był to dar wielkiej wartości, księgozbiór liczący ponad 4 tysiące tomów. W przyszłości, w roku 1920, w nowej sytuacji historycznej Górnośląskie Towarzystwo Literackie zmieni swą nazwę na Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku, a cenny księgozbiór, na wniosek jego prezesa, księdza Emila Szramka, wejdzie w skład powstającej Biblioteki Sejmku Śląskiego, jako załączek przyszłej Biblioteki Śląskiej. A więc aż taka chlubna tradycja jest wpisana w nazwę tej organizacji.

Rozruch był nader energiczny, skoro w niewiele miesięcy po ukonstytuowaniu się zarządu I kadencji doszło do utworzenia Kół Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Opolu, Bielsku i Cieszyńsko-Zaolziańskim, tak iż już w połowie 1993 roku uformował się zarząd stowarzyszenia, które w tych granicach trwa i działa.

Natomiast dwie ważne rocznice: 10-lecie GTL-u i wspomniane już 10. urodziny miesięcznika „Śląsk”. Pierwszy jubileusz, który odbył się 19 grudnia 2002 roku, w nawiązaniu do daty aktu powołania stowarzyszenia miało bardzo uroczystą oprawę a spotkanie w salach Muzeum Śląskiego potwierdziło społeczny prestiż młodej organizacji... choć ze stuletnim rodowodem. Przybyło wielu znakomitych gości, w tym najważniejsze osobistości regionu, zaś nader licznie reprezentowany był oczywiście świat kultury i nauki.

W okresie od ostatniego Zgromadzenia Walnego Sprawozdawczo-Wyborczego nastąpił kolejny wzrost liczby GTL-u. Przybyło w tych latach 27 osób i organizacja liczy obecnie 148 członków. A przecież był to również czas rozstań i spotkań nad grobem, bo przyszło pożegnać w tych latach Bolesława Lubosza, Ireneusza Opackie-

go, Henryka Bereskę i Rudolfa Barona (urodzeni na Śląsku, żyli i działali w Niemczech), Aleksandra Widerę, Jerzego Cieślaka, Andrzeja Johna, Ryszarda Kincla, Jana Pierzchałę oraz Adama Wiesława Bergera, Jana Rusnoka i Gustawa Sajdoka – trzech ostatnich to zasłużeni ludzie pióra i działacze kulturalni z Zaolzia.

Czas minionej kadencji to okres systematycznej działalności na dotychczasowych kierunkach. Nadal organizowane były stałe imprezy literackie w siedzibie – w Sali Portretowej GTL-u – gdzie odbyły się w ramach „czwartków literackich” 64 spotkania. Zorganizowano również 57 spotkań autorskich z cyklu: pisarze w katowickich szkołach. Co roku organizowane są jesienią Katowickie Dni Literatury – odbyło się już VIII edycji. Jeśli zsumować wszystkie imprezy, to okaże się, że odbyło się ich w tym czasie łącznie około 190... wcale niemało, choć na pewno nie zostały wykorzystane wszystkie możliwości.

Imprezą, która miała największy zasięg, bo obejmujący dwa kraje: Polskę i Czechy – był konkurs poetycki na cykl wierszy i poemat „O Nagrodę Skrzydła Ikaru”. Zorganizowany w roku 2004 – był jego piątą, ostatnią już edycją. Dorobek konkursu został zaprezentowany w zbiorowym almanachu, w którym znalazły się także relacje z pamiętnych spotkań w Cierlicku, miejscu tragedii Żwirki i Wigury, których pamięć została wpisana w ideę konkursu. Jego organizacją była szczególnie ważna dla środowiska kulturalnego Zaolzia, skoro Koło Cieszyńsko-Zaolziańskie GTL-u było za każdym razem współorganizatorem tego konkursu i towarzyszących im sesji literackich.

A skoro o konkursach – do zasług stowarzyszenia trzeba także zaliczyć organizację Ogólnopolskiego Konkursu o tematyce górniczej na opowiadanie i wspomnienie, którego laureaci odebrali dyplomy i nagrody właśnie podczas uroczystości z okazji 10-lecia GTL-u. Wielka szkoda, że nie udało się objąć tym konkursem również powieści, choć są to lata i czasy pełne dramatycznych napięć w górnictwie. Niestety, próby pozyskania wsparcia tego resortu nie powiodły się pomimo kilkukrotnych starań.

Jak wynikało ze sprawozdania – zarząd wielką wagę przywiązywał też do organizacji jubileuszy literackich. Szczególnie zapisało się w pamięci sympozjum z udziałem Tadeusza Różewicza członka honorowego GTL-u, zorganizowane w 2004 roku z okazji 60. rocznicy jego debiutu książkowego (współ z Uniwersytetem Śląskim). Impreza ta, która odbyła się w Sali im. Jerzego Zbigniewa Nowaka zgromadziła kilkadziesiąt osób zaś atmosfera tego spotkania była pod każdym względem wyjątkowa. Rok wcześniej został przygotowany jubileusz profesora Henryka Markiewicza, również członka honorowego GTL-u. Odbyło się także spotkanie jubileuszowe Zbyszko Bednorza, który obchodził 90. rocznicę urodzin.

W okresie obejmującym czas tej kadencji zorganizowano również jubileuszowe spotkania z obchodzącym 80. rocznicę urodzin Janem Pierzchałą i Janem Pyszką z Zaolzia, który z okazji 80-lecia urodzin został uhonorowany medalem – Zasłużony dla Kultury Narodowej. Medale te – otrzymali następnie także: Grażyna Szewczyk, Paweł Majerski, Edward Szopa i Antoni Halor.

Sprawa przyznania odznaczeń w tej kadencji zdecydowanie ruszyła i to wcale energicznie. I tak medale Gloria Artis z rąk ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego otrzymali: Tadeusz Kijonka, Marian Kisiel i Feliks Netz. Z okazji uroczystości 10-lecia „Śląska” medal srebrny Za zasługi dla województwa śląskiego otrzymał Krzysztof Karwat.

Zebrał wybór 2 czerwca br. rozpoczęto właśnie uroczystością Zwroćcenia odznaczeń. Tego dnia medalami Zasłużony dla Kultury Polskiej przez przewodniczącą Senackiej Komisji Kultury – Krystynę Bochenek i posła Alojzego Lyskę zostali odznaczeni: Harry Duda, Marta Fox, Kazimierz Kaszper, Bolesław Niezgoda, Grzegorz Słobodnik, Władysław Sikora, Piotr Wilczek i Włodzimierz Wójcik. Natomiast medalami Za zasługi dla województwa śląskiego zostali odznaczeni przez wicemarszałka Sergiusza Karpinińskiego – złotymi: Tadeusz Kijonka i Marian Kisiel, srebrnymi – Wiesława Konopelska, Jan F. Lewandowski i Wojciech Łuka.

Dyskusja, w której głos zabrało kilkanaście osób, dotyczyła zarówno spraw samej organizacji (zmiany w statucie, rytm życia stowarzyszenia, ożywienie Kół GTL-u, imprezy i inicjatywy literackie), ale i kwestii dotyczących problemów rozwoju kultury literackiej i aktywności wydawniczej Katowic i całego regionu. Mocno zabrzmiąły w tym kontekście głosy w sprawie większego udziału samorządów we wspieraniu rozwoju życia literackiego i twórczości miejscowych autorów, co powinno znaleźć odbicie w budżetach.

Nowy zarząd będzie pracował w 12-osobowym składzie. Prezesem czwartej kadencji, która obejmie lata 2006–2010 został Tadeusz Kijonka, który kieruje GTL-em od początku. Funkcję wiceprezesa powierzono Tadeuszowi Siememu, sekretarza – Marianowi Sworzenowi, skarbnika – Agnieszce Neckiej. W skład zarządu jako członkowie weszli: Barbara Dziekańska, Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Kazimierz Kaszper, Marian Kisiel, Alojzy Lysko, Jan Malicki, Beata Rokosz-Szymanek i Janusz Wójcik.

Oczekiwanie związane z wyborem nowego zarządu są duże, zaś w tym składzie gwarantuje on znaczne możliwości. A przecież już w tym 2007 Górnośląskie Towarzystwo Literackie obchodzić będzie swe 15-lecie, licząc od daty 19 grudnia 1992 roku.

P.G.



Gesty i symbole. Równie ważne jak słowa papieskich homilii i przemówień. A może nawet ważniejsze, bo są zapamiętane lepiej od słów. Jak chociażby ten wiatr na placu św. Piotra zamykający karty Pisma Świętego na trumnie Jana Pawła II...

Dla jednych takim symbolem stała się wizyta w byłym KL Auschwitz-Birkenau, gdzie Benedykt XVI przybył jako głowa Kościoła katolickiego, następca polskiego papieża i syn narodu niemieckiego. Inni oczekiwali od papieża-Niemca słów historycznego rozrachunku ze sprawcami „czasów pogardy” i Holocaustu.

Benedykt XVI chciał tutaj przyjechać – to na jego życzenie w program pielgrzymki wplecioną została Golgota naszych czasów. Korzystając z klimatu wielkiego wydarzenia, spróbował rzucić sieci modlitwy, dialogu i historycznego porozumienia.

\*\*\*

28 maja 1940 roku. Pod tą datą w kronikach obozu nie zanotowano żadnych istotnych wydarzeń. Wiadomo, że osiem dni wcześniej przywieziono do obozu pierwszych więźniów: 30 niemieckich kryminalistów z KL Sachsenhausen, którzy później zostali kapami i blokowymi.

\*\*\*

28 maja 2006 roku. Kiedy wokół pomnika, przy ruinach krematorium, kilka tysięcy osób w ciszy oczekiwało na przybycie papieża, Benedykt XVI był jeszcze w Auschwitz. Do obozu wszedł samotnie przez bramę z napisem „Arbeit macht frei”, pozostawiając kilka kroków za sobą swoją świętą i ochronę. Ściana Straceń, Blok 11, cela, w której skończył franciszkanin o. Maksymilian Maria Kolbe, wyniesiony po latach na ołtarze. Tą drogą szedł 7 czerwca 1979 Jan Paweł II.

Na dziedzińcu Bloku 11 – Bloku Śmierci, przed Ścianą Straceń, w miejscu szczególnie tragicznym, gdzie Niemcy rozstrzelali tysiące ludzi, papież ścisną dłonie trzydziestu dwóch byłych więźniów. Są wśród nich osoby pochodzące ze Śląska i Zagłębia: Henryk Mandelbaum z Olkusza, Jerzy Michol i Genowefa Nowak z Katowic, Wanda Sawkiewicz z Łędzin koło Tychów i Kazimierz Smoleń z Chorzowa.

\*\*\*

28 maja 1941 roku. Przybył zbiorowy transport 13 więźniów skierowanych do obozu przez placówki Stapo i Kripo z Królewca, Tylży, Ciechanowa, Bydgoszczy i Szczecina. Kierownik administracji KL Auschwitz powiadomił Gestapo w Łodzi, że po odliczeniu porto (kosztów przesyłki) w kwocie 0,41 RM przesyła w celu zwrotu rodzinom 51,34 RM



Foto: Autor

Do Polski przyjechał następca Jana Pawła II, Benedykt XVI. Przez cztery polskie dni papież umacniał swoją tożsamość. Uczestniczył w podniosłych chwilach i uroczystościach. Był w Warszawie, Częstochowie, Krakowie, Wadowicach, Kałwarii Zebrzydowskiej. Z napięciem oczekiwano na wizytę w byłym KL Auschwitz-Birkenau.

## Modlitwa i cisza

WIESŁAW KOSTERSKI

stanowiących własność 4 zmarłych więźniów: Tadeusza Pabijanika, Franciszka Trzaskalińskiego, Tadeusza Tomczyńskiego i Mieczysława Nowakowskiego.

\*\*\*

Zaraz po wyjściu z limuzyny, która zatrzymała się na tyłach pomnika, Benedykt XVI w skupieniu, samotnie przechodząc wzdłuż monumentu w Brzezince, modlił się przy tablicach upamiętniających ofiary obozu różnych narodowości. Towarzyszy mu tęcza rysująca się na niebie i zupełna cisza. W tym miejscu zbiorowej kaźni, na tym cmentarzysku ludzkich prochów cisza jest najlepszą formą dialogu i modlitwy. Dialogu Polaków, Żydów, Niemców, Romów...

Papież krótko pozdrawia zebranych, po czym płyną słowa Psalmu 22, Kadiszu oraz modlitwy wstawiennej w języku romskim, polskim, rosyjskim, hebrajskim, angielskim

i niemieckim. Tę ostatnią wypowiedział Benedykt XVI, przełamując użyciem języka niemieckiego tabu w trudnych relacjach między chrześcijanami a Żydami. W chwilę po tym, jak skrzypaczka kończy grać „Modlitwę z Dettingen Te Deum” Georga Friedricha Haendla, do rąk Benedykta XVI trafia tekst przemówienia.

\*\*\*

28 maja 1942 roku. Przybył transport 54 więźniarek skierowanych do obozu z więzienia w Tarnowie. W „czasie ucieczki” zastrzelony został Żyd Izaak Singel (nr 301000). Do karnej kompanii w Birkenau skierowano 20 więźniów z bunkrów bloku 11. Wśród nich znajdowało się czterech więźniów osadzonych 13 maja z komanda Bodenwirtschaftsdienst za utrzymywanie kontaktów z ludnością cywilną.

\*\*\*

Wbrew dość powszechnym oczekiwaniom, że papież będzie przemawiał w języku ojczystym, Benedykt XVI wygłasza przemówienie po włosku. „W miejscu takim jak to, brakuje słów, a w przerażającej ciszy serce woła do Boga: Panie, dlaczego milczałeś. Dlaczego na to przyzwoliłeś”. Nawiązując do wizyty Jana Pawła II w KL Auschwitz-Birkenau dodaje, powtarzając za swoim poprzednikiem: „Nie mogłem tutaj nie przybyć. Przybyć tu musiałem”.

Papież mówi o historii, o „grupie zbrodniarzy”, która zniewoliła naród niemiecki, posługując się nim „jako narzędziem swojej żądzy zniszczenia i panowania”. Jakby dla pewnej równowagi argumentów historycznych wspomina drugie imperium zła – dyktaturę Stalina i ideologię komunistycznej, „która narzucała tym narodom swoją władzę”.

Obraz historii – dwa nieludzkie systemy. Hitlerizm i stalinizm były różnymi ustrojami, ale łączyło je jedno – zbrodniczy charakter. Dla ich ofiar różnice ideologiczne nie mają jednak najmniejszego znaczenia.

\*\*\*

28 maja 1943 roku. Stan liczbowy w bloku 10 doświadczalnym w obozie macierzystym wynosił 226 więźniarek dla celów doświadczalnych oraz 39 więźniarek pielęgniarek. SS-Sturmabfuhrer Hartenstein wyróżnił trzema dniami dodatkowego urlopu dwóch esesmanów z drugiej kompanii wartowniczej, jeden w dniu poprzednim zastrzelił więźnia podczas ucieczki, drugi schwycił więźnia Cygana Johanna Wintersteina (nr Z-7635) na krótko przed próbą przepłynięcia Wisły. Więźnia osadzono w bunkrze bloku 11, a rozstrzelano po selekcji w bunkrach w dniu 25 czerwca 1943 ro-

ku. W kostnicy obozu macierzystego złożono 7 ciał więźniów.

\* \* \*

Wielkie nadzieje towarzyszyły oczekiwaniu na słowa papieża o zagładzie Żydów. I Benedykt XVI mówił na temat Holocaustu, choć słów poświęconych Żydom użył niewiele. Trzymał się ściśle przygotowanego wcześniej tekstu, raz tylko od niego odchodząc, kiedy po zdaniu: „Stoimy dziś w miejscu pamięci” dodał: „które jednocześnie jest miejscem Shoah”.

Ocenil, że „władze Trzeciej Rzeszy chciały całkowicie zmiażdżyć naród żydowski, wyeliminować go z grona narodów ziemi”, dodając, że „zbrodniarze unicestwiając ten naród, zamierzali zabić Boga (...), wyniszczając Izrael, chcieli w rzeczywistości wyrwać korzenie wiary chrześcijańskiej...”

Mocno zabrzmiąło także papieskie pytanie: „Gdzie był Bóg w tamtych dniach? Dlaczego milczał?” Doskonałe pytanie. Papieskie pytanie. Zabrakło jednak pytania dopełniającego: gdzie był Kościół, kiedy – trzymając się słów wypowiedzianych na zakończenie przemówienia – „w obozie Auschwitz-Birkenau ludzkość przeszła przez „ciemną dolinę”?

\* \* \*

28 maja 1944 roku. Esesmani rozstrzelali w Babicach koło Oświęcimia w trakcie ucieczki zbiegłych z obozu w dniu 22 maja sowieckich jeńców wojennych. Z transportów Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) z Węgier skierowano do obozu jako więźniów 24 Żydów bliźniaków oraz Żydówkę bliźniaczkę Rosę i Helenę Mioszkowicz. Część młodych i zdrowych zatrzymano w Birkenau jako „depozyt”. Pozostałych zabito w komorach gazowych. Nie wiadomo, ilu dokładnie Żydów przybyło tego dnia do obozu z Węgier, wiadomo jedynie, że 27 maja przez stację kolejową w Koszycach przejechały cztery transporty kierowane do Auschwitz w liczbie 3325 osób, 3415 osób, 2708 osób i 2988 osób. Z raportu obozowego ruchu oporu wynika, że Żydzi jednego z tych transportów doprowadzeni pod budynek krematorium, przeczuwając niebezpieczeństwo, rozproszyli się wokół drzew pobliskiego lasu ogrodzonego drutem kolczastym. Esesmani otoczyli ich kordonem, po czym w świetle reflektorów urządzili coś w rodzaju polowania. Wszystkich zastrzelono.

\* \* \*

Wizyta w KL Auschwitz-Birkenau przykuła uwagę całego świata, ściągając do byłego obozu nazistowskiego ponad tysiąc dziennikarzy, obserwujących każdy papieski gest i komentujących każde papieskie słowo, ale światem nie wstrząsnęła. Przyjęty w Polsce z wielką sympatią i entuzjazmem przybysz z Watykanu pozostawił po sobie głównie dzieło w wymiarze duchowym, religijnym.

To, co tutaj zrobił jest też w pewnym sensie dopełnieniem gestu kanclerza Niemiec Willi Brandta, który w 1970 roku padł na kolana przed pomnikiem bohaterów powstania w warszawskim getcie, zaskakując tym cały ówczesny świat, i znaku pokoju, jaki wymienili między sobą premier Tadeusz Mazowiecki i kanclerz Helmut Kohl podczas historycznej mszy w Krzyżowej.

P.S. Serdecznie dziękuję Panu Piotrowi Setkiewiczowi, kierownikowi archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, za pomoc w uzyskaniu informacji o wydarzeniach zapisanych każdego roku istnienia obozu pod datą 28 maja. Przetożnienie narastającej ilości tych wydarzeń nie jest zabiegiem autora, jest odzwierciedleniem zwiększającej się skali maszyny zbrodni.

# Zrozumieć Benedykta

## Co mają wspólnego Ratzinger, Gombrowicz i Mozart?



**MAREK ZAJĄC:** – W Rzymie po konklawe krążył wśród dziennikarzy dowcip: *Habemus Papam, na Plac św. Piotra pędzą tłumy. Wielu pamięta 16 października 1978 roku i słowa Jana Pawła II: „I oto najprzewielebniejszy kardynałowie powołali nowego biskupa Rzymu. Wezwali go z dalekiego kraju”*. A potem: „Nie wiem, czy potrafię wyrażać się jasno w waszym... w naszym języku włoskim. Jeżeli się pomylę, to mnie poprawcie”. No, ale teraz na loggię Bazyliki wychodzi kard. Joseph Ratzinger, który przyjął imię Benedykta, i mówi: „Jestem z niedalekiego kraju i świetnie mówię po włosku. Ale nie lękajcie się. Jeżeli się pomylicie – poprawię was”.

**KS. JERZY SZYMIK:** – Nie należę do wielbicieli Witolda Gombrowicza, ale muszę przyznać, że akurat jego zwrot tłumaczy rzecz najlepiej: Kardynałowi przez lata pracowicie dorabiano „gębę”. Ponieważ miał czelność kwestionować jedynie słuszny paradygmat liberalnej (po)nowoczesności. Żanim osobiście poznałem dzisiejszego Papieża, wciąż słyszałem o pancernym kardynale i zandarnie Kościoła. Ale medialny obraz wielkiego inkwizytora nie pasował mi do sylwetki, jaka wylaniała się z lektury jego książek. Ten rodzaj wrażliwej mądrości, ta czułość wobec maluczkich, odwaga wobec możnych i – przede wszystkim – ewangeliczna głębia, które na stronicach jego książek znajdowałem, nigdy nie chodzą w parze z pychą czy bezwzględnością surowością; przynajmniej tyle już o życiu wiem. Po tem powołano mnie do Międzynarodowej Komisji Teologicznej i poznałem kard. Ratzingera twarzą w twarz. Pierwsze wrażenie: skromny człowiek. Ciężko pracuje z nami od świtu do nocy, od poniedziałku do piątku. Ani razu się nie

odzywa, ale bez przerwy robi notatki wiecznym piórem. Gdy przemawia nieznanemu kardynałowi teolog, na moment podnosi wzrok, bacznie się przygląda i wraca do zapisków. W kularach rozmawia z nami przy kawie, ale formalnie głos zabiera dopiero w sobotę, w ostatnim dniu obrad. Wygłasza płynną laciną piętnastominutowe przemówienie. Genialnie podsumowuje tydzień obrad, wskazuje na punkty ciężkości. Oddziela ziarno od plew, istotę rzeczy od piany, złoto od tombaku. Zamurowało mnie. Gorliwy czytelnik Miłosza, miałem oto przed sobą człowieka Miłoszowych marzeń: uważność, skupienie, pokora, diamentowa ostrość języka.

Odtąd myślę o Ratzingerze jako człowieku skromnym, wewnętrznie wycofanym, przede wszystkim – wolnym od siebie. A zarazem wolnym od wszelkich mód i nacisków. Nie schlebia. Nie boi się mówić o Kościele jako tonącym okręcie, zarazem potrafi iść pod prąd współczesności, głosić prawdy niepopularne i wyśmiewane.

– **A przy tym jest czołowym teologiem. Jego teologię nazywa się na ogół chrystocentryczną.**

– To słuszna opinia. Okulary, przez które postrzegałem dzieło Ratzingera jako student, na nos nałożył mi abp Alfons Nossol. Jako wybitny chrystolog tłumaczył na wykładach, że w posoborowym pejzażu Ratzinger uchodzi za twórcę tzw. chrystologii sensu. To znaczy, że Chrystus – Jego Osoba i Dzieło – jest jedynym w dziejach Wydarzeniem, w którym konkretyzuje się uniwersalne poszukiwanie sensu. Jezus jest jedyną, wyczerpującą i niezawodną odpowiedzią na pytanie o sens życia i wszechświata.

– **Przed konklawe kard. Ratzinger powtarzał, że nie chce, aby właśnie jego kardynałowie wybrali następcą Ja-**



na Pawła II. Zapowiadał, że na emeryturze napisze obszerne dzieło o Jezusie Chrystusie. Kim jest Bóg w pryzmacie teologii Ratzingera? Sam pisał kiedyś: „Bóg staje się mały, abymy mogli Go pojąć. Przychodzi jako ktoś, kto porusza nasze serca”.

– To Bóg, który jest Miłością. Nieprzypadkowo pierwsza encyklika Benedykta XVI nosi tytuł: „Deus Caritas est”. Ale logika tej najważniejszej w chrześcijaństwie prawdy jest obecna w jego wcześniejszych dziełach. Tuż przed naszą rozmową czytałem niewielki zbiór nauk rekolekcyjnych, które profesor Ratzinger wygłosił do studentów w Münster na Adwent 1965 roku. Zbliżał się wtedy do czterdziestki, miał za sobą doświadczenie Soboru Watykańskiego II. Ostatnią, trzecią naukę zatytułował: „Ponad wszystko: miłość”. Mówił o miłości jako o zasadniczym, wewnętrznym ruchu Boga. Ruchu, w którym również powinniśmy uczestniczyć. Pisał o chrześcijaństwie jako o przewrocie kopernikańskim. To znaczy, że nie jestem Słońcem, wokół którego kręca się Bóg i bliźni. Jestem tylko Ziemią, która powinna się kręcić wokół innych, w słonecznym blasku Boga. To właśnie jest Miłość, pisał.

– Karol Wojtyła nauczał wiele o człowieku. Joseph Ratzinger – przede wszystkim o Bogu. Za znaczące można uznać nawet tytuły ich pierwszych encyklik. Jan Paweł II ogłosił „Odkupiciela człowieka”, Benedykt XVI – „Bóg jest Miłością”.

– Trafne spostrzeżenie. Teologia jest dyscypliną o dwóch ogniskowych, o dwóch centrach: Bóg i człowiek. Fenomen chrześcijaństwa tkwi w tym, że Bóg i człowiek nie są rywalami. Nie musi jednego ubywać, żeby drugiego mogło przybywać. Przeciwnie: im więcej Boga, tym więcej człowieka. I na odwrót. Chrześcijański dogmat powiada, mówiąc obrazowo językiem matematyki, że Chrystus jest „stuprocentowym” Bogiem i „stuprocentowym” człowiekiem. Nie trzeba wybierać, kroić: osiemdziesiąt procent Boga i dwadzieścia człowieka. Dobra Nowina głosi, że dwieście procent jest możliwe. Bóg jest Stwórcą, człowiek jest stworzeniem, ale obaj są „wprost proporcjonalni” – w Chrystusie, w świecie, w życiu każdej i każdego. Na tych właśnie zasadach nie wyklucza się, lecz uzupełnia antropocentryczna nauka Jana Pawła II z teocentryczną Benedykta XVI.

– Ratzinger należał do czołowych architektów Soboru Watykańskiego II. Potem jednak podkreślał dystans do wielu zmian w doktrynie i praktyce katolicyzmu. Powtarzał, że posoborowy Kościół przypominał plac budowy, gdzie każdy budował co i gdzie chce.

– Na dnie duszy Ratzinger jest nie tyle teologiem, lecz pierwszorzędnie duszpasterzem, przypuszczam. Podkreśla wielokrotnie, że zależy mu na służeniu wierze maluczkich. To także zadanie teologii, powiada. Jedną z jego książek zawiera przejmujący obraz: Ratzinger przygląda się gdzieś w Italii ambo-

nie, którą zdobi średniowieczna płaskorzeźba, alegoria teologii. Opisuje: oto na baranka rzuca się drapieżny lew, lecz lwa szarpie i odciąga od ofiary mały pies. Ratzinger pisze, że nie znalazł opracowania, w którym autor odpowiedziałby na pytanie: które ze zwierząt – baranek, lew czy pies – przedstawia teologię? Ale wie jedno: chciałby, żeby teologia była pieskiem, który przed złem broni maluczkiego, bezbronnego baranka.

– Podobna jest jego wizja Kościoła?

– Warto zacytować orędzie Benedykta XVI na niedawny Światowy Dzień Młodzieży obchodzony w Niedzielę Palmową: „Apostołowie przyjęli słowo zbawienia i przekazali je następnie jako cenny klejnot, przechowywany w bezpiecznej szkatule Kościoła. Bez Kościoła perle tej grozi, że się zagubi bądź pokruszy”. To doskonale streszcza myślenie Ratzingera o Kościele. Kościół nie jest dla samego siebie, chrześcijaństwo nie może koncentrować się na instytucjach. Kościół ma służyć ochronie perły, zbawieniu świata.

Druga porywająca intuicja Ratzingera: prawdą jest nie tylko to, że poza Kościołem nie ma zbawienia, *extra Ecclesiam nulla salus*, czyli że Kościół jest wybranym przez samego Chrystusa sposobem zbawiania świata (dodam: Bóg pragnie zbawienia wszystkich, kogo – i czy kogoś – zbawienie „nie sięga”, nie nam orzekać). Prawdą jest również i to, że poza światem nie ma zbawienia, *extra mundum nulla salus*, przynajmniej w tym sensie, że Bóg działa nie w abstrakcji, ale „historiozbawczo”, tzn. zbawienie dokonuje się w konkretnej historii każdej i każdego. Czyli nie wolno nam uciekać od rzeczywistości, która jest tu i teraz. Nie wolno uciekać od samego siebie. Bóg zbawi Marka Zająca w samym środku jego życia, nie poza Zającem. Jerzego Szymika – tak samo, jak głęboko ufam...

Na koniec, trzeci bardzo „Ratzingerowy” obraz Kościoła, czyli Jezus obmywający nogi Apostołom w Wieczerniku. Ale teolog pisze, że nie wystarczy umywać stopy innym. Trzeba również pozwolić sobie umyć nogi. Trzeba zrezygnować z samowystarczalności. Pisze wprost: być chrześcijaninem to pozwolić sobie umyć nogi.

– Skoro następcą Jana Pawła II jest tak wybitny teolog, może właśnie w dziedzinie teologii należy spodziewać się przełomu w tym pontyfikacie?

– Nie umiem prognozować. Ale powiem o dwóch sprawach, po których spodziewam się naprawdę wiele. Po pierwsze, Benedykta XVI charakteryzuje wyrafinowana intelektualnie, ale zarazem głęboko życiowa mądrość. Za przykład podam np. fragment: „Bądźmy Bogu wdzięczni za wielkich kaznodziejów, ale też powinniśmy się nauczyć pokory słuchając mniej wybitnych”. Kto dziś ma odwagę tak mówić, pisać? Wszyscy klaszczą gwiazdom kaznodziejstwa, co zresztą świetnie rozumiem (sam klaszczę i chcę takich słuchać), ale kto odważy się powiedzieć: Panie i panowie, skromniej nieco. Może posłu-

chanie czasem lichego kaznodziejsko wikarego ma w sobie coś z koniecznej lekcji pokory, w czym jesteś od niego lepszy? Kim jesteś żebyś zasługiwał co niedziela na Skargę albo Wojtyłę? Prowokujące? Owszem, ale i przywracające właściwe proporcje.

Albo inny cytat: „Gdy z życia znika niedziela, a wraz z nią Bóg, człowiekowi brakuje rezerw, dzięki którym mogłoby jeszcze dojść do przełomu, ostatecznego przełomu. Jaka niedziela, taki dzień śmierci”. To dziś brzmi jakby z innego świata. Płynię pod prąd współczesności, a jednocześnie jakby łapało wprost za gardło całe nasze życie, jego istotę, nasze ukryte pragnienia.

– A druga sprawa?

– Teologia estetyki, piękna. To charakterystyczne, że w wolnych chwilach Papież grywa Mozarta. Nawet na wakacjach w Dolinie Aosty siadał do fortepianu. Ratzinger myśli prawdopodobnie podobnie jak Hegel: „Do istoty prawdy należy jej piękno. Ono musi w (z) niej *lśnić*, żeby była sobą (prawdą)”. Żeby człowiek otworzył się rzeczywiście na Boga i bliźniego, musi zranić go piękno, pisze Ratzinger. Bez zachwyty nie ma Miłości. Ratzinger powtarza za średniowiecznymi mistrzami, że rozum ma nos z wosku. Łatwo go zniekształcać, łatwo nim manipulować. Sam rozum bywa ślepy. Żeby człowiek się nie zagubił i nie dał się zwieść na pokuszenie (fałszywemu używaniu rozumności) potrzebuje piękna.

– Podobna była myśl Zbigniewa Herberta: w wyborach moralnych zawodzi czasem rozum i jego logika, jedynym kryterium pozostaje kwestia smaku...

– To piękno rozstrzyga, że prawda jest prawdą, podpowiada Ratzinger. Ludzie odczuwają wielką tęsknotę, która przekracza ich naturę – tak, że pragną więcej, niż przysługuje człowiekowi. Zranił ich sam Oblubieniec. Ich oczy dotknął promień Jego piękna. Po wielkości rany poznamy, kto wypuścił strzałę z cięciwy. W tych zezach widać, jak bardzo daleko jesteśmy od pancernego kardynała...

– Zaczęliśmy od Gombrowicza, zatem i zakończmy Gombrowiczem. Nie ma wątpliwości, że Joseph Ratzinger Mozartem teologii jest...

– ... zaczęliśmy od anegdoty, zatem i zakończmy anegdotą. Jest grudzień ubiegłego roku, trwa rutynowe spotkanie Benedykta XVI z Międzynarodową Komisją Teologiczną. Przy Papieżu stoi nowy prefekt Kongregacji Nauki Wiary, abp William Levada. Podchodzę i mówię, że pozdrawiam Ojca Świętego w imieniu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Górnośląskiego. Papież pyta: „Z Katowic, Gliwic czy Opola?”. Z pamięci wymieniam, ot tak, trzy górnośląskie diecezje. I kątem oka zerka na abp. Levadę, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, ile się jeszcze musisz nauczyć”...

Tekst rozmowy ukazał się w numerze 3: *BENEDYKT XVI-kolekcje* wydawanym w przez EdiPresse-Polska.

# Wielki exodus Polaków



Foto: Zbigniew Sawicz

Przy redakcyjnym stole „Śląska” rozmowę z Wandą Romaniuk, Markiem S. Szczepańskim, Tadeuszem Kijonką, Barbarą Kożusznik, Marianem Mitręgą i Jerzym Gołuchowskim prowadził Bogdan Widera (trzeci z prawej).

Do największych problemów polskiego życia o coraz bardziej niepokojących następstwach i skutkach, należy ogromna, największa w naszych dziejach, wielka emigracja zarobkowa, która stale przybiera na sile. Kwestia ta stała się tematem wielowątkowej, redakcyjnej rozmowy, w znacznym stopniu odnoszącej się do województwa śląskiego i jego sytuacji. W rozmowie, którą prowadził redaktor naczelny „Śląska” TADEUSZ KIJONKA, udział wzięli: prof. JERZY GOŁUCHOWSKI z Akademii Ekonomicznej w Katowicach, prof. BARBARA KOŻUSZNIK z Uniwersytetu Śląskiego, dr hab. MARIAN MITRĘGA z Uniwersytetu Śląskiego, prof. WANDA ROMANIUK ze Śląskiej Akademii Medycznej i prof. MAREK S. SZCZEPAŃSKI z Uniwersytetu Śląskiego.

**TADEUSZ KIJONKA:** Jesteśmy świadkami gwałtownego wzrostu emigracji, która nasiliła się w ostatnich dwóch latach, po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Jest to zjawisko, które w publicystyce zyskało nazwę „emigracyjnego tsunami”. Oblicza się, że stale i legalnie pracuje poza Polską 400 tysięcy osób. Ale – jeśli uwzględnić pracujących w „szarej strefie” – szacuje się, że jest to ponad milion Pola-

ków. W każdym razie stało się coś, co budzi poważny niepokój. Bo wyjeżdżają w coraz większym stopniu młodzi, znakomicie wykształceni, dla których tutaj, w Polsce, jakby nie ma miejsca. I to jest problem gospodarczy i społeczny o bardzo niepokojących skutkach. Europa się otwarła. Już tylko niewiele krajów nie otworzyło swoich rynków pracy, a to, że po ostatnich aktach terrorystycznych istnieje niechęć do

emigrantów z krajów muzułmańskich, spowodowało dużą przychylność dla przyjeżdżających do pracy Polaków. Młodych, wykształconych albo też posiadających atrakcyjne dla krajów europejskich przygotowanie zawodowe. A już to, co się stało w służbie zdrowia może być traktowane jako bardzo poważny sygnał, że zagrożona została opieka medyczna w Polsce. Państwo jest jakby bezsilne. Nawet nie ma świadectw większego niepokoju, oświadczeń rządu, prób odniesienia się do tego zjawiska, które przecież już staje się problemem narodowym. Ta sprawa dotyczy w dużym stopniu także Śląska, który przecież już wcześniej, po wojnie, przeżywał parę fal emigracyjnych. Myślę, że ta rozmowa pozwoli dotrzeć do przyczyn, zgłębić wiele zjawisk, skomentować takie, czy inne prognozy i niepokoje.



**WANDA ROMANIUK:** Służba zdrowia jest bardzo czułym wskaźnikiem przemian w Polsce. To niepokojące, że tak dużo młodzięży zdolnej, wyszkolonej, wyspecjalizowanej medycznie opuszcza nasz kraj. Czy Polska jest tak bogata, żeby sponsorować kraje unijne? Czy nas na to stać? Dlaczego nasz parlament o tym nie myśli?

**JERZY GOŁUCHOWSKI:** Przepraszam, pani profesor mówi o tych studentach, których kształcimy na publicznych uczelniach. Bo ten, który sobie płaci za wykształcenie, jest też dysponentem swojej wiedzy i do niczego go zmusić nie możemy. Ale przecież ci najlepsi kończą właśnie uczelnie publiczne.

**W.R.:** Właśnie. Więc to my sponsorujemy bogate kraje dając im doskonałych specjalistów. Przecież tylko człowiek, który nie potrafi myśleć, może na to pozwolić. Trwające sześć lat studia medyczne są najdroższymi studiami. Ich koszt to jakieś 150-180 tysięcy złotych. Proszę tę liczbę pomnożyć przez ilość osób, które już wyjechały ze Śląska. To pokazuje w jakim stopniu jesteśmy sponsorami. Czas to przerwać. Dlaczego wyjeżdżają? Dlatego, że pensje są żenująco niskie! To jest poniżej godności człowieka, żeby lekarz ze specjalizacją zarabiał 800 złotych miesięcznie, kiedy kierowca w Narodowym Funduszu Zdrowia zarabia 3-4 razy tyle!

**T.K.:** Nawiązując do płac w służbie zdrowia – powiem o czymś, co wczoraj mnie poruszyło. W Gazecie Wyborczej przeczytałem, że jako prezes zarządu banku PKO SA Jan Krzysztof Bielecki w ubiegłym roku otrzymał łącznie z premiami 2 miliony 770 ty-

sięcy złotych. Wymagające wyjątkowych kwalifikacji. Kiedy przestał być premierem zapomniał, że nawet prominentnego liberała, ale związanego od początku z „Solidarnością”, powinien jednak cechować pewien solidaryzm społeczny. Lecz wkrótce, gdy został przedstawicielem Polski w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju porwała go rzeka pieniędzy. Niestety, podobnie jak on, wielu działaczy i polityków z takim samym rodowodem dało się uwieść „wielkiej forsie”. Byłoby to zrozumiałe, gdyby nie działo się w kraju, który jest w tak dramatycznej sytuacji gospodarczej. Rozumiem rozpiętość w zarobkach, ale jednak powinno się nie przyjmować czegoś ponad potrzeby, bo to także doprowadziło do tak szerokiego zjawiska wykluczeń, do dziedzicznej biedy. Teraz strajkują lekarze. Myślę, że bez prezesa bank się obejdzie, natomiast bez wybitnego chirurga, który codziennie odpowiada za ludzkie życie... On jest nie do zastąpienia. Wielki autorytet medyczny powinien być odpowiednio wynagradzany. Podobnie jak pielęgniarki, które stanęły w obronie swojej profesji, ale i całej służby zdrowia.

**MAREK S. SZCZEPAŃSKI:** Wydaje mi się, że na tym etapie rozmowy powinniśmy zdefiniować, co to znaczy, że Polska jest biedna, podać jakieś precyzyjne statystyki, bo one dopiero stanowią rzeczywisty kontekst przyczyn, że młodzi ludzie z Akademii Medycznej (i nie tylko oni – podobnie dzieje się też w Uniwersytecie Śląskim) wyjeżdżają za granicę. Po pierwsze Polska, jeśli chodzi o produkt krajowy brutto – ten twardy wskaźnik – na 25 krajów Unii zajęła 24 miejsce. Ma wyższy produkt tylko od Łotwy. Polska zajmuje natomiast pierwsze miejsce jeśli chodzi o stopę bezrobocia. Po trzecie – w gronie 10 pariasów Europy, czyli najbiedniejszych regionów europejskich, 7 to regiony polskie. Pariasem pariasów jest na 254 miejscu lubelskie. Na 253 jest podkarpackie, na 252 jest podlaskie, na 251 jest warmińsko-mazurskie, na 250 – opolskie. To jest kontekst, który pozwala zrozumieć na czym polega problem Polski. Dlaczego młodzi ludzie stąd wyjeżdżają. Pytanie, co ich wypycha z Rzeczypospolitej, co ich przyciąga w Irlandii, Anglii, Walii, czyli w tych krajach, do których nasi absolwenci (w tym również moi znakomici dyplomanci) i studenci najczęściej wyjeżdżają. Co ich wypycha? Po pierwsze to, co mówiłem o bezrobociu. 7 procent wszystkich bezrobotnych to ludzie z wykształceniem wyższym. Oni nie znajdują pracy, warunków do życia w swoim regionie, w tym kraju, bez względu na to, czy to jest trzecia, czwarta, czy piąta Rzeczpospolita. Dla mnie zabawy pitagorejskie są mniej istotne, dla mnie ważniejsze



Wanda Romaniuk: – Nauka jest w Polsce niedoceniana i pomijana, szczególnie w dotacjach finansowych.

jest to, aby ci młodzi ludzie znajdowali tutaj miejsce do pracy, do życia, do godziwych zarobków. Godziwych, bo to jest niestety dramatyczne, kiedy po raz kolejny słyszę o zarobkach lekarzy i zarobku kierowcy w Narodowym Funduszu Zdrowia. To jest po prostu dalekie od tzw. płacy sprawiedliwej. I to rodzi głębokie frustracje tych ludzi. Głębokie rozczarowanie. Poczucie przegranej po sześciu latach studiów w akademii medycznej, po pięciu latach w uniwersytecie...

**W.R.:** Po siedmiu latach, przepraszam. Bo sześć lat studiów medycznych i rok stażu.

**M.S.Sz.:** ... czy nawet po siedmiu. Wracam jeszcze do tych czynników, które wypychają. To brak perspektywy – mówiąc wprost. Co gorsza, nawet jeśli dobrzy absolwenci uniwersytetu otrzymają pracę i płacę, to praca i płaca jaką otrzymują, nawet prestiżowa w Rzeczypospolitej jest relatywnie wielokrotnie niższa, niż płaca dzwicznicy z mojego seminarium, która jest w Anglii kelnerką albo pomaga przy barze i zarabia wielokrotnie więcej od pracującej tutaj, nawet uwzględniając wyższe koszty utrzymania. A coraz częściej studentów i absolwentów przyciągają szanse zrobienia dobrej, normalnej, w tym również akademickiej kariery. Bo w osobistym oglądzie – moi studenci pracują od zmywaka, poprzez stanie za barem, poprzez pracę w sklepie... Ale też mam panią Aleksandrę, która pracuje w Cardiff University, panią Maję Tynkowską, która pracuje jako social worker w Oxford. I to jest najbardziej pociągające – praca w swoim zawodzie i do tego dobrze płatna. Trudno więc mieć do nich pretensje, przynajmniej do momentu, kiedy tu nie zaoferuje się im godnych warunków do życia. Godnych warunków, a nie upokorzeń i świadomości (mówię tu z pełną odpowiedzialnością, choć uciekam od polityki), że establishment polityczny, w tym również parlament, zajmuje się wieloma rze-



Jerzy Gołuchowski: – Biorąc pod uwagę minione 15 lat – emigracja jest czymś złym. Dostrzegamy, że to nie jest dobre rozwiązanie problemu bezrobocia. Myślę, że pomalutka zaczynamy dostrzegać jakieś drogi wyjścia.

sięcy złotych. Celowo mówię o tym, bo miałem go okazję poznać. Ukończył Uniwersytet Gdański, jako ekonomista pracował tam, gdzie pracował, w każdym razie do czasu, kiedy został premierem, były to stanowiska

czami drugorzędnymi zamiast podjąć fundamentalną kwestię 2 milionów 700 tysięcy bezrobotnych. Nawet jeśli milion nie szuka pracy, to milion 700 tysięcy potrzebuje tej pracy. Wśród nich są także nasi absolwenci.

**BARBARA KOŻUSZNIK:** Zgadzam się w zupełności z panem profesorem. Dodalabym tylko jeszcze jedno: gdy pytamy młodych, dlaczego nie biorą losu w swoje ręce – mam tu na myśli przedsiębiorczość, zakładanie własnych firm itp. – odpowiedzią jest fatalna sytuacja w kraju, która nie pozwala im na przykład bezpiecznie wziąć kredytu. Hamulcem są wszelkie inne okoliczności administracyjne. Poza tym, mówiąc szczerze, nadal wizerunek przedsiębiorcy w Polsce nie jest tak pozytywny, jak być powinien. Młody człowiek myślący o działalności gospodarczej ma w świadomości taki stereotyp, że czeka go walka z wiatrakami. Będzie się musiał – mówiąc brzydko – użerać z biurokracją, z prawnikami, z tymi jakimiś koszmarnymi księgami itd. Myślę, że jest to ogromna przeszkoda, przede wszystkim mentalnościowa. Sądzę, że młodzi powoli są już świadomi tego, że drzemie w nich wielki potencjał, że daleko im sami radę. Ale potrzebne jest po pierwsze, stworzenie im odpowiednich warunków prawno-administracyjnych, po drugie, tworzenie odpowiedniego klimatu wokół takiej działalności samodzielnej – mówienie o tym, że to jest dobra i prawidłowa droga. I tu pytanie: czy my na uczelniach na pewno sprzyjamy postawom proprzedsiębiorczym? Czy uświadamiamy młodym ludziom, że nie tylko to jest takie ważne, żebyście się wszystkiego bar-

jakaś część odpowiedzialności. Zaczęłam pewnie następny wątek, ale ja widzę także w sobie część winy.

**MARIAN MITRĘGA:** Ponieważ wszyscy mówią podobnie, ja może wezmę rolę adwokata diabła i powiem o tych wyjazdach coś dobrego. Może dobrego nic nie powiem, bo nie ma co w tym kontekście, natomiast chciałbym zauważyć, że z tego kraju zawsze się wyjeżdżało i zawsze w takich samych kierunkach. To nie jest jakaś nowa tendencja i młodzi ludzie od swoich rodziców, czy dziadków słyszeli o takim właśnie pomysle na życie.

**W.R.:** Ale nie w takich rozmiarach, jak w tej chwili. Myślę zwłaszcza o lekarzach i innych wysoko wyszkolonych specjalistach. Nauka jest w Polsce niedoceniana i pomijana, szczególnie w dotacjach finansowych.

**M.M.:** Bo wcześniej trzeba było dostać paszport. Natomiast chciałbym, żeby państwo wzięli pod uwagę jedną obiektywną przyczynę. To, co na rynku pracy bardzo wyraźnie widać, to jest właśnie efekt wyżu demograficznego. To jest pewna większa niż by to wynikało z naturalnych układów demograficznych liczba. Ich rodzice, to jest właśnie ten wyż powojenny, 1947-1954, który wkraczając w wiek produkcyjny miał to szczęście w nieszczęściu, że trafił na Gierka. Budowano nowe huty, budowano porty, budowano coś tam, rozwalono gospodarkę w 4 lata później, ale rynek pracy ten wyż wchłonął. Dla dzieci tego wyżu, których jest więcej z natury rzeczy, nikt nie buduje nowej huty, ale zamknięto starą. Jest to nieuchronne prawo rynku. Jak podają statystyki demograficzne właśnie w Unii Europejskiej niemal połowa nowych zasobów pracy to są Polacy. Tego normalna gospodarka nie jest w stanie wchłonąć. Emigracja staje się jakby naturalnym wentylem zmniejszenia bezrobocia. Bo nie wierzę politykom, którzy mówią, że są w stanie natychmiast rozwiązać problem. Nie da się, w gospodarce rynkowej takiej możliwości nie ma. Może państwo się nie spotkali z prawami emigracji Ravensteina sprzed stu lat. On twierdził, że to jest oczywiste, że emigrują przede wszystkim ludzie młodzi. Oni mają najmniej do stracenia, mają przed sobą perspektywę, a nie człowiek starszy, mający żonę, dziecko, jakąś działalność. Więcej, Ravenstein mówił, że emigracja to życie, a stabilizacja – śmierć, ale to dotyczyło wewnętrznych emigracji w Stanach Zjednoczonych. Niemniej sama emigracja nie jest sama w sobie chyba do końca czymś złym. Tutaj będę snuł pewne spekulacje, nie mam na to dowodów, ale z tych minisondaży, które robimy wśród studentów wynika, że oni chcą wyjechać, no niestety – w większości chcą wyjechać, ale chcą wrócić. Oni



Barbara Kożusznik: – Tam zostaną najlepsi, ci robiący karierę, a wracać do nas będą frustraci.

nie chcą zostać na stałe. W grę wchodzi tu jeszcze element spotkania się z nowym światem, myślę, że lepiej zorganizowanym, poukładanym, być może i zarządzanym, który, kiedy ta emigracja gierkowska wróciła, okazał się też źródłem napływu nowych myśli do tego kraju. I tu też jakaś „renta” nowości może zaistnieć. Może jestem zbytnim optymistą, ale to wynika z odpowiedzi studentów. Przecież oni już powolutku wchodzi w ten nowy system zabezpieczenia społecznego. Oni wiedzą, że trzeba w piętnaście lat dobrze zarobić, a potem można sobie życie na różne sposoby układać. Tutaj tych piętnastu lat nie widzą. Reasumując – wydaje mi się, że emigracja młodych ludzi jest zjawiskiem obiektywnym, związanym z sytuacją demograficzną.

**T.K.:** Ale chodzi o skalę. Jeżeli w Irlandii przebywa 120 tysięcy Polaków, w większości młodych, w tym znaczna grupa po studiach wyższych, i z tej liczby 35% kupiło mieszkania, to oznacza, że poczuli się tam ustabilizowani. Zakorzeniają się. Być może będą odwiedzać rodziny. Natomiast jest faktem, że oni nakręcili koniunkturę na Zielonej Wyspie. Grupa, która wyjeżdża, przez swoje kontakty coś swojej ojczyźnie umożliwi. Jeśli wyjeżdżają zdolni, wykształceni ludzie, zmienia się wizerunek naszego kraju, bo oni prezentują inny typ Polaka. Ale tu chodzi o te potężne liczby, które zmieniają usytuowanie tej sprawy. Bo w tej chwili wyrывa nam się także zawody deficytowe. Niedługo nie będziemy już mieli anestezjologów. Na rynku jest coraz większe zapotrzebowanie na rzemieślników, pracowników innych branż, w pewnych dziedzinach zaczyna brakować rąk do pracy. Ale państwo jest całkowicie obojętne, to nikogo nie obchodzi. Np. to, co dotyczy służby zdrowia jest po prostu niepojęte, wchodzi w stan zbiorowego zagrożenia.

**M.Sz.:** Trzeba spojrzeć na to obiektywnie, tak jak zaproponował



Marek S. Szczepański: – Nie ma poważnej, politycznej debaty nad rynkiem pracy, skalą zarobkowania, problemem pensji nie tylko w służbie zdrowia, wartościowania pracy.

dzo dokładnie nauczyli. Trzeba teraz także postawić na charakter, na kształtowanie pewnych cech osobowości, elastyczność, mniej natomiast na opanowanie jakichś treści od A do Z. Myślę, że tu po naszej stronie jest



pan profesor Mitrega. 40% poszukujących pracy na rynkach europejskich to są Polacy. Nie jesteśmy w stanie wszystkich ich zatrzymać. Problem pojawia się wtedy, kiedy – tak jak Ravenstein mówi – wyjeżdżają bardzo młodzi. To są właśnie ci wykształceni, z projektem na życie, zdeterminowani, którzy nie mają nic do stracenia, którzy są nauczani potrzeby osiągnięcia. Znają zasadę, że sukces przyniesie im tylko wtedy, kiedy będzie w ich głowach. Nadmierny wpływ takiej krwi, dobrej krwi – to jest realne niebezpieczeństwo. Podobnie realnym niebezpieczeństwem jest emigracja rzemieślników, wykonujących relikwiotwe zawody. W Polsce działa reguła wahadła. W pewnym momencie mieliśmy w tym regionie przynależną część młodzieży pobierającą nauki w technikach lub szkołach zawodowych. Przypomnę, że w 89 roku tylko 18 na 100 absolwentów szkół podstawowych szło do liceum, reszta do techników i zasadniczych szkół zawodowych. To było oczywiście złe. Nie oznaczało jednak, że należy zlikwidować wszystkie szkoły przygotowujące do zawodu. Co najmniej 10% naszej młodzieży nie podoła myśleniu symbolicznemu, nieodczownemu przy maturze. Dla niej należało zachować te szkoły zawodowe. Pozamykano szkoły, zohydowano pewne zawody, więc pojawił się problem dobrze przygotowanych np. spawaczy. Naszych podkupują kraje Unii Europejskiej i – muszę państwa zmartwić – będą coraz bardziej podkupowały, bo kolejne kraje otwierają swoje granice. Złośliwie powiem (choć z nutą pretensji), że może nienajgorzej się stało, że Niemcy i Austria zafundowały nam okres przejściowy siedmioletni, bo jeśli jeszcze te kraje otworzą swoje rynki pracy, to pochłoną kolejne setki tysięcy Polaków, bo to są najbliżsi sąsiedzi.

**J.G.:** Zwłaszcza Ślązaków.

**M.S.Sz.:** Tak. I to jest poważny problem wyludniania się, czy ujemnego salda demograficznego w tym regionie.

**T.K.:** Dawna emigracja zarobkowa to byli ludzie, którzy wyjeżdżali z biedy, „za chlebem”. Jeśli teraz w polskich wyższych uczelniach studiuje milion 800 tysięcy...

**M.S.Sz.:** Prawie dwa miliony.

**T.K.:** Jeśli połowa z tego chce wyjechać, no to jest to coś, co decyduje już o jakości społeczeństwa.

**B.K.:** Właśnie dziś miałam obronę pracy magisterskiej z psychologii dziewczyny, która przebywa w Irlandii. Nie pracuje w zawodzie, najpierw była sprzątaczką, teraz jest kelnerką. Myślę, że to jest też ogromnie niebezpieczne, że tam zostanie najlepszy, ci robiący karierę, a wrócić do nas będą frustraci. Ona mówi, że wróci, bo tam nie da sobie rady językowo, pewnie kariery nie zrobi, jest niecierpliwa.

Będzie miała trochę pieniędzy. Nie będzie miała pomysłu jak to tutaj, w Polsce zagospodarować. I to jest właśnie dla mnie niebezpieczne. Inna z moich magistrantek porównała polskich pracowników wykonujących tzw. proste zawody w Irlandii i w Polsce. I okazało się, że pracujący tutaj, mimo niższych zarobków, są bardziej zadowoleni, bo zaspokajają potrzeby znaczenia, rozwoju itd. Natomiast pracujący w Irlandii mają poczucie głębokiego bezsensu, mimo zaspokojenia potrzeb finansowych. Stąd obawa, że psychika tych powracających do kraju może być już mocno zwichnięta.

**M.S.Sz.:** Jedno zdanie do tego. Myślę, że w zdecydowanej większości ci wykształceni Polacy, którzy wyjeżdżają „za chlebem”, ale mają zawód, pracują tam poniżej kwalifikacji i możliwości. I to jest główny powód frustracji. My, jako nauczyciele, możemy nauczyć tych młodych ludzi, lub przynajmniej się o to starać, co jest niezbędne do funkcjonowania tu, czy gdzie indziej. Staram się pokazywać moim wychowankom prawdę, że będą wykonywali taką pracę w przypadku socjologów, jaką sami sobie wymyślą, jaką sami sobie wytworzą, bo nikt za nich tego nie zrobi. Wielu z nich, tych najbardziej rzutkich, przedsiębiorczych, obdarzonych elastycznym umysłem, lepiej sobie radzi niż ci, którzy tych cech psychospołecznych nie posiadają. To, co my możemy zrobić, to ich świetnie przygotować, wykształcić i nauczyć dobrego radzenia sobie zawodowego w różnych warunkach. Nie tylko w Rzeczypospolitej, ale także poza jej granicami.

**W.R.:** Na pewno to jest bardzo ważne, ale co by pan profesor odpowiedział tym młodym lekarzom, którzy na pytanie, czy mają zamiar wrócić, odpowiadają „a po co?”

**M.S.Sz.:** Odczuwam zaskoplenie, pani profesor, dlatego że to, co się dzieje w moim kraju, toczy się w zupełnie innym kierunku niż mógłbym oczekiwać. Nie ma poważnej, politycznej debaty nad rynkiem pracy, skalą zarabkowania, problemem pensji nie tylko w służbie zdrowia, wartościowania pracy. Zamiast tego otrzymujemy projekty kolejnych ustaw, które na rynku pracy niczego nie zmieniają. Na sytuację w służbie zdrowia patrzę z zewnątrz i przyznam, że nie tylko te płace mnie porażają, ale też to, że ta debata trwa tak długo. Jestem człowiekiem niecierpliwym i kartezyjskim i chciałbym, aby herosi służby medycznej (ministrem jest przecież profesor medycyny) umieli znaleźć język porozumienia i szybko sprawy załatwić, bo nie ukrywam, że kiedy dowiaduję się o strajku lekarzy, których cenię i szanuję, o strajku w szpitalu pediatrycznym, to zastanawiam się, czy to jest dobra formuła.

Czy to jest należyta formuła. Mimo całego dramatyzmu sytuacji, o której pani profesor mówi, czy to jest właściwe wyjście?

**W.R.:** Strajk nigdy nie jest dobrym wyjściem w służbie zdrowia. Ale co zrobić, żeby sytuację zmienić? Nikt lekarzy nie zauważa. Górnicy pojadą do Warszawy z kamieniami, kilofami i uzyskają 60 miliardów. A lekarzowi nie przystoi iść z kilofem. To jest dramat służby zdrowia, że trzeba sięgać po takie sposoby jak strajk.

**J.G.:** Nie da się zrobić cudu w budżecie. Skoro budżet na ten rok został przyjęty, skoro połowę środków już wydano, nie da się znaleźć w tej chwili jakichś dodatkowych pieniędzy dla służby zdrowia. Bo znaleźć – to znaczy komuś innemu zabrać. Łatwiej było górnikom obiecać, bo proszę zwrócić uwagę, że oni nie chcieli tych pieniędzy już dziś. To dotyczy przeszłości, więc łatwo im było to obiecać, zwłaszcza w okresie przedwyborczym. Natomiast lekarze domagają się podwyżek już dziś, więc trzeba poszukać środków w budżecie. Myślę, że trzeba do tego podejść rozsądnie. Skoro minister obiecał, że zarobki wzrosną od października, no to można jeszcze powalczyć, żeby to było od września i na tym koniec. Nie można się domagać poprawy już od dziś. Mimo że w pełni popieram lekarzy, to jako ekonomista nie mogę nie przyznać racji drugiej stronie, że cudów w tym momencie nie da się zrobić. Również w kontekście emigracji musimy ponownie przyjrzeć się naszej polityce gospodarczej. Czy w ogóle mieliśmy jakąś politykę gospodarczą? Musimy spojrzeć na to, co oferowaliśmy młodzieży w ciągu tych piętnastu lat. Proszę zwrócić uwagę na to, że do głosowania za przystąpieniem do Unii Europejskiej zachęcano młodzież argumentem „będziecie mogli wyjeżdżać”. Jak się okazało, że wyjechało nas za dużo, pojawił się problem. Może nie należy działać na zasadzie wahadła. Bezrobocie – no to jedźcie sobie, załatwicie nam sprawę, będziemy mieć święty spokój. Lecz jak wyjechali, nagle panika. Kto u nas będzie pracował? Ponownie musimy przeanalizować naszą politykę gospodarczą. Jeżeli chodzi o Śląsk – mówimy, że wchodzimy w okres gospodarki opartej na wiedzy. To, co widzimy na Śląsku, to budowa infrastruktury. Nie mam nic przeciwko temu, jest to konieczność. Bez niej (dobrej infrastruktury) gospodarka nie będzie się rozwijała. Ale w tej chwili trzeba pomyśleć o tym, jak zmienić wizerunek Śląska, żeby nie był odbierany w dalszym ciągu jako centrum węgla i stali, bo to jest niedobre. Musimy pokazywać, że tu kształcą się młodzież, że tu można pracować i wygodnie żyć. Tego tutaj nie ma, wystarczy spojrzeć na zaniedbane, brudne budynki, żeby się nie dziwić temu, że młodzież stąd wyjeżdża. To nie tylko sprawa pieniędzy.

**T.K.:** Chciałbym teraz zapytać, bo pewnie pan profesor Mitrega dysponuje tutaj liczbami, o zjawisko odpływu ze Śląska ludzi przebojowych, zdolnych, które trwa właściwie nieprzerwanie od 1945 roku.

**M.M.:** Najwięcej wyjechało po podpisaniu umowy w Helsinkach, to było około 150 tysięcy.

**T.K.:** Nie da się oszacować, jak te straty społeczne obniżyły potencjał śląskich możliwości. Teraz trwa regres demograficzny. W Katowicach mieszka ileś tysięcy mniej ludzi. Widoczne jest, że Śląsk traci swój kapitał społeczny. Wyjeżdżają stąd przede wszystkim ci, którzy czują się samodzielnymi, sprawni na tyle, iż nie boją się zaryzykować przeniesienia do innego kraju. Za tym idą także straty kulturowe.

**J.G.:** Stajemy się powoli pustynią między Krakowem a Wrocławiem. Bo Wrocław inwestuje, Wrocław przyciąga hasłami: „Wracajcie”, „Wrocław cię wykształci” itd. Podobnie rozwija się Kraków.

**M.M.:** Chyba znowu będę musiał robić za adwokata diabła. Jak się państwu jechało tu przez centrum Katowic? Chyba źle. Ale to za dwa-trzy lata będzie jedyne miasto w południowej Polsce, przez które będzie można przejechać na poziomie europejskim. Żaden Wrocław, żaden Kraków tego nie będzie miał. Myślę, że jest to pewien element strategii rozwoju województwa śląskiego. Z tego dostępnego w internecie dokumentu można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. M.in. to tu ma powstać „polskie De-

rolniczy, jest element turystyczny, w tych wszystkich miejscach są inne niż przemysł ciężki możliwości. W tej chwili 52% obszaru województwa to tereny zielone. Szansą jest rozwój Jury Krakowsko-Częstochowskiej, te wszystkie sporty wspinaczkowe, rowerowe. Młodych ludzi to przyciąga. Nie wiem, dlaczego się o tym nie mówi – mamy w województwie śląskim dwa największe w Polsce miejsca kultu maryjnego. Cały świat zarabia na wycieczkach pątniczych, dlaczego u nas tak nie jest? Mówimy o młodzieży, ale istnieje przecież problem starzenia się. Dlaczego nie mają tu działać małe i średnie firmy zajmujące się pomocą socjalną dla osób starszych? Tak że ja się nie obawiam, że powstanie tu pustynia, ponieważ różnych szans jest tutaj co najmniej tyle, co zagrożeń.

**M.S.Sz.:** Co zrobić, żeby region uczynić atrakcyjnym? Jak spożytkować jego największe atuty? W województwie śląskim mieszka blisko 5 milionów ludzi. Więcej niż w wielu krajach nowej Unii Europejskiej. Unia, o czym wielokrotnie mówiłem, nie jest towarzystwem dobroczynnym i patrzy na taki region jak nasz w kategoriach 5 milionów konsumentów. To jest wielki atut. Ponadto to są nieźle wykształceni konsumenci. Są co raz lepiej skomunikowani – transportowo, światłowodowo. Mamy rentę jeszcze jedną, bardzo istotną, nie spożytkowaną niestety, mianowicie rentę położenia. Jest to dar Boga. Bo województwo leży na trakcie z północy na południe i ze wschodu na zachód, z szerokim torem sławkowskim – szansą na tranzyt do Chin, do Korei Południowej, Japonia jest tym również bardzo zainteresowana. Sprawdziłem też taką banalną rzecz – gęstość dróg. One są fatalnej jakości, ale u nas mamy ich gęstość porównywalną z europejską. Atutów jest więcej, ale są też zagrożenia. W wielu miejscach regionu upadły kopalnie-dobrodziejki, huty-dobrodziejki, firmy-dobrodziejki. Nie zastąpiła ich żadna inna i pojawiła się próżnia społeczna. A to zawsze sprzyja postawom emigracyjnym. Co trzeba zrobić w regionie? Dla Śląska najważniejsze są 4 „T”. Talent. Z socjologii wiemy, że region rozwija się tym lepiej, im większy jest w nim odsetek ludzi z wyższym wykształceniem. Najlepiej rozwijają się te miasta, gdzie odsetek ten wynosi ponad 35%. Te regiony, które mają talenty i potrafią je zatrzymać, mają się lepiej. Drugie „T” oznacza technologię. Region musi być atrakcyjny inwestycyjnie, technologicznie i pod każdym innym względem. Wszystkie raporty, włącznie z ostatnim Unii Europejskiej o poziomie rozwoju technologicznego są dla Polski złe. Nasz kraj zajął 21. miejsce ex aequo ze Słowacją i – na szczęście – z Hiszpanią. Za nami jest,



Foto: Z. Sawicz

*Tadeusz Kijonka: – Wyjeżdżają stąd przede wszystkim ci, którzy czują się samodzielnymi, sprawni na tyle, iż nie boją się zaryzykować przeniesienia do innego kraju. Za tym idą także straty kulturowe.*

jak zawsze, Łotwa. Trzecie „T” to tolerancja. Badania pokazują, że najlepiej rozwijają się te regiony, które opierają się na tolerancji, otwartości na inność, nie zamykaniu się w swojej skości. Otwarcie na inność etniczną, na inne myślenie, na inność wyznaniową, a niektórzy nasi znakomici koledzy mówią także – na inność seksualną, jak profesor Richard Florida, jeden z lepszych badaczy regionów. I czwarte „T” – tradycja. Ten region, jak rzadko który, ma tę czwartą literę „T” potencjalnie bardzo bogatą. Jesteśmy w miejscu, od którego kilkaset metrów mamy piękne ślady naszych braci Żydów, którzy tu mieszkali. Mamy tu całą historię niemiecką i całą historię polską. Piękne tradycje czeskie, morawskie. To jest bardzo ważny walor. Dopiero te 4 „T” dobrze zbudowane, dobrze przygotowane, podniosą atrakcyjność tego regionu, która ograniczy, ale z całą pewnością nie wyeliminuje emigracji. Bez poprawienia atrakcyjności regionu nie ma o czym mówić. Nawet nie należy się dziwić młodemu medykowi, który ma 500-600 złotych stażowego, że wyjeżdża do Szwecji, gdzie go przyjmą z otwartymi ramionami i zapłacą 5-6 razy więcej.

**B.K.:** Nawiążę do tego pierwszego „T” – talentu. Bardzo bym się upierała przy tym, żebyśmy jako ci, którzy uczą młodych ludzi, dali im do ręki instrument, jak sobie poradzić z tym zasobem wiedzy. Poza tym młodzi powinni dostać wiedzę o sobie samym, o tym, czy się sprawdzają jako samodzielnymi, przedsiębiorczy itd. Wchodzimy w społeczeństwo wiedzy, zarządzania wiedzą. Powinniśmy obok tej twardej edukacji stwarzać młodym jeszcze inne możliwości – choćby przez tworzenie warunków do szerszego kontaktu z praktyką.

**J.G.:** Skoro już mówimy nie tylko o tym, jak jest źle, ale w jakim kierunku pójść, to wydaje mi się, że podsta-



Foto: Z. Sawicz

*Marian Mitrega: – Wydaje mi się, że emigracja młodych ludzi jest zjawiskiem obiektywnym, związanym z sytuacją demograficzną.*

troit” – centrum przemysłu samochodowego, tu ma być centrum produkcji wszystkich urządzeń związanych z ochroną środowiska. Planuje się więc przyszłościowe rzeczy w oparciu o bazę wykształconych tutaj techników i inżynierów. Ta dyskusja polityczna nad kształtem województwa śląskiego – a jest śląskie z nazwy, bo np. Częstochowa – ale przez to właśnie, że jest tu element

wowym zadaniem nie tylko szkolnictwa zresztą jest budzić nadzieję. Najpierw nadzieję, że tutaj można studiować i można żyć. Ja wierzę w to, że sytuacja będzie się poprawiać, bo my zaczynamy dostrzegać, że nie tylko produkcja, ale usługi też się liczą. Mówi się o nowym Detroit, ale ja twierdzę, że samochody to nie jest ten biznes przyszłościowy.

**M.S.Sz.:** Panie profesorze, to jest przemysł masowy, który nie tworzy innowacji, ale je konsumuje. Inwestycja pożądana to jest inwestycja w trzeci albo czwarty sektor gospodarki, sektor usług naukochołny, wiedzochłony, bo przecież najdroższym towarem jest wiedza, informacja, a najważniejszą umiejętnością – umiejętność wykorzystania w życiu zawodowym, praktycznym.

**J.G.:** Kiedy zajmowałem się restrukturyzacją, zmianami transformacyjnymi, przeczytałem o takim przypadku w Stanach Zjednoczonych. W jednym z miast chciano zlikwidować podstawowy zakład pracy. Ale mieszkańcy nie dopuścili do tego. Przesztaltali ów zakład w spółkę pracowniczą i to sprawiło, że to miasto w ogóle przetrwało. I tego myślenia nam przez całe lata brakowało.

**T.K.:** Jeżeli chodzi o te wyjazdy na fali emigracyjnego tsunami, w dużym stopniu wynikają one ze stanu państwa. A jest on taki, że wyjeżdżający mają alibi, tym bardziej, że nikt ich nie zatrzymuje. Nie ma czegoś takiego, żeby ktoś tworzył zachęty do pozostania, jakieś – jak to pan profesor powiedział – pola nadziei. Były wielkie fale emigracji politycznej w wieku XIX i po powstaniach, potem „za chlebem”, po ostatniej wojnie zostało na Zachodzie kilkaset tysięcy Polaków, w tym sporo inteligencji. Później, w okresie „Solidarności” i w latach następnych wyjechało z Polski bodaj milion 200 tysięcy. Pojawia się pytanie, jaki ten kraj mógłby być, gdyby nie takie straty, nieustanny odpływ. Jest nas, Polaków, w tej chwili poza granicami około 20 milionów. W Polsce natomiast mniej, niż się zapowiadało, gdy dochodziliśmy do 40 milionów. Ta optyka musi budzić uczucie pewnej trwogi. Jak tę lawinę zatrzymać? Co będzie dalej? Poprosilibyśmy państwa teraz o coś w rodzaju wniosku końcowego.

**M.M.:** Niewątpliwie (przewijało się to w naszych wypowiedziach) jest to dewastacja kapitału ludzkiego. Każda transformacja, w założeniach przecież bardzo pozytywna, odbywała się tym właśnie kosztem. Dlaczego tak się dzieje? No, jakoś sam pan redaktor na to odpowiedział. To rzeczywiście jest pewna negatywna selekcja, bo skoro wyjeżdżają najlepsi, to zostają ci inni. Czasami są na tyle rozsądni, że się nie biorą do polityki. Warunki nadal są takie (nie powiem, że niedemokratyczne), ale nie pozwa-

lają swoich programów realizować. Nie mamy takiego polityka, który by powiedział: no to co, że są takie warunki, jeśli są – to je zmieśmy. Brak rzeczywiście skutecznego propagowania rzeczy pozytywnych. Kontrakt dla Śląska – bardzo dobra rzecz przecież. Prawdziwa umowa społeczna. Ale to się wszystko rozmywa, bo politycy ciągle mają coś innego do zrobienia. Mają swoje priorytety, rozprawę z przeszłością.

**W.R.:** Ja myślę, że my możemy trochę, ale niewiele. Główne decyzje należą do polityków. Jeżeli nie będzie się od nich wymagać, jeżeli nie będzie się ich rozliczać, to nie wiem, czy mamy szansę. Myślę, że to jest mała dróżka do naprawy, ale jest.

**M.S.Sz.:** Jest to możliwe, pod paroma warunkami. Polska demokracja jest jeszcze bardzo krucha, w fazie wstępnej... Mój przyjaciel brytyjski, znakomity socjolog, pytany: „Słuchaj John, kiedy wedle twojej wiedzy możemy się spodziewać w Polsce społeczeństwa obywatelskiego, dobra wspólnego, partycypacji społecznej?”, odpowiadał taką piękną metaforą, którą przytoczę. Mówił: „Demokracja, także w Polsce, jest jak angielski trawnik. Trzeba strzyc przez 200 lat, żeby ołśnił urodą”. Oczywiście pod kolejnym warunkiem: ludzie muszą zrozumieć, że pozostanie w domu w dniu wyborów jest najgorszą z możliwych dróg. Większość Polaków nie poszła głosować. I to również wtedy, kiedy wybierano w wyborach bezpośrednich, bezsztyldowych, kiedy wybierało się swoich wójtów, burmistrzów. Mechanizmy rozliczania polityków są możliwe, ale trzeba zacząć od poczucia elementarnej odpowiedzialności za heimat, ojczyznę prywatną, region, kraj. Tego poczucia nie ma. W badaniach 95% Polaków mówi, że nie ufa politykom. Ale 90% nie ufa też swoim ziomkom. Dobra wspólnego nie buduje się w takich warunkach. Jeżeli zapytać Norwega, czy ufa rodakowi z sąsiedniej wsi – 70% odpowiada „tak”. Jak w tej sytuacji, kiedy sami wokół siebie budujemy bardzo wąski krąg – rodzinny, przyjacielski, poza którym jest socjologiczna pustka, możemy budować wspólne dobro? Sami – co pani profesor powiedziała – możemy niewiele. Możemy przygotować naszych studentów do realnej Unii Europejskiej. Nauczyć ich umiejętności przekraczania pewnych własnych ograniczeń, rywalizacji, oprócz zawodowych, twardych kompetencji. W regionie zaś trzeba zadbać o podniesienie jego atrakcyjności, tak żeby przyciągał, przynajmniej niektórych. Ale do tego też trzeba silnych, regionalnych elit władzy. Nie kombatanów. Wizjonerów. Większość liderów (robiliśmy takie badania) jest konserwatorskich. Nic nie robić, nic nie zmieniać, przetrwać do następnych wyborów. Tylko nieliczni są wizjonerami,

k którzy nie odmierzają czasu wyborczą klepsydram. Przyszłość należy do trzeciego i czwartego sektora gospodarki. Do usług realnych i „matrixowych”. Usługi przez internet – przecież to są miliardowe rynki. Obrót nieruchomościami, turystyka kwalifikowana, asekuracja, reasekuracja, usługi paramedyczne. Pani profesor myśmy wykonali pierwsze w Polsce badania nad chirurgią plastyczną i jesteśmy poruszeni ich wynikami, które ukazują ogromne zainteresowanie tą dziedziną.

**W.R.:** To świadczy o tym, jak wielu ludzi ma niskie poczucie własnej wartości. Ktoś myśli, że usunie sobie zmarszczki i zmieni się świat. Tymczasem po kilku miesiącach trzeba zabieg powtarzać. To do niczego nie prowadzi. Człowiek powinien czuć się dobrze bez usunięcia zmarszczek.

**J.G.:** Możemy chyba spojrzeć na to optymistycznie. Po pierwsze uświadomiamy sobie, że – biorąc pod uwagę minione 15 lat – emigracja jest czymś złym. Dostrzegamy, że to nie jest dobre rozwiązanie problemu bezrobocia. Myślę, że pomału zaczynamy dostrzegać jakieś drogi wyjścia. Do 4 „T” pana profesora Szczepańskiego dolożyłbym anglojęzyczne 4 „P”, o których mówi ekonomia, marketing. Po pierwsze – musimy sobie uświadomić, jaki mamy produkt. Co możemy na Śląsku zaoferować tym, którzy tu przyjeżdżają i tym, którzy tu żyją, których chcemy tu zatrzymać. Po drugie – promocja. Musimy przekazywać zainteresowanym informacje. Po trzecie – cena, a w niej płaca, bo trzeba tym ludziom dać zarobić. No i po czwarte dystrybucja, czyli to wszystko, co jest związane z infrastrukturą, która pozwala tu żyć i mieszkać. Dodałbym jeszcze piąte „P” – lokalny patriotyzm. Emigracja nie buduje człowieka. Spośród tych, których znam, tylko niewielu się tam naprawdę udało. Ja jestem ekonomistą-informatykiem. Informatycy nie chcą wyjeżdżać, bo pojawiły się pewne możliwości pracy, czy to przez internet, czy w firmach zagranicznych. Znam młodego człowieka, który w Jurze stworzył jakąś tam drobną sieć agroturystyczną. Myślę, że właśnie przez takie przykłady możemy tutaj budować nadzieję, że może być lepiej.

**T.K.:** Kończąc i dziękując za tę rozmowę, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedną rzecz. Żeby uzasadnić swój trwały pobyt na emigracji, trzeba w sobie wytworzyć stały, negatywny stosunek do własnego kraju. Ktoś nie wraca, bo to i tamto wie, doświadczył, czuje. To musi być argumentacja negatywna, a taka niestety, niszczy kogoś, kto się posługuje takim narzędziem, żeby uzasadnić rozstanie z krajem na zawsze.

Rozmowę przygotował do druku  
BOGDAN WIDERA





# Go West

JAROSŁAW  
JUSZKIEWICZ

Ponad połowa polskich studentów chce w tym roku wyjechać do pracy za granicę – tak wynika z najnowszego badania międzynarodowej organizacji studenckiej AIESEC. Rzeczywistość bywa jeszcze bardziej bezwzględna niż statystyki – w niektórych uczelniach w czasie wakacji – pracy na Wyspach Brytyjskich lub w Irlandii szuka nawet 70-80 proc. studentów. Wyjazd za granicę stał się uniwersalnym sposobem na spędzenie wolnych od nauki miesięcy – można zarobić, nauczyć się języka, zabrać się, kupić kilka fajnych ciuchów. I jesienią wrócić. Albo nie.

**B**eata, Kasia i Agata studiuje kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim. Już za kilka tygodni wsiądą w samolot któregoś z tanich linii lotniczych i po-

lecą do Londynu albo Dublina. Kupią bilety na podróż tylko w jedną stronę – to podnosi poziom adrenaliny i zmusza do działania na miejscu – twierdzi Beata – trochę nieśmiała, wysoka dziewczyna w okularach, która do pracy za granicą wybiera się po raz pierwszy.

– Ale tak naprawdę umieram ze strachu – przyznaje – staram się zabrać ze sobą taką kwotę, która w sytuacji awaryjnej pozwoli mi na przeżycie dwóch tygodni i powrót do kraju. A te pieniądze przez cały czas będę nosiła pewnie w skarpetkach.

Kasia ma już za sobą podróż z biletem w jedną stronę.

– Nie było tak źle. Już pierwszego dnia znalazłam pracę i mieszkanie. W pubie, gdzie byli zatrudnieni sami Polacy – mówi.

Agata (piegi na nosie i dredy) również w tym roku wyjeżdża do

pracy. Kupiła bilet w obie strony. Wie, że na pewno wróci.

**Jarosław Juskiewicz** – Przemasz za oczywistość tego pytania, ale powiedzcie mi, dlaczego młodzi ludzie wyjeżdżają do pracy za granicę, a nie szukają zatrudnienia tutaj?

**Beata:** Tam podobno łatwiej znaleźć pracę. Tak mówią koleżanki.

**Kasia:** Chodzi o pieniądze. Tutaj pracowałam przez miesiąc za 500-600 zł, a tam płacą dużo, dużo więcej. W Londynie pracowałam w pubach i roznosiłam ulotki. I było bardzo fajnie, naprawdę. A tutaj harowałam w supermarkecie. I to była straszna praca, praktycznie za darmo, bo właściwie więcej płaciłam pocztą za otrzymane przelewy niż zarabiałam.

**Agata:** Trzeba mieć szczęście, tak jak Kasia. Bo ja znam ludzi, którzy wyjechali, szukali, szuka-

li, nic nie znaleźli i po dwóch tygodniach wrócili do kraju. Ale to fakt – tam się zarabia wielokrotnie więcej niż u nas. Oczywiście najpierw szukałam pracy w Polsce. Poszłam nawet do hufca pracy.

**J.J.:** I co?

**Agata:** I nic. Byłam w trzech miejscach. Nie mieli pracy. Zgłosiłam się też jako hostessa do stania na promocjach – nie chcieli mnie.

**J.J.:** Może to z powodu dredów?

**Agata:** No, może... Ale nie zennę dredów tylko po to, żeby stać na promocjach. Myślę, że za granicą będzie mi łatwiej.

**J.J.:** Jak się tam szuka pracy? Próbujecie znaleźć coś wcześniej przez internet?

**Beata:** Ja obrałam taktykę Kasi, czyli „na piękne oczy”, i po prostu będę chodziła od pubu do pubu pytając, czy nie potrzebują ludzi. Dlaczego? Bo znam wiele osób, które znalazły coś w internecie, ucieszyły się, pojechały niby na gotowe, a na miejscu okazało się to już dawno nieaktualne. Wcześniej tę robotę dostał ktoś inny.

**Kasia:** Jeżeli będę kiedyś szukać pracy za granicą na poważnie, po studiach, to może zacznę od grzebania w internecie. Ale teraz to chodzi przecież o dorywcze zajęcie na kilka tygodni. Jestem pewna, że w tym roku też będę miała szczęście – i od razu znajdę coś fajnego. Najciekawsze jest to, że ja prawie nie mówię po angielsku. I mam tylko 200 funtów w kieszeni. Ale jakoś się nie boję.

**J.J.:** A czy bierzecie pod uwagę taką możliwość, że tam zostaniecie? Że nie wróciacie?

**Agata:** Absolutnie.

**Beata:** Oczywiście, że chcę wrócić. Nawet jeśli tam zarobię tylko kilkaset funtów, to będę miała pieniądze na lepsze życie tutaj.

**Kasia:** Kiedy byłam tam w zeszłym roku przez trzy miesiące, to gdy minęły pierwsze tygodnie i były pieniądze, i była praca, i cudowni ludzie, i fajny świat na innym poziomie, to chciałam zostać. Nawet powiedziałam to ma-

mie. Ona oczywiście była bardzo przeciwna temu pomysłowi. A kiedy już się zgodziła, to ja z kolei doszłam do wniosku, że jednak wracam do domu i nie chcę tam dłużej być. Teraz wiem na pewno, że nie chciałabym mieszkać za granicą.

**J.J.:** A co się stało?

**Kasia:** Tęskniłam za wszystkim. Ale co ciekawe – najbardziej za rzeczami całkiem irracjonalnymi: za drzewem, za panią dozorczynią pod blokiem... Przez ostatnie dni, które tam spędziłam, modliłam się, żeby to się wreszcie skończyło i żebym mogła wrócić do Polski.

**Agata:** Znam osoby które zostały, ale to są ludzie po studiach. Z tym, że oni zdecydowali się na świadomą emigrację. Wcześniej dobrze przygotowali sobie grunt. Chociaż większość z nich nie mieszka w Wielkiej Brytanii. Nie odpowiada im klimat.

**J.J.:** Ale to właśnie Wyspy Brytyjskie są najbardziej popularne wśród młodych Polaków. Nie boicie się konkurencji?

**Agata:** Teraz podobno do Anglii masowo przyjeżdżają Czesi, którzy ponoć bardzo zaniżają stawki i to z nimi będziemy pewnie musiały konkurować. Ale najgorszymi pracodawcami w Anglii są... Polacy. Potrafią kompletnie człowieka wyzyskać i wykorzystać.

**Beata:** Oczywiście boję się tego wszystkiego. Najbardziej, że nie znajdę pracy, ale nawet nie nastawiam się, że zarobię tam jakieś kokosy i jak wrócę, to kupię sobie mieszkanie albo samochód. Wystarczy, że zwróci mi się cała wyprawa. Chciałabym też przywieźć jakiś papier – coś co będę mogła włożyć do swojej teczki z CV. Będę mogła przynajmniej udowodnić swojemu przyszłemu pracodawcy, że miałam odwagę wyjechać...

**Kasia:** Nie zapominajmy, że taki wyjazd można potraktować jak normalne wakacje. Ja w zeszłym roku nic nie zarobiłam. Wydałam wszystko i wyszłam finansowo na zero. No, może kupiłam sobie kilka ciuchów. Ale liczy się fakt, że świetnie się bawiłam.

**Agata:** Chodzi przede wszystkim o nowe doświadczenia. Poznaje się nowych ludzi, nowy kraj. Jeśli nie ma się jakiejś pracy wyczerpującej na maksa – to można potraktować pobyt tam jako normalny wyjazd turystyczny.

**J.J.:** No, ale powiedzcie szczerze – sytuacja, w której tylu młodych studentów wyjeżdża w czasie wakacji do pracy za granicę, a niektórzy tam zostają na stałe, nie jest normalna...

**Agata:** Oczywiście, że nie. Właśnie usłyszałam o nowym pomysle rządu, który chce sprowadzać do Polski ludzi z Ukrainy, ponieważ u nas brakuje rąk do pracy. I nikt nie wpadł na pomysł, że jest to powiązane z masową emigracją Polaków... To mnie martwi. Jak można ze sobą nie łączyć tych faktów? Jak można nic nie robić?

**J.J.:** Ale co można zrobić?

**Kasia:** Moja koleżanka ze Szkocji dzwoni do mnie często i podsuwa mi pomysły dla rządu. Mówi, że trzeba tworzyć nowe miejsca pracy przez obniżanie cen. Kiedy więcej ludzi kupuje towary, tworzą się nowe miejsca pracy. To może trywialne, ale w Anglii robią tak od dawna. Z powodzeniem – jak widać.

**J.J.:** Zastanawiam się, jaka jest skala tego zjawiska... Mam na myśli oczywiście wyjazdy.

**Agata:** Olbrzymia. Już nie mogę słuchać opowieści o Londynie i Dublinie, kiedy spotykam kolejnego znajomego...

**Kasia:** Studenci potrafią po prostu liczyć. Skoro nie ma dobrej pracy tutaj, wyjeżdżamy tam, gdzie przelicznik jest wyższy. Prawie wszyscy moi znajomi wylatują w tym roku do Anglii albo do Irlandii. Jeśli mam do wyboru pracę w pubie w Londynie i montowanie parapetów w Katowicach, bo to zaproponowano mi w hufcu pracy, to wiadomo, że wybiorę wyjazd. A! Zapomniałam! Kiedyś jeszcze rozdawałam ulotki dla jednego z naszych posłów. Zapłacił mi 10 złotych. A umawialiśmy się na 60. I w dalszym ciągu dziwisz się, że wyjeżdżam?

„Korzystanie” czy „wykorzystywanie”  
pracowników

# Niemoralni pracodawcy

„Pracowałam po trzysta godzin w miesiącu przez okres dwóch lat” – opowiada dziennikarzom Bożena Łopacka, która stała się symbolem zwycięstwa sprawiedliwości, dzięki procesowi wygranemu z właścicielem sieci sklepów „Biedronka”.

Stoczyła prawdziwą batalię przed sądem, odważyła się ponadto na prowadzenie publicznej polemiki dotyczącej niemoralnego traktowania oraz wyzysku panującego w handlowych molochach. Sprawa ta odsłoniła zasłonę, za którą skrywana jest czarna rzeczywistość. Niejednokrotnie nie jesteśmy w stanie sobie jej wyobrazić. Łopacka stała się symbolem, a tym samym nadzieją oraz szansą dla wszystkich anonimowych ludzi, którzy do tej pory bali się ujawnić tragizm swojej sytuacji zawodowej.

## Koncepcja ZZL

Można mieć nadzieję, że po tak spektakularnej wygranej więcej osób odważy się wyjść z ukrycia a pracodawcy zaczną w relacjach przełożony–pracownik uwzględniać czynnik humanistyczny, który powinien być nieodłącznym elementem każdej interakcji społecznej. Nasuwa się tutaj tak popularna i często przytaczana w środowiskach pracowniczych, szczególnie zaś wśród pracowników wyższego szczebla, koncepcja zarządzania zasobami ludzkimi (ZZL), której przesłanie jest jakże odmienne od rzeczywistości istniejącej w polskich firmach. Koncepcja ta niestety jest bardziej postulowana niż praktykowana. Wynika to zapewne z wygodnictwa przełożonych, z chęci redukcji kosztów związanych z zatrudnianiem ludzi, z lekceważenia zasad etycznych w interakcjach społecznych oraz zwyczajnego braku kultury osobistej.

Koncepcja ZZL w swoim założeniu służy temu, aby pracodawca mógł w jak największym stopniu „korzystać” z umiejętności, możliwości i zaangażowania pracownika, które przyczyniają się do rozwoju organizacji, ale on sam również zobligowany jest do przestrzegania podstawowych norm etycznych, kulturalnych i społecznych. Pracownik z kolei, obok satysfakcji osobistej z dobrze „sprzedanego” potencjału fizycznego, czy też intelektualnego, powinien uzyskiwać gratyfikacje finansowe lub psychologiczne od swoich przełożonych.

## Tysiące pokrzywdzonych

Często mamy do czynienia z sytuacją, w której nie korzysta się z umiejętności pracowniczych, a jedynie wykorzystuje ich potencjał intelektualny i fizyczny do granic możliwości, w zamian nie oferując nic lub niewiele. Zarządy firm, w szczególności dużych sieci handlowych (nie stanowi to jednak reguły) wymagają od pracowników poświęcenia zagrożającego często ich życiu. Presja zarządów na obniżenie kosztów oraz zwiększenie wydajności jest tak duża, że coraz częściej dochodzi do ujawnienia nadużyć przez zdesperowanych i wykorzystywanych do granic możliwości pracobiorców. Jak wynika z raportu Państwowej Inspekcji Pracy za rok 2004, pracownicy są wykorzystywani przez pracodawców do granic przyzwoitości. Takie postępowanie jest zupełnie inne od tego, które często ci sami ludzie propagują oficjalnie

w firmie. Inspektorzy PIP w latach 2001-2004 odzyskali zaległe pensje od trzystu super- i hipermarketów dla 26 tys. pokrzywdzonych pracowników. Jest to jednak niewiele, biorąc pod uwagę rosnącą skalę zjawiska.

Przełożeni, jak pokazuje rzeczywistość, nie uświadamiają sobie jednak tego, że prowadzona przez nich polityka brutalnego wyniszczenia pracownika ma charakter krótkoterminowy z przynajmniej dwóch powodów. Po pierwsze: pracownik nie wytrzymuje ciężkiej na nim presji, co w konsekwencji prowadzi do załamania nerwowego, którego koszty ponosi przecież pracodawca (stanowiska nieobecnych z powodu choroby trzeba uzupełniać nowym personelem, którego szkolenie zwiększa koszty firmy). Po wtóre – takie postępowanie szefa może wywołać również u pracownika reakcję obronną. Mobilizuje on wówczas swoje siły nie do pracy, ale do walki przeciwko nietetycznym i niehumanitarnym zasadom wprowadzanym przez kierownictwo, jak miało to miejsce w przypadku pani Łopackiej. A wtedy brutalna gra prowadzona przez pracodawców zostaje ujawniona, co w konsekwencji odbija się na nich samych.

W super- i hipermarketach są łamane podstawowe prawa pracownika poprzez – jak czytamy w raporcie PIP – nie udzielanie należnych urlopów wypoczynkowych (67%), nieprawidłowe zapisy w umowach o pracę (56%), wadliwie ewidencjonowany czas pracy (52%), nie wypłacanie świadczeń za godziny nadliczbowe (47,5%), nieprzestrzeganie przepisu o pięciodniowym tygodniu pracy (29,5%), nie dba się o organizację stanowisk pracy (30%), oraz wprowadza się nieprawidłowe zapisy w świadectwach pracy (28%).

## Nie tylko hipermarkety

Obecnie także małe firmy zabezpieczają nie zawsze w uzasadniony sposób swoje interesy w relacjach z pracownikami na wypadek – jak czytamy w deklaracji wekslowej będącej przykładem takiego zabezpieczenia – *szkód powstałych w wyniku nie zachowania należytej staranności przy wykonywaniu powierzonych obowiązków*. Określenie to jest mało precyzyjne i daje pracodawcy cały wachlarz możliwości, w których zrealizowanie weksla jest, w przekonaniu przełożonego, uzasadnione i dozwolone. Taki rodzaj zabezpieczenia swoich interesów na wypadek „nierzetelności” pracowników stosuje Spółdzielcza Kasa Oszczędnościowo-Kredytowa „Jan Kanty”. Ma ono jednak charakter jednostronny, gdyż



dotyczy tylko i wyłącznie interesu pracodawcy, nie oferując żadnej ochrony zatrudnionym. Pracownicy zmuszani są do podpisywania weksli in blanco, albo na sumy znacznie przewyższające ich dochody. Pracownik zarabiający 392 zł miesięcznie na pół etatu jest obciążony wekslami opiewającymi na kwotę 30 tys. zł. Nasuwa się tutaj pytanie, czy suma zabezpieczeń jest adekwatna do uzyskiwanego zarobku, a także – czy Kodeks Pracy nie reguluje w wystarczający sposób zabezpieczenia interesu pracodawcy, gwarantując mu możliwość obciążenia zatrudnionego kwotą stanowiącą trzykrotną wysokość jego zarobku, a nie – jak to jest w przypadku SKOK „Jan Kanty” – będącą ponad 76 razy większą od uzyskiwanego wynagrodzenia.

Postępowanie pracodawców w sytuacjach takich jak sprawa pani Łopackiej, jak również wobec tych wszystkich anonimowych ludzi, którzy boją się ujawnić beznadziejność swojej sytuacji zawodowej, aby nie zostać pozbawionym pracy (jeżeli można tak w ogóle nazwać podobny stosunek między pracodawcą a pracownikiem) nie powinno mieć miejsca. Zaś osoby, propagujące takie zachowania, powinny raz jeszcze zapoznać się z ideą zarządzania zasobami ludzkimi. I zastanowić się nad społecznymi, psychologicznymi oraz emocjonalnymi skutkami takiego postępowania. Pracodawca, w myśl idei zarządzania zasobami ludzkimi, powinien „korzystać” z umiejętności pracownika, ale powinno to przebiegać etycznie, z zachowaniem humanitaryzmu, godności i człowieczeństwa. Dlatego szczególnie nacisk trzeba położyć na prawa pracownika, stronę słabszą w tej interakcji. Dobry pracodawca, oprócz zabezpie-

czenia siebie na wypadek nierzetelności drugiej strony, oferuje także szeroko pojęte bezpieczeństwo swoim pracownikom. Zdaje sobie sprawę z faktu, że pracownik bezpieczny i usatysfakcjonowany – to dobry pracownik. Jeżeli pracodawca myśli tylko i wyłącznie o sobie, stronie na pozór silniejszej w tej interakcji, jest zwyczajnym egoistą, któremu nie warto poświęcać czasu, ani przekazywać swoich umiejętności. Pracodawca taki bowiem traktuje ludzi jak dodatek do formalnej biurokratyzowanej struktury, a to przecież oni odgrywają priorytetową rolę we współczesnych firmach i nie należy przyzwalać na funkcjonowanie formalistycznych koncepcji organizacji propagowanych przez Maxa Webera.

### Doba ma 30 godzin

Celem ZZL jest rozwiązywanie problemów istniejących w danej strukturze organizacyjnej, jak również dążenie do sprawnego funkcjonowania organizacji. **Każda organizacja, aby móc sprawnie i efektywnie funkcjonować, powinna zwracać uwagę na satysfakcję i zadowolenie pracujących w niej ludzi. Bo to oni są częścią systemu organizacyjnego, a ich zadowolenie i powodzenie wpływa na sukces i powodzenie całej organizacji.** Oni są fundamentem, na którym tworzy się istotę, to znaczy miejsce pracy. Jak wiadomo – jakość fundamentów, ich solidność ma duży wpływ na efekt końcowy dzieła, w naszym przypadku firmy, czy też organizacji.

Aby organizacja, firma, czy też przedsiębiorstwo osiągnęło sukces, osoby odpowiedzialne za personel powinny zwrócić uwagę na kilka elementów, które wymienia B. Kożusz-

nik i M. Adamiec w książce poświęconej zarządzaniu. Pierwszym z nich jest prawo, które należy przestrzegać i respektować. Nie można dopuszczać się łamania praw pracowniczych przy jednoczesnym egzekwowaniu od nich obowiązków. Niedopuszczalna jest sytuacja, w której – jak wypowiadają się procesujące się o odszkodowania pracownice – *pracuje się po trzysta godzin miesięcznie przez dwa lata lub pracuje się na trzy zmiany, a z planu pracy wynika, że doba ma trzydzieści godzin.*

### Śmieszne kary

Obowiązujące u nas prawo nie ma prawie żadnej mocy wykonawczej i jest nieefektywne. W roku 2004 inspektorzy skontrolowali niespełna 700 sklepów „Biedronki”, co zaowocowało nałożeniem 100 mandatów, których łączna kwota wyniosła zaledwie 48 950 zł. Kara, jaką PIP może nałożyć na nieuczciwego pracodawcę wynosi maksymalnie 234 euro, a jeśli sprawa o naruszenie praw pracowniczych trafi do sądu grodzkiego, ten – jak pisze w *Gościu Niedzielnym* Joanna Jureczko-Wilk – może ukarać grzywną w wysokości najwyżej 5 tys. Jest to najniższa kara w Europie. Dla porównania: w Portugalii kara ta może wynieść do 53 400 euro, w Belgii – do 12 599 euro, na Łotwie – 7 500 euro. **Nie należy się więc dziwić, że podstawowe zasady ZZL są u nas lekceważone. A co za tym idzie – także prawo, które jest mało skuteczne, bo pracodawcy raczej opłaca się płacić kary, niż przestrzegać etycznych zasad zarządzania zasobami ludzkimi, które przecież istnieją po to, aby nam wszystkim żyło się lepiej i uczciwiej.**

Kolejnym elementem składającym się na sukces ZZL jest psychologia. Przełożeni powinni znać podstawy psychologii, aby móc mądrze i w efektywny sposób motywować pracowników do działania, nie stwarzając jednocześnie zagrożenia dla ich zdrowia i życia. O tym, czy ZZL w danej organizacji odniesie sukces decyduje również kultura przełożonych, ich przekonania czy też system wartości, a także specyficzne wzory zachowania. Ostatnim elementem, o którym już wspominaliśmy jest etyka przełożonych, którzy powinni kierować się w swym postępowaniu prawymi zasadami moralnymi, dostrzegać problemy pracowników oraz wszelkie nieprawidłowości zagrożające zdrowiu, czy nawet życiu tych, od których zależy sukces organizacji. Czyli ludzi.

AGNIESZKA  
ZAJĄC-JĘDRYCZKA



U źródeł ochrony pracy na Śląsku  
– przysięgli gorni

# BHP od Piasta

ROMAN  
ADLER

Zanim XIX-wieczna industrializacja wymusiła zainteresowanie warunkami pracy wytwórców dóbr i usług, tematyka ta nie była zbyt popularna. Poza klasztorami benedyktynów i cystersów dominowała raczej – sięgająca antyku – pogarda dla pracy. W Rzeczypospolitej na przełomie XV/XVI w. anonimowy twórca *Satyry na leniwych chłopów* utrudnienia w ich pracy przedstawiał jako efekt złośliwości, pisząc, że kmiotek „stoi na roli, w lemiesz kłecze: rzekomoć mu pług orać nie chce; Namysłem potraci kliny, bieży do chrosta po jiny”.

Jednak już w 1528 r., na Śląsku w Tarnowskich Gorach (czyli kopalniach) ostatni z Piastów bytomskich, Jan III Dobry, książę opolski, wspólnie z margrabią brandenburskim Jerzym, z frankońskiej linii Hohenzollernów, nadali gwarkom tarnogórskimi *Ordunek Górny*.

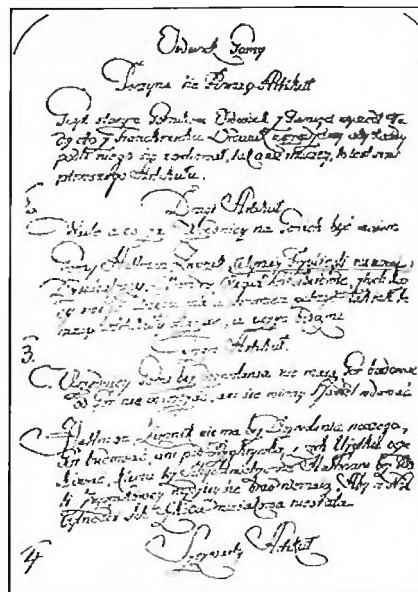


Pomnik księcia Jana III Dobrego w Opolu.

## „Ordunek górny” i przysięgli gorni

Ów zbiór przepisów prawnych regulujących ustrój urzędów kopalnianych, zawierający 72 artykuły, oparty był na zwyczajach stosowanych w Olkuszu (spisanych na rozkaz króla Jana Olbrachta, a ogłoszonych w 1505 r. przez Aleksandra Jagiellończyka, jako *Statuta Montana Ilcussiensis*) i w Frankonii. Stanowił on, że urzędnikami administracji księcia w sprawach górniczych byli: „Górny hettman, żupnik, czterey przysięgli rozumni, dziesiętnicy, olbornicy”. Żupnicy wraz z przysięgłymi tworzyli urząd i sąd górniczy, który rozpatrywał spory związane z działalnością górniczo-hutniczą.

Artykuł 24 *Ordunku* stanowił, iż „gdyby się przytrefiło, żeby szyb wodą zapuszczony był (...) to żupnikowi oznaimiono być ma, żeby to obeidzwał (...) albo do tego gorne przysięgłe narządził [wyznaczył], żeby to pilno sprawiono(...)”. Dalej w artykule 26 czytamy: „przysięgli na doł ziezdzać mają, użytki zmyślać [zwiększać korzyści] a od szkody warować [zapobiegać szkodom]. Przysięgli gdy potrzeba mają na doł ziezdzać, a jeśli by co nieporządnie widzieli, nauczyć, albo przy zapisie hettmanowi, albo żupnikowi oznaimić, a oni to (...) powinni (...), aby iuż naprzeciw ordunkowi [przepisom prawa] y na szkodę nie było gwarkom albo wszytkiem wobec”. Zgodnie z artykułem 28 „o dingach [zawieraniu umów o robotę z górnikami], lenszofie [przekazaniu kopalni lub jej części do eksploatacji], jako przysięgli przy gwarkach, albo beż gwarkow czynić mają (...). Nie ma dopuszczono być [do żadnego] dinga, lenszafu beż wiadomości żupnika, mają pierwey przysięgli ziechać, ogłądać, a jeśli robotnik temu za dosyć (...)



Pierwsza karta rękopisu *Ordunku* gornego.

czynił, albo nie, obaczyć, też po tym dingować [zawierać umowę na roboty górnicze], co by bez szkody robotnika y gworka było, (...) **przysięgli ding odbierać mają**”. Zgodnie zaś z artykułem 29, „ci, co dingi, lenszofy przyjmują, mają pilnować, jakby podle smowy [umowy] obstali, okrom, iżby ci pilniey czynieli, a robieli. Tedy **ma przysięgły to obaczyć, a nagrodzić**; gdyby tedy lenszofnik pilny był [gorliwy, pracowity] (...) też na to **przysięgli** y gworcy wzgląd mieć mają, aby pilny robotnik, a wierny, zapłaty dostał y poprawy [należne wynagrodzenie], to iest gdyby, na tym dingu obstać nie mogł”.

Według J. Piernikarczyka „bezsrednio nad robotnikami stał sztygar,

### Dwudziesty Słodmy Artikuł.

Mają Przysięgli Żupnikowi posłuszni być a we wszech Sprawach powinni mają się dać na leść a podle Porzeżenia się tego chować.

### Dwudziesty Osmiy Artikuł.

O Dingach<sup>1)</sup> Lenszofie<sup>2)</sup> jako Przysięgli przy Gwarkach albo bez Gwarkow czynić mają a co im od tego być ma.

Niemna<sup>3)</sup> opuszczone być, Dinga Lenszofu bez Wiadomości Żupnika mają pierwey Przysięgli ziechać ogłądać a jeśli Robotnik temu za dosyć czynił albo nie, obaczyć też potym dingować, co by bez Szko dy Robotnika y Gwarka było, też zaś Przysięgli, Ding odbierać mająm.

### Dwudziesty Dziewiąty Artikuł.

Gdy Lenszownicy albo Dingarze przy Smowie obstać nie mogą.

Ci co Dingi Lenszofy przyjmują, mająm pilnować, jakby podle Smowy obstali, okrom tego iżby co pilniey czynieli a robieli tedy ma przysięgli co haczyć a nagrodzić, gdyby tedy Lenszofnik

<sup>1)</sup> Uгода o robotę od latu bieżącego zrytu – choditka – ustalona – it. p.  
<sup>2)</sup> Zarobek górnika płatnego od kuba wydobytej rudy.  
<sup>3)</sup> Nieczynienie.

także hutman i sztychmistrz. Ci podlegali wprost kontroli przysięgłych. (...) Dawniejsi przysięgli byli w zawodzie górnictwem praktykami i (...) mężami zaufania. (...) Płacono ich z dochodów kasy książęcej i żyli też z różnego rodzaju opłat. (...)”. Z informacji o płacy z kasy książęcej wynika, że byli urzędnikami państwowymi. *Ordunek* nie regulował sposobu ich powoływania. Można jednak wnioskować, że byli mianowanymi urzędnikami książęcymi. „Postanowienia ich, wydawane (...) zazwyczaj doraźnie na miejscu pracy, miały znaczenie niemal równe wyrokom sądowym w sprawach górnictw, gdyż przysięgli wraz z żupnikiem stanowili sąd, który później z natury rzeczy miał skłonność do utrzymywania orzeczeń, wydanych przez przysięgłego. (...) Ilość przysięgłych musiała być utrzymana w odpowiednim stosunku do ilości szybów, gdyż w [ich] rękach (...) leżał także nadzór techniczny (...)”.

Można się zatem zastanowić, czy *Ordunek*... nie ustanowił urzędu nadzoru warunków i umów o pracę w postaci „rozumnych przysięgłych”. Jeśli tak, to nie tylko ustanowił państwowy, bo książęcy, urząd „przysięgłych” kontrolerów warunków pracy, ale – za pośrednictwem śląskich Hohenzollernów – stał się też inspiracją ustawy górniczej Palatynatu z 1565 r. i Bayreuth z 1619 r. Pół wieku później cesarz Rudolf II w 1577 r. wydał ordynację górniczą dla Śląska, która ujednolicała obowiązujące przepisy prawne i wprowadzała nadzór cesarski nad górnictwem w całej prowincji. Ustawa górnicza Habsburgów obowiązywała na Śląsku przez blisko 200 lat – do czasu wejścia od 1769 r. w życie pruskiej ordynacji górniczej.

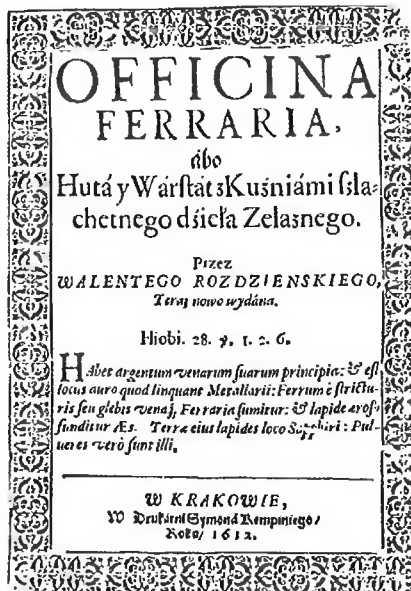
Jednak już „od r. 1556 chciano zamiast czterech, sześciu przysięgłych ustanowić, jeżeliby się byli gwarkowie zgodzili ich utrzymywać. Później

pozostało jednak wszystko po staremu. Urzędy te tak na początku ustanowione, dotrwały z małymi zmianami aż do objęcia ziemi bytomskiej przez hrabiów Donnersmacksów [w 1623 r.]. (...) Z początkiem 18 stulecia połączono urzędników górniczych z urzędnikami magistrackimi, co dawało powód do wielu sporów; rozstrzygnięcie określono w rozporządzeniu z listopada 1703 r. przez publiczne wywieszenie na tablicy. Ten sposób pozostał przez dłuższy czas w użyciu, a w r. 1733 panowała zgoda między urzędnikami górniczymi i magistrackimi. Sprawował wtedy swój urząd jeden górmistrz, jeden burmistrz, (...) 5 przysięgłych i 4 przysięgłych górniczych. Od 1746 r. istnieje jednak oddzielny urząd górniczy, odłączony od magistratu, składający się w: 1746 r. z 1 górmistrza, 3 przysięgłych i 1 pisarza sztolniowe-

sięgłych górniczych od pierwszej połowy XVI do drugiej połowy XVIII w.:

„1. Stanisław 1534, 2. Krzysztof Schindel 1534, 3. Wacław Kalas 1534, 4. Stanisław [u Abta: Stenzel] Skalski 1534, 5. Wacław [Wazlow] 1534, 6. M. Schuhmann, (także Szyma zwany) 1534-1556, 7. Melchior Weiss 1537, 8. Ambroży Kaymek 1537, 9. Stanisław Stencki [Stenzky] 1538, 10. [N. N.] Rother 1538, 11. Stefan Kalas 1538, 12. Marcin Drabina 1539, 13. Szymek Adamy [Simek] 1542, 14. Jan Ziegau 1543, 15. Jan Oculus 1549, 16. Paweł Veit 1549, 17. Jan Frenkel 1549, 18. Piotr Springer 1550, 19. Marcin Ficek 1554, 20. Michał Adamczyk [Adamzig] 1554, 21. Jan Zwan-kwitz 1554, 22. Bartel Rosch 1554, 23. Staś Carley [Garley] 1556, 24. Jan Wohlgemuth 1557, 25. Jan Mazurek 1557, 26. Mikołaj Ladamczyk 1570, 27. Jan Skrzypczyk [Skrzipzik] 1570-1591, 28. Mikołaj Brodawka 1570-1572, 29. Izaak Mu(i)nzer 1570, 30. [Jan] Radancik [Radamzik] 1572-1575, 31. Jędrzej Ugek 1573, 32. Staś Uska 1580, 33. Jan Mazur 1584-1585, 34. Tomasz Mioduna [Mieduma] 1584-1593, 35. Jan Palusz [Palusch] 1585, 36. Wacław Kappel 1593, 37. Jerzy Kospiel 1593-1602, 38. Szymon Prasel 1597-1608, 39. Jan Wensguh 1601-1608, 40. Stanisław Scholz 1602, 41. Jan Kremski [Kremsky] 1602-1611, 42. Nic. Menczek [Menzik] 1608-1624, 43. Adam Grziwa [Geziwa] 1609-1620, 44. Jan Jurga 1609, 45. Stanisław Kania 1609, 46. Adam Duda 1609, 47. Mateusz Gola 1609, 48. Jakób [Jacek] Wierzejki-wicz [Wierzekowitz] 1611, 49. Balcer Neumann 1620-1624, 50. Jakób Mazurek 1620, 51. Joachim Dudka [Dutka] 1733, 52. Melchior Zieber 1733, 53. Jan Gruchło [Gruchlo] 1733, 54. Jan Kempa 1733-1755, 55. Balcer Kolbass 1740, 56. Jan Łukasz Glass 1740, 57. Jan Spohr 1746, 58. Jerzy Zinnl 1746-1764, 59. Józef Zucher 1762-1764, 60. Jan Hallauer 1762-1764, 61. Andrzej Schiller 1762-1764, 62. Wawrzyn Hepner 1764.

a) Od r. 1550 począwszy obierano corocznie 4 przysięgłych górniczych. Przerwy w rządzie przysięgłych od 1620-1733 nie da się zapeł-



Karta tytułowa *Officina ferraria*...

go (...). W 1753 r. był jeden przysięgły, w 1754 r. – 4, w 1762 i 1764 r. – też 4. Urząd ten jednak – w wyniku tzw. wojen śląskich – stopniowo zaprzestawał działalności. Wznowiono go dopiero w czasach pruskich.

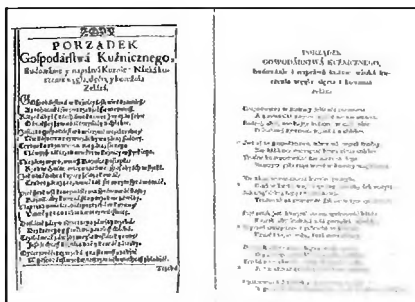
### Lista przysięgłych gornych (1534-1764)

Po odnowieniu urzędów górniczych pod panowaniem pruskim starszy radca hutniczy **Efraim L. G. Abt** opracował memoriał o górnictwie i hutnictwie śląskim w latach 1528-1784. Memoriał przetrwał w aktach Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu, a dziś znajduje się w zbiorach Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.

J. Piernikarczyk w latach trzydziestych ubiegłego wieku na jego podstawie opublikował następującą listę przy-



Starszy radca hutniczy **Efraim Ludwik Gotfryd Abt** (1752-1819).



Pierwsze strony rozdziałów *Porządek gospodarstwa kuźniczego* oraz *Własny konterfekt* albo *wyobrażenie żywota kuźniczego*.



nić dla braku wiadomości” – zaznaczył J. Piernikarczyk. Można dodać, że luka ta obejmuje okres panowania pierwszych Donnersmarcków w bytomskim wolnym państwie stanowym.

### Officina Ferrara... czyli XVII-wieczny TQM

Niecałe sto lat po ogłoszeniu *Ordunku...*, około 1612 r., „polski hutnik ze Śląska” Walenty zwany **Różdzieńskim**, „syn Jakuba Bruska, właściciela karczmy w Różdzeniu, i matki ze starego kuźniczego rodu Boguckich, właścicielki kuźnicy różdzieńskiej” w ilustrowanym poemacie „*Officina Ferrara* **abo Huta y Warstat z Kuźniami szlachetnego dzieła Żelaznego**”, wydany w drukarni Szymona Kempiniego w Krakowie, opisał – z głębią „praktycznego doświadczenia w ówczesnym zawodzie hutniczym” – trud górników i kuźników śląskich.

Charakteryzował ówczesne warunki pracy w kopalni następująco:

„(...) tak barzo kuję  
Twardą skalę, aż mi pot z czoła  
występuje. (...)  
Twardy kamień przebiwszy z szkodą  
zdrowia swego,  
Wpuszczam się aż pod ziemię do  
spodku samego (...).”

Czym groziło owo „wpuszczanie pod ziemię”, zwłaszcza gdy Skarbnik-Szarlej się zdenerwował, nietrudno sobie wyobrazić:

„Rozkazał wszystkim z trzaskiem,  
którzy w gorze,  
By na wierzch uciekali, bo woda jak  
morze  
Prędko gory zaleje. I tak zaraz wstała  
Woda wielka, jako rzekł, a gory  
załała...”

Jeszcze bardziej szczegółowo Różdzieński pisał na temat pracy w kuźnicy.

Wskazał, że „pięć sztuk jest, któremi się ma sprawować każdy Kuźnik, aby kuźnia szła porządnie zawsze”. Chodzi o to, aby – po pierwsze – „umieć i to, co robią twoi rzemieślnicy”; po drugie – dbać o „dostatek” węgla, rudy, dobrych narzędzi, napędu wodnego itp.; po trzecie – wykazywać „opatrność”, przemysłać wszystko, zanim się coś zrobi. Czwarta zasada – być pilnym w pracy. Według piątej: „**Trzeba (...) I do zoru tak we dnie jak w nocy wielkiego**, bo jeśli w tym niedbałym gospodarzem będziesz, Prędko wpadniesz do nędzy i kuźnice zbędziesz. (...)”. I dalej:

Huta ma być przestronna, dla deszcza  
przykryta,  
A ze wszystkich stron prawie  
porządnie zawarta.  
Wszystko dziło porządne ma być  
i pogrodki,  
Pale, łątki, koryta, tram i słupy  
wszystki. (...)  
Dymarskie piece siebie nie mają  
być blisko  
Ani na miejscu błotnym, kędy jest  
rzrodzisko, (...).  
Kominy też mają być dobrze  
ulepione,  
Przestronne i wysoko na górę  
wniesione  
Dla tego, aby iskry z pieca nie padały  
Na miechy, więc i huty by  
nie zapalały. (...)  
I tego też trzeba strzec, by młot  
rownie chodził,  
Tak aby w jedno miejsce każdy  
raz ugodził (...).  
Nakowalno też, w które ciężko  
z gory bije  
Młot a na nim żelazo ustawicznie  
kuje,  
Trzeba mieć gładkie, całe, dobrze  
ustalone,  
A w pień miąszy dębowy dobrze  
usadzone. (...)  
Idą li równo koła, jeśli w jedną  
stronę  
Barziej czopy niż w drugą nie są  
przegłobione,  
Jeśli miechy dobrze dmą, dobre li  
w nich skory,  
Jeśli się nie podarły, nie są li  
w nich dziury,  
Nie zdarteli wietrzniki, jeśliż dobre  
deski  
Są miechowe i dyszynogi, strychy  
wszystki;  
Więc aby też zarówno i lekko szły  
miechy,  
Nie kołacząc, a iżby nie ryczały  
strychy. (...).”

Takich było „**pięć sztuk**” – można rzec – **ówczesnej Total Quality Management (TQM), organizacji zarządzania jakością, ochroną środowiska i bezpieczeństwem pracy**. Podkreśliwszy znaczenie fachowości i odpowiedzialności dymarzy, inaczej smalczerzy, kowali, koszytarzy, czyli pomocników kowalskich, oraz węgielników (węglarzy), mistrz Walenty opisał zagrożenia podczas pracy w kuźni:

„Podobno, żem to czarny by sadzelnik  
jaki!  
Jestem kuźnik w tym kształcie, jak mię  
widzisz, taki.  
Od ogniać to i od dymu tak bardzo  
szczy miało  
Na mnie, jako tu oto widzisz,  
wszystko ciało! (...)  
Jestem właśnie jakoby murzyn  
uczerziony  
Po wszem ciebie i ogniem srodze  
popalony. (...)

Patrzajże, jako się to na mnie  
skwarzy ciało!  
Aż u nas w tym ogniu mamy  
męki mało?  
Płomień leci z iskrami w oczy jak  
perzyny,  
Piekę się ustawicznie ogniem  
z każdej strony!  
Zapalić się koszula, zgoreć ciała sztuka,  
Nie zagoić się czasem ledwie aż w pół  
roka;  
Od trzasku młotowego mało już co  
słysz! (...)  
W takiej biedzie pracować ustawicznie  
muszę. (...)  
Trzeba tu być ostrożnym, bo młot  
nie sfolguje,  
prędko guza dostanie, kto  
niebacznie kuje! (...)  
Stąd ci u nas jest głuchych i chromych  
niemalo  
A nie wiem, by był który, co by całe  
ciało  
Miał na sobie. Patrz jako przywiedła  
do kości  
Na mnie skora od wielkiej ognia  
gorącości! (...)  
A my chodzim jakoby głównie  
ogorzałe  
Mając włosy na głowie i brodzie  
niecałe.  
Wszystko ogień opalił, więc też  
mało dbamy,  
O ozdobę, gdy piwo i gorzałkę  
mamy. (...)  
A na kurz zaś węgielny, co gardło  
plugawi  
Gorzałki używamy, bo nią wnet  
naprawi  
I brzuch chory, uśmierza w nim  
morzenie ciężkie,  
Strawi prędko potrawy złe w żywocie  
wszystkie. (...).”

Większość owych poetyckich strof można dziś – bez wielkiej przesady – uznać za pierwsze „sprawozdanie tematyczne” o warunkach pracy ówczesnych hutników.

Niejako przy okazji Różdzieński stwierdza:

„Praw żadnych i statutów pisanych  
nie mamy,  
Tak się tylko zwyczajem cyklopskim  
rządzimy  
Bez przysięgłych ławników, wójta  
i burmistrza.  
Wszakóż mamy starszego między  
sobą mistrza (...).”

Odnajdujemy tu prawie bezpośrednie nawiązanie do *Ordunku...* Z tym, że kuźnicy – odmiennie niż górnicy – jeszcze w tym czasie swoich praw nie mieli spisanych. Szczególnego znaczenia nabiera fakt, że pierwszym w kolejności spośród przywołanych przez Różdzieńskiego urzędników górniczych był przysięgły ławnik nadzorujący warunki pracy.

## Rozmowa, a nie monolog

Zaufaniu społecznemu towarzyszyć winna cnota dialogu, czy raczej zdolność do jego podejmowania. Odnoszę być może mylne wrażenie, że Polacy przejawiają raczej skłonność do monologów i przede wszystkim autoprezentacji, a nie rozmowy z partnerem i negocjacji. Poglądu tego nie może zmienić fakt, iż od lat istnieje trójstronna komisja dialogu społecznego skupiająca przedstawicieli rządu, pracodawców i reprezentantów związków zawodowych. To ważna instytucja formalna, która jednak nie może być gwarantem gotowości do dialogu w szerszym otoczeniu społecznym. Taka gotowość winna być wspierana umiejętnościami osiągania kompromisu w warunkach życiowości. Całkowicie odrębną kwestią jest odrzucenie przejawów, dzisiaj już powszechnych, republiki chamstwa, obecnej w codziennych kontaktach, przekazach medialnych czy zachowaniach polityków.

## Życzliwa rywalizacja

Kolejna cnota obywatelska jest wielowymiarowa i odnosi się do umiejętności zachowań konkurencyjnych i innowacyjnych. Są one pożądane nie tylko na rynku pracy, ale także, o ile nie przekraczają racjonalnych granic, w życiu codziennym. Tutaj ślad edukacyjny realnego socjalizmu jest aż nadto widoczny, a myślenie w kategoriach kolektywnych i grupowych wciąż powszechne. Tymczasem rywalizacja, oparta o kanon etyczny, jest czymś naturalnym, chroniącym przed wyniszczającym fizycznie i degradującym psychicznie wyścigiem szczurów. Dopiero ogłoszony w tym roku po raz pierwszy w Polsce dzień depresji uzmysłowił skalę zjawiska i jego społeczny zasięg. Okazało się także, że blisko 10% rodaków cechuje podatność na tego rodzaju stany, skutkującymi w ostateczności działaniami autodestrukcyjnymi. Zdolność do rywalizacji powinna być wzmocniona umiejętnościami kalkulowania ryzyka. Wszystkie istotne decyzje człowieka winny zostać poprzedzone jakąś formą analizy SWOT, silnych i słabych stron jednostki, czyli jej metaforycznych skrzydeł i kul u nogi, nadziei oraz obaw związanych z podejmowanym działaniem.

## Potrzebny Prometej

Ważną dla normalnego funkcjonowania społeczeństwa jest umiejętność zachowania równowagi między sprawami i wartościami prywatnymi, najczęściej rodzinnymi lub związanymi



MAREK S. SZCZEPANSKI

Notatnik  
spóźnionego przybysza

# Dekalog cnót obywatelskich (II)

z kręgiem koleżeńsko-towarzyskim, a publicznymi. W tym ostatnim przypadku chodzi o pewien typ postawy prometejskiej i skłonności do podejmowania działań na rzecz społeczności lokalnej czy regionalnej. Ten typ aktywności przejawia się w działaniach instytucji pozarządowych czy wolontariacie. Problem w tym, że aktywności Polaków są skromne. Szacuje się, że jedynie 10% dorosłych Polaków działa na rzecz środowiska społecznego, a głównymi ośrodkami działania dla tego typu aktywności są z jednej strony parafia, a z drugiej szkoła. Skala rodzimej aktywności prospołecznej jest niezadowolająca, dwukrotnie niższa niż w krajach Unii Europejskiej i prawie czterokrotnie mniejsza aniżeli w USA. Co ciekawe, po okresie ekspansji w dekadzie lat dziewięćdziesiątych sektor organizacji pozarządowych kurczy się, a aktywność jego przedstawicieli maleje.

## Żyć a później filozofować

Okres transformacji zmienił radykalnie aspiracje życiowe wielu Polaków, przeobrażając także ich systemy wartości. Po okresie zgrzebnego socjalizmu, czasach małej stabilizacji przypa-

dających na dekadę Edwarda Gierka, rozpoczęła się transformacyjna pogoni za złotym cielcem, dobrami materialnymi, znajdującymi się pozornie w zasięgu ręki. Tej pogoni nie rekompensowało poszukiwanie wartości postmaterialistycznych, o których Ronald Inglehardt, po badaniach wśród społeczeństw Skandynawii, mówił, że mają terminalny charakter. Zalicza do nich na przykład przyjaźń, miłość, szacunek wobec przyrody i braci mniejszych. Wprawdzie w wielu deklaracjach eksponowana jest cnota równowagi między dwoma typami wartości, materialistycznych i postmaterialistycznych, ale w działaniu codziennym dominacja pierwszych nie podlega dyskusji. Prawdziwa wciąż, zwłaszcza w biednym kraju, jest teza, że najpierw trzeba żyć, a później filozofować.

## Pochwała planowania

Normalne funkcjonowanie społeczeństwa obywatelskiego wymaga cnoty racjonalnego planowania życia pojedynczych osób, rozwoju instytucji, grup i zbiorowości społecznych. Tymczasem planowanie zostało skutecznie skompromitowane w okresie realnego socjalizmu, w których próbowano przewidzieć niemal wszystko, poczynając od wielkości produkcji wsuwek do włosów a na traktorach kończąc. Były to działania jałowe, uzasadnione jednak ideologicznie i doktrynalnie. Już teraz konieczny jest powrót do normalnego planowania i przewidywania. W istocie chodzi nie o podejmowanie walki z przyszłością lecz dobre do niej i wyprzedzające przygotowanie. Trudno bowiem zwalczać integrację europejską czy postępy globalizacyjne nie narażając się na zarzut powrotu do znanego już z historii ruchu Nedda Ludda, walczącego bezskutecznie, dwa stulecia wstecz, z maszyną parową.

## Podwójne zakorzenienie

Ten niekompletny, a wręcz wrywkowy i świecki dekalog zamyka cnota uniwersalnego i jednocześnie partykularnego oglądu. Jest to w istocie postulat postawy globalizacyjnej, wspartej o zakorzenienie w lokalnym i prywatnojęzycznym świecie przy jednoczesnym uczestnictwie w procesach globalnych. Zakotwiczenie w małej ojczyźnie i swobodny wstęp na globalne salony to zapewne postawa nie tyle gwarantująca życiowy czy zawodowy sukces, ale stwarzająca szansę jego osiągnięcia. Mam wrażenie, że człowiek bez lokalnego zakotwiczenia traci pewien rodzaj równowagi jaki daje dom rodzinny, choć usilne jego mitologizowanie utrudnia postawy transgresyjne i ułatwia myślenie partykularne.

# MACIEJ MELECKI

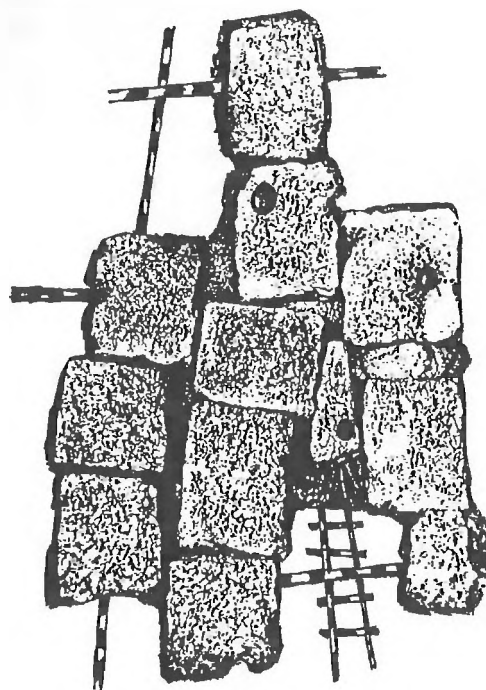
## Cykle

*Nie chciałem nikogo uprzedzić, opuszczony przez klatkę  
Światła, gdzieś w półcieniu, mając naprzeciw tylko rzędy  
Niemych twarzy, jak na jakimś niegdyśszym  
Przyjęciu, kiedy miało być od razu bosko. Awarie  
Zdarzają się najczęściej o świcie, więc musieli mieć jasność*

*Co do zakończenia, ale nie byli w pobliżu i zrazu szło im  
Raczej marnie. Kiedy zaszyłem się w kącie pokoju,  
Wszyscy zaczęli mi się troić, widomie rozchodzić i  
Rozpływać w rozgwieździe ulicy. Ten melanz trwał jak na  
Zwolnionym tempie kadr. Armatura losu znosi też i takie  
Sztuczki. Każdego trąca jego chwilowa postać,  
Ściemnia mu się ekran, kiedy nie może wypuścić z siebie lotki  
I w mroku chce znaleźć prędko latarek, opadłszy już dawno  
Na dno, przestrzelony nowym południkiem, poza który nie  
Wzędzie kawałeczkiem cienia, gdy nie będzie w nim  
Nowego Anioła Stróża. Co więc chcesz mi zgubić, czym*

*Wytracić tę resztkę do przejścia, by senne runo mogło  
Jeszcze raz przemówić krwawszym tłem bladego poranka, i  
Po jakim biegunie spłyniesz w moje zmrużone oko?  
Zakopani w zaspie, chodzimy jak po wydmie. Tracimy na  
Ważności, nie zyskując grawitacji, pozyskani i pilowani  
Napiętymi głosami, wciąż odzyskując nieme skrawki tego,  
Co dawniej pieniało się uczuciem, bezimiennie uchodziło  
Za porę ponownych narodzin. Jaką więc będziesz talią, kiedy*

*Stanę się twoim ostatnim rozdaniem? Zostawiam po sobie  
Puste miejsce, zostawiam pamiątki tak nikłe, że  
Krótkowzroczność kosmosu przestaje cokolwiek ważyć, i gdy  
Oddalamy się od punktu sterowania dalszym przebiegiem  
Ziemskiej rundy, wolniej zaczyna już krążyć ten  
Układ planet, spadających jedna za drugą gwiazd, pociąganych  
Przez sznurki życzeń nie sprawdzających się nigdy.*



Rys. Wojtek Łuka

## Senne głody

*Zanim wyjdiesz poza tę płaską mgławicę, pokruszony  
Przepalonym światłem, które przeniesie cię w jeszcze bardziej  
Zaległe światy, opatrzone i spaczone ulice biegnące w  
Poprzek każdego ciała, zwichną tyczkę tej najbliższej*

*Przestrzeni, pochowają cię w plamce mroku, i poczujesz, jak  
Mknące prądy zabierają cię na ponowny wąski obchód, gdzie  
Sąsiedzi stoją porażeni wykuszem rozbitego okna, gdzie  
Pozorny bezruch jest zapowiedzią płynnego ruchu w żarnach  
Mielących na nowo kości nocy. Prędko rachunek nie przyniesie  
Żadnych strat, zyski będą się mnożyć na poczet nigdy nie  
Kielkującego ziszczenia, w tej beztlenowej aurze odzyskasz  
Zwinność płaza, i na końcach opowieści o skończonych losach*



*Ujrzysz wygasty krążek starego księżycy, a nie pośliniony  
Wiatrem kierunek zgody nie zstępującej z wyczekujących oczu,  
Zacznie prowadzić cię na podchodzący do stóp brzeg kolejnej  
Odslony naglej dali, która swoim fioletowym próchnem*

*Odczyni nam dalszą drogę powrotu do początku skurczu,  
Odcinając dopływ innym, psotnym stanom, w tej  
Najgłuchszej piwnicy strzaskanego nieba, gdzie jeszcze jesteś  
Nie odbity, powidokiem nie zabrany, w ciągłym rozbiciu*

*Na pomniejsze ślady, bo steruje nami ów niechciany pat,  
Słona obietnica wyjścia poza cień. Będę cię miał w zanadrzu tego  
Pasma. Będziesz się jeszcze nieraz miewał widocznie znikomo.  
W katalogu cudzej łaski być może znajdzie się przerwa. I kiedy  
Mój kubek stanie się pusty, powiększę sobie nim twoje echa.*

## **Przestony**

*Wybite dno muszli najdalszego echa otwiera we mnie luki  
Dla najbliższego słońca, i wtedy schodzą się zaproszone*

*Nim wielorakie tropy, i tak niezmiennie nęcą każdy odruch,  
Że z tego koła wystacza się tylko prosta droga, którą wciąż*

*Pokonuje chowany najskryciej lęk przed ziszczeniem.  
Kamienista plaża odbitego w lusterku księżycy każe nam*

*Ustawicznie zmagać się z odległością stale dzielącą  
Światy ugniatane w sobie, światy tak często zbierane*

*Przez inne planety, że tylko meduza snu pozostaje tą  
Gojącą się na chwilę plamką, po tej stronie przestony,*

*Która łapie powidok w migawce gestu, tak mało znanej  
Próby wody czy ognia. Przez te poletka pomyka chłód*

*Tego, co było przy tobie zawsze, zbiegłe kiedyś jak zachwyt,  
Ów sekundnik wahającej się ziemi, nierozłożyste i nie*

*Powielone przed nikim. Skąd więc brały się te pazurki  
Piany, gdy wygaste ciszą morze podtapiało najbardziej*

*Przemysłany ślad, który trzeba było zostawić na znak  
Dalszej obecności rzuconej jak boja w czyjeś odtrącone*

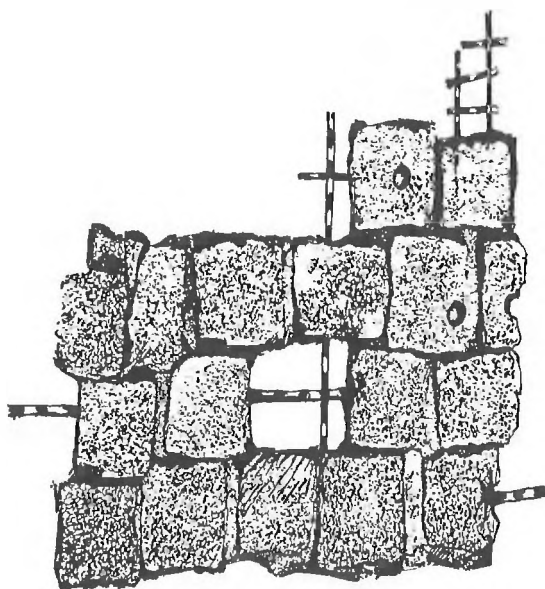
*Usta, skąd brał się ten przemożny odpływ w ruchliwe  
Zakamarki miasta o tysiącach wież, skoro nieraz brano*

*Nas za szczęśliwych rozbitek, cudem wyłowionych  
Przez siłko jakiegoś przyzwolenia, zbłądzonych, lecz*

*Ufnych w swój lipny azymut. Rozsadzano nas potem  
Po krańcach opowieści o losowych zdarzeniach, pierze*

*Wrywano z każdego spojrzenia i wkładano w dłonie  
Pieczone jabłka, by nie mieć już niczego wspólnego z*

*Tą przędzą jawy, którą nas oplotła jakaś zawiedziona prośba,  
By w tych lukach wciąż siniąta ta nieoświetlona ścieżka.*



Rys. Wojtek Łuka



Joanna Kściuczyk i Jacenty Jędrusik: „Może przeciwieństwa się przyciągają?!”.

# Dwa Anioły

– Dyzma to chyba ostatnia Pana wielka rola?

– Chyba tak, ale czy wielka? W wielkim dramacie, w wielkim musicalu to rola wielka przez historię, głównie przez Romana Wilhelmię, który uczynił ją wielką. I teraz każda próba zmierzenia się z Dyzmą to próba zmierzenia się z jego talentem.

– Pan nie boi się takich wyzwań? Był Mistrz Ceremonii w „Cabarecie”, był Dyzma...

– Tak to już jest w tym aktorskim zawodzie, że ciągle musimy się mierzyć z jakimiś legendami. Myślę, że o ile

w „Cabarecie” był sukces – mój, to Dyzma nie jest materiałem do jednoznacznych porównań. To jest musical, inna forma, inaczej skonstruowana niż film, który ma ileś tam odcinków. Miałem na opowiedzenie historii Dyzmy 3 godziny i 15 piosenek. To Dyzma współczesny, XXI wieku i nie chciałem szukać takich porównań wprost, ale jakbyśmy dzisiaj posłuchali sobie radia i telewizji, zajrzeli do prasy i przypomineli sobie książkę, to... Czym mam jeszcze kontynuować ten wątek?

– Znalazł Pan coś na obronę Dyzmy?

– Trudno jest bronić człowieka, który w rezultacie posuwa się nawet do tego, że zleca zabójstwo. Na to nie ma usprawiedliwienia, może poza głupotą totalną, która nie powinna być nagradzana stanowiskiem premiera, tylko powinno to w prostej drodze prowadzić do więzienia.

– Czyli morderca, kryminalista nie powinien pełnić wysokich funkcji w państwie?

– Oczywiście! Natomiast przez cały spektakl chciałem przeprowadzić pewną myśl, pewną ideę, która w rezultacie wpływa na obronę tego człowieka. On tej swojej kariery nie wymyślił sam, wszak on nie wie, do czego dąży. On chce się najeść, nażreć, napić na tym raucie, na który trafia przypadkiem, a później próbuje się dopasować do sytuacji, którą mu stwarzają inni. To jest ta linia obrony, która obciąża nie jego, ale ten cały dwór, który go kreuje. Jego wymyślono, postawiono na piedestał z bardzo niskich pobudek – żeby komuś dokopać. Zawsze na złość komuś dźwigają Dyzmę do szczytów i tytułów. Po trosze wszyscy jesteśmy winni, bo Dyzmy chodzą wśród nas. Widzimy ich na każdym kroku. Patrząc na naszą historię, to ciągle widać układy, koterie posunięte aż do takich granic, że się sprzedaje państwo.

– Czy jakieś cechy Dyzmy ma Pan również?

– (Śmiech) Nie zastanawiałem się nigdy nad tym. Może to jest takie traktowanie nie do końca serio wszystkiego, z przymrużeniem oka, z pewną względnością. Ale tak może podchodzi do ludzi i życia bardziej aktor Jędrusik, niż człowiek o tym samym nazwisku.

– A ile jest Halki w Pani?

– Na szczęście nie spotkało mnie tyle zła, ile spotkało Halkę, natomiast jej uczuciowość, jej emocje bardzo są mi bliskie. Może dlatego dobrze ją zagrałam. Kocham postaci, które mają bogate wnętrza i które przeżywają tyle różnych emocji. I złych, i dobrych. Na scenie jest to piękne, w życiu ciut mniej. Wówczas można widzom pokazać całą paletę uczuć. Byłam mile zdziwiona, że reżyser Marek Weiss-Grzebiński podszedł do nas jak do aktorów dramatycznych, nie szczędząc wysiłków, by ta jego wersja była prawdziwa. Nie było tej Cepelii, która towarzyszy „Halce” od lat. Nie wiem, czy to nie jest najlepsza rola, jaką dotychczas zagrałam.

– Nominowano Panią za tę właśnie rolę do Złotej Maski.

– To bardzo sympatyczne, że zauważono w końcu i operę. Maski nie dostałam, ale wszystko przede mną. Mobilizuje to do dalszej pracy, ale nigdy nie myślałam, że będę śpiewać dla jakiś nagród i dyplomów. Robię to, może to zabrzmi górnolotnie, ale tak jest, dla pu-

bliczności, dla siebie, no i trzeba z czegoś żyć, więc solidnie wykonywana praca też się liczy. Nie jest to dla mnie szczególnie bolesne, że dotychczas nie posypały się z nieba nagrody i wyróżnienia. Są w tym zawodzie chwile ważniejsze i niesamowite, kiedy przychodzi po spektaklu mężczyzna z kwiatami i ze łzami w oczach mówi: „Pani Joasiu, co też Pani z nami zrobiła...”. Te jego szklące się oczy wystarczają za wszystkie nagrody.

– Łączą nas dwie rzeczy. Pierwsza to Kalisz. Pan grał tam w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego, a ja z Kalisza pochodzę. I czasami mówię: W Kaliszu urodziło się paru fajnych facetów – poeta Adam Asnyk, wspaniały grafik Tadeusz Kulisiwicz, jazzman Jan Ptaszyn Wróblewski, Jerzy Kryszak, no i ja. Teraz będę dodawał: I Jacenty Jędrusik też ma swój kaliski epizod.

– Natychmiast rozczulam się na hasło Kalisz. To jest cudowny fragment mojego życia. Zaraz po skończeniu Szkoły Filmowej w Łodzi w roku 1978 przez dwa sezony tam grałem. Dyrektorem został Waldemar Wilhelm, nasz pedagog ze szkoły, więc poszliśmy dużą grupą za swoim mistrzem. I to były wspaniałe dwa lata. A miasto (z rozmarzeniem) sam urok. Wychodzi się z teatru, a tu kaskady schodów prowadzą do Prosy, w której odbija się teatr i widać dwa cudowne gmachy, przepiękny park... a poza tym wspaniali ludzie. Do tej pory mamy tam oddanych przyjaciół, którzy do nas dzwonią, piszą, pytają, kiedy do nich przyjedziemy. I to nie są ludzie z branży. To mechanik i nauczycielka. Bardzo miło wspominam to miasto i tamten czas. A druga sprawa, która nas łączy?

– Brak włosów. Jakoś szybko nam wyszły, nie wiedzieć czemu. Ale nie ma Pan kompleksów chyba z tego powodu?

– Absolutnie nie. Śmieszą mnie wszelkie zaczeski i ukrywanie łysiny. Wykorzystaliśmy niedawno taką zaczeskę w „Odjeździe” Freda Apke. To już jest druga zaczeska w moim scenicznym życiu. Pierwsza była w „Ewście”. Marcel Kochanzyk powiedział, że muszę mieć coś na głowie, bo mu się błyszczy moja łysina. Na próbie generalnej, gdy nałożyłem te włosy, a była 3 nad ranem, to wszyscy się położyli pokotem ze śmiechu, bo tak w niej wyglądałem idiotycznie.

– Jacenty został stworzony do tego, aby być łysym. Z włosami widziałam go na zdjęciach i mówię twardo – żadnych włosów!

– Nie wiem, czy pan pamięta kiedy panu wyszły włosy, ale mnie jakoś tak dziwnie. Gdy zdawałem do szkoły filmowej miałem wówczas 20 lat i włosy do ramion. Pani dziekan Maria Kaniewska powiedziała, że w październiku, kiedy przyjdę na uczelnię, mam być obcięty. A później w ciągu roku, dwóch lat studiów, nie wiem, czy to

stresy czy po prostu genetyka, bo tato też włosów za dużo nie miał, nagle te włosy zacząłem szybko tracić. I straciłem. I tutaj historia z Mistrzem Cereemonii w „Cabarecie”, która zdarzyła się na dwa dni przed premierą. Reżyser Marcel Kochanzyk chodził tak wokół mnie i mówił: „Wszystko dobrze, postać jest, ruch jest, tylko czegoś mi tu brakuje. Mam na ciebie pomysł, ale boję się powiedzieć”. I napisał to na kartce: „Jacenty łysy”. I wyszedł. Zaczęłem za nim krzyczeć, że to świetny pomysł, a trzeba pamiętać, że w roku 1992 łysi, to byli albo ci, którym Bozia odebrała włosy, albo recydywa, więc obcięcie się było aktem i desperacji, i odwagi. Zgodziłem się i później nawet gdzieś tam w prasie napisano, że ten Mistrz Cereemonii taki niesamowity przez to, że łysy i patrzy z taką przenikliwością. Zauważono tę łysinę.

– Jacenty ma włosy gdzie indziej. Nigdy nie zwracałam uwagi na zewnętrzną, tylko na to, co w człowieku siedzi – ciepelko, prawość, dobroć, szlachetność, no i jakaś nutka talentu też, bo to cudownie mieć męża, który już tyle rzeczy zrobił, był i jest doceniany. Cóż przy tym wszystkim znaczy parę włosów na głowie?

– Pani Joanno, powiedziano, że aby być szczęśliwą z mężczyzną trzeba go bardzo dobrze rozumieć i trochę kochać. Panie Jacenty, aby być szczęśliwym z kobietą trzeba ją bardzo kochać i w ogóle nie próbować zrozumieć. Co Państwo na to?

– U nas tak nie jest. Mieliśmy to wielkie szczęście, że spotkaliśmy się i wiemy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. W Jacentym nic mi nie przeszkadza, nic mnie nie drażni.

– Jednym słowem – Anioł.

– Anioł! Dla mnie – tak. Pan Bóg mi go stworzył i mi go zesłał na ziemię. Czasami są detale, które urastają do wielkiego problemu. U niego nawet tego nie ma. Jakby teraz padło pytanie o jego wady, to nie wiedziałabym co powiedzieć.

– Ten aforyzm zakłada, że miłość wszystko tłumaczy, wszystko niweluje i że kobiety nie trzeba starać się zrozumieć, bo ona z natury swej jest głupia. To bzdura. Uwielbiam kobiety i uważam, że nie ma głupich kobiet. To mity i pożywka dla tych, którzy układają dowcipy. A kobiety są cudowne, stworzone przez Pana Boga do celów takich, o jakich my, mężczyźni, nawet nie możemy pomarzyć. Mają tak bogatą psychikę, bogate wnętrza, że ja mogę tylko zazdrościć. Asia ma nieprzeciętne umiejętności. Ona może wyleczyć pana z bólu głowy, a swoją matkę wyleczyła kiedyś z bólu serca. To tylko kobieta potrafi tak szalenie skupić się. Poza tym prawdziwa kobiecość rozkwita, kiedy jest macierzyństwo. Widzę, ile ona ma cierpliwości do naszego 10-letniego syna, jak ona potrafi z nim rozmawiać, podchodzić go, cierpliwie wyegzekwować to, co chce. Nie krzycząc, jak ja,

podnosząc od razu głos: „Masz to zrobić i już!”. Patrzy na mnie z politowaniem i już wiem, że popełniłem błąd, i muszę przeproszać Filipa mówiąc, że jestem nerwus, tak nie myślę itd... Ona nie tłumaczy się nigdy, bo doskonale go rozumie. I kiedy płacze, i kiedy jest mu smutno. Ja potrafię tylko przytulić, ona potrafi z nim pięknie rozmawiać. Kobiety, które mnie otaczały i otaczają, są wspaniałe. Trzeba je bardzo kochać i próbować zrozumieć, żeby samemu wzbogacić się.

– Czyli Pani Joanna to też Anioł?

– Tak. Z całą pewnością. Jestem po przeżyciach. To jest moje drugie małżeństwo i wiem, że teraz dostałem nagrodę od losu.

– Aby znaleźć miłość nie pukaj do żadnych drzwi. Gdy przyjdzie Twoja godzina, sama wejdzie do Twojego domu, życia i serca. Tak było?

– Dokładnie. Pomagałem Heniowi Konwińskiemu przy „Zemście nietopierza”. Coś tam komuś na scenie tłumaczyłem (to było 7 grudnia 1992 roku) i nagle z kulisy przez scenę przebiegła dziewczyna i usiadła w rzędach z tyłu. Mnie zamurowało. Zapamiętałem tylko falę rudych włosów mocno pokręconych i taką niepewność z jej strony, jakby mówiła: „Przepraszam, że żyję”. Zapytałem Henia, kto to, a on powiedział krótko: „Taka przedwcześnie uwikłana”. Na premierze była w mojej ukochanej, czarnej sukni. Staliśmy obok siebie, przez moment otarliśmy się i jakiś prąd przeleciał między nami.

– Pamiętam jakby to dziś było. W teatrze, tak romantycznie. Cudownie nam się rozmawiało, bo Jacenty tak fajnie opowiadał. No i tak przedwcześnie znowu nie byłam uwikłana, bo miałam już 29 lat, a tamten związek, to tak ciągnęłam trochę z litości. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Pani delikatna i eteryczna, Jacenty przebojowy, ognisty, temperamentny. Czyli z jednej strony woda, z drugiej – ogień. Niby nie można tych żywiołów połączyć, a jednak. Stworzyliście parę...

– Może przeciwnieństwa się przyciągają?!

– Ale ja nie jestem taką szemrzącą wodą i mam życiową energię, mimo że moje ciśnienie to 76 na 38 i mówią, że już nie powinienam żyć. Nie mam tej przebojowości, żeby dążyć po trupach do celu, pazerności na rolę. Mam ambicje. Jeżeli już ją dostanę, to chcę zagrać jak najlepiej. Uważam, że jest to mój moralny obowiązek w stosunku do partnerów, publiczności, dyrekcji. Lubię ludzi, poznawać ich, rozmawiać, a jak jeszcze ktoś ma coś ciekawego do powiedzenia i jest dobrym człowiekiem, co teraz jest zjawiskiem coraz rzadszym, jestem podbudowana i czuję się wspaniale. I nie jestem takim lełum polełum. My się wbrew pozorom tak strasznie nie różnimy.

– Nas się inaczej postrzega przez pryzmat teatru. A my jesteśmy inni





W „Dyzanie” chorzowski aktor zdołał oderwać się od pamiętnej roli Romana Wilhelmiego.

w tym naszym codziennym życiu. Potrafimy rozdzielić to, co jest zawodem, sceną, od tego, co jest życiem do tego stopnia, że Asia jest uzdolniona aktorsko i wszyscy przypuszczają, że jej role są moją zasługą, że ja ją reżyseruję. Z kolei ja nie uważam siebie za wybitnego śpiewaka, ale jak mi się coś uda, to wszyscy mówią: „Pewnie pani Asia z panem po nocach w domu ćwiczy”. A my w zasadzie w domu o tym, co robimy, nie rozmawiamy. Natomiast obydwójce mamy na scenie to, co jest szalenie cenne, to znaczy profesjonalne podejście do tego, co robimy. Szanujemy ludzi, dla których to robimy i z którymi to robimy.

– **Co jest najtrudniejsze w tym zawodzie?**

– Utrzymać się w ciągłej, takiej 100-procentowej dyspozycji. I mimo że różnie bywa, to staramy się tych swoich prywatnych stresów, bólów, chorób, niedyspozycji nie przenosić na scenę. Zawsze grać na maksymalnych obrotach. I to nas łączy. Natomiast nasze życie to jest zupełnie co innego. Jesteśmy bardziej w domu wyciszeni, uspokojeni, mało obrotowi, nie potrafimy wielu rzeczy sobie załatwić. Żyjemy na tym Śląsku, który kochamy, ale wiemy, że tu nie porobimy już jakiś nadzwyczajnych karier. Nie dorobimy się ani pieniędzy, ani domków jednorodzinnych, ani nie wiadomo czego. Żeby zrobić pieniądze, to trzeba wyjechać, zagrać w reklamie, lub 1244 odcinki w serialu, a nam to nie grozi. Tylko ludzie zajmujący się kulturą śledzą to, co my tak naprawdę tworzymy. Przeciętny człowiek tym się za bardzo nie interesuje. Ubolewam nad tym, że my artyści, tu na Śląsku, nie mamy miejsca, żeby się wypowiadać. Pra-

sa średnio się nami interesuje, bo to są już gazety i wydawnictwa komercyjne, telewizja – zapomnij – bo telewizji nie ma, a w radiu – gdzie są słuchowiska, gdzie są programy literackie, gdzie są wiersze, powieści czytane na żywo? Gdzie to wszystko jest? Gdzie aktorzy ze Śląska mają się dodatkowo realizować? Czy są dziennikarze, którzy tak naprawdę chcą analizować to, co my robimy? Przecież to się ogranicza do kurtuazyjnych i powierzchownych opinii na temat tego, co się widzi. Tak naprawdę nie ma rzetelnej krytyki i nie ma fachowych omówień tego co robimy. NIE MA. I tylko kiedy przychodzi moment rozdania Złotych Masek, to zbiera się jakieś gremium i zaczyna oceniać, kto mi się podobał, a kto nie. Natomiast nie ma całościowej oceny człowieka, jego rozwoju, postaci, którą gra. Nie ma krytyki literackiej, teatralnej. Może w ogóle nie ma, ale tu na Śląsku, stwierdzam z bólem, coraz mniej jest miejsca w mediach dla sztuki.

– A propos kariery. Jacenty będąc w Kaliszu miał propozycję zagrania w „Va banque” Juliusza Machulskiego. Razem studiowali. Jacenty u Julka wówczas w tych wszystkich jego pracach grał i wygrali Festiwal Etiud Szkolnych filmem „Gorączka mleka”. On zdobył nagrodę aktorską, a Julek wygrał to reżysersko.

– W 1979 przysłał mi telegram do Kalisza: „Masz 20 dni zdjęciowych w »Va banque« Przyjeżdżaj”. Miałem zagrać postać Moksa, która później zagrał Jacek Chmielnik, lub Nutę, którego zagrał Krzysztof Kiersznowski – jednego z tych dwóch. Z tym telegramem poszedłem do dyrektora Wilhelma, a on mi mówi, jak ja sobie to wy-

obrażam, bo był grudzień, okres bajek, a ja grałem księcia Fiolka w „Królu Tulipanie III” i kogo on teraz znajdzie na moje miejsce? No i napisałem do Machulskiego, że gram Księcia Fiolka i nie mogę wystąpić u niego. No i już nigdy się Julek nie odezwał.

– **Żałuje Pan tej decyzji?**

– Żałuję, że nie zagrałem w tym filmie, bo to wielki film. To byłby jakiś stopień do popularności, może początek do fajnej drogi filmowej, bo Julek jest wierny swoim aktorom i jeszcze chyba grałbym w innych jego filmach. To był błąd, ale nie stać mnie było wówczas na inną decyzję. Jestem lojalny i podporządkowuję się swoim szefom. I jak dyrektor powiedział, że nie można, to o czym tu było gadać. Dziś by było pewnie inaczej. Żałuję. Tego kroku żałuję. Z nami studiował jeszcze Lech Majewski. Na szczęście Lechowi nie odmówiłem i zagrałem w jego „Angelusie”. Bardzo mi brakuje kontaktów z filmem, z kinem artystycznym.

– Ja też miałam propozycje występowania w operze w Ostrawie. Potem pojawiła się propozycja z Włoch, wreszcie, po bytomskiej „Halce” chciano, abym śpiewała w Teatrze Wielkim w Warszawie. Zrezygnowałam ze wszystkiego, bo priorytet mój teatr. A w tym teatrze akurat dużo się działo, bo były wznawiane po latach „Pajace” Leoncavallo i „Rycerskość wieśniacza” Pietro Mascagniego. Realizowaliśmy „Muzeum Historyczne Mme Eurozy” Piotra Schmidke, wreszcie przygotowywaliśmy nowy program na tournée po Niemczech, no i stwierdziłam, że nie ma nawet sensu prosić dyrektora Serafina

o zwolnienie, bo nie można tego połączyć.

– **Może ktoś inny by nie łączył. Został Śląsk i pojechał do Włoch, Ostrawy czy Warszawy?**

– Tak zostałam wychowywana. Trudno. Tu jest mój zakład pracy, to co najważniejsze, a później reszta. Ale w tym zawodzie chyba tak nie powinno się myśleć. Mam taki charakter. Nie śpiewam dla warszawskiej publiczności czy dla publiczności z Koziej Wólki. Czerpię przyjemność, śpiewając dla ludzi. I dlatego z niezbyt wielkim bólem serca rezygnuję z wielu spraw.

– **Pan ma w roku 200 wieczorów zajętych, próby do południa. Pani to samo. Kiedy spotykacie się, kiedy jesteście ze sobą w tym waszym niebie?**

– No, posilki są wspólne, ale Filip najlepiej by chyba na to odpowiedział, bo jemu bardzo doskwiera to, że oboje jesteśmy artystami, ale myślę, że udało nam się uchronić i nasz dom, i to dziecko przed przechowywaniem w garderobie. Żeby dom nie był tylko sypialnią, w której ciągle nas nie ma. Nie mam tylu przedstawień, ile Jacenty. U mnie proces przygotowywania roli jest dłuższy, bo to i aktorstwo, i tekst, i muzyka. Przygotowuję się do premiery w domu. Dzięki temu mogłam być z Filipem. A Jacenty jak przychodzi z teatru i już jest, to nie siedzi, i nie czyta gazety. Robi tyle przez te kilka godzin, ile inny facet nie zrobiłby przez cały dzień.

– Nie dalibyśmy sobie jednak rady, gdyby nie pomoc wujków i mamy Asi, która kursowała między Poznaniem a Katowicami, bo w Poznaniu, wtedy siostrze Asi, też śpiewaczce Opery Ślą-

skiej, Gabrieli Mechlińskiej i jej mężowi Jerzemu urodził się Szymek, który jest trzy lata starszy od Filipa. No i teściowa kursowała między nami. Teraz jest już całe lata z nami.

– Po urodzeniu pomyślałam, że trzy miesiące będę karmić piersią, później przestanę i wrócę do pracy. Wszystko zacznie normalnie. Jednak po trzech miesiącach dziecko było małe w dalszym ciągu, więc jak je miałam zostawić? Byłam przytulanką, smoczkiem i butelką w jednym, no i ponad trzy lata karmiłam go piersią, nie śpiąc po nocach, bo Filip był, jak to mówię, fanem cyca. Budził się w nocy i też chciał. Kocham ten zawód i, daj Boże, żebym go mogła uprawiać jak najdłużej, ale rodzina jest najważniejsza. Bo co nam zostaje potem? Tylko najbliżsi. Nie rozdzielamy, rodzina – zawód. To musi współgrać. Tak czuję i tak staram się robić.

– **Jesteście spełnieni jako aktorzy?**

– Nie, ciągle czekam na kolejną ciekawą propozycję. Skończyłam 52 lata i stwierdzam, że czas coraz szybciej zaczyna biec, staję się coraz bardziej niecierpliwy, a w Teatrze Rozrywki robi się mniej premier niż kiedyś, i bardzo mi to doskwiera. Chciałbym grać więcej przedstawień, premier, koncertów i częściej spotykać się z ciekawym materiałem literackim. Brakuje mi różnorodności w tej pracy, brakuje mi czytania w radiu powieści. Uwielbiam to robić. Robiłem to bardzo dawno. Czytałem „Cysorza” Michała Smolorza. Marzy mi się też zagranie w innym teatrze, ale jest ten problem, że u siebie dużo gram i nie ma tego okienka, które można jakoś inaczej zagospodarować.

– **Ale nie powie Pan, że jest Pan niezastąpiony, że jest gwiazdą Teatru Rozrywki?**

– Absolutnie. Jestem porządnym zawodowym aktorem. Nigdy tak o sobie nawet nie pomyślałem.

– **A Pani jest spełniona?**

– Jestem zadowolona z tego, co już zrobiłam i mam nadzieję na więcej. Nie znaczy to wcale, że ja czekam na konkretną rolę. Po prostu będą role do zrobienia i spróbuję je zagrać jak najlepiej. Czas śpiewakowi, a tym bardziej sopranowi, ucieka szybciej niż aktorowi dramatycznemu. Powtarzam jednak, że za parę lat mogę zostać mezzosopranem i grać starsze, poważne postaci. W literaturze operowej jest tyle materiału, a teatr musi jakieś premiery robić, więc jeszcze trochę tych szans mam, aby pokazać się publiczności.

– **Macie Państwo jakieś motto, sentencję, która prowadzi Was przez świat?**

– Chcę być zawsze w zgodzie z własnym sumieniem i samym sobą. Inaczej strasznie boli ciało. Ja to mam. Jeżeli nie mogę w nocy spać i czuję się tak jakbym miał grypę to znaczy, że coś, co zamierzam zrobić, nie powinno się zdarzyć. Mówimy o scenie, ale też i o życiu.

– Myślę czasami, jak to pięknie, że człowiek to wszystko, co zrobił, czego dokonał, to dzięki swojej pracy, uporowi, talentowi. Kiedy rano wstaję i patrzę w lustro, to nie chciałabym mieć odruchu wymiotnego na swój widok. I nie chodzi tu o urodę. Chciałabym chodzić zawsze prostą drogą.



Halka – jedna z najważniejszych ról Joanny Kściuczyk.



Marian Cieśla pochodził z Pawłowic, pracował w Mirowie, Brudzowicach i Rudziczce, ale związał się na stałe z Suszczem. 5 maja upłynęła druga rocznica jego śmierci. Dyrektora suszeckiej szkoły pochowano naprzeciw kościoła św. Stanisława i niedaleko figury św. Jana Nepomucena.

# Jak ze Suszca powędruję

GRZEGORZ  
SZTOLER

Jego grób odwiedzają dawni uczniowie – przez pół wieku pracy trochę się ich nazbierało – rodzina, przyjaciele i ludzie zafascynowani folklorem ziemi pszczyńskiej. Właśnie wokół folkloru krążyła przez lata dusza Mariana Cieśli. Ze zbioru liczącego tysiąc pieśni wydano ledwie setkę, w dwóch tomikach pod wymownym tytułem: *Jak ze Suszca powędruję*.

*Jak ze Suszca powyndruję,  
komu jo też podziynkuje?  
Nejprzód ojcu i matce,  
Na ostatku kochance.*

## Gwara

– Ojciec zawsze miał ze sobą kartkę, na której notował zasłyszane zwroty, słowa – wspomina Joanna Glenc, córka byłego kierownika szkół w Mirowie, Brudzowicach, Rudziczce i Suszczu, muzyk i adiunkt w Instytucie Muzyki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. – Potem cierpliwie docierał do ich źródeł i znaczeń.

Ulubioną książką Mariana Cieśli była Biblia wydana w wersji staropolskiej. W niej doszukiwał się korzeni niektórych gwarowych wyrażeń. Kierownik pytał, ciągle pytał – najpierw swoich uczniów, a potem już dorosłych mieszkańców wsi – o znaczenie poszczególnych słów. Wiadomo, że obraz górnośląskiej wsi się zmienia. W Suszczu powstała kopalnia, zanikać zaczęły zwroty i słowa związane z pracą na roli, bo ta stawała się po woli mało opłacalna. Kierownik kazał swoim uczniom w ramach prac domowych pytać: jak się wypieka chleb, jak się żniwuje? Pieczolowicie przechował te prace i rysunki. Przysłały się potem do gwarowego opracowa-

nia dawnych wiejskich zawodów związanych z pracą na roli i we dworze. Marian Cieśla w gwarowym podtytule opracowania *Fachowcy we wsi* wytłumaczył dokładnie, czym się zajmował: „*Co też tokróm tobrótki pola robiło się down po naszych wsiach i dworach*”.

Przeglądaliśmy listę zawodów, które opracował pan Marian. Czego tu nie ma? Bednorze, cepoki – młóckorze, cieśle, garborze, ale i koryciorze, mietlorze, miszkorze, dziechciorze, pilorze, przondki, skotniki, snopkorze. Lista liczy aż 52 specjalności. Wiele z tych profesji, wykonywanych przezwaznie na dworze, utrwaliło się w formie śląskich nazwisk (Sodzawiczny, Stawowy). Kto ze współczesnych Ślązaków wie, czym zajmował się miszkorz czy dziechciorz? Nie ma co ukrywać, że rodowici i światlejsi czekają już z pewnym zniecierpliwieniem na wydanie tej publikacji, ukończonej w styczniu 2003 roku. Bo – znając skrupulatność suszeckiego folklorysty – zajął się on nie tylko robotnymi: „*Byli jednak dycko i tacy, co jim robota śmierdziła i dycko się i boli chytać. Ludzie nazywali ich lyniami, ale też i jeszcze inne przezwiska się jim przilepiły, kiere piyknie pasowały do nierobów. Te przezwiska do dzisio som żywotne i ludzie posługujom się nimi, a sóm to: leber, lobijok, lobibok, śmierdzirobotka, smród, leja, klipa, dupa, dupa stropióno, dupa f kraglu, zoraza, rula, tulta, szprykant, bómbońiorz, zeży-racz, chachor, wrzód, wól, losiol, ślimak, ciele, trut, płoszczyca, wesz*”.

Spotkania z Nim, mimo upływu lat, zawsze przypominały pogadanki nauczyciela z uczniami, choć audytarium stanowiły w większości osoby dorosłe (głównie byli uczniowie). Kiedy zabierał głos, ludzie milkli, słu-

chali. Dystans wynikał z szacunku do osoby kierownika. Poza tym słuchaczom imponowała jego wiedza i erudycja. – *To lo czym rosprowioł, szło rychtyk posłuchać* – podkreślają miejscowi. Dotyczyło to przecież Suszca, miejsca wspólnego pochodzenia.

Otwarcie Izby Regionalnej w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Mirowie w 2003 roku, fragment rozmowy ze słuchaczami:

– Jak się nazywały części cepa? – dociekał Cieśla.

– Bijok i dzieżok albo cepisko – padła odpowiedź.

– A jak się nazywali ci, co cepami młócili? – pytał dalej.

– Młóckorze.

– A jeszcze inaczej? Do dziś takie nazwiska pozostały w Ćwiklicach i Rudziczce – odpowiadał Cieśla.

– Cepoki.

– Cepoki – potwierdził. – Chodzili oni od dwora do dwora, najmowali się do młócenia i na koniec dnia, wieczorem, dostawali wypłatę, wedle tego, co zdołali zrobić.

## Pieśni

Pasją Mariana Cieśli były ludowe pieśni. Ich zbieraniem zajął się jeszcze w Rudziczce. Zapisywał, nagrywał na magnetofon. Tam, gdzie pracował, prowadził też szkolne chóry.

– Pamiętam, że bardzo chętnie uczył kanonów. Jedną z jego ulubionych piosenek była *Służył Jura u Kocura* – wspomina Anna Kine, która pracowała jako nauczycielka „za kierownika Cieśli”.

W latach 1958-63 Marian Cieśla ukończył wieczorowe studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej (obecna Akademia Muzyczna) w Katowicach kierując równocześnie szkołą w Rudziczce (lata 1954-1961). W PWSM kształcił się u prof. Adolfa Dygacza, i być może z inspiracji swojego mistrza, zaczął zbierać ludowe *pieśniczki* z okolic Suszca. Dzielili ich zresztą niewielka różnica wieku.

Anna Kine: – Pan Cieśla dążył do tego, żeby w każdej szkole przede wszystkim był chór. Był przecież wizytatorem przedmiotowo-metodycznym z zakresu muzyki. W 1964 roku prowadził w Radostowicach chór i uczestniczyłam w „Święcie pieśni” organizowanym w Suszczu. Pamiętam, że zasiadał w komisji oceniającej występy dzieci. Mimo że byłam nauczycielką matematyki i fizyki, prowadziłam chór. Takie były wymagania: kto ukończył Liceum Pedagogiczne, musiał grać na skrzypcach i prowadzić chór.

Marian Cieśla był utalentowanym menedżerem. To nic, że tam, gdzie się pojawił, prowadził chóry szkolne i ludowe. To nic, że znał wybornie regionalny repertuar, który przecież wła-



snoręcznie ratował od zapomnienia. Najważniejsze, że to co robił, było na najwyższym poziomie. Mimo „partackich” czasów był perfekcjonistą. Dowód? Już w 1954 roku z zespołem ludowym z Brudzowic trafił do polskiego radia. Anegdota mówi, że wykonano wtedy na żywo mało znaną pieśń: *Od Siewierza jechał wóz / malowane panny wiozł / Ślicznie, pięknie ustrojone / muszę jedną mieć za żonę* [Joanna Glenc recytuje początek]. Mimo tremy, wykonanie utworu było na tyle dobre, że wpadło w ucho odpowiedzialnym za muzyczny repertuar zespołu „Śląsk”, który dalej ją spopularyzował.

Tygodnik „Radio i Świat” z dnia 31 stycznia 1958 roku odnotował ten występ w programie radiowym nadanym 4 lutego o godzinie 8.55 w audycji z cyklu: „Wieś tańczy i śpiewa” w wykonaniu zespołu ludowego Koła Gospodyń Wiejskich oraz Kapeli w Brudzowicach, pow. Zawiercie pod kierunkiem Mariana Cieśli. Program: pieśni i tańce ludowe z powiatu zawierciańskiego. Dodajmy, że z jego zbierackiego dorobku korzystają inne zespoły. Niemal połowa repertuaru zamieszczonego na winylowej płycie *Pory roku na wsi pszczyńskiej* wydanej w latach 70. przez zespół folklorystyczny Pszczyna pochodzi ze zbiorów Mariana Cieśli.

Kiedy będąc na emeryturze zaczął prowadzić chór „Pogodna Jesień” suszeckiego koła Polskiego Związku Emerytów i Rencistów, wizyty w radiu były równie częste. W 2002 roku zespół wydał płytę z 27 pieśniami.

– Kilka lat temu była tutaj nawet redaktor Maria Pańczyk z Radia Katowice, która też realizowała jakąś audycję – wspomina rodzina.

– Może warto te wszystkie nagrania zebrać w jednym miejscu – podsumam...

Śpiewanie było obecne nie tylko na próbach, ale także w domu Cieślów. – W każde większe święto zbieraliśmy się razem przy stole, by zanucić piosenki, kolędy – wspomina Joanna, która pracę magisterską poświęciła właśnie... pieśniom ludowym zgromadzoną przez swojego ojca. – Już wtedy, kilkanaście lat temu, był to imponujący zbiór obejmujący około 600 pieśni, z czego 511 wykorzystałam w swojej pracy. Teraz jest ich dwukrotnie więcej, a wydano zaledwie 90.

Córki wspominają, że przez pewien czas ich Tata uczył grania na akordeonie w żorskim ognisku muzycznym.



Marian Cieśla, wieloletni dyrektor suszeckiej szkoły, znawca pszczyńskiego folkloru i gwary.

W holu pokoju, gdzie rozmawiamy stoi pianino... Suszecki kierownik uwielbiał też przysłowia, ludowe powiedzenia. Anna Kine: – Mawiał: *Hanko, nie rób komu dobrze, nie będzie ci źle*.

Powiedzeniami jest zilustrowany słownik gwarowy jego autorstwa. – Każda strona poświęcona słowom i wyrażeniom rozpoczynających się na konkretną literę kończy się ludowym przysłowiem – objaśnia Joanna Glenc.

Niektóre charakteryzują się typową dla Cieśli swadą i lekką ironią: „*A jak się zyniód dwie baby, to już jest cały jarmark*”; „*Czego się nie najysz, tego się nie naliżesz*”; „*Łon nie biere Hany, jyny ściany*”; „*Kieby człowiek był prorokem, to by nie był nieborokem*”. Krótko i wymownie, jak to z mądrościami ludu bywa.

Cieśla przyjaźnił się z profesorem Adolfem Dygaczem. Połączyła ich wspólna pasja i... zbiory.

– Odwiedzali się wzajemnie. Profesor często tu bywał. Najbardziej chyba interesowały go zbiory taty. Długo współpracowali ze sobą – wspomina rodzina.

Marian Cieśla, folklorysta z pasji, pozostawił po sobie kawał rzetelnie wykonanej roboty. Jolanta Owczarek, nauczycielka matematyki w żorskim Gimnazjum nr 2: – Warto całą tę spuściznę uporządkować i wydać. Tata poświęcił tyle swojego życia, by

zgromadzić tak wiele cennych dla nas rzeczy, że grzechem byłoby to zmarnować.

– Ale na opracowanie zbiorów taty to nam chyba życia nie starczy – żartuje Joanna Glenc. – Każdą wolną chwilę poświęcamy pracy *Fachowcy we wsi*. Niektóre zapisy gwarowe trzeba jeszcze uzgodnić ze specjalistami. Gmina zadeklarowała pomoc w wydaniu tej książki. Ale nie jest to jedyna praca ojca czekająca na wydanie. W 2000 roku ukończony został maszynopis *Opowieści z naszych stron* (z *Suszcza i Pawłowic*), który m.in. zawiera dziecięce wyliczniki spisane śląską gwara. Jest też zbiór scenariuszy obrzędów ludowych, przeznaczonych dla świetlic i kół teatralnych, opracowany na początku lat 70. Na publikację czekają również tzw. pyskówki suszeckie, czyli relacje z wiejskich procesów ławniczych, kiedy nieraz obrzucano się niewybrednym słownictwem.

Jak podkreśla historyk Zygmunt Orlik z sąsiadującą z Suszczem wsi Kryry, Marian Cieśla był godnym następcą Jana Kupca z Łąki, który zajmował się pszczyńskim folklorem sto lat wcześniej. „*Piosneczki, te nasze piosneczki miłe, zdaje się, że się wygubią. Dawniej pasterze od rana do wieczora śpiewali polskie piosneczki, a dziś? A zatem by nam, trzeba pilnie te zabytki zbierać i dla potomności zachować*” – to motto Kupca zamieszczone na łamach „Oświaty” w 1877 roku, nie straciło nic ze swej aktualności.

Anna Kine: – Dzięki niemu nie odeszło w zapomnienie wiele cennych pieśni, gwarowych słów. Wszystko starał się wiernie zapisać, utrwalić i wydać. Za to właśnie go cenię.

## Dusza szkoły

Anna Kine była podwładną kierownicą (a od 1971 roku dyrektora) Mariana Cieśli: – Miał autorytet zarówno wśród uczniów jak i nauczycieli. W szkole panował ład i porządek. Dyscypliny wymagał od wszystkich. Jeżeli zdarzało się zwrócić uwagę nauczycielowi, robił to taktownie na osobności, nigdy zaś w obecności rodziców. Nauczyciel musiał umieć zapanować nad klasą. W stosunku do dzieci pan Cieśla był również wymagający i czasem może surowy. Przez pewien czas uczył biologii, geografii,



Widowa Marta Cieślowska z córkami: Joanną Glenc (pierwsza z lewej) i Jolantą Owczarek.

w końcu tylko muzyki. Ale poza nauką śpiewu na pamięć, zadawał dzieciom dodatkowe zadanie domowe: „Zapytaj się w domu, jak się piecze chleb. Jak wyglądała praca w kuźni? A jak w stodole?”.

Joanna i Jolanta, podobnie jak syn Janusz były uczone przez ojca: – Tata był też moim wychowawcą – mówi Jolanta. – I właściwie wiedzieliśmy, że nic nie jest w stanie się przed nim ukryć.

Joanna podkreśla: – Od najmłodszych lat byliśmy uczone porządku i dyscypliny, i uważamy to za rzecz zupełnie naturalną.

– Mieszkaliśmy w szkole, tak więc i jej problemy były obecne w czasie rozmów przy rodzinnym stole od rana do nocy. Podział na życie domowe i życie szkolne był zatarty. Praktycznie szkoła była naszym domem – kontynuują.

Joanna (ściszone głosem): – Zawsze istniało to niebezpieczeństwo, że tata dowie się, co przeskrobałyśmy (śmiech mamy).

– Pewno mama broniła? – pytam. – A gdzie tam... raczej nie – słyszę. – Nie broniła, bo tata miał rację. Jeżeli była kara, to musiała być wykonana, ale najczęściej jej nie było. Bardzo rzadko – wtrąca pani Marta Cieślowska, wdowa po panu Marianie.

– Tata na pewno byłby zszokowany dzisiejszą szkołą i panującymi w niej porządkami – dodaje Jolanta. – A trudno powiedzieć, że nie rozumiał szkoły, skoro pracował w niej grubo ponad czterdzieści lat.

W jednym z numerów „Głosu Nauczycielskiego” Marian Cieśla opisuje specyficzne położenie nauczyciela prowadzącego wiejską szkołę: „Istotną zmurą kierowników szkół – skarży się – są przepisy o kupnie materiałów i innych drobnych przedmiotów w sklepach upoważ-

nionych do sprzedaży pozarynkowej. Najczęściej w tych sklepach nie ma tego, czego nam potrzeba. Jeśli znajdujemy poszukiwany towar w innym sklepie, to okazuje się, że nie wydaje on rachunku. Być może w wielkich miastach nie stanowi to problemu, bo sklepów jest więcej, ale co mają robić nauczyciele pracujący na wsiach oddalonych od miast o kilkanaście lub kilkadziesiąt kilometrów? Zdarza się, że nie mogę zrobić zakupów w naszym powiecie, więc co mam wówczas czynić? Takich i wiele innych utrudnień jest więcej, ale pytam jak z nimi walczyć tam na dole?”.

Teraz nie ma problemów z aprowizacją szkół, wręcz przeciwnie...

Anna Kine: – Teraz w Suszu jest sklep koło szkoły. O, to było nie do pomyślenia za czasów pana Cieśli. Bo dzieci miałyby pokusę wyjścia na przerwie, czy w czasie lekcji poza teren szkoły, a nuż by się coś stało i co wtedy? Teraz nikt już nie myśli „z wyprzedzeniem”, perspektywicznie.

Pożyteczną cechą była w tych czasach oszczędność i zaradność. Do historii przeszło polecenie kierownika wydane kucharce, by naczynia szorowała popiołem drzewnym – bo tak się dawniej na wsi pszczyńskiej postępowo – a nie detergentami.

### Chleba naszego powszedniego

Nikt tak pięknie nie pisał o ślaskich obyczajach. Artykuły rozproszone w lokalnych czasopiśmie, są prawdziwą skarbnicą wiedzy. Bo kto dzisiaj wie, jak piekło się wiejski chleb w domowym piekarzu? Dzięki pasji Cieśli, udało się znowu ocalić, jakąś część naszą przeszłości.

„Ilość wypiekanych bochenków chleba – czytam w jednym z numerów „Głosu Pszczyńskiego” – zależała od wielkości rodziny, czyli od ilości gęb do wyżywienia i od wielkości piekaroka, czyli pieca chlebowego. W domu był wyznaczony dzień, w którym zawsze piekło się chleb. Takie przybory potrzebne do pieczenia chleba, jak dziezka, drewniana łopata, zgrzebło, wycieraczka, sito do przesiewania mąki, szmata do przetarcia pieca, były w każdym domu. Każdy ten dom miał w piwnicy, a czasem w sieni lub kuchni wybudowany piec do pieczenia chleba. Koło domu, a czasem w szopie były zawsze przygotowane zapasy drewna opałowego. Chleb upiec musiała umieć każda gospodyni. Tej sztuki uczyły się dorastające panny od swoich matek...”.

– A teraz nawet to sprzątać nie umięją... – komentuje.

„Panna na wydaniu była na tyle wprawiona w sztuce pieczenia, że jej kawaler czyli zolytnik, nie mógł zaśpiewać o niewydarzonym chlebie...”.

– Potrafią panie upiec chleb? – pytam moje rozmówczynie. – A pan? – odpowiadają. – Pamiętam tylko piekarok w sieni kole pażoka u mojej babki, który został zamurowany, bo chleb brało się od piekarza – mówię.

Marian Cieśla był częstym gościem u Szenderów, którzy na drugim krańcu Susza prowadzą rodzinne muzeum etnograficzne. – Rozmawialiśmy na różne tematy – wspomina Fryderyk Szendera, założyciel muzeum. – Trochę mi brakuje tych pogawędek, z których zawsze można się było czegoś dowiedzieć. Pan Marian miał nawyki belferskie, zawsze podkreślał: „Ja ci mówię, że to jest tak”. Był ode mnie starszy o piętnaście lat, w sprawach gwary uchodził za autorytet. Postrzegam go jako człowieka który lubił to, co robił. I to co robił, chciał realizować właśnie tu, w Suszu. Miał poza tym ogromną siłę wewnętrzną, z której wynikała żelazna konsekwencja w postępowaniu.

### Wojenne losy

M mało znanym epizodem były wojenne losy Mariana Cieśli, szerzej opisane w pozostającej w rękopis jego autobiografii, jak też w wydanej przez katowicki IPN książce pt. *Zapomniane historie ludzkich dramatów – losy mieszkańców Górnego Śląska w latach 1929-1956*. Barbara Majeranowska i Monika Kolcz, uczennice pszczyńskiego Zespołu Szkół Ekonomicznych, w odpowiedzi na ogłoszony w 2001 roku konkurs, opisały wojenne losy Mariana Cieśli (rocznik 1921), który latach 1940-1942 był robotnikiem przymusowym (rolnym). Znalazł się też na Ukrainie, gdzie zatrudniono go przy budowie

torowisk. W 1943 roku został przymusowo wcielony do Wehrmachtu i tak jak tysiące Górnolązaków walczył na froncie zachodnim. Wiosną 1945 roku dostał się do niewoli amerykańskiej. Do rodzinnego domu w Pawłowicach powrócił dopiero w kwietniu 1947 roku.

### Przyjaciele odchodzą, wspomnienia zostają

Jedyną osobą, która zabrała głos na jego pogrzebie 8 maja 2004 roku był jego przyjaciel dr n. med. Emilian Kocot, historyk z zamilowania. Połączyła ich wspólna pasja – przeszłość. Znali się jeszcze z Brudzowic, gdzie w 1949 roku Marian Cieśla trafił z Mirowa. W Brudzowicach został do 1954 roku kierując tutejszą placówką szkolną. Jednak dawne kontakty nie wygasły. Sentyment pozostał. Mówią, że pierwsza praca, jak pierwsza miłość.

– Zawsze, jeśli zdrowie na to mu pozwalało, odwiedzał Brudzowice i Mirow, gdzie pracował wcześniej zaledwie przez dwa lata – wspomina rodzina pana Mariana. – Niech pan zgadnie, gdzie jeździły na wycieczki szkolne dzieci z Suszcu? Jakżeby gdzie indziej, jak nie tam. Nocowało się w stodołach u gospodarzy, którzy pamiętali jeszcze nauczyciela Cieślę. To niezwykle, z jak wielką serdecznością wspominali ojca tamtejsi ludzie. Nie zabrakło ich również na jego ostatniej drodze...

Sosnowiec, niedaleko pomnika Kiepury. W mieszkaniu państwa Kocotów ruch, jak w ulu. Pacjenci w kolejce do pana Emiliana. Jego żona, Anna, zaprasza mnie do kuchni, tu znowu stos papierów. Dostrzegam książkę o Brudzowicach autorstwa Emiliana Kocota. – Pan Marian miał taką pogodną twarz – słyszę.

Emilian Kocot, były uczeń, przyjaciel i lekarz kierownika Mariana Cieśli: – Gdy było wiadomo, że sprawy zdrowia przyjmują niekorzystny obrót domagał się, by poznać prawdę. Umiał ją przyjąć, ale i również podjąć decyzję... Przy okazji wizyt i badania lekarskiego miałem sposobność do poznania jego zmysłu obserwacyjnego, logicznego wnioskowania, rzeczowego traktowania porad... On był obdarzony krytycznym spojrzeniem na samego siebie, szukał prawdy, dzielił się racjonalnym wątpleniem.

– To zdjęcie pana Mariana zostało wykonane tu, w kuchni – dowiaduję się od mojego gospodarza, kiedy przeglądaliśmy książkę o Brudzowicach. – Siedzi pan na jego miejscu. „Byłem zaszczycony, że mnie jako 18-letniego studenta drugiego roku zaprosił do swojego domu, do Rudziczki koło Pszczyny. Przez następ-



Grób Mariana Cieśli odwiedza rodzina, przyjaciele, byli uczniowie i ludzie zafascynowani folklorem.

ne dziesiątki lat wymienialiśmy kartki świąteczne, były telefony, spotykaliśmy się. Śledziłem jego poczynania w szkole w Suszcu, działania społeczne, budowę domu, podziwiałem dbałość o dzieci i rodzinę” – czytamy w napisanym na moją prośbę wspomnieniu pana Emiliana. Nosi ono wymowny tytuł: *Marian Cieśla. Niepospolity nauczyciel*.

Opisywane są w nim ciężkie powojenne czasy w Brudzowicach: „Budynek szkolny pamiętający jeszcze czasy cara Mikołaja, był drewniany, miał jedną salę lekcyjną, pomieszczenia na kancelarię oraz pokój mieszkalny z małą kuchnią dla nauczyciela. Nieszczelne drzwi i okna oraz piec kaflowy nie zabezpieczały przed chłodem i mroźnymi zimami... Pan Cieśla był moim czwartym z rzędu nauczycielem, jednak jakże innym od swoich poprzedników. Już po odebraniu kluczy od sołtysa i zapoznaniu się ze stanem szkoły zapowiedział, że tak długo być nie może...”.

Czyż to nie był człowiek pozytywnym, którego pasją była praca u podstaw? Cieśla znalazł zastępcze pomieszczenia lekcyjne w prywatnych domach. Powiększył zbiory biblioteczne. Uporządkował dokumentację szkolną uczniów, a w tym celu rowerem lub pieszo wędrował do odległego kościoła parafialnego w Siewierzu lub do gminy w Mierzęcicach szukając metryk urodzenia. Skrupulatność godna podziwu. Organizował wycieczki do Krakowa, Wieliczki. Więcej – umiał wpłynąć na rodziców, by wyłożyli na to środki. A to w miejscu tak odległym i zapomnianym było naprawdę wielkim osiągnięciem.

Emilian Kocot wspomina dalej swojego Nauczyciela: „Czynił przygotowania do budowy nowej szkoły, wspierał budowę remizy strażackiej,

rozbudował bibliotekę”. Potem nastąpiła przerwa w kontaktach. Ale kierownik Cieśla często powracał myślą do bliskich mu Brudzowic. „Bardzo był zainteresowany losami uczniów i znajomych z okresu, gdy pracował w Brudzowicach”. Mieszkańcy tej wioski odwzajemniali się wdzięczną pamięcią. Marian Cieśla „stał się autorytetem niekwestionowanym, również z uwagi na prawdomówność, sprawiedliwe traktowanie uczniów i mieszkańców, umiejętność precyzowania celów i skupiania wokół siebie ludzi udzielających wsparcia”. Zupełnie jak w Suszcu, ludzie mówią to samo – że miał autorytet, był sprawiedliwy, dobrze zorganizowany...

Dzisiaj powiedzielibyśmy, że Marian Cieśla był świetnym liderem wiejskich społeczności. Wszędzie, gdzie docierał środowisko lokalne aktywizowało się. Tak jakby kierownik Cieśla wlewał w ludzkie serca swój zapal.

Przyjaciół miał wielu, niektórzy odeszli wcześniej, jak na przykład Edward Kozyra. Bardzo ciepło Marian Cieśla wspominał innego człowieka zasłużonego dla Suszcu, Pawła Godzka, który zostawił po sobie ogromny księgozbiór i tak jak kierownik interesował się przeszłością własnej ziemi.

– Długo staraliśmy się ukryć informację o śmierci profesora Adolfa Dygacza, z którym ojciec był w zażyłych stosunkach – mówi Joanna Glenc. – A kiedy i tak się dowiedział, przygaśł.

– Przesłał przesiadywać przy swoim biurku – dodaje Jolanta Owczarek. – Zupełnie stracił ochotę do pisania. Zmarł trzy miesiące później.

Paweł Godziek ma w Suszcu swoją ulicę. Marian Cieśla – festiwal folklorystyczny. To chyba lepsze niż pomnik.

# Dziady przydrożne

WITOLD TURANT

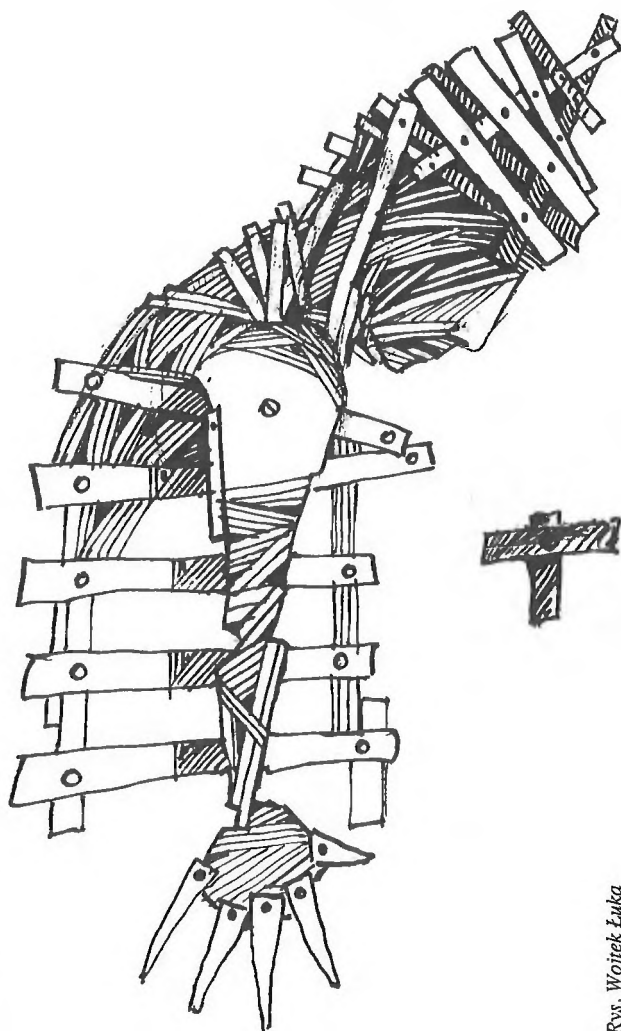
Nie ja będę dyktować mediom, czym mają się interesować, ale jeśli telewizja w Niemczech poświęca ponad godzinę czasu antenowego różnym przejawom życia, od których aż kotłuje się w pasie zieleni dzielącym autostradę na kierunek „tam” i kierunek „z powrotem”, od mrówek dążących ze swymi zdobyczami do mrowisk aż po żaloty kretów i nornic, to przypuszczałem, iż nieznane dotychczas rytuały i obyczaje odkryte w samym środku Europy muszą się doczekać jakiegoś medialnego rezonansu. Po serii moich artykułów w prasie antropologicznej i opracowaniu pełnym ostrożnych hipotez, jakie ukazało się niedawno w edycji środkowoeuropejskiej magazynu „This

Week”, kolejny etap obwieścił telefon na moim biurku, który odezwał się pewnej soboty.

Dzwonił facet z WorldSat TV i domagał się ode mnie konsultacji w sprawie przejawów życia i człowieczeństwa pomiędzy przesłami transkontynentalnej autostrady wiodącej ze wschodu na zachód (i najprawdopodobniej odwrotnie) i wokół niej. Ta autostrada była czymś w rodzaju niekończącego się wiaduktu łączącego Unię ze Wspólnotą. Tereny przez które przechodzi, to kompletna dzicz. Z nieznanym mi przyczyn nikt się tymi terenami nie interesuje i tak było od zawsze. Dlaczego? Tak naprawdę nikt tego nie wie. Samochody pędzą autostradą z zawrotną prędkością w obu kierunkach i zatrzymują się jedynie wtedy, kiedy ich pasażerów zmusi do tego fizjologia. Niektórzy z nich utrzymują, iż widzieli grupki ludzkich istot przemierzających pomiędzy przesłami. Owe istoty z wyglądu przypominały trochę australijskich aborygenów, jednakże są poważne podejrzenia, że przynależą do rasy białej. Czasem wlecze się z nimi stado wychudzonych świń. W mojej pracy przedstawiłem teorię, iż mamy do czynienia z reliktnymi narodem, który posiadał ponoć umiejętność kontaktowania się ze swymi przodkami. Miał temu służyć jakiś tajemniczy obrzęd.

Jednakże moja teoria miała bardzo chybottliwe podstawy, bowiem opierała się jedynie na jakichś strzępach relacji odnalezionych w magazynach druków, które w zamierzchłych czasach niedoskonałości elektronicznych nośników pełniły rolę bibliotek i archiwów. Później ich zawartość skopiowano elektronicznie, ale wybrano jedynie to, co istotne. Kogo jednak mogły obchodzić dokumenty dotyczące czegoś takiego? Teraz nadarzała się okazja zdobycia dowodów potwierdzających słuszość mojej teorii lub grzebiących ją za zawsze. Dziennikarze – Jefferson Kovalsky z All-American TV, Cyril McLeod z British Imperial Horizon oraz Horst Muller z Deutsche Allgemeine Fehrnsehen mieli zapoznać się z obyczajami i kulturą nomadów zamieszkujących tereny, przez które biegnie autostrada, zarejestrować kilka godzin interesującego materiału, który zostanie poddany ocenie antropologów pod moim skromnym acz kompetentnym kierownictwem, i zmontować z tego serial etnograficzny bez względu na to, czy moja teoria okaże się słuszna, czy nie. Chrząnąć moją teorię. Liczy się telewizyjny materiał. Chrząnąć telewizyjny materiał. Liczy się moja teoria. A więc występuje niespotykana zbieżność interesów. – Zgoda – odpowiedziałem facetowi z WorldSat, zanim dobiegnęliśmy do punktu: wysokość honorarium.

Upłynęło kilka dni i na poboczu autostrady zatrzymał się samochód z ekipą stanowiącą połączone siły trzech



Rys. Wojtek Łuka



satelitarnych stacji telewizyjnych, które postanowiły zrealizować wspólne przedsięwzięcie w ramach organizacji WS. Rozłożono prowizoryczne obozowisko i postanowiono czekać, aż któryś z nomadów pokaże się w sąsiedztwie. Przygotowywano i przeglądano sprzęt. Tak minął pierwszy dzień wyprawy. Drugi dzień także upłynął na cierpliwym oczekiwaniu. Wreszcie pod wieczór ich cierpliwość została nagrodzona. Ujrzeni starca wspierającego się na sękatym kij, przyodzianego w coś, co kiedyś mogło być mnisim habitem.

Kovalsky podszedł do balustrady i zawołał:

– Hey, man! Do you speak English? –

– Si, hombre. Me speak english – odpowiedział starzec. I już tylko do siebie: – Perro Yanqui.

Z dalszej rozmowy wynikało, że nieznajomy jest misjonarzem, benedyktynem, którego przysłał tu jeden z poprzednich papieży. Oczywiście zakonnik nie był tym zachwycony, ponieważ musiał opuścić swą skromną lecz wygodną i bezpieczną celę w klasztorze dysponującym fantastycznie wyposażoną biblioteką, zawierającą dzieła teologiczne chrześcijaństwa, judaizmu i islamu. Klasztor znajdował się w pobliżu jednego z licznych rozkwitających miast-ogrodów w dorzeczu Amazonki. Drugim powodem jego niezadowolenia był tutejszy klimat, który mu jako Nikaraguańczykowi dokuczał niesłychanie. Trzecim powodem jego niezadowolenia okazali się tutejsi ludzie. Nad wyraz uparci. Trzymali się swoich dziwacznych wierzeń i nie chcieli się nawrócić, twierdząc, że kiedyś ich już ochrzczono, więc nie ma potrzeby czynić tego ponownie – kontynuował mnich. – Coś wam jeszcze powiem, bo wyglądacie na sympatycznych facetów, ale to będzie off records. Kiedyś przygotowując się do przyjazdu tutaj natrafiłem w watykańskich archiwach na dokumenty, z których wynikało, iż istotnie kiedyś był to kraj katolicki. Podobno nawet jeden z papieży... ale o tym to już w ogóle nie wolno mi mówić.

– Jak żyją?

– O, bardzo prymitywnie. Nieliczni zajmują się pasterstwem czy polowaniem, tyle że nie bardzo jest na co polować. Większość żyje ze zbieractwa. Koczują na obrzeżach autostrady. Okropnie przy tym są kłóliwi. Dzielią się na dwa plemiona, ale współplemieńcy także są ze sobą skłócenii.

Reporterów mocno zaniepokoiło słowo „zbieractwo”, więc zanim udali się w drogę, prowadzeni przez starego mnicha, starannie zamknęli samochód. Jak się okazało, zupełnie słusznie. Zbierano tu bowiem nie grzyby i jagody, lecz to, co mogła ofiarować autostrada. Części rozbitych samochodów, resztki jedzenia pozostawione przez przestraszonych turystów, którzy byli na tyle nieostrożni, by zatrzymać się w tej okolicy na piknik, a także to, co dawało się odkręcić, oderwać i odłamać z zaparkowanych aut. Największą atrakcją, jak się dowiedzieli, były konserwy z wołowiną.

– Kiedyś, w zamierzchłych czasach – umiał im drogę zakonnik – ktoś wymyślił, że jedynym ratunkiem dla prymitywnej gospodarki będzie hodowla świń. Świnie bowiem, tak uważano, zapewne nie pytając o to istot najbardziej zainteresowanych, zjedzą wszystko. Etnicy dzielili się z nim swoim pożywieniem jak z braćmi. Bracia w rewanżu pokornie wędrowali do wędzarni i do kotłów, a wreszcie na koślawe i brudne stoły. Jednak aby to mogło nastąpić, należało braci najpierw zaszlachtować. Jak tu jednak zaszlachtować brata, którego się karmiło i hołubiło przez kilka miesięcy? Patrzyło się jak wzrasta w szczęściu i w dobrobycie, jak w jego spojrzeniu pojawia się wyraz autentycznej wdzięczności i przywiązania, jak zasiada do posiłków na honorowym miejscu, jak pozwala dzieciom na pełne radości i popiskiwań igraszki. A teraz co? Nagle w łeb, nożem po gardle i na hak? Tak zwyczajnie, w charakterze tuszy? Nie. Etnicy są na to zbyt wrażliwi, co by o nich nie sądzić. Jednakże aby nad-

miennie długie życie popiskujących braci nie doprowadziło ich do głodowej śmierci ustanowili obrzęd wypowiedzenia braterstwa. Odbyna się to zazwyczaj wiosną, bardzo uroczyście, a samo zaszlachtowanie może już wtedy nastąpić kiedykolwiek, jeśli tylko brat wieprz osiągnął odpowiednie rozmiary.

– Chcieli mnie nawet wciągnąć do tego proceduru – ciągnął dalej misjonarz – bo zauważyli, że mam piękne, błyszczące kropidło. Bez kropidła obrzęd jest według nich nieważny. Nie zgodziłem się jednak, więc któryś z szamanów ukradł mi kropidło i od tamtego czasu uważają, że obrzęd nabral nowej jakości. Niech im będzie.

Tak więc dowiedziawszy się, iż wołowina jest wśród etników w cenie, reporterzy, których zapasy żywności składały się w dużej części z wołowiny, poczuli dumę i nadzieję. Dumę, bo okazali się przewidujący. Nadzieję, bo zaprawieni w podróżach po różnych zapomnianych przez Boga i ludzi zakątkach świata liczyli, iż ich zapasy okażą się mocną walutą wymienną.

Przyszłość pokazała, że się nie mylili. Albowiem o czymś takim jak pieniądź zapomniano tu już dawno i handel wymienny kwitł sobie w najlepsze. Problem polegał jednak na tym, że wymieniający niewiele mieli sobie do zaoferowania. Prognozowano nawet, że owe kilkanaście puszek wpłynie wyraźnie na ożywienie rynku.

Kiedy tak wędrowali nie wiedząc, co im szykuje najbliższa przyszłość, na niebie krzyżowały się białe linie smug kondensacyjnych pozostawionych przez samoloty wiozące swych pasażerów do różnych ważnych i mniej ważnych miejsc na świecie. Udawali się tam w ważnych



i mniej ważnych sprawach, które jednak tutaj nikogo nie a nic nie obchodziły. Dla naszych dzielnych reporterów rozwiewające się na wietrze smugi stanowiły widoczny dowód na to, iż nie wiadomo na jak długo rozstają się z cywilizowanym światem. Dla etników nie znaczyły absolutnie nic, poza zapowiedzią zmiany pogody. Niegdyś interesowali się tymi srebrnymi ptaszyskami znajdującymi się na początku każdej ze smug, ale ponieważ szybko przekonali się, że nie można ich było zestrzelić ani z procy, ani z luku, dali sobie spokój. Po prostu przestali zwracać na nie uwagę.

Szli już dość długo, choć nie uszli daleko, albowiem wiekowy mnich wydatnie opóźniał ich marsz. Jedynie aplikowany od czasu do czasu łyk coraz cieplejszej coli prowokował go do żywszego przebierania wychudłymi dolnymi kończynami. Wreszcie jednak dotarli do osady.

Ujrzeni dziwaczne zabudowania wykonane z resztek karoserii i skrzynek po owocach. W zwodniczym świetle zmierzchu Cyriłowi widok wydał się upiorny, Jeffersonowi dziwny, ale budzący jakieś odległe skojarzenia, natomiast Horst uznał go za romantyczny i nie pozbawiony uroku, zwłaszcza, że ujrzał go zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym mieszkał i pracował. Przecież, z jakim się spotkali było raczej ostrożnie życzliwe i, jak zgodnie twierdzili Cyril i Jeff, zawdzięczałi je głównie puszkom z podobizną słynnego torreadora. Nie żeby latynoska facjata była nomadom znajoma. Zdecydowanie chodziło tu o zawartość. Natomiast Horst był skłonny doszukiwać się głębszych podtekstów w rodzaju oczekiwania na jakąś odmianę, na jakiś skok cywilizacyjny.

– Pomyślcie tylko – tłumaczył upartym anglosasom. – Najpierw Cyrił, twój imiennik zresztą, wraz z Metodym, a teraz my. I w dodatku możemy to udokumentować. – A tamci z uporem utrzymywali, że to tylko kwestia znudzenia monotonną świńską dietą. I bądź tu mądry.

Najważniejsze jednak, że dzięki zapasom markowych napojów orzeźwiających, taszczonych z wielkim samozaparciem przez Cyrila, uzyskali zgodę naczelnika osady na robienie zdjęć. Ruchomych i nieruchomych.

Po nocy przespanej wśród dziwnych odgłosów i zapachów, a także polowania na niezidentyfikowane insekty, zabrali się do pracy od samego rana. Nakręcili trochę scen rodzajowych, jak np. przygotowanie przez kobiety posiłku dla wyruszających po łupy mężczyzn, stadko umorusanych dzieci igrających z wesołymi prosiakami w kałuży na skraju osady, młodzież bawiącą się starą oponą Tira. Kiedy przystąpili do filmowania młodego specymenu płci żeńskiej wygrzewającego się na słońcu, okazało się, po zastosowaniu gąbki i płynu do mycia naczyń, że nomadowie z całą pewnością należą do rasy białej. Ubocznym skutkiem tego zabiegu był zdecydowany wzrost popularności Horsta Mullera wśród żeńskiej części ludności. Mimo że płyn do mycia naczyń wkrótce się wyczerpał i skończyła się także przyniesiona w trybie awaryjnym z samochodu butla szamponu do karoserii, Mullerowi towarzyszył zawsze spory tłumek etniczek różnego kalibru, wieku i urody, co pozwoliło mu na skrócenie godzinnego programu dla stacji Pervert-Sat, zaspokajającej gusty najwybredniejszych smakoszy.

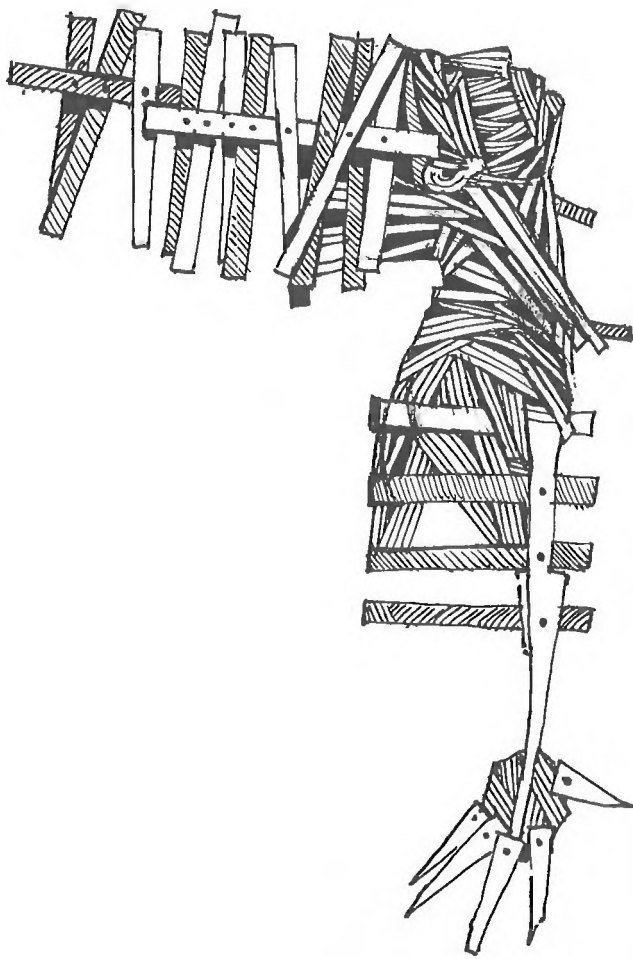
Samopoczucie dzielnej trójki poprawiał fakt, iż zakonnikowi szybko udało się ustalić, że dobrze trafili. Osada, wedle słów szamana, który odpowiedzialny był za życie duchowe i zdrowie moralne swej trzódki, kulturuje prawdziwe, a dokładnie rzecz ujmując, najprawdziwsze tradycje etniczne. – Oczywiście – rozwodził się szaman, zwany w tutejszym narzeczu wajdelotą – po drugiej stronie autostrady znajduje się osada innego plemienia, kiedyś, w zamierzchłych czasach spokrewnionego z naszym. Pokrewieństwo to jednak trochę przybladło

w mrokach historii. Poza tym tam rządzi głupota ożeniona z ciemnotą. Nawet świnię po tamtej stronie mają zezą. Po prostu dno. Pod każdym względem.

Z szamanem należało postępować arcydelikatnie. W strukturze społecznej zajmował bowiem, o czym już wiemy, arcyważne miejsce. Nie tylko rozstrzygał wszystkie spory ideowe i etyczne, ale nadzorował produkcję wstrętnej cieczy o nadzwyczajnych właściwościach. Smakiem i zapachem przypominała dawno już w Europie zakazane środki insektobójcze. Niemniej spożyta przez wajdelotę raz w tygodniu w ściśle określonej dawce pozwalała mu uzyskiwać zdolność jasnowidzenia. Tego dnia mieszkańcy osady schodzili się na głównym placu i wysłuchiwali jego natchnionych przemówień, a potem oglądali rytualny taniec, także w jego wykonaniu, który kończył się zapadnięciem w głęboki sen. Następnego dnia wajdelota był dla publiczności niedostępny.

Było zatem oczywiste, że w sprawie kontaktów ze zmarłymi przodkami nie wolno było zadawać pytań w sposób obcesowy, a raczej należało zdobyć się na maximum dyplomacji. Padre Mendoza także niewiele mógł im pomóc. Po pierwsze nigdy go do tego obrzędu nie dopuszczono, a po drugie nawet gdyby, to i tak nie bardzo by mu wypadało, z uwagi na swoją funkcję, w nim uczestniczyć. Byłoby kiepsko, gdyby jedna z etniczek, oczarowana osobistym wdziękiem Mullera i jego kosmetykami niespotykanej jakości, nie chlapnęła, że ten sam obrzęd występuje także po drugiej stronie autostrady, tyle, że tamci w ogóle nie mają do niego prawa.

– Mają, nie mają! A kogo to obchodzi!? – zawołał triumfalnie Horst i pobiegł podzielić się tym odkryciem z kolegami. Postanowili dokończyć w ciągu następnego dnia dokumentowanie tego, co było dla nich dostępne, a potem zagrać *va banque*.



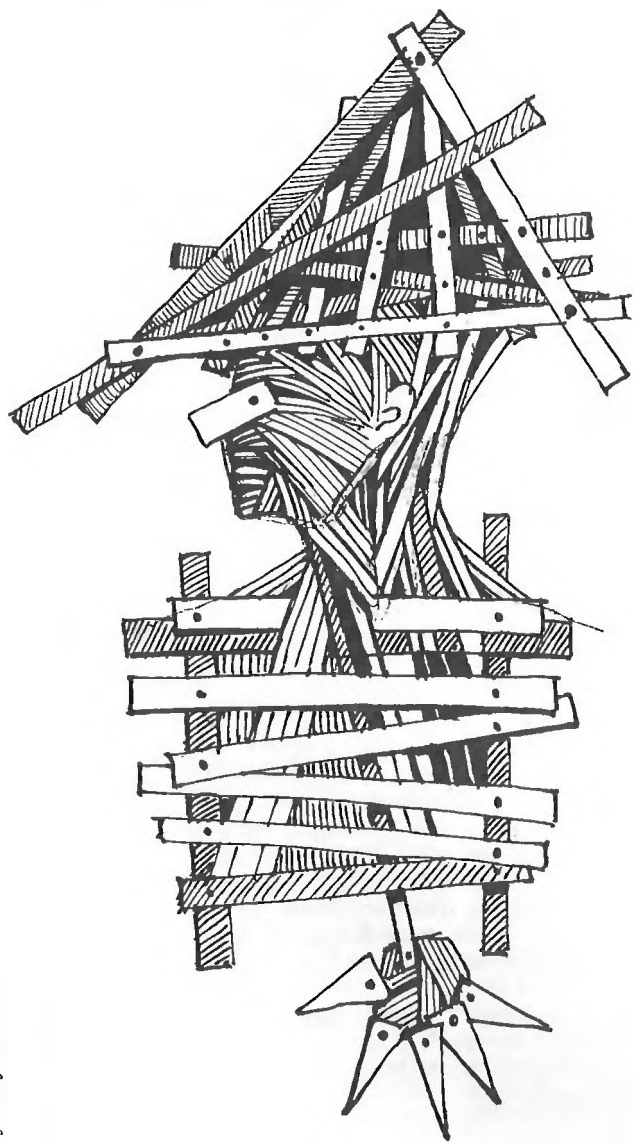
Rys. Wojtek Łuka

Zapewniwszy sobie towarzystwo padre Mendoza, wyruszyli w kierunku, z którego przybyli. Pamiętali, oczywiście, o przestrogach udzielonych im przez naczelnika.

– To głupki. A do tego nie znoszą obcych. Poza tym nie marnujcie na nich tych wspaniałości. – Tu wskazał nie pierwszej czystości ręką na upychane właśnie w plecaku przez Cyrila graniaste flaszki z wizerunkiem Szkoła grającego na dudach. Wzrok jego stał się tęskny i zamglony, jakby nagle objął swym spojrzeniem wszystkie wydarzenia przeszłe i przyszłe. Kto dziś, w cywilizowanym świecie, potrafi tak spojrzeć?

Po drodze, która wydała im się dziwnie krótka, urządzili postój przy samochodzie i uzupełnili zapasy. Następnie przeszli pod niekończącym się wiaduktem, a wieczorem znaleźli sobie nocleg w zarośniętej pokrzywami ruinie, która kiedyś była hotelem. Było zabawnie. W każdym razie z punktu widzenia nietoperzy i szczurów. Dawno już się tak nie uśmieali. Trójka reporterów może nie aż tak bardzo, ale zabawa w „pogoń szczura” lub „złap nietoperza” potrafi człowiekowi umilić czas, nawet do samego rana.

Rankiem ruszyli dalej i po kilku godzinach marszu doznali wrażenia déjà vu. Te same chaty z resztek samochodów i skrzyniek, te same, jakby nieostre, ludzkie postacie i nawet dzieci umorusane tak samo, a u świń, z którymi radośnie taplały się w kałuży, ani śladu zeza. Spojrzeli nieufnie na zakonnika, ale on przycisnął dłoń do krzyża, który nosił na piersiach, że niby przysięga, iż nie przyprowadził ich do tej samej osady.



Rys. Wojtek Łuka

– No dobra – pomyśleli wszyscy trzej. – Jeśli tak, to potrzebny nam szaman.

Na razie rozkładali w przydzielonej przez naczelnika lepiance swoje lary i penaty w taki sposób, by nie uszły niczyjej uwagi konserwy z torreadorem (choć może lepszy byłby byk), magazyny dla dorosłych i wielka, półgalonowa flacha z dudziarzem na etykietce. Muller zabawił wioskową starszyczkę salonową rozmową o niczym, a padre wdychał i spoglądał na to wszystko wzrokiem, który zdawał się mówić, że środki, jakie zastosowano, choć wiodące do szlachetnego celu, nie zyskują sobie jego aprobaty. Wreszcie, zgodnie z ich przypuszczeniami, pojawił się szaman.

Spotkanie rozpoczęli od narzekania (owszem, to wstrętne, ale tak było trzeba) na brak gościnności w tamtej osadzie i okropne warunki, w jakich byli zmuszeni tam przevegetować, co oczywiście bardzo się źle odbiło na ich pracy, a skutek jest taki, że właściwie nic nie mają, by pokazać światu, jacy dzielni ludzie żyją pomiędzy przesłami wiaduktu. Szaman zrobił minę, która była ilustracją maksymy, iż głupi najbardziej szkodzi sobie sam. Zaproponowali mu zawarcie bliższej znajomości z duchem zamieszkałym w butelce z dudziarzem. Wszystko wskazywało na to, że ta w końcu śmieszna ilość trzydziestoletniej whisky może okazać się fantastyczną inwestycją, kto wie, czy nie najbardziej rentowną w ich życiu. Śledzili w wielkim napięciu powolne i pełne namaszczenia ruchy szamana. Najpierw obejrzał nieufnie flaszkę pod światło, następnie powąchał złotobrazowy płyn, wreszcie pociągnął spory łyk i... zamachnąwszy się solidnie, rozbił flaszkę o najbliższe drzewo. Reporterom odjęło mowę. Gwarantowana szkocka, sprawdzona na całym świecie. McLeod zakipiał tłumionym gniewem. Urażono jego szkocką dumę. Postanowił okrutnie się zemścić. Wyciągnął z plecaka butlę paliwa do kuchenki turystycznej i podsunął szamanowi. Kowalski i Muller zastylgli w bezruchu i zbledli, a zakonnik sprawiał wrażenie odmawiającego modlitwę.

Szaman z kamienną twarzą powąchał butelkę i podniósł ją do ust. Pociągnął tęgi haust. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz błogości i nie zszedł z niej dopóki butla nie została opróżniona. Posłał jeszcze przez chwilę jej szyjkę, potem czknął potężnie i wybełkotał w miejscowym narzeczu coś, co brzmiało jak: – Dawaj jeszcze.

– OK – odpowiedział McLeod. – Ale nie tak zaraz. – I przedstawił drżącym z emocji i zaskoczenia głosem warunki ekipy. Szaman pokiwał głową ze zrozumieniem. Wychylił jeszcze dwie miarki miejscowej trucizny i udał się na naradę ze swoim sumieniem i bańką po oleju silnikowym, pełną czegoś zupełnie innego. Następnie ranka stanął przed spiworem McLeoda i powiedział, że się zasadniczo zgadza. – Nie zapominajcie jednak, że jest jeszcze naczelnik i kilku ogólnie szanowanych obywateli, których zdanie także się liczy.

Rozdano więc konserwy i kilka egzemplarzy starych, zatłuszczonych magazynów dla mężczyzn. Uzyskanie zgody etnicznego areopagu było formalnością.

\*\*\*

– Ciemno wszędzie... – zaczął szaman, zwany również i tu wajdelotą.

Zgromadzeni etnicy byli jak w transie. Reporterom ciarki przebiegały po plecach, zwłaszcza kiedy na wezwanie wajdeloty pośrodku na wpół zburzonego baraku zaczęli pojawiać się niesamowici przybysze. Można było jedynie zgadywać, że wajdelota wygrzebał ich z bardzo zamierzchłej przeszłości.

– Głucho wszędzie... – Szaman dochodził do ostatniej odsłony tego fascynującego widowiska, które udało się zarejestrować w całości. Gdzieś w sąsiedztwie zapiał ko-

gut. Raz, potem drugi i trzeci. Nim skończył pięć, barak znów stał się barakiem, wiatr rozwiał zapach siarki i kadzideł, a po gościach z tamtego świata nie było śladu. Etnicy rozchodzili się do domów, sprawiając wrażenie, iż nie są pewni, czy to, co zakończyło się przed chwilą było jakimś dziwnym seansem filmowym, czy też prawdziwym obrzędem, dzięki powtarzaniu którego istnieją jako wspólnota. Poczucie rzeczywistości trzech reporterów było jeszcze bardziej zakłócone. Gdyby nie zarejestrowany obraz fantastycznej jakości, byłiby skłonni przypuszczać, iż uczestniczyli w seansie zbiorowej hipnozy, której ulegli niby jacyś nowicjusze. Rewelacja. Trudno to było inaczej określić.

\* \* \*

Szli jak w transie. Nie wiedzieć kiedy dotarli pod przęskła autostrady. Nagle zza jednego z filarów wyskoczyło kilka zamaskowanych postaci.

– O, nie, amigos! – zabrzmiał znajomy głos spod maski. Bardzo nieładnie. Nakręciliście wszystko u tych meneli zza drogi, a my to sroce spod ogona wypadliśmy, tak?

Gdy herszt porywaczy po przepędzeniu ich przez zagajnik zdjął maskę, nikogo nie zaskoczył widok facjaty naczelnika osady „alfa”. Reporterzy nazwali tak pierwszą osadę dla odróżnienia od drugiej, którą nazwali „beta”. Jako argument mający ich przekonać do zmiany planów służyły ubite butelki i szpikulce, którymi zazwyczaj rozprawiano się ze świniami. Choć sytuacja wydawała się groteskowa, to trzeba przyznać, iż argumenty były przekonujące.

– Przypomnij mi – tłumaczył swój akt przemocy naczelnik. – Gdybym was puścił bez nakręcenia naszych „działów”, to mnie by zarżnęli, albo w najlepszym wypadku straciłbym stanowisko. Trudno. Musicie to zrobić.

Reporterzy jakoś pogodzili się ze swym losem. Nie mogli jeszcze wiedzieć, iż moje późniejsze dogłębne badania nad tą społecznością pokażą, iż jedną z fundamentalnych cech jej systemu norm społecznych jest unicestwienie byłej władzy. W społeczeństwie tamtejszym nie ma pojęcia władcy-emeryta czy przywódcy-emeryta. Jest przestępca, zdrajca, wreszcie trup. Dlatego ktokolwiek dorwie się do koryta, czuje niesłychanie silny imperatyw, zagłuszający wszystko inne, by sprawować władzę dożywno. I ten imperatyw popchnął właśnie niedoszłą padlinę polityczną na ścieżkę zbrodni, a dokładnie kidnappingu.

Kiedy przybyli do osady, wszystko było już gotowe. Zanim jednak usłyszeli sakramentalne słowa: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie...”, musieli wysłuchać jere-miady szamana. Wyjaśnił im także, że obrzęd, którego byli świadkami w osadzie „beta” nie jest niczym innym, jak użupacją, osadziestwem i bluźnierstwem. – Najlepszym dowodem niechaj będzie fakt, iż jest rzeczą ogólnie wiadomą, że przed wieloma laty do osady zaplątali się dwaj starozakonni. Co prawda usunięto ich czy też sami uciekli po jakimś czasie, ale biorąc pod uwagę rozwiąłość betanek, należy zakładać, że wśród domniemanego żydowskiego pomostwa może znajdować się ich szaman. Bez czystości krwi nie ma czystości obrzędu.

Potem już wszystko potoczyło się gładko. W oświetlonym przytłumionym, padającym nie wiadomo skąd światłem, kręgu zaczęły pojawiać się postacie. Cały korowód. Z różnych epok. Bohaterowie, zdrajcy, tchórze, rozwiązłe kobiety, mniszki. Większość z nich sprawiała wrażenie cierpiących. Reakcje zgromadzonych były różne: od gorącego entuzjazmu do wyrażanej gwizdami dezaprobaty. Zrelacjonowano mi także i to, co działo się wśród zgromadzonych poza obrazem utrwalonym przez kamerę. Otóż doszło kilka razy do gorszących scen, któ-

re, niewiele brakowało, a przekształciłyby się w zamieszki. Najgwałtowniejszą reakcję i spory wywołało pojawienie się pewnego wąsatego jegomościa w mundurze i w okrągłej czapce zwanej maciejówką oraz sztywno trzymającego się typka w ciemnych okularach. Powszecznym gwizd i wrzaski wywołał zezowaty lysoń, gadający rozlażym głosem rozwlekle i długo, którego z magicznego kręgu w niebyt usunął na powrót dopiero silny kuksaniec ze strony wajdeloty.

Chłopaki przywieźli mi rewelacyjny materiał, dzięki analizie którego znów trafiłem na pierwsze strony gazet i do nagłówków serwisów telewizyjnych. To był po prostu samograj. Ale najlepsze, a zarazem potem najgorsze, wydarzyło się w Ameryce.

Najlepsze było to, że odezwała się w Ameryce spora grupa ludzi, którzy zaczęli przyznawać się do pokrewieństwa z nomadami z pobocza transeuropejskiej autostrady i zapragnęli kultywować ów pradawny obrzęd. Gdy po telewizyjnej emisji serialu „Byways Of the Highway” zostałem zaproszony do Stanów, odniosłem gigantyczny sukces. Podróżowałem z miasta do miasta i wszędzie byłem przyjmowany jak bohater i to nie tylko przez krewnych etników. Kilka uniwersytetów zaproponowało mi cykle wykładów, a w doktoratach honoris causa mogłem przebierać jak w ulegalkach. Powstał wtedy pomysł sprowadzenia szerokiej reprezentacji tego ludu do Waszyngtonu, gdzie miałyby być gośćmi prezydenta, a ich obyczaje, jako jedno z etnicznych źródeł amerykańskiej kultury, w całości i drobiazgowo miały zostać zdokumentowane dla Biblioteki Kongresu, rzecz jasna po wyborach.

A potem nadeszło najgorsze: kandydat demokratów uczynił z tego zamierzenia jeden z punktów swego programu wyborczego. I poległ. Wyciągnął się na wyboistej drodze do Białego Domu jak długi. W tym samym bowiem czasie ukazał się raport Komisji Bezpieczeństwa. Wynikało z niego, że nomadowie są tak kłótniwi i nieprzejednani, że przyjazd większej grupy i rozbudzenie dawnych sentymentów plemiennych może trwale zagrażać bezpieczeństwu USA. Komisja odradza także udzielanie jakiegokolwiek pomocy i utrzymywania kontaktów z nomadami w sercu europejskiej głuszy. Zaleca utrzymanie istniejącego status quo. A najdziwniejsze było to, iż odpowiednie agendy mające zawsze odrębną opinię Unii były identycznego zdania. Tak więc pierwszą rzeczą, jaką zrobił prezydent-elekt było ogłoszenie blokady tego terenu. Unia tym razem poszła w jego ślady.

\* \* \*

Nad osadą zapadł zmierzch. Jeff Kowalsky przekradł się przez linię posterunków sanitarnego kordonu rozciągniętą wzdłuż całej autostrady i różnym krokiem zmierzzał do osady „alfa”. Niemal od początku etnicznej przygody dręczyła go zagadka: dlaczego tyle nazwisk w jednej i w drugiej osadzie miało takie same końcówki jak jego nazwisko. Teraz znał już odpowiedź i choć w zasadzie, zwłaszcza jako były żołnierz piechoty morskiej, zgadzał się z decyzją prezydenta, jakoś głupio mu było tak to wszystko zostawić. Na niebie widoczne były smugi pozostawione przez samoloty. Wiatr rozwiewał je, jak stracone szanse. – Są miejsca na świecie, gdzie działają jakieś cholerne fluidy – myślał Jeff. – Ale ostatecznie w Afryce dawno temu Korpus Pokoju zrobił to i owo. Może kiedy trochę się nad nimi popracuje, pokaże się im inny świat, przejrzą na oczy. Może. – Szedł i powtarzał sobie to „może” z coraz mniejszym przekonaniem, aż wreszcie zauważył, iż zaszedł zbyt daleko, by zawrócić. A poza tym wspólnota krwi i ziemi też coś, do cholery, znaczy, no nie?



Po filmie „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” można już mówić o „kinie Koterskiego”. Jest on bowiem zjawiskiem w polskiej sztuce odrębnym, bezwzględnie samoistnym; jest pisarzem swoich filmów i jednocześnie reżyserem swoich tekstów, to coś więcej niż inscenizator własnych scenariuszy!

Marek Koterski tworzy kino osobiste w tym sensie, że nie próbuje się zastrzeżać, iż to, co na ekranie, nie ma bezpośredniego przełożenia na jego życie prywatne, a postaci z filmu nie mają swoich odpowiedników w rzeczywistości. To zawsze jest mniej czy bardziej wiarygodny wybieg... Bohater filmów Koterskiego nazywa się Miauczyński, choć mógłby się nazywać Koterski, co dla tych, którzy chodzą na „filmy Koterskiego” nie byłoby ani zaskoczeniem, ani tym bardziej dziwactwem. Kiedy indziej nie ukrywał nawet filmowej profesji Adama Miauczyńskiego. W „Dniu świra” i „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” ten trop identyfikacyjny został odrzucony. Autor obdarował bohatera jedynie częścią swego wykształcenia: dyplomami polonisty i kulturoznawcy. Jak najsluszniej, ponieważ w potocznym odczuciu reżyser filmowy (niekoniecznie nawet wybitny!) to jest ktoś przez los wyróżniony, a Koterski chciał porozmawiać z widownią za pośrednictwem, owszem, inteligenta z dyplomem (czy nawet dwoma) uniwersyteckim w szufladzie biurka, ale inteligenta z M-3, mieszkańca blokowiska, który groszową gażę pobiera – jak większość z nas – w poczuciu beznierownego upokorzenia.

„Dzień świra” opowiadał – w sposób poetycki, metaforyczny – o rozpaczliwych wysiłkach zachowania resztek wewnętrznego spoiwa (czerpanego z kultury) w świecie do cna rozbitym, oferującym ideową dezorientację i nie ponad ogłupiającą konsumpcję (także w sferze ducha). Była w nim też – nie mniej rozpaczliwa – próba uratowania rwących się od samego początku więzów z synem w wieku licealnym. W tym miejscu znów zacierają się granice między fikcją kinową a realnością życia: Marek Koterski odbierając Złote Lwy w Gdyni powiedział wprost, że ten film (Dzień świra) przywrócił jemu syna, Michała, a synowi – ojca. Po czym nastąpił uścisk obu panów Koterskich, i nie było w tym ani grama kiczu. Były chyba łyzy (w oczach ojca i syna), ale nikt nie miał wątpliwości, że ta chwila na scenie gdyńskiego Teatru Muzycznego nie tylko jest świętem reżysera, który odniósł największy w swym artystycznym życiu tryumf, lecz zdarzeniem głęboko ludzkim, wykraczającym poza ramy samego festiwalu, także i filmu, bezwzględnie wybitnego. Stawką, jak mi się wydaje, nie była nagroda (owszem, ale jakby po drodze!), stawką było życie.

W centrum filmu „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” jest ten sam chłopak, którego poznaliśmy w filmie poprzednim, i znów gra go (czy raczej: jest nim!) Michał Koterski. Starszy o dwa, trzy lata.



## Wszyscy jesteśmy Chrystusami

Już młody mężczyzna, najwyraźniej o psychice okaleczona, z bliznami nie do usunięcia. Rozmowa ojca (Marek Kondrat) z synem (Michał Koterski) spina wszystkie główne i poboczne wątki i sekwencje. Jest to coś w rodzaju seansu psychoanalitycznego, w czasie którego obie strony – już po odzyskaniu względnej równowagi – mówią nie oszczędzając się nawzajem, mówią – jak przed Najwyższym Trybunałem – prawdę, tylko prawdę i nic oprócz prawdy. Celem tej rozmowy jest dotarcie – ojca i syna – do źródła zła, które zdruzgotało ich życie. Tak, iż nie było to już życie, ale, jakby powiedział syn (w filmie Sylwek) – masakra.

Tym złem był alkoholizm Adama Miauczyńskiego (w tę postać wciela się dwóch aktorów: Marek Kondrat (Ja 55-letni) i Andrzej Chyra (Ja 35-letni), w obu przypadkach śmiało można mówić o filmowych kreacjach! Choroba alkoholowa najwyraźniej została przekazana w adresie genetycznym przez ojca Adama, a dziadka Sylwka. W kilku partiach filmu uchylają się drzwi od – w przenośni i dosłownie – dziecinnego pokoju Adasia Miauczyńskiego, który żarliwie modlił się, prosząc Boga o rychłą śmierć ojca, upatrując w niej jedyną szansę na życie w spokoju, bez udręk i koszmarów. Sylwek (Michał Koterski, przekonujący mimo aktorskich niedostatków, nie jest wszak aktorem, ale obecność rzeczywistego syna reżysera, w filmie, w którym postać główna zostaje w obsadzie zdefiniowa-

POZA KADREM

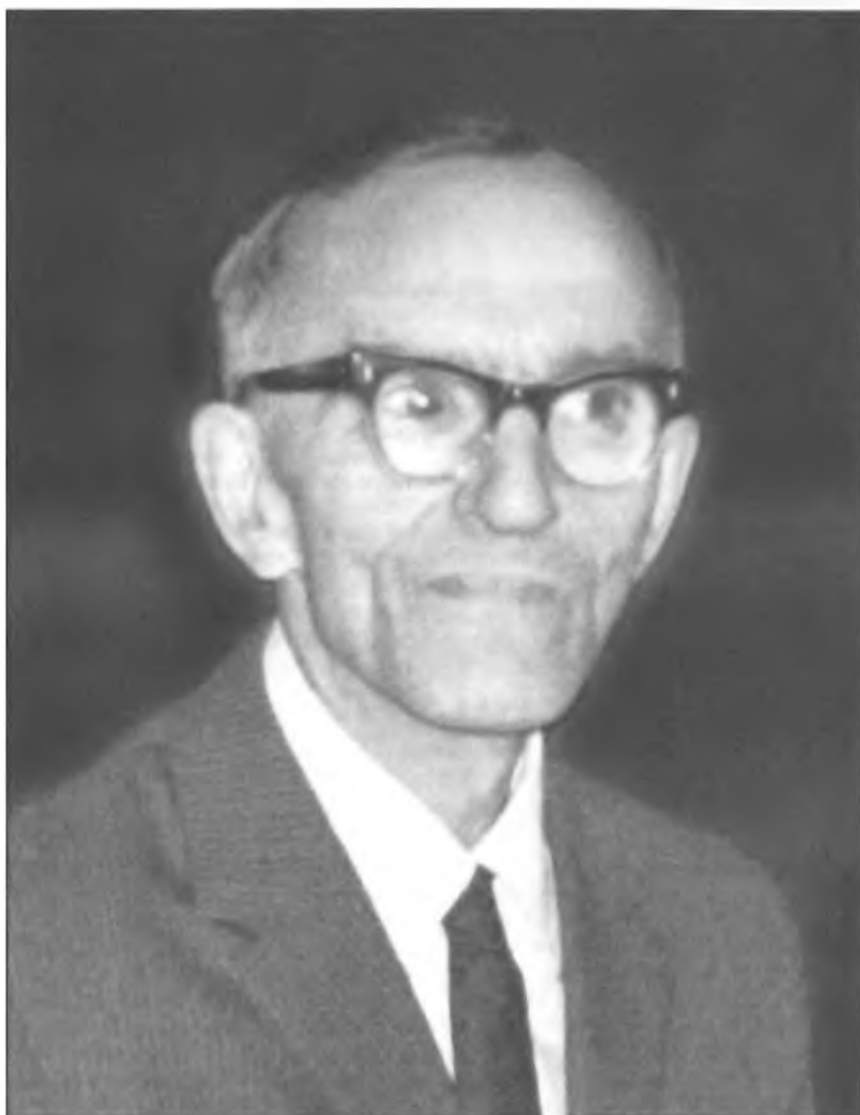
na jako JA, wnosi do filmu powagę spraw najważniejszych) w trakcie owej zasadniczej rozmowy z ojcem, również ujawni, iż pragnął śmierci ojca. Przywołuje kilka sytuacji, w których całkowicie zawiódł go ojciec-alkoholik, także takie, gdy się ojca najwyraźniej wstydził. Pragnienie śmierci ojca miało w Sylwku jeszcze jedną przyczynę: narkomanię chłopca, który, jak wielu jego kolegów, zaczął brać amfetaminę. Zatem ów genetyczny przekaz dotarł do Sylwka, spełniając się już w trzecim pokoleniu. Czyżby to była kłątwa? Jak sobie z tym poradzić? Czy możliwy jest ratunek?

A więc film o chorobie alkoholowej? Wiele powstało filmów o alkoholikach, filmów złych i wielkich, w polskiej kinematografii arcydzielny był tylko jeden: „Pętla” W. Hasya wg noweli Marka Hłaski. O ile jednak „Pętla” była pesymistyczną opowieścią – na granicy realności i halucynacji – o samotności nieemożliwej do odwołania, nieusuwalnej, wpisanej w los człowieczy, daremnie zagłuszanej przez alkohol, z samobójstwem w finałowej scenie, o tyle film Marka Koterskiego „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” jest, w swej najgłębszej istocie, moralitetem z iskrą nadziei. Odwołanie do symboliki ewangelicznej, z Chrystusem dźwigającym swój krzyż (Chrystusem jest raz Adam Miauczyński, raz jego żona, raz matka, raz syn Sylwek), padającym pod jego ciężarem, ale i podnoszącym się z największym natężeniem woli i mięśni, aby iść dalej, ku swemu przeznaczeniu.

Wpisanie losu Adama Miauczyńskiego i jego najbliższych w Mękę Pańską nie jest zabiegiem nachalnym; Jak się rzekło, bohater filmu jest kulturoznawcą, pracownikiem uniwersytetu, który objaśnia swoim studentom ukryte sensy Ostatniej Wieczerzy, Drogi Krzyżowej, mieszając we własnej głowie plany i epoki, rzeczywistość i sztukę. Forma wypływa zatem z wnętrza opowieści domagając się poetyki przypowieści, symboliki moralitetu. Rzeczą artysty jest zachowanie właściwej miary, i Marek Koterski w pełni kontroluje wielopostaciowy, migotliwy materiał, osiągając w wielu scenach, całych sekwencjach rzadką w kinie współczesnym czystość tonu i intensywność emocjonalną. Gdy ojciec i syn kierują wzrok ku niebu, wierzymy, że zawierają swój los Opatrzności. Wierzymy, ponieważ wiarygodność Marka Koterskiego jest niepodważalna.

Myślę, że nikt, poza Ingmarem Bergmanem, nie wszedł w swoje filmy tak otwarcie z własną prywatnością. Z tym, że Marek Koterski poszedł o krok dalej.

„Homo politicus z franciszkańską twarzą, ale w dialogowym podnieceniu źródło wrzące” – napisał o znakomitym śląskim historyku – Alojzym Targu jego przyjaciel Zbyszko Bednorz. Te osoby, która poznały Targę w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zapamiętały go przede wszystkim jako człowieka naznaczonego cierpieniem, choć i wtedy, gdy zapalał się w rozmowie, gdy grały w nim emocje stawał się istotnie – „źródłem wrzącym”.



# Przypomnienie Alojzego Targa

KRYSTYNA  
HESKA-  
KWAŚNIEWICZ

Alojzy Targ, „Marcin”, „Zipser” – urodził się w 14 maja 1905 roku w Łazach koło Grodzca na Śląsku Cieszyńskim w ubogiej rodzinie robotniczej, jako syn Jana i Katarzyny z Gańczarczyców. Z domu rodzinnego wyniósł patriotyzm, surowe zasady moralne oraz gruntownie zakorzenione wyznanie katolickie i gorące umiłowanie śląskości. Wyniósł także przekonanie o nieuczzonej, a najprawdziwszej mądrości prostego człowieka.

Należał do pierwszego pokolenia śląskiej inteligencji, które pełny awans społeczny i kulturalny osiągnęło w dwudziestoleciu międzywojennym. Nie dziwi więc, że po ukończeniu studiów historycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim powrócił na Śląsk i podjął pracę nauczycielską w Katowicach, Chorzowie, Lublińcu i Boguminie współtworząc równocześnie w Katowicach środowisko młodej i pełnej entuzjazmu inteligencji śląskiej. Silnie związał się z ruchem narodowodemokratycznym o zabarwieniu radykalnym. Działalność w latach 1926-1928 w związku Młodzieży Wszechpolskiej, a w latach 1933-39 w Ruchu Narodowo-Radykalnym wchodząc w skład Zarządu Głównego RNR. Była to organizacja głosząca hasła skrajnie prawicowe i antykomunistyczne. Związany był także ze środowiskiem „Kuźnicy” i Pawłem Musiolem, należąc do żarliwych propagatorów idei regionalistycznych. Jego regionalizm posiadał wszakże określoną filozofię i stanowił efekt wielu przemyśleń. Wartości ruchu regionalistycznego widział w podnoszeniu tego, co regionalne do godności narodowego, szukaniu w przeszłości i w kulturze regionu związków z Macierzą, w końcu w jedności i wspólnocie całego Górnego Śląska (w dwudziestolecie istniał silnie odczuwalny rozłam między Śląskiem Cieszyńskim a przemysłowym). W swych przekonaniach zbliżał się do Romana Dyboskiego.

Jako autor zadebiutował w roku 1929 i od pierwszego momentu w jego pracach, zrazu popularnych i publicystycznych, potem naukowych, pojawiły się cechy, które będą charakterystyczne dla jego pisarstwa i postawy osobistej aż do końca życia. Będzie to wielka dbałość o prawdę, pietyzm wobec szczegółów, sytuowanie jednostki w kontekście dziejów narodu i surowa ocena postaw moralnych. Z tego okresu pochodzą liczne publikacje publicystyczne i jedna już o charakterze naukowym, będąca zarysem historii studenckiego stowarzyszenia młodzieży Śląska Cieszyńskiego o nazwie „Znicz” oraz redakcja *Księgi o Śląsku wydanej z okazji jubileuszu 35-letn. Istnienia „Znicza”* w Cieszynie w roku 1929.

Czas, w którym jego osobowość miała dojrzeć w pełni i osiągnąć swój wielki format, nadszedł wraz z wybuchem II wojny światowej, bowiem dopiero w konspiracji ujawnił swoje prawdziwe możliwości.

Trudną egzystencję człowieka podziemnego zaczął prowadzić bardzo wcześnie, bo już 11 października 1939 został współorganizatorem Tajnej Organizacji Wojskowej w Cieszynie, która miała za zadanie głównie ułatwianie ucieczek ze Śląska osobom prześladowanym przez Niemców i gromadzenie funduszy dla rodzin, w których nastąpiły aresztowania. W kilka miesięcy później, po połączeniu się TOW ze Związkiem Walki Zbrojnej Targ wszedł w skład Inspektoratu cieszyńskiego ZWZ,

gdzie jego zwierzchnikiem był przyjaciel z lat międzywojennych Paweł Musioł. Targ odznaczał się niezwykłą dynamiką działania: poruszał się po całym terenie, organizował nowe komórki ZWZ, zabezpieczał finanse, przeprowadzał inspekcje, zaprzysięgał nowych członków. Oficjalnie pracował fizycznie w Bielsku, jako robotnik budowlany. W 1940 roku musiał uciekać do Warszawy, gdyż interesowało się nim gestapo. Zakonspirował się w okupowanej stolicy i szybko stał się ważną osobą zarówno w Sekcji Zachodniej Delegatury Rządu na Kraj, jak i w tajnej organizacji o charakterze ideowym – „Ojczyzna”, skupiającej inteligencję z województw zachodnich przedwojennej Polski. Był zresztą już znany dzięki swej publicystyce z „Kuźnicy” i „Zarania Śląskiego”. W „Ojczyźnie” urzekła go wyrażenie obecna myśl zachodnia. Przygotowywał też z tego zakresu programy i ekspertyzy dla konspiracji krajowej i rządu emigracyjnego, interesował go zwłaszcza los polskiej ludności na Śląsku Opolskim.

Był poważnym, wiarygodnym specjalistą od spraw śląskich, który wszystkie swoje opinie popierał gruntowną wiedzą historyczną i socjologiczną, dlatego szybko wszedł do ścisłego kierownictwa „Ojczyzny”, która w swym programie nawiązywała do tysiącletnich związków Polski z chrześcijaństwem i kulturą zachodnią, a przyszłe losy Polski wiązała z granicą na Odrze i Nysie. Wielka aktywność działalności „Ojczyzny” i Delegatury Rządu niezwykle Targowi odpowiadała, poznał tu wiele wybitnych osobowości, między innymi swego „duchowego syna” – utalentowanego młodego poetę – Józefa Ryszkę. Targ miał dar słuchania innych, dlatego wiele osób polecało mu swoje sprawy, sam zaś wciągnął do konspiracji Zbyszka Bednorza, który już od roku 1940 też przebywał w Warszawie.

Bednorz w *Latach krecich i ortowych* tak wspomina pierwszą rozmowę z Targiem: „Przekonująco ukazywał realia naszej sytuacji, analizował położenie Niemców na froncie, rysował obraz naszego społeczeństwa z punktu widzenia jego dojrzałości politycznej w stosunku do zadań, które coraz natęczywiej stają przed narodem”.

Powołano go więc na stanowisko przewodniczącego śląskiej komórki „Ojczyzny”, którą to funkcję pełnił w czasie całego okresu jej istnienia. Pozyskał wtedy dla spraw śląskich wiele wybitnych osób. Piszze Zbyszko Bednorz: „Umieć znaleźć dla sprawy odpowiedniego człowieka – oto jest sztuka. „Marcin” to umiał. „Marcinowi” to się udawało. Niekiedy sam, niekiedy przez drugich zdobywał swoich współpracowników. Raz drogą ślepego przypadku, drugi raz metodą planowych penetracji środowiskowych i poszukiwań. I tak w kręgu śląskiej komórki „Ojczyzny” działającej w Warszawie i poza nią, głównie w Krakowie, znajdowali się, w powiązaniach formalnych i nieformalnych, doskonale znający sprawy śląskie profesorowie, dziennikarze, oświatowcy, specjaliści od gospodarki i finansów”.

W marcu 1942 roku dowiedział się o aresztowaniu swego przyjaciela, Pawła Musioła, głęboko tkwiącego w konspiracji na terenie śląska Cieszyńskiego i bardzo głęboko to przeżył, gdyż razem wstępował do konspiracji. Trzeba

tu jednak wspomnieć, że tej przyjaźni wierny był do końca życia, nawet wtedy, gdy przyznawanie się do niej było bardzo źle widziane.

W roku 1943 Alojzy Targ pełnił już funkcję zastępcy delegata Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na województwo śląskie, czyli był jakby wicewojewodą. Wiele dobrego wówczas zdziałał dla Śląska: uświadamiał tam w Warszawie ważność problemów śląskich, organizował pomoc dla ukrywających się Ślązaków, wykladał w Tajnym Pedagogium Ziemi Zachodnich. Jak wyglądał w tamtych czasach znakomicie opisał Józef Ryszka. Słuchacz owego Pedagogium.

*„Przyszedł Marcin, niski w leśnym palotoku z ogromną czaszką, jest moim przyjacielem i ma o piętnaście lat więcej ode mnie, nie jest znowu taki niski, a robi wrażenie filigranowego człowieka, twarz sucha, koścista, ogromne w stosunku do twarzy okulary i ten skromny, nieśmiały wyraz twarzy. Robi wrażenie prowincjonalnego pisarza w gminie, obarczonego bezlikiem domowych trosk i tuzinem dzieck. Patrząc na niego, boję się czasami, czy nie jest zbyt przeciętnym zjadaczem chleba, popchniętym jedynie przez pomyłkę losu na zbyt szerokie tory życia. Patrzy na mnie, uśmiecha się dobrodusznie i przytakuje – słusznie, słusznie nie jedź do Radomia. Czekam wybuchu, gromów, nic, nikną gdzieś zmęczone oczy, za murem okularów i patrzy skromnie w idiotycznego papierosa. Wypala nim dziury nam i sobie – wina tytoniu, grubo rżnięty – kocham go, jakim jest”.*

Przywołajmy też wspomnienie Zbyszka Bednorza najlepiej oddające charakter działalności „Marcina”:

*„... dzięki niezliczonym konferencjom, odprawom, spotkaniom, wiązał z sobą ludzi, powoływał zespoły robocze, inicjował tworzenie komórek koncepcyjnych, chodził, chodził na tajne punkty, do mieszkań, przyjaciół, chodził i namawiał, chodził i wyjaśniał, przekonywał, uczył, werbował do pracy, chodził jak goniec, jak kurierka, jak święty Mikołaj z niespodziewaną zapomogą dla biedujących Ślązaków...”*

Tak dotrwał do Powstania Warszawskiego, z którego ocalał cudem, gdyż wraz z grupą innych osób znalazł się w Muzeum Narodowym, skąd brano jeńców pędzonych jako żywa osłona przed czołgami.

W październiku 1944 roku znalazł się jako uchodźca w Krakowie, gdzie na dworcu szefa śląskiej „Ojczyzny” i pierwszego zastępcę Delegata Okręgu Śląskiego Delegatury RP na Kraj odebrał Zdzisław Pyzik, ale Targ już wówczas najprawdopodobniej był obserwowany. Szybko zamieniano mu dokumenty warszawskie na krakowskie; załatwiono pracę w Przedsiębiorstwie Instalacji Elektrycznych, gdzie Pyzik był kierownikiem administracji (skierowanie w Arbeitsamtzie wydał Józef Kokot – też członek „Ojczyzny”). Ale gdy zaczęły się aresztowania członków „Omegi” nie ominęły one też Targa. 16 listopada 1944 roku, już na przedprożu niepodległości przyszło po niego gestapo. Początkowo przebywał w więzieniu przy ul. Pomorskiej i na Montelupich, gdzie przeszedł ciężkie śledztwo. W przywoływanych już *Latach krecich i ortowych* Zbyszko Bednorz zwraca uwagę na swoisty paradoks. Oto

w roku 1936, na wiosnę uroczyście otwarto nowo powstały „Dom Śląski”, wybudowany dzięki staraniom Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich i Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, miał stanowić on oparcie dla studiującej w Krakowie młodzieży śląskiej. Teraz torturowano w nim Alojzego Targa i innych działaczy śląskich.

W trzeciej celi, po prawej stronie korytarza jest napis wyrity na ścianie: *„Był tu Marcin”*. Później został zesłany do obozów: Gross-Rosem, Dora, Osterode i Holsted.

Na początku roku 1945 powrócił do Katowic i początkowo pracował w charakterze urzędnika w Zjednoczeniu Przemysłu Metali Nieżelaznych, w dwa lata później przeniósł się do Zachodniej Agencji Prasowej i Polskiego Związku Zachodniego.

Dawni członkowie „Ojczyzny” oraz śląskie środowisko twórczej inteligencji: literaci i uczeni, działacze spotykali się teraz w mieszkaniu Zbyszka Bednorza w Chorzowie przy ulicy Karpińskiego 1, gdzie zresztą od października 1945 roku Targ zamieszkał na kilka miesięcy. Bardzo szybko powrócił do przerwanej pracy badawczej. Już w roku 1946 opublikował bardzo ważną książkę zatytułowaną *Śląsk w okresie okupacji*, wydaną przez Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu, której napisanie wynikało z potrzeb chwili. Zadeklował ją zamordowanemu przyjacielowi Pawłowi Musiołowi: „...bohaterskiemu żołnierzowi i dowódcy w wojsku podziemnym, ściętemu w Katowicach”.

Książka pisana była na gorąco, gdy dystans do opisywanych wydarzeń był jeszcze niewielki, bolesne i powikłane sprawy śląskie tłumaczyła uczciwie, choć z widocznym zaangażowaniem emocjonalnym. Targ jako pierwszy próbował w publikacji książkowej wytłumaczyć szerszej opinii społecznej skomplikowany problem volkslisty i służby Ślązaków w Wehrmachcie. Pisał:

*„Kto w latach 1942-1944 przebywał na Śląsku odwiedzał ten teren albo przejeżdżał tedy musiał zauważyć charakterystyczne zjawisko. Na dworcach – zwłaszcza w Katowicach – rozlegały się w pociągach polskie pieśni. Śpiewali je Polacy, żołnierze w mundurach niemieckich. Można było słyszeć nawet hymn polski. Żołnierze ci, ubrani w mundur Niemiec, objawiali w ten sposób manifestację swą polskość. Robili to pod ochroną munduru wojskowego. Ten zbiorowy śpiew polski wywierał wtedy na każdym słuchaczem potężne wrażenie”.*

W tej książce parę zdań poświęcił też obronie Katowic i wieży spadochronowej we wrześniu 1939 roku i była to pierwsza refleksja profesjonalnego historyka, na temat wydarzeń opisywanych przez Kazimierza Gołęwskiego w *Wieży spadochronowej*.

Wiele spraw opisanych w tej książce potem przez całe lata potwierdzała polska historiografia. Także w roku 1946 napisał w „Odrze” (nr 9) bardzo piękny i mądry artykuł o Pawle Musiole, zatytułowany *Zginął jak bohater*, w którym postawił tezę, że Musioł ocalałby, gdyby nie przesadne poczucie obowiązku.

Ten rozmach w pisaniu i w pracach badawczych pozwalał sądzić, że po odłożeniu „broni”, przyszedł czas walki piórem, szybkiego rozwoju naukowego wybitnego śląskiego historyka. Tak jednak się nie sta-

ło, bo już z początkiem roku 1946 zaczął się członkami „Ojczyzny” i Delegatury Rządu interesować Urząd Bezpieczeństwa, sprawie nadano kryptonim „Alfa”, w czym można się dopatrywać aluzji do konspiracyjnej nazwy „Ojczyzny” - Omega.

W roku 1947 Alojzy Targ spotkał się we Wrocławiu z Adamem Doboszyńskim, wybitnym działaczem Stronnictwa Narodowego, który powrócił z Anglii w grudniu 1946 w zamiarze zorganizowania w kraju ruchu zbrojnego. Złapany 3 lipca 1947 i sądzony jako szpieg, otrzymał wyrok śmierci, który wykonano. W sierpniu w mieszkaniu Targa założono „kocioł”, który trwał trzy dni i do którego wpadł Janusz Kowalczyk (Kowalczyk?), też redaktor Zachodniej Agencji Prasowej, traktowanej przez Urząd Bezpieczeństwa jako „agentura obcego wywiadu”. Targ został aresztowany, przewieziono go do Warszawy i poddano ciężkiemu śledztwu. Pierwszy wyciąg z zeznań Alojzego Targa pochodzi z 9 września 1947.

W Katowickim Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej znajdują się zeznania Alojzego Targa. Wśród nich jedno jest zaskakujące, że „Marcin” próbował rozmawiać z przesłuchującymi niemalże, po partnersku, uczciwie wykladać swoje racje. Na przykład mówił, iż zdaje sobie sprawę z tego, że w Stronnictwie Narodowym jest wiele zła, ale przekonanie nie zmienia, zawsze będzie „narodowcem” i wrogiem demokracji wschodniej.

Powiedział też przesłuchującemu, że pisze książkę pt. *Śląsk w okresie tzw. okupacji sowieckiej*, a następnie długo i cierpliwie tłumaczył, że obecna sytuacja polityczna Polski spełnia wszystkie kryteria pojęcia „okupacji”. Czy był aż tak naiwny, by traktować urzędnika „bezpieki” jako partnera intelektualnego? Chyba nie, był po prostu aż do bólu uczciwy, a przy tym jakże logiczny! Sądził, że z przeciwnikiem, (że był on również podły jak i okrutny, chyba nie zdawał sobie sprawy) można znaleźć porozumienie, jeśli przytoczy się rzetelne i mądre argumenty merytoryczne. Powiedział jeszcze, że nikogo do współpracy nie wciągał i całą winę bierze na siebie. Co się działo dalej można jedynie domniemywać na podstawie wspomnianych dokumentów? Prawdopodobnie poddano go ciężkim torturom i wymuszono na nim zeznania. W kolejnych przesłuchaniach mówił o Bednorzu, Z. Hierowskim, W. Szewczyku, A. Placzu, potem też o innych. (Całą sprawę dokładnie opisał w książce pt. *Taki to mroczny czas. Losy pisarzy śląskich w okresie wojny i okupacji*).

10 lutego 1948 roku naczelnik Wydziału III WUBP w Katowicach wydał *Postanowienie o zaprowadzeniu sprawy agenturalnego opracowania pod kryptonimem „Alfa”*, a Alojzy Targ dalej był dręczony przesłuchaniami. Sprawozdanie agenta „05” z 28 lutego 1948 roku zawiera następującą charakterystykę Targa:

„[...] przed wojną nauczyciel gimnazjalny na Śląsku, podczas okupacji w Warszawie, był przeznaczony na stanowisko zastępcy wojewody Śl. Nie ulega wątpliwości z ramienia radykalnych kół pravicowych wysunięty, i ich rzecznik. Nie należał do „Ojczyzny”. Osobiście nie posiadał nigdy pieniędzy”.

Nawet ludzie bezpieki w ten sposób poświadczali jego uczciwość.

**Targ** za przynależność do organizacji „Mała Propaganda” (?) został skazany na 9 lat więzienia i wyrok odsiadywał w ciężkim więzieniu we Wronkach. 1 marca 1949 roku aresztowano Zbyszka Bednorza i przewieziono z Katowic do Warszawy, do więzienia na Rakowiecką, a po procesie też osadzono go we Wronkach. Potem obaj byli świadkami na procesie Teodora Banasia, wybitnego znawcy zagadnień metalurgicznych, ich wspólnego przyjaciela, także ze środowiska „Ojczyzny”, najbliższego współpracownika Targa z konspiracji.

Po latach Zbyszko Bednorz wspominał: „A w roku 1950 [autor pomylił datę, proces faktycznie odbył się w roku 1951] szedłem, w pełni wiosny, ulicami wyteśnionego miasta narodu skutą na przegubach ręk ze sławnym „Marcinem” – Alojzym Targiem z Delegatury RP na Kraj, jak wróg tego wszystkiego, wróg już skazany, a tu przywleczony z Wroniek na proces przyjaciela”.

Podobno w grudniu 1953 roku Wilhelm Szewczyk był na krótkiej audiencji u Bolesława Bieruta i prosił, aby Targa objęto amnestią. Podobno Bierut obiecał pomóc, na ile ta informacja jest prawdziwa – nie da się już dzisiaj sprawdzić. Do Bieruta Szewczyk trafił przez Marię Wardasównę, śląską pisarkę, zaprzyjaźnioną z Zofią Nałkowską. Wardasówna była sekretarką w sejmie, a Szewczyk poznał ją dzięki pośrednictwu Eryka Skowrona. Wtedy Targ był już ciężko chory, po resekcji żołądka.

Został zwolniony warunkowo 4 maja 1954 roku, z zaleceniem meldowania się w SB, a 8 czerwca 1960 uniewinniono go.

Wyszedł jako cień człowieka, ledwie żywy, fizycznie i psychicznie zniszczony. Nieufny, oschły, wychudzony, o żółtej cerze, dużej głowie, jakby cały ukryty za grubymi okularami. Był przekonany, że jest nieustannie śledzony i istotnie tak było. Tylko, gdy wspominał Józefa Ryszkę płonął w nim wewnętrzny żar, odsłaniający prawdę, że w „Marcinie” wciąż drzeźnią gorące pasje.

Bardzo żarliwie pragnął nadgonić stracony czas. Pisał i pracował nieprawdopodobnie dużo, chyba ponad możliwości zdrowotne. W roku 1954 podjął pracę w Bibliotece Śląskiej (jej dyrektorem był wówczas mądry i szlachetny profesor Paweł Rybicki), a po uzyskaniu dyplomu kustosza kierował Pracownią Śląską.

W roku 1957, gdy po październikowej „odwilży” znów można było opublikować *Wieżę spadochronową* Kazimierza Gołby, z którym Targ był serdecznie zaprzyjaźniony, napisał do książki wstęp rzeczowy, a przecież bardzo emocjonalny. Swym autorytetem potwierdził wiarygodność opisywanych wydarzeń. Stwierdził: „*Wieża*” nie jest studium historycznym, a jednak ma charakter dokumentarny, bo pierwszy Gołba zanotował na podstawie wiarygodnych relacji świadków zdarzenia, nieznane nawet historykom, a stanowiące już ważną część dziejów Polski”.

Tę opinię Alojzego Targa w całej rozciągłości potwierdziły późniejsze badania. Zdumienie tylko budzi fakt, że tak gorąco, wręcz żarliwie i młodzieńczo o pisarzu i jego dziele potrafił pisać człowiek tak schorowany, po tak tragicznych przeżyciach.

W roku 1962 w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej uzyskał doktorat na podstawie rozprawy napisa-

nej pod kierunkiem prof. Mariana Orzechowskiego pt. *Opolszczyzna pod rządami Łukaschki i Wagnera*, była to jedna z wielu jego prac poświęconych Opolszczyźnie. Bardzo dużo sił poświęcił biografistycie. Z wielkim entuzjazmem kierował pracami nad *Śląskim Słownikiem Biograficznym* i pod jego kierunkiem zgromadzono w kartotece głównej około 2.500 biogramów i ponad 1.500 haseł w kartotece cząstkowych materiałów biograficznych. Znalazła się też wśród nich postać jego przyjaciela, Pawła Musioła. Powracał w jego badaniach wątek udziału duchowieństwa polskiego w walkach o polskość, poruszał zagadnienie narodowego aspektu ruchu pielgrzymkowego. Pisał o Towarzystwie Alojzjanów, kardynale Adolfie Bertramie, o kulcie T. Kościuszki na Śląsku i szczególnie wiele o – dziś już błogosławionym – ks. Emilu Szramku.

Z zaangażowaniem studiował dzieje śląskich miast, zwłaszcza Mikołowa. Bardzo istotne było w jego badaniach zagadnienie związków Śląska z Krakowem i Wielkopolską, które interesowało go od dawna. Na temat Śląska i Krakowa zamierzał napisać większe opracowanie.

Są też w jego dorobku dwie drobniejsze rozprawy, ale istotne ze względu na bogactwo materiałów i dotarcie do osób, dzięki którym udało się zrekonstruować wydarzenia. Są to: *Przyczynek do historii elśów śląskich* oraz *Tajna akcja społeczna śląskiego harcerstwa żeńskiego w okresie okupacji*. Obie napisane z emocją, nie skrywającą pasję, nasycone słownictwem etycznym, przy całej rzeczowości i profesjonalności warsztatu, jeszcze dzisiaj wywierają silne wrażenie na czytelniku.

Może ten intensywny wysiłek spowodował nawroty choroby nabytej w więzieniu, która tak bardzo ograniczała teraz jego możliwości, z końcem lat sześćdziesiątych przeszedł bardzo ciężką operację gastryczną. Chciał jednak żyć mimo wypisanego na twarzy cierpienia, najbardziej dla małej córeczki, Moniki, największej miłości jego życia. Miał jeszcze tak wiele planów badawczych. Ale ostatecznie tym razem wyrok na niego już zapadł. Zmarł 4 marca 1973 roku w Katowicach.

Alojzy Targ nie napisał żadnej większej syntezy, ale i sam najbardziej cenił szczegóły i mrówczą pracę szperacza. Nie uniejsza to w żaden sposób jego znaczenia, bo jego ustalenia wciąż stanowią punkt wyjścia dla badaczy dziejów Śląska, odnosili się do niego z szacunkiem nawet komunistyczni historycy.

Cytowany na początku naszych rozważań Józef Ryszka napisał o Alojzym Targu bardzo piękne i mądre słowa, w których zawarł nie tylko kapitalną charakterystykę Marcina, ale także pewną głębszą prawdę, która nie traci swej aktualności: „... wewnętrzny wulkan entuzjazmu podporządkowany godzinom dni, miesiący, lat pracy mrówczej, upartej chłopskiej, Marcin! Czuję się tak mały przerastając go o głowę”.

„Czuję się tak mały” – te słowa powracają jak echo ilekroć zetknijemy się z życiem i pisarstwem Alojzego Targa.



# BARBARA DZIEKAŃSKA

## Dedykacja dla Fernanda Pessoa

nie wiem dlaczego – drogi Fernando  
wlokę się za Tobą po zaułkach Lizbony

przymierzam nostalgii i paradoksy

przykładam swój profil do Twojego  
– choć nie byłeś piękny –

niepokoję w odświętnych szatach  
chodzą mlecznymi drogami  
a Ty – pierwsze siwe włosy  
palisz o krawędzie gwiazd

\* \* \*

na przedłużeniu samotnych ulic  
pada deszcz za deszczem  
godziny stają się płaskie  
odchudzone o radość  
i nic nie pozostaje  
tylko –  
wyciszyć w sobie kłębowe morze  
wsluchać się w krople kapiącego kranu  
odchylić okno na ćwierć szyby oddechu



Rys. Wojtek Łuka

## Refleksja IV

to prawda, że Rembrandt  
więził swoich uczniów  
by uwolnić ich rozum  
od kajdanków rozkoszy

nic bowiem tak nie zagraża  
twórczości jak cielesność

wystarczy klatka  
– dwa metry na dwa  
i przestrzeń własna

w niej podstawiona łódź  
wynosi wyobraźnię  
na pełny ocean  
widzisz –  
jak w zarzucone sieci  
wpada niebo  
roziskrzonych gwiazd

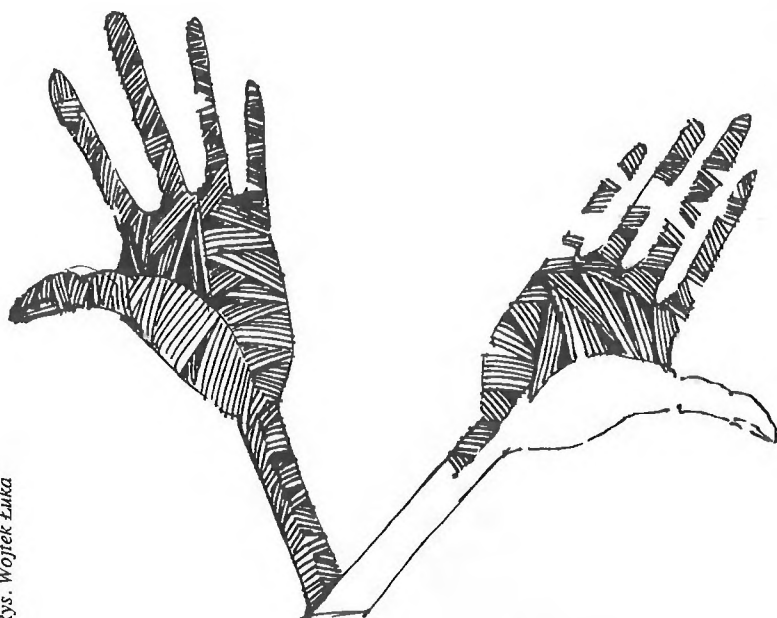
## Refleksja V

z tamtej podróży wróciłeś zmęczony  
rozbity niepocieszony w bólu i czerni

twoja bezsilność przykleiła się do mnie  
skórką pękniętej renklody  
– to pod nią mięszsł słodki i soczysty  
łzawi aromatem przeszłego lata

znowu jesteśmy – światło i cień  
zdani na tajemnicę istnienia

znowu w swojej ręce ściskam twoją  
– żywą cząstkę wszechświata  
wplątaną w sen



Rys. Wojtek Łuka

Z ADAMEM SIKORĄ, reżyserem, operatorem filmowym  
i fotografem, rozmawia BOŻENA PERSKA



Adam Sikora

Foto: Janusz Szwedczyk

# Czakramy śląskiej energii

– Łączy Pan wiele artystycznych dziedzin, co widać było choćby na ostatniej wystawie *Foto – Moon – Twarze* w Instytucie Mikołowskim. Jest Pan operatorem, ale od początku interesowała Pana autorska twórczość i reżyserowanie. Skąd więc wybór studiów na Wydziale Operatorskim?

– Na początku malowałem i bardzo mnie to pochłaniało. Nie potrafiłem robić tego dobrze, dlatego zacząłem się fotografią, wydawało mi się to łatwiejsze. Chciałem studiować fotografię, ale wówczas nie było w Polsce szkoły fotograficznej, pozostawała operatorka. Zacząłem studiować na Wydziale Operatorskim, chociaż nie miałem żadnych

predyspozycji. Film jest strukturą dynamiczną, opisem świata w ruchu, to obce medium... Nie wiem, czy kiedyś je zrozumiałem, bo dążyłem nieustannie do obrazu zastygłego – malarskiego lub fotograficznego. Moje filmy są prawie nieruchome.

– Tuż po studiach nie rozpoczął Pan typowej drogi operatorskiej...

– Nie przyszło mi do głowy, żeby wyprowadzić się z Mikołowa – miejsca, w które wrosłem. Zaczęłam pracę w katowickim ośrodku telewizji, gdzie zebrała się bardzo ciekawa grupa ludzi po studiach. Wspólnie z Jolą Ptaszyńską, Leszkiem Ptaszyńskim i Tomaszem Dobrowolskim założyliśmy Studio Form Telewizyjnych, Adam Łukaszek był kierownikiem produkcji. Trafiliśmy na dobry okres, początek lat 90., czas przemian w Polsce. Jerzemu Kapuścińskiemu z II programu TVP zależało na ambitnej artystycznej telewizji. Mieliliśmy możliwość urzeczywistniania pomysłów, które dzisiaj byłyby nie do pomyślenia, np. *De Aegypto* Joli Ptaszyńskiej. Dopiero mając za sobą kilkuletnią drogę autorskich projektów, rozpocząłem współpracę z innymi reżyserami, realizując zdjęcia do filmów i spektakli Teatru Telewizji. Najbardziej jednak cenię sobie możliwość robienia filmów autorskich.

– **Taki właśnie jest najnowszy Pana film, proszę o nim opowiedzieć.**

– Film powstał w Kotlinie Kłodzkiej, moim ulubionym miejscu na ziemi. Rozpoczyna się późną jesienią, gdy kolory w naturze już nikną i świat staje się monochromatyczny. Mężczyzna po czterdziestce wybiera się w podróż, ale nie trafia tam, gdzie chciał, tylko gdzie indziej. Zatrzymuje się w ogromnym przedwojennym pensjonacie Gigant. Ma dużo czasu, więc snuje refleksję o swoim życiu. Zaczyna rozmawiać z recepcjonistką. Ona też znalazła się tam z przypadku. W *Gigancie* – bo taki tytuł nosi film – grają Ania Wesołowska z Teatru Śląskiego i Leszek Zdybał – aktorzy, którzy nie są znani. Zależało mi na udziale osób nieopatrzonych w serialach. Scenariusz napisała Olga Kupiec z Bielska-Białej. Film realizowaliśmy w stylistyce dokumentu, improwizując sceny. Myślę, że ciekawie wyszło, bardzo naturalnie. To film kameralny, przepełniony melancholią i tęsknotą, Beckettowski w formie.

– **Uciekł Pan na trochę ze Śląska, ale czym Śląsk jest dla Pana? Czy to ważne dla artysty, to miejsce, gdzie się tworzy? Na fotografiach z cyklu *Foto – Moon – Twarze* pojawiają się elementy architektury śląskiej w rozpadzie, ceglane budynki... Mając w pamięci Pana dokument *Boże Ciało* – nasuwa się pytanie, jak Śląsk wpływa na stronę plastyczną Pana twórczości?**

– Mam kłopot ze Śląskiem... On funkcjonuje u mnie na wielu poziomach. Wystawa fotografii–kolaży stanowiła powrót do moich pierwszych obrazów. Podstawowym elementem świata, który malowałem, a teraz fotografowałem, była ściana złożona z cegieł. Takich ścian z zabudowanymi oknami jest na Śląsku bardzo dużo. Zderzam twarze w rozpacz, które patrzą w bliżej nieokreśloną przestrzeń, z obrazami nieprzeniknionego muru. Gdzieś w szczelinach zamurowanych okien istnieje inny obraz świata, a może nieba... Przez chwilę można zajrzeć w inny wymiar. Ale trudno tam przejść, można tylko tęsknić za uwolnieniem się od ciężaru materii.

– **Metafizyczny ten Pana Śląsk...**

– Myślę, że Śląsk ma wyjątkową energię. Nie wiem, z czego to wynika, bo wszystko tu jest przeciwne jakiegokolwiek energii, a już duchowej w szczególności. Teraz pracuję nad dokumentem o wspaniałym malarzu Erwinie Sówce, artyście który ma wgląd w niezwykle rzeczy. Wywodzi się z ruchu malarzy prymitywistów z grupy Teofila Ociepki – prostych ludzi, robotników, którzy zajęli się różokrzyżem i byli absolutnymi mistykami. Erwin Sówka też powtarza, że jest tutaj jakaś energia. Nie wiadomo, gdzie tkwi jej źródło, ale czakramy pewnie gdzieś są...

– **W dokumencie *Boże Ciało* mistyka zeszła na drugi plan...**

– W moich filmach i w *Angelusie*, do którego robiłem zdjęcia, Śląsk był rodzajem niezwykle atrakcyjnej, pięknej dekoracji. Poczułem w pewnym momencie, że w tych dekoracjach żyją konkretni ludzie i mają bardzo konkretne problemy. Wydaje mi się, że Śląsk przeżywa – nie kryzys, bo to nie jest właściwe słowo – jakby upadek. Upada etos śląski, wywiedziony z filmów Kutza, opisujących świat cudownych, prostych wartości – rodzina, praca, uczciwość. Chciałem zrobić film o tym, jak bolesny jest Śląsk w tej chwili. O ludziach, którzy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia: z pokolenia na pokolenie pracowali w kopalniach, hutach, dużych zakładach, a teraz stracili pracę. Trudno im wymyślić sobie inny sposób na życie, zresztą nikt im tego nie proponuje. Oni są zupełnie bezradni, zdani na siebie, w różny sposób sobie radzą, zbierają odpady, węgiel z bieda-szybów.

Wybrałem okolicę, która jest dla mnie klinicznym obrazem Śląska –

**ADAM SIKORA** – reżyser, operator filmowy, fotograf, urodzony w 1960 roku w Mikołowie. Absolwent Wydziału Operatorskiego PWSFTViT w Łodzi. Od początku lat 90. związany ze Studiem Form Telewizyjnych TVP Katowice, gdzie realizował filmy krótkometrażowe – m.in. „Podróż Erwina” (wspólnie z M. Sikorską), „Ptaki”, „Teatr Ekspresji” (razem z J. Januszykiem), „Powrót”, „Blusmeni – ballada o Janie ‘Kyksie’ Skrzeku”. Był autorem zdjęć do wielu filmów: „Dama kameliowa” (1994), „Pokój saren” (1997), „Wojaczek” (1999), „Angelus” (2001), „Eucalyptus” (2001), „Koniec wakacji” (2003), „Boża podszewka. Część druga” (2005).

Za „Blusmenów” otrzymał Nagrodę Pierwszego Filmu na Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie (2000). Za zdjęcia do „Wojaczka” uhonorowany został nagrodą dziennikarzy na Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Filmowej PROWINCJONALIA (2000) oraz Złotym Kluczem na Międzynarodowym Festiwalu Kina Artystycznego w Trencianskich Teplicach na Słowacji. Za zdjęcia do „Angelusa” dostał Srebrną Żabę na Międzynarodowym Festiwalu Autorów Obrazu CAMERIMAGE (2001) oraz Jańcio Wodnika na festiwalu PROWINCJONALIA (2002).

Jest również autorem zdjęć do licznych spektakli Teatru Telewizji, trzykrotnie otrzymał nagrodę za zdjęcia na Krajowym Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru TV „Dwa Teatry” w Sopocie – za „Lorda Jima” (2003), „Gezadzieciak” oraz „Intrygę i miłość” (2005). Jego najnowszy dokument „Boże Ciało” (2005), zrealizowany dla I programu TVP, otrzymał nagrodę Prezesa Zarządu TVP S.A. na Ogólnopolskim Niezależnym Przeglądzie Form Dokumentalnych NURT.

Lipiny. Niektórzy oczywiście mogą powiedzieć, że to jest obraz przerysowany, który nie dotyczy całego Śląska. Myślę, że Lipiny są przykładem nie tylko na to, w jakiej kondycji znajduje się Śląsk, ale cała Polska. Poza miejscami, które są enklawami pozornego dobrobytu, jak kilka większych polskich miast, cały kraj jest w stanie rozkładu. Chciałem zrobić społeczny, dosyć brutalny film – opis śląskiej apokalipsy. Przestałem zwracać uwagę na warstwę wizualną, uwolniłem się od estetyzacji rzeczywistości.

– Jak zdobył Pan zaufanie bohaterów, którzy są tak niesłychanie autentyczni przed kamerą?

– Nie było łatwo. Ci ludzie są nieufni wobec kamer, bo już wiele razy o nich robiono doraźne reportaże. *Boże Ciał* powstawało prawie cały rok, chciałem pokazać również przemienność pór roku. Moje częste przyjazdy spowodowały pewną zażyłość, nawet przyjaźń. Bohaterowie mi zaufali. Zauważyli, że mam uczciwy stosunek i do nich, i do sprawy, o której chcę zrobić film. Byłem sam z kamerą, szybko się do niej przyzwyczajali, zapominali o niej w ogóle. Zaczynali się otwierać, mówić szczerze i prawdziwie o swoich problemach. Puentą filmu jest święto Bożego Ciała. Pomyślałem, że to ludzie są częścią tego Bożego Ciała, a *Boże Ciał* – sumą wszystkich ludzkich problemów...

– Ale nie zrezygnował Pan do końca z pokazania urody wizualnej tego miejsca...

– W ostatniej sekwencji, tuż przed świętem, postanowiłem przeobrazić ten bardzo naturalistyczny opis świata. Następuje uświęcenie przestrzeni przez słońce i nagle

wszystko staje się piękniejsze niż w rzeczywistości. Kręcąc *Boże Ciał* wydawało mi się, że dzięki temu doświadczeniu uwolnię się od Śląska. Trwało to chwilę, zrobiłem *Gigant*, który powstał w Kotlinie Kłodzkiej, ale już tutaj wracam. Mój kolejny projekt znów będzie śląski i społeczny, ale tym razem fabularny. Na Śląsku na powrót osiadł Ingmar Villquist (Jarosław Świercz), zaczynamy pisać scenariusz. Zobaczmy, co nam z tego wyjdzie...

– We wcześniejszym Pana filmie o Erwinie Sówce i w *Blusmenach* jest wiele symbolicznego stylu, który zdominował *Angelusa*. Jak układała się współpraca z Lechem Majewskim? Bo przecież widać, że łączy Was podobieństwo wrażliwości plastycznej...

– *Podróż Erwina* zrobiłem w 1997 roku z Mirosławą Sikorską, był to kreacyjny dokument, zbudowany z inscenizacji obrazów Sówki. Doświadczenia spotkania ze światem malarzy prymitywistów wykorzystałem po prostu przy realizacji *Angelusa*. Świadomie nawiązaliśmy w stylistyce filmu do formy tego malarstwa – naiwnej, o zaburzonej perspektywie i relacji między pierwszym a drugim planem. Symbioza wyobraźni z Lechem, to było coś wyjątkowego. Wspólnie inspirowaliśmy się, tworzyliśmy razem, ale pojawiło się trochę rozbieżności. Nasze wizje nieco się różniły, trudno nam było połączyć się w jeden organizm, każdy próbował ciągnąć w swoją stronę. To nasz ostatni wspólny film.

Współpraca z Lechem Majewskim była dla mnie bardzo ważna, bo rzadko spotyka się reżysera, dla

którego strona wizualna filmu jest tak istotna. To cudowne doświadczenie dla operatora pracować z tego typu reżyserem, bo zazwyczaj fotografia pełni rolę służebną wobec narracji filmowej. Lech ma doświadczenia malarzskie i to pozwoliło na wykreowanie w *Angelusie* dosyć niezwykłych obrazów. Było to bardzo ryzykowne i wymagające pod względem technicznym przedsięwzięcie, używaliśmy ogromnej ilości filtrów, by osiągnąć określony koloryt tego świata.

– *Wojaczek* także ma wyjątkowo oryginalną stronę plastyczną...

– W przypadku *Wojaczka* udało nam się osiągnąć niezwykłą jednorodność stylistyczną. Ten film ma w sobie coś ponadczasowego, nigdy się nie zestarzeje, zastygł poza czasem... Przy *Wojaczku* dobrze nam się współpracowało z Lechem, byliśmy bardziej otwarci, mniej upieraliśmy się każdy przy swoim, komunikowaliśmy się językiem rozmowy, a nie zamkniętych w sobie dwóch ludzi, z których każdy ma własną wizję świata. Do tego doszła wspaniała scenografia Katarzyny Jarnuszkiewicz i chłopcy z Mikołowa – Maciej Melecki, współautor scenariusza i Krzysztof Siwczyk, który stworzył wspaniałą kreację. Dzięki niemu *Wojaczek* zmartwychwstał, stał się niezwykle prawdziwy. Nie wiem, jak wyglądał *Wojaczek*, ale jeżeli go sobie teraz wyobrażam, to przez pryzmat kreacji, którą stworzył Krzysztof. Poza obrazem, Lech przykładą nie mniejszą uwagę do dramaturgii i aktora. Świat, w którym postaci są fałszywe, nie ma w ogóle sensu, a prawdę postaci dają aktorzy. Rola Siwczyka jest nasycona prawdą, niesie całą emocję filmu.

Podczas realizacji filmu unosił się nad nami opiekuńczy duch. Może duch *Wojaczka*, który nam zaufał i pomyślał, że nie zepsujemy historii jego życia i poezji. Dużo dziwnych rzeczy działo się na planie... Na Śląsku i we Wrocławiu długo szukaliśmy kościoła, który by nam odpowiadał do jednej ze scen. Zabłądziliśmy z Lechem we Wrocławiu, weszliśmy w zaułek, gdzie stał surowy gotycki kościół z cegły. Był zamknięty. Otworzył nam pop, z długą ciemną brodą. Okazało się, że jest tam teraz cerkiew. W środku zobaczyliśmy coś niezwykłego: nie było ławek, ołtarza, otaczała nas pusta struktura gotyckiego kościoła. Pop wprowadził nas do bocznej kaplicy z dziurawą



Za „*Boże Ciał*” Adam Sikora został w czerwcu uhonorowany Srebrnym Lajkonikiem na Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie.





Foto: ARC

„Gigant” – to najnowszy film mikołowskiego reżysera i operatora.

kopułą – wpadła tam kiedyś bomba. Pod sklepieniem kaplicy latały gołębie... Wiedzieliśmy wtedy, że znaleźliśmy właściwy kościół.

Po kilku miesiącach wróciliśmy nakręcić scenę.

Wojaczek był produkcją telewizyjną, nie mieliśmy dużego budżetu. Scenę w ogromnym wnętrzu kościoła mogliśmy nakręcić pod warunkiem, że zaświeci słońce, bo dwie lampy, którymi dysponowaliśmy, nic by nie dały. Wiele dni przed zdjęciami we Wrocławiu ciągle padał deszcz, dni były mroczne. Zaczęliśmy kręcić rano, nic nie było widać. Nagle przez ciemne chmury zaczęło przebijać słońce i mogliśmy to wspaniale nakręcić. Dużo było takich interwencji... Ważne okazało się także to, że zdjęcia powstawały w dawnym mieszkaniu Wojaczka. W miejscu, gdzie mieszkał, gdzie w pokoju stało jego łóżko. Wszystkie te elementy złożyły się na prawdę wyrazu.

– **Wielokrotnie realizował Pan zdjęcia do spektakli Teatru TV. Czy wtedy pracuje się inaczej niż w filmie?**

– Nie czynię takiego rozróżnienia między filmem a teatrem. Bardzo lubię robić spektakle Teatru TV, bo w przeciwieństwie do wielu kiepskich scenariuszy filmowych, jakie otrzymuję, w telewizji mam przyjemność pracy z dobrym tekstem – dramaturgią współczesną albo kla-

syką. Każdy tekst wymaga innej interpretacji, innego podejścia... Od początku lat 90. można zauważyć, że dominuje tendencja do filmowego traktowania Teatru TV. Reżyserzy, którzy pracowali w kinie, nagle zaczęli realizować spektakle teatralne dla telewizji, a nie mając doświadczenia teatralnego, przelożyli doświadczenia kinowe na strukturę Teatru TV.

Jestem zwolennikiem poglądu, że to jednak osobny gatunek. Istnieje bowiem porządek struktury teatralnej i filmowej – spektakle, które zrobiłem, tak właśnie wyglądały – zawieszone pomiędzy teatrem a filmem. I być może były właśnie Teatrem Telewizji.

– **Jak pracowało się na planie drugiej części *Bożej podszewki*?**

– Bardzo cenię współpracę z Iza-  
belą Cywińską. To osoba o ogromnej świadomości sztuki. Dla niej scenariusz i aktor są niezwykle istotnymi elementami dzieła filmowego. Kwestie obrazu oddaje operatorowi. Przed realizacją przyjęliśmy założenie, że poruszamy się w dwóch światach – wschodu, z którego przyjechali repatrianci i gdzie pozostała główna bohaterka Marysia – Boża podszewka oraz zachodu, czyli ziem odzyskanych. Strona plastyczna została wyznaczona tymi dwoma wymiarami rzeczywistości.

– **Dostał Pan Srebrną Żabę na Camerimage, festiwalu wspólnie**

**ty operatorów, którzy w końcu czują się docenieni. Pan chyba nie ma poczucia, że jest w cieniu?**

– Nie czuję się w ogóle operatorem, ale to trudny zawód. Może powodować wiele frustracji, bo zawsze jest się tym drugim... Cenię sobie oczywiście tę nagrodę, niemniej dla mnie idea Camerimage jest trochę dziwna i nie do końca zrozumiała. Trudno wydzielić z filmu jeden składnik i go oceniać. Sukces filmu i jego wartość zależą od tego, na ile wszystkie warstwy filmu działają i wtedy można oceniać całość. Festiwal stanowi nobilitację operatorów, którzy rzeczywiście są ciągle w cieniu reżysera, aktorów, a przecież wkładają ogromną pracę w to, żeby film powstał. Jest wiele filmów opartych na stronie wizualnej, gdzie zdjęcia tworzą nastrój, klimat, emocje filmu.

Uważam, że operator stanowi jeden z elementów filmu – ważny, ale nie najważniejszy. Nadrzędną osobą jest reżyser, który wie, co chce stworzyć. Obraz powinien być podporządkowany tej wizji, ma ją wzmacniać, potęgować. Operator to połączenie artysty z technologią – musi mieć sporą wiedzę techniczną, bo odpowiada za wszystko. Po kilkuletnim okresie, kiedy intensywnie pracowałem jako operator, wracam jednak do bardziej autorskiej pracy.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Nieuchronne fatum testamentu Krzywoustego rozdrabniało dzielnicę śląską na coraz to drobniejsze skrawki. Po śmierci Władysława (1281) jego dziedzina została podzielona pomiędzy czterech jego synów. Bolesław otrzymał Opole, Strzelce, Niemodlin, północną część księstwa po Lublinie; Kazimierz ziemię bytomską, toszecko-gliwicką i Koźle; Miecysław cieszyńską i ziemię oświęcimsko-zatorską; Przemysław księstwo raciborskie, które po bezpotomnej śmierci Leszka, jego syna, w 1336 odziedziczył książę opawski Mikołaj z rodu Przemysławów, ożeniony z siostrą Leszka, Anną. Jego wnuk, Jan II, zwany „Mistrzem”, czyli katem, znany z okrucieństwa, ożenił się z Heleną Korybutówną, bliską krewną króla Władysława Jagiełły, oddał żonie w dożywocie ziemię pszczyńską, tworząc precedens jej wydzielenia z księstwa raciborskiego.

Nieco później, w roku 1375, książę raciborski oddał miasto Mikołów i Pszczynę z okolicznymi wioskami w zastaw księciu opolskiemu Władysławowi – namiestnikowi Rusi, potem całej Korony (przy tym fundatorowi Jasnej Góry i ikony MB – co mu zbyt wiele nie pomogło; u większości rodzinnych historyków ma fatalną opinię). A kiedy jeden z kolejnych jej panów, Kazimierz cieszyński (nawiasem mówiąc, ostatni piastowski jej dziedzic, ale już w ramach państwa Habsburgów), sprzedał ziemię pszczyńską magnatowi węgierskiemu Aleksandrowi Thurzonowi, ta część Górnego Śląska administracyjnie i prawnie zaczęła istnieć już jako twór odrębny, państwo stanowe, podległe bezpośrednio cesarzowi.

Mikołów od czasów gdy przestał być kaszteltem, chyba nigdy nie posiadał umocnień, ale starzy mieszkańcy mają swoje na ten temat ugruntowane zdanie: „Mikołów był taki mały, że go zamykali na noc. Takie bramy były. A te mury były tam, kaj stary kościół. Takie stare mury”.

W roku 1517 został kupiony przez Thurzonów i otrzymał status miejscowości prywatnej (i taki obowiązywał aż do XIX-wiecznych pruskich reform administracyjno-prawnych). Nie zachował się akt lokacji miasta, wiadomo tylko, że rzadziło się odpisem prawa miejskiego Raciborza (prawa od 1299), podobnie jak Pszczyna, która jednak potwierdzenie praw uzyskała w 1498 roku. Rajcowie mikołowski wystąpili z prośbą o zatwierdzenie ordynacji miejskiej dopiero w 1547 roku. Jan Thurzo, następny pan tej ziemi, nadał mu ordynację opartą na wcześniejszej, pszczyńskiej, ze znacznie uszczuplonymi jednak prawami municypalnymi w stosunku do pierwowzoru raciborskiego, co rodziło różne próby dowartościowania: „Burmistrz Mikołowa Tertola w swych zapiskach opowiada, że zające miasto Mikołów miało także prawo miecza (czyli prawo skazywania na śmierć i wykonywania wyroków, przywilej bardzo w średniowieczu ceniony i rzadki, przydający splendoru miastu. u.m.) Gdy raz radni zasiadali w Raciborzu jako ławnicy w naczelnym sądzie apelacyjnym, rozłożyli przed sobą na ławie ów dokument, który zawierał nadanie prawa miecza, potem przychodzili jeszcze inni ławnicy i zasiadali na tej ławie, a rajcy mikołowscy posuwali się wciąż dalej na ławie, aż się znaleźli na drugim jej końcu. Rzeczony dokument spadł im z ławy na ziemię, jakiś sędzia go podniósł i już rajcom nie zwrócił. Tak Mikołów utracił prawo miecza”.

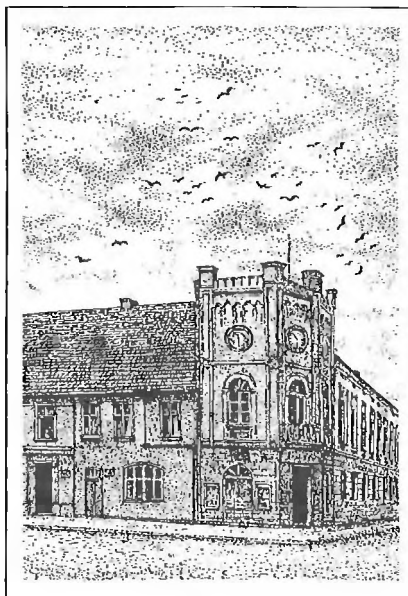
Prus komentując to zabawne podanie (a raczej anegdotę, świadczące o znakomitym, prawdziwie śląskim poczuciu humoru



Piejzaż  
mitologiczny

ANTONI HALOR

## Jeszcze o Mikołowie



Ratusz w Mikołowie

mikołowskich rajców) powiada, że: „Tak naprawdę prawo to było w Raciborzu, a potem w Pszczynie na dworze książęcym”.

W roku 1545 cesarz Ferdynand II, na prośbę Jana Thurzona, udzielił miasteczku ważnego dla jego rozwoju przywileju urządzania dwu jarmarków (na św. Jana Chrzciela 24 VI – i na św. Urszule 21 X), które mogły trwać przez osiem dni bez przerwy, a co tydzień w każdy wtorek zwykłych targów. W roku 1687, na prośbę mieszczan mikołowskich, kolejny pan tej ziemi – hrabia Erdmann Promnitz wystąpił do cesarza z prośbą o zezwolenie na jeszcze dwa jarmarki (w poniedziałek po Niedzieli Palmowej i poniedziałek po Zielonych Świątkach), również ośmiodniowe, na co cesarz łaskawie zezwolił w marcu 1688 roku. Konstanty Prus, pierwszy monografista miasta, nie omieszczał zauważyć z nieukrywaniem cieniem żalu, że panowie

Promnitzowie bardziej dbali o swoją rodzową siedzibę, jako że Pszczyna już w XVI wieku miała pięć jarmarków, gdy Mikołów tylko dwa. A po zgodzie cesarza, i tak o jeden mniej. Tak, że: „dopiero w 19 wieku Mikołów przerósł znacznie Pszczynę dzięki swemu uprzedmiotowieniu”.

Jak wiemy, Mikołów podług legendy został założony przez handlarzy bydłem, a sławny targ na bydło funkcjonował w mieście jeszcze w dwudziestolecie międzywojennym i dlatego przez zawistnych (ludźka to rzecz) sąsiadów nazywany był niemal do naszych dni „kozim miastem”. Mikołowianie odpłacali sąsiadom pięknym za nadobne i bronili się ciętymi anegdotami:

„Tyn słynny targ to był, gdzie ulica Waryńskiego, jak się na Jamna idzie. Tam była pierwszo rzeźnia, i tam był targ na kozy. To jeszcze Lichotń z Kaczmarkiem śpiewali:

W Mikołowie na jarmarku,  
kupili my koza...

I roz jedyn chłop z Orzesza był na targu, i sie koza kupił. A już były pociągi, to sie przywiózł koza do ostatniego wagonu, jak downiły do fury. I pojechał rod cały do dom. Jak przyjechali do Orzesza to mu na sznurku ino rogi wisiały”.

Ze dostawało się i innym sąsiadom, jak choćby często odwiedzającym targ siodłom z pobliskich Piotrowic, dzisiejszej dzielnicy Katowic, tego dowodzi poniższy, nie mniej złośliwy wariant tej samej anegdoty:

„Zas inny jedyn to był z Piotrowic. Tyż przyjechał na jarmark. Kupił koza i jom przywiózł do ostatniego wagonu. A koza, jak to koza. Jak sie nogami lopała, to wystrugała półtora kilometra szwielów (podkładów kolejowych, u.m.). Co tu dali godać: koza była uparto, ale pociąg był mocniejszy. To zdarło jom aż do samy gowy. Jak chopek przyjechał dodom, to śni ino jedyn róg łostol. I sie móg z niego gwizdek zrobić”.

Największą katastrofą, jaką zanotowano w annałach miejskich, był pożar, który wybuchł wieczorem 20 maja 1794 roku. Panowała od dłuższego czasu susza; od połowy kwietnia tego roku nie spadła ani jedna kropla deszczu. Mikołów był drewniany (poza kościołem farnym św. Wojciecha, ratuszem i 11 domami, w tym 6 w rynku). Zgorzało praktycznie całe miasto. Spłonął ratusz, murowany szpital, szkoła. Razem z ratuszem uleciały z dymem wszystkie akta miejskie, dawne przywileje, księgi miejskie. Z około 150 domów (Mikołów liczył wtedy 883 mieszkańców) ocalało 19, w tym 3 murowane.

Ale i z tego dopustu jakoś się podniosło. A na razie trwało jako twór odrębny. W tej formie należało od 1548 roku do połowy XVII wieku, do Promnitzów, potem do książąt Anhalt-Koethen, wreszcie do Hochbergów, cała ziemia jako prywatne państwo stanowe bezpośrednio podlegała koronie czeskiej, potem cesarzowi, po wojnach śląskich królom pruskiemu aż do czasów najnowszych, by po 1921 roku w konsekwencji powstań śląskich i mocą decyzji Rady Ambasadorów stać się powiatem pszczyńskim ówczesnego województwa śląskiego.

Dramatyczne były dzieje miasta w XX wieku: 1919-1921 – powstania śląskie i plebiscyt, a zwłaszcza rok 1939. Miasto znalazło się na linii frontu (obrona wzgórza 341), zapłaciło cenę krwi (egzekucja na Groniach 17 IX 1939). Natomiast z działań wojennych w 1945 roku Mikołów wyszedł niemal bez szwanku – chyba wyjątkowo – i to naprawdę – szczęśliwym trafem.

Rys. Antoni Halor

**Do** Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” było od mojego domu rodzinnego ze 300 metrów. Jednak po raz pierwszy tę drogę przebyłem autem. Był to wóz transmisyjny (chyba „robur”), bo pracujący wówczas w Polskim Radiu Katowice mój ojciec musiał swoją recenzję ubarwić dźwiękowym fragmentem spektaklu. Było to 55 lat temu, nie pamiętam, co za bajkę wystawiano, wiem tylko, że wystrojono mnie w zielone ubranko, którego nienawidziłem. To wtedy właśnie stałem się, jako trzylatek, widzem teatralnym. Potem sam zacząłem recenzować wystawiane tu przedstawienia. A teraz, po ponad pół wieku, mój pierwszy teatr zaprosił mnie do pracy w jury V Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek „Katowice – dzieciom”. Przewodniczył temu gremium świetny lalkarz z Czech, Karel Brožek, a znaleźli się w nim „ludzie z branży”: Irena Józefiak, Lucyna Kozeń, Marek Dindorf i Bogdan Nauka.

### Teatr pierwszego kontaktu

„Sędziowanie” zmusiło mnie do innego spojrzenia na imprezę. Poprzednio mogłem pisać o wybranych widowiskach, które na to zasługiwały i nawet polemizować z jurorami. Teraz musiałem się podporządkować regulaminowi, w którym najważniejsze jest zdanie: *prezentowane będą wyłącznie przedstawienia dla najmłodszych widzów*. Wcześniej nie zastanawiałem się nad ideą festiwalu, w tym roku pojąłem, dlaczego całą tę rzecz w „Ateneum” wymyślono. To nie była ambicja teatru, żeby mieć „własny” festiwal, ale reakcja na niepokojące zjawisko – malejącą ilość spektakli dla dzieci. Przedstawień, których zadaniem jest „wychowanie do teatru” od przedszkola. To truizm, ale jeśli nie dotrze się do małych widzów właśnie w tym okresie ich rozwoju – będą oni w większości dla teatru (także „dorosłego”) straceni.

Trudno na podstawie jednego festiwalu silić się na tworzenie pogłębionej analizy, jednak można spróbować odpowiedzieć na kilka pytań. Jaki jest zatem dzisiejszy teatr lalek?

### Niskobudżetowy

– żeby nie powiedzieć: biedny. Trzy teatry (toruński, łódzki, berliński) pokazały spektakle realizowane przez dwójkę aktorów. Trzy osoby występowały

Machine do Otwierania Festiwalu uruchomiła wiceprezydent Katowic Grażyna Szoltysik razem z niepełnosprawnym dzieckiem – jednym z uczestników ceremonii. Tak 1 czerwca zaczęły się dni radości dla najmłodszych widzów, którzy mogli obejrzeć aż 12 (w tym 8 konkursowych) przedstawień teatrów lalek.

# Teatr mój widzę... lalkowy

„Katowice – dzieciom”  
pod medialnym  
patronatem „Śląska”

w przedstawieniu „Divadla Loutek”. Myślę, że ta „kameralność” bardziej wynika z realiów narzuconych kulturowo przez wolnorynkową rzeczywistość niż z artystycznych wizji. Na tym tle wyjątkiem był Lwowski Wojewódzki Teatr Lalek, który w siedmioosobowym składzie przedstawił *Alibabę i rozbójników*. Z dopiskiem: *musical nie tylko dla dzieci*. I to prawda, bo orientalną baśń wystawiono w konwencji paryskiej rewii, w żywym planie, przez co bogate (choć skromne, żeby nie rzec – perwersyjne) stroje tańczących pań (a nie były to jakieś anorektyczki) przekonywały zwłaszcza tatusiów, że warto było zabrać dziecko „na kukielki”. Te ostatnie były zresztą w mniejszości. Rozmach inscenizacji, przepych kostiumów, ilość środków włożonych w chybione w sumie przedsięwzięcie zdają się świadczyć o tym, że na Ukrainę „wolny rynek”

jeszcze nie dotarł. Zajmuję się jednym ze słabszych przedstawień nie po to jednak, aby epatować besserwiskerskimi złośliwościami. To dobry punkt wyjścia do próby „zdiagnozowania” stanu teatru lalek dziś. A właśnie – w nim coraz

### mniej lalek

– coraz więcej aktora. Do przeszłości należą widowiska „grane” przez klasyczne kukły, marionetki, pacynki, jawajki itd., kiedy to użyczający im głosu i ruchu wykonawca pojawiał się na scenie dopiero po zakończeniu bajki. Lalkę z przemysłowymi mechanizmami, służącymi budowaniu iluzji czy magii, coraz częściej zastępują nieruchome „rzeźby”. Przewidziane dla niej gesty i emocje przeniosły się na aktora. Dlaczego? Jedni mówią, że to „znak czasu”, że dzisiejsi widzowie, wychowani przez „multimedia”, nie są już zdolni do odbioru spektaklu „w pudełku” lub nad parawanem. Inni twierdzą, że to efekt regresu szkolnictwa lalkarskiego. Nie uczy się tam po prostu techniki, przez co absolwenci nie potrafią „obsługiwać” skomplikowanych obiektów animacji. Złośliwi uważają natomiast, że to po prostu pozostający przez wieki w cieniu lalki aktorzy biorą odwet. Motywem jest zazdrość „o życie w świetle reflektorów”. Nie chcę rozstrzygać, która z opinii jest prawdziwa. Odnotowuję fakt. Twórcy teatralni poszukują zatem nowych środków wyrazu. Interesująca była – wracając do ukraińskiego *Alibaby* – próba użyczenia statycznym „figurkom” bohaterów prawdziwych dłoni aktorów. Ostrawskie „Divadlo” pokazało, jak zbudować wilka z „poduszek”. W finale spektaklu z Berlina lalkami okazały się nawet szczudła. Prowadzi to do wniosku, że skończył się czas ożywionego „stworka”.

Aktorzy górą? Biorąc pod uwagę konkurs można tylko wyrazić obawę, że ich sztuka zbyt mocno zmierza w stronę „estrady”, „przymrużania oka”, czy wręcz szarzy. Opowieść rozmywa się w popisach, żeby nie powiedzieć – w kabaretowych grepsach.

### Koniec historii

Nie chodzi mi o zmiany po upadku muru berlińskiego. Sygnalizuję tendencję do swobodnego traktowania historii opowiadanych przez – jednak – AUTORA. Nagrodę za najlepszy spektakl dostał



Noriyuki Sawa i Hermína Motýlová, „Cztery bajki o tym, jak wilk stał za płotem” (Divadlo Loutek, Ostrawa).

Foto: F. Rezníček



Jakub i Wilhelm Grimmowie, „Jorinda i Joringel” (Theater Kranevit, Berlin).

„Theater Kranevit”, który wystawił *Jorindę i Joringela* braci Grimmów. Przedstawienie intrygujące, z piękną scenografią, ciekawymi pomysłami (Mo Bunte – starsza pani, występująca w roli czarownicy, przez godzinę gra na szczudłach, animując jednocześnie lalki). Sprzeciwiałem się nagrodzie, choć doceniałem walory widowiska. Trudno mi jednak zaakceptować (być może wynika to z faktu, że sam piszę) ignorowanie tekstu, który niesie jakieś przesłanie. Najkrócej: Joringel musi odnaleźć czerwony kwiat, żeby odczarować ukochaną. Sztuka zmierza w kierunku „teatru drogi” (czemu nie, skoro jest „kino drogi”). Tymczasem wyprawa w poszukiwaniu magicznej rośliny trwa krócej niż „dopisana” (I pozbawiona zupełnie znaczenia dla treści) scena siekania przez wiedźmę marchewki. W ukraińskim spektaklu fabuła baśni rozmyła się w tańcach. Dzielny szewc Dratewka przepadł w kabaretowej oprawie sztuki Marii Kownackiej, w dodatku „pisanej” na scenie przez aktora-mężczyznę.

Zabawa z tekstem obroniła się – moim zdaniem – tylko w przypadku *Czterech bajek o tym, jak wilk stał za płotem*. Pomysł, że Czerwonego Kapturka, trzy świnki i grimmowskie koźlątka prześladowuje to samo wilczyśko, okazał się nośny i zabawny. Właściwie jedyne przedstawienie trzymające się „literatury” to *Baśń o Rycerzu bez Konia* Marty Guśniewskiej „Teatru Animacji” z Poznania. Wierna adaptacja była też *Kasztanka* Antoniego Czechowa. Na początku wydawało się, że ta historia, opowiedziana „z punktu widzenia” psa, może być wydarze-

niem. Niestety, czytana z głosników opowieść narratora, szybko przekonała widzów, że jeśli Czechow – świetny przecież dramaturg – wybrał dla swojej historii formę opowiadania, to należało jego decyzję uszanować.

### Drobny wyzysk jury

W katowickim festiwalu nagradza się najlepszy spektakl, najlepszą rolę męską i kobiecą. W tym roku nagrodę za najciekawszą scenografię ufundował jeszcze handlowy moloch – „Silesia City Center”, zdając się jednak na wybór jurorów. To było poza umową z „Ateneum”, ale dzięki temu podzielone w swoich sądach jury uhonorowało nagrodami wszystkie zasługujące na to spektakle. Za najlepszy uznano *Jorindę i Joringela* – „Theater Kranevit” z Berlina. Poznański „Teatr Animacji” dostał podzieloną na pół (no cóż – sami są sobie winni) nagrodę za rolę męską (dla rycerza bez konia i dla konia bez rycerza). Za rolę kobiecą nagrodzono aktorkę „Malutkiego” z Łodzi. Dobrze, iż dostrzeżono zespół z Ostrawy (nagroda za scenografię). Jakoś tam więc sprawiedliwości stało się zadość, choć – pozostając w tym kręgu laureatów – inaczej bym nagrody przydzielił.

### Marudzenie

zblazowanego recenzenta – to jego obowiązek. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak – w końcu w teatrze lalkowym happy end jest normą – przejść do pozytywów. Dzięki za ten festiwal organizatorom z „Ateneum”, którzy osiągnęli zamierzone cele. Sprawili, że mała widownia przeżyła święto (jury podczas swojej pracy powoływało się często na dziecięce reakcje). Potrafili – choć festiwal zakłada konkurencję – stworzyć taką atmosferę, że w prywatnych rozmowach goście wyrażali życzenie, aby tu powrócić. Podziękowania należą się też miastu. Już choćby za odwagę prezydenta Piotra Ushoka – honorowego patrona imprezy, który uznał, że nie jest ujmą dla gospodarza miasta wsparcie teatru pozornie mniej „ważnego”. Przede wszystkim jednak chwała samym twórcom, którzy przyjeżdżają do Katowic nie tylko po to, żeby wygrać, ale też aby wymienić się doświadczeniami, nawiązać kontakty, spróbować się czegoś nauczyć. Z myślą o tych, którzy dzięki nim może po raz pierwszy dotkną magii teatru. I powiedzą – jak dziecko zacytowane w festiwalowej gazecie – *babciu, przyjdziemy tutaj jutro?*

BOGDAN WIDERA

## sacro casco 2 (negocjacje)

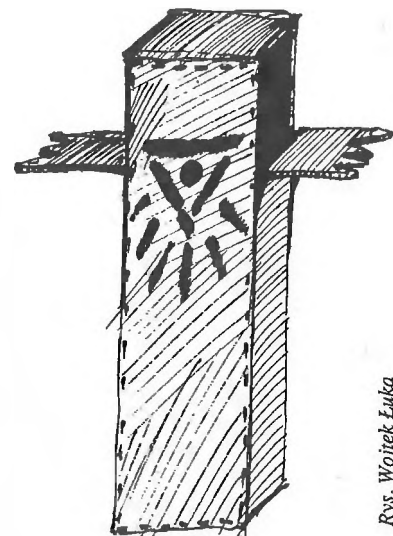
życiowe remaki filmów na  
życzenie, stopklatki  
zdań. kadry negocjatorów  
przeszkolone w anielskiej  
cierpliwości.

na dachach i mostach łapię cię za  
słowa w pół drogi do boga.

ufaj, że nie zdradzę  
ile już lat występuję w tych  
scenach,  
czekam na telefon.

wyrwana jak kabel z gniazdka  
snu przy ścianie przypiram  
życie na loterii losu:

oregano, pieprz, sól czy wanilia-  
już biorę twój lot  
pod swoje skrzydła.



Rys. Wojtek Łuka



# WOJCIECH BRZOSKA

## znane motywy, jasne sytuacje

fioletowe chmurki gonią się za oknem  
rano, w innym mieście.  
słońce klóci się z deszczem,  
pełza po pudełkach w pokoju, po parapecie  
przenosząc przedmioty z wczorajszego światła:  
moloko, zdjęcia i ptaki.

wiosna jest stamtąd, chmury i sen.  
czerwona piłka wpada przez okno  
do kartonu, w którym, spakowany,

lśnię.

## \*\* (dwie gwiazdki)

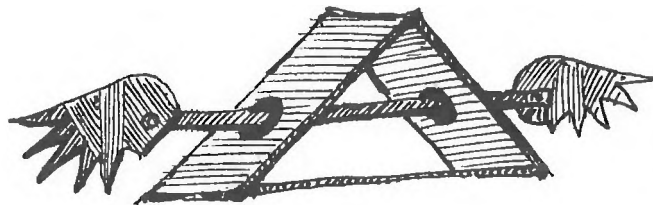
czynności profilaktyczne, np. zmiatanie  
śniegu przed śniadaniem. w ramach dyscypliny poranny  
curling na chodniku. mop nadaje w rejonie wewnętrznym.  
pełna synchronizacja, chociaż dominują raczej żółte figury:  
trapez, koło, pas  
(tacka, kubek, lamperia).

wszystko pasuje  
i się wylewa, żółć i biel w wąskim gardle  
stołówek, w AOrcie zasad: Alkohol, Alkomat, Out.  
albo, w ramach k.o., poobiednie petobranie  
wzdłuż krawężnika, w zamian za przepustki  
do krainy pizzy, tesco i bigstarów.

dwie gwiazdki coraz bliżej,  
wystarczy dać ulepić z siebie bałwana  
i zaśpiewać o księciu z innej bajki.

ta piosenka ma miliard razy więcej den  
niż jej wokalista.

że aż się chce do niej wracać.



Rys. Wojtek Łuka

## hostel celica

urlop zaczyna się w celi, za granicą  
krat, dwa na dwa.  
to jest ironia, drwina albo znak,  
że pora wracać  
żeby nie zwariować w kilka dni  
potem po wymiotach  
paniki i winnych tabletkach,  
z lęku przed sobą i resztą  
europą w meczu towarzyskim  
sam przeciw wszystkim.

## orzeł i reszta

uśmiejesz się jak mops z tych wolnych  
żartów, które ci same wychodzą  
z siebie na bok języka, kiedy się pocisz jak  
mops zawieszając głos na kołku

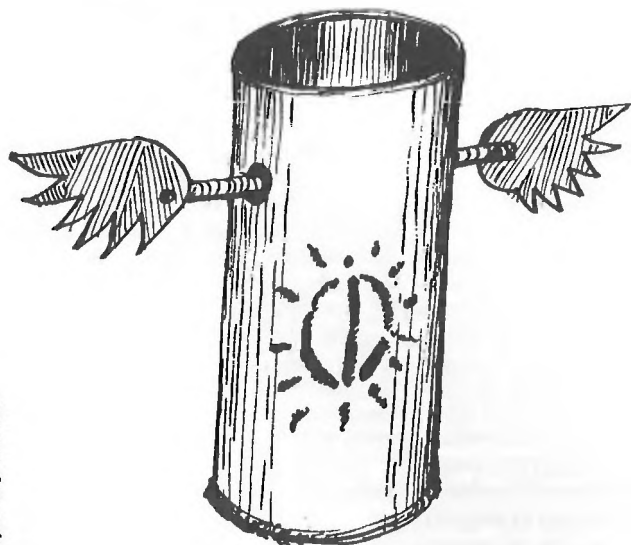
przysłowia. marszczysz wtedy czoło jak  
mops w prima aprilis. nie możesz się pomylić.  
ktoś inny napisze za ciebie życiowe  
przysłowie, którego widok brzmi jak

poślowie albo kelnerka na diecie  
cud:

ty płacisz słono za słowa  
a mnie wydają.

w reszce.

języka.



Rys. Wojtek Łuka

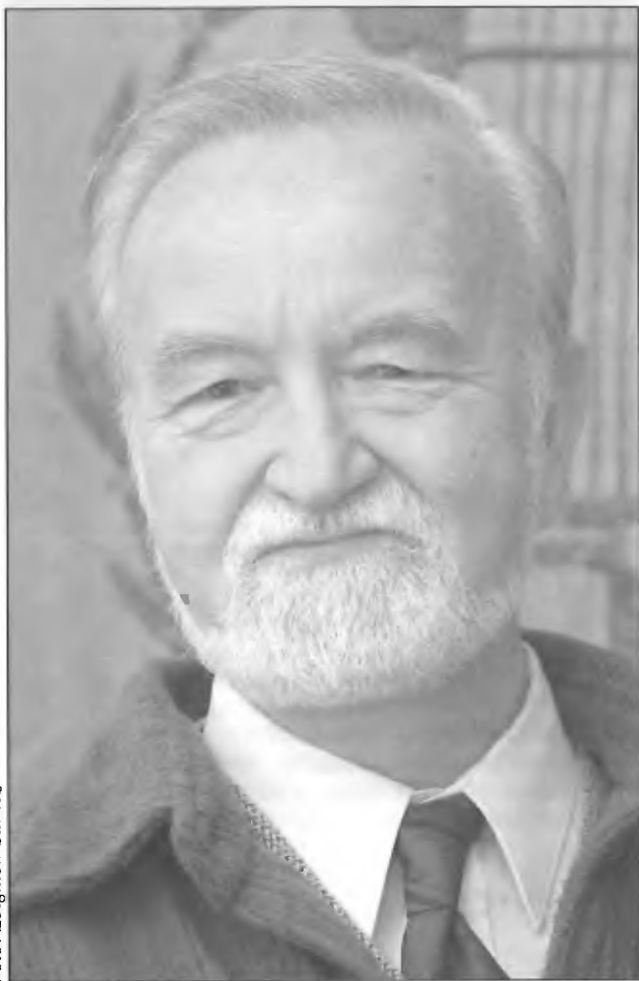


Foto: Zbigniew Sawicz

# Pieśń uszła cało...

– Obchodzony w ubiegłym roku jubileusz 95-lecia istnienia Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr skłania do refleksji. Niezwykle prężne początki Związku, powojenne lata rozkwitu, zwłaszcza działalności chóralnej, a potem, w początkach lat 80. regres znaczący likwidacjami zespołów, zwłaszcza tych, które organizacyjnie związane były z wielkimi organizmami przemysłowymi. Wydawało się, że Związek nie podniesie się z upadku, gdy tymczasem. Powróćmy jednak na chwilę do początków istnienia Związku.

– Polski Związek Chórów i Orkiestr jest młodszy od Oddziału Śląskiego, który został utworzony już w 1910 roku. Zwał się wówczas Związkiem Śląskich Kół Śpiewaczych. Swoim zasięgiem obejmował obszar tradycyjnego Górnego Śląska, Śląsk Opolski i Cieszyński oraz Zaolzie. Trzeba przypomnieć fakt, że istniejąca nazwa Związku obowiązuje dopiero od 1973 roku. Wcześniej było to Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Muzycznych, którego bezpośrednim spadkobiercą jest właśnie Oddział Śląski.

W historii Związku można oczywiście wyróżnić okres początkowy do 1910 roku, następnie tzw. „złoty wiek” śpiewactwa na Śląsku, którego punkt kulminacyjny przypada na okres, kiedy na Śląsku decydowały się sprawy państwowości polskiej, czyli powstań śląskich oraz umacniania młodej II Rzeczypospolitej. Po II wojnie światowej, w czasach PRL ruch śpiewaczy dostosowany został do potrzeb socjalistycznej propagandy. Wreszcie okres najnowszy to czas papieża-Polaka, Jana Pawła II. Od chwili jego drugiej pielgrzymki do Polski ruch śpiewaczy odrodził się. Rozbudziły się na nowo chóry przykościelne, a pielgrzymowanie papieskie po Ojczyźnie wyzwało potrzebę organizowania się w ogromne zespoły koncertujące podczas wizyty Ojca Świętego. To był kamień milowy w scalaniu i odradzaniu ruchu śpiewaczego na Śląsku. W tym czasie Oddział Śląski wybił się na najsilniejszy ośrodek społecznego ruchu muzycznego na Śląsku.

– Przeglądając spisana przez Pana jak i innych dokumentalistów, historię Związku widać, że w okresie międzywojnia z ruchem śpiewaczym związane były najważniejsze postaci życia politycznego i społecznego, nie tylko muzycznego.

– Najwybitniejszą postacią wśród dziejopisów śpiewactwa na Śląsku był Jan Fojcik – to prawdziwy autorytet w sferze dokumentalistyki. To między innymi jego dociekaniami wiemy, że w czasach dwudziestolecia międzywojennego z ruchem śpiewaczym związani byli wybitni przedstawiciele życia politycznego i społecznego, zwłaszcza ci będący blisko Wojciecha Korfanteo. Byli wśród nich m.in. Jan Brandys, Józef Czempiel, Paweł Dubiel, Józef Rostek, ks. Emil Szramek, Konstanty Wolny, także Jerzy Ziętek, Alfred Ligoń i Stanisław Ligoń. Pamiętać trzeba, że śpiewacy nie tylko wykonywali pieśni polskie, ale i walczyli o Polskę, byli wśród grup kierowniczych ruchów powstańczych. Kulminacyjnym momentem tamtego okresu było powitanie Polski przez Ślązaków w dniu 20 czerwca 1922 roku. Członkowie Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Wyspiańskiego w Szopienicach witali polskie wojska wkraczające na Górny Śląsk na granicy pod Sosnowcem. Na rynku w Katowicach chórzyści miejscowego chóru „Ogniwo” śpiewali pieśni kościelne i patriotyczne wraz z najstarszą pieśnią „Bogurodzicą” podczas mszy polowej na stopniach teatru.

– Widać, był to honor udzielać się w towarzystwie śpiewaczym. Z ruchem tym związani byli również wybitni muzycy i kompozytorzy tamtych czasów.

– Myślę, że jeden drugiego potrzebował. Śpiewanie polskich pieśni było najprawdziwszym „śpiewem wolności”. Zależało również na tym kompozytorom. Pierwszym rzecznikiem i realizatorem najtrudniejszych utworów chóralnych był Stefan Marian Stoiński, kompozytor, dyrygent i organizator ruchu śpiewaczego na Śląsku. To on katowickie „Ogniwo” podniósł do rangi reprezentacyjnego chóru śląskiego. Był też dyrektorem artystycznym Związku w latach 1925-1931. Sprawował również przez kilka lat funkcję redaktora naczelnego „Śpiewaka Śląskiego”.

– Jednak szczególne miejsce w repertuarach chórów zajmował zawsze Stanisław Moniuszko.

– Działo się tak do wybuchu II wojny światowej, jedną z najważniejszych uroczystości było odsłonięcie w 1930 roku pomnika tego kompozytora w Katowicach. Obok Moniuszki najczęściej wykonywanymi dziełami polskich kompozytorów były utwory Feliksa Nowowiejskiego, zaprzyjaźnionego z ruchem śpiewaczym, także Karola Szymanowskiego, oczywiście Stoińskiego. W latach powojennych, chociaż nadal dominował Moniuszko, niezwykle popularnością cieszyły się utwory kompozytorów współczesnych: Jana Maklakiewicza, Artura Malawskiego, Zygmunta Noskowskiego, Andrzeja Panufnika, Stanisława Wiechowicza, Bolesława Woytowicza, Stanisława Hađyny, Jana Wincetego Hawela, Józefa Świdra, Ryszarda Gabrysia.

– Do najpiękniejszych kart śląskiej chóralistyki należy współpraca zespołów z profesjonalnymi orkiestrami filharmonicznymi. Świadczy to o wysokim poziomie artystycznym zespołów.

– Tak, to największa zdobycz lat powojennych. Współpracowaliśmy z Filharmonią Śląską, filharmoniami w Opolu,

Częstochowie, Rybniku, Zabrze. Szczególnie miejsce zajmuje współpraca z prof. Karolem Stryją, wieloletnim dyrektorem artystycznym Filharmonii Śląskiej, który był wielkim sprzymierzeńcem chórów śląskich. Przypomnę, że chór „Ogniwo” miał swoją siedzibę w katowickiej Filharmonii. Do wykonawców najnowszych dzieł wybitnych kompozytorów angażował także inne zespoły śpiewacze ze Śląska. Dziś również wybitni kompozytorzy często piszą utwory dla amatorskich zespołów chóralskich, chociaż określenie „amatorski” jest już przestarzałe, bowiem w Związku są zespoły o najwyższym poziomie artystycznym, które ciągle współpracują ze znakomitymi orkiestrami symfonicznymi. Niedosiągnięty jest zabrzański chór Rezonans con Tutti założony przez Norberta Krocza.

– 25 lat temu przejął Pan schedę po Zdzisławie Pyziku i przesunął Oddziałowi Śląskiemu.

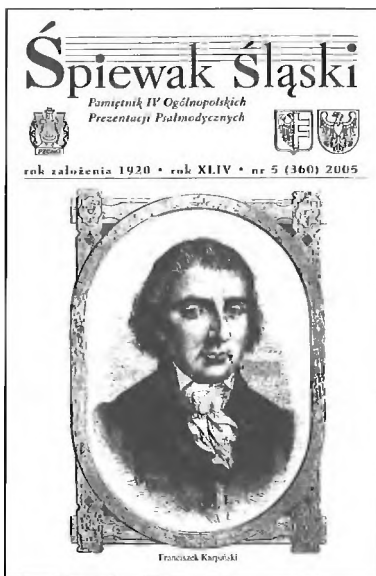
– Związek mógłby się mieć jeszcze lepiej i cały czas o to zabiegamy. Z upadku nie podniosło się wiele zespołów. Związane to było z upadkiem wielu kopalń i innych zakładów pracy, bowiem były to zespoły przyzakładowe. Sporo zakładów upadło, a te istniejące przestały łożyć na kulturę. Wtedy przeszliśmy na własny rachunek. W 1982 roku Związek liczył zaledwie 55 zespołów, a było ich blisko dwieście. Pomógł nam... papież, wybór kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową. Pielgrzymka papieża na Śląsk wiązała się z występem wielu zespołów chóralskich w jednym miejscu. W Katowicach Muchowcu, w 1983 roku, śpiewały zespoły połączone – około 1200 wykonawców: 27 zespołów chóralskich i dwie orkiestry. Tym pamiętnym zespołem-kolosem dyrygował Mieczysław Dziendziel. Niedługo po tym wydarzeniu na Górze świętej Anny wystąpił chór złożony z około 2,5 tysiąca wykonawców pod dyrekcją Norberta Krocza. Wszystkie te zdarzenia doprowadziły do odnowienia współpracy z Kościołem. Znowu byliśmy potrzebni, jak za dawnych lat. Również w dalszych latach pielęgnowanie rocznic narodowych powodowało zapotrzebowanie na liczne zespoły śpiewacze i orkiestrowe.

– Czy dzisiejsza jednocząca się Europa może być wyzwaniem dla ruchu śpiewaczego na Śląsku?

– Oczywiście, że tak. Europie brakuje słowiańskości. W 1929 roku w Wielkopolsce odbył się Zjazd Chórów Wszechsłowiańskich – śpiewało około 18 tysięcy wykonawców. Dzisiaj widzę sens w kontynuowaniu tej idei, bo jak mówił papież Jan Paweł II, Europa musi oddychać dwoma płucami – wschodnim i zachodnim. Ponadto za sprawą śpiewactwa następuje integracja społeczności. W Katowicach odbyły się dwa zjazdy Związku Chórów Słowiańskich. Ta idea zasługuje na kontynuowanie. I zjazd odbył się w 1998 roku – z okazji 150. rocznicy zjazdu słowiańskiego w Pradze, II – w 2001 roku w Katowicach.

Wśród ważnych imprez śpiewaczych jest „Trojek Śląski”, czyli Święto Polskiej Pieśni. Organizujemy je razem z Unią Europejską w Pradze, z Republiką Czeską i na Zaozliu. W tym roku odbywać się będzie w Ostrawie. O międzynarodowym zasięgu jest festiwal im. Stanisława Moniuszki – to prestiżowy konkurs, bardzo ceniony przez zagranicznych sąsiadów. Statuetka przedstawiająca Stanisława Moniuszkę, fundowana przez marszałka województwa śląskiego jak magnes przyciąga śpiewaków. Ekspozujemy pieśni śląskie, polskie i czeskie.

Ważny jest też Ogólnopolski Festiwal Polskich Pieśni Chóralskich w Katowicach, który odbywa się co dwa lata. Najnowszą propozycją są Ogólnopolskie Prezentacje Psalmodyczne w Chorzowie, organizowane od ośmiu lat. Związane są z historią tego miasta, bowiem bożogrobcy śpiewali psalmy przez kilka godzin dziennie. Stary Chorzów był najbardziej rozpiewanym psalmodycznie miejscem na Śląsku, do XIX wieku włącznie, czyli do likwidacji zakonu. Po reaktywacji zakonu warto było przywrócić te tradycje. Moim marzeniem jest wy-



konywanie psalmów żydowskich i muzyki cerkiewnej, a przez to nadanie Prezentacji rangi międzynarodowej.

Oddział Śląski PZChO to także liczne orkiestry dęte. Dla nich organizowany jest Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych „Złota Lira” w Rybniku, Międzynarodowy Konkurs Młodzieżowych Orkiestr Dętych w Jastrzębiu Zdroju. To przecież nobilitacja gmin w świecie.

– Oddział Śląski prowadzi również ożywioną działalność wydawniczą. Do najważniejszych należało reaktywowanie przedwojennego „Śpiewaka Śląskiego”.

– Reaktywowałem „Śpiewaka Śląskiego”, bo bez tradycji nie ma przyszłości. A to była wizytówka. Pierwszy numer „Śpiewaka Śląskiego” ukazał się w 1920 roku jako dwutygodnik. Współpracowali z tym pismem znakomici muzykolodzy i wybitni muzycy i kompozytorzy. Reaktywowany został w 1985 roku. Najpierw był kwartalnikiem – redagowany jest

społecznie, a teksty i zdjęcia oraz inne materiały przekazywane są honorowo. Staramy się tylko o środki na druk pisma. Od 3 lat jako dwumiesięcznik wydajemy „Śląskie zeszyty nutowe”. Dzięki Regionalnemu Ośrodkowi Kultury udało się ta inicjatywa. Swoje utwory publikują kompozytorzy śląscy i z całej Polski – Stefan Stuligrosz, Lucjan Labrus, Józef Świder, Henryk Botor, Marek Jasiński. W 2005 publikowaliśmy utwory Zbigniewa Penherskiego, Franciszka Suchały (partytura orkiestrowa) i Marcellego Reszki. W tym roku przygotowaliśmy wydanie, w którym gościły utwory Katarzyny Gaertner w opracowaniu chóralnym Krzysztofa Kagańca, które powstały do słów Tadeusza Ki-jonki. Były też utwory Jana Wincentego Hawela i Sławomira Kaczorowskiego. W przygotowaniu są utwory Stefana Stuligrosza i Romualda Twardowskiego. „Śląskie zeszyty nutowe” to tytuł, który powinien z czasem usamodzielnić się, być wspólnie wydawany ze Śląskim Oddziałem Związku Kompozytorów Polskich. Powstała też mutacja „Śpiewaka Śląskiego: – „Śpiewak Śląski w szkole” dla nauczycieli i dyrygentów, działaczy chórów młodzieżowych. W Katowicach ma też redakcję „Życie Muzyczne”. Trzy lata temu podjąłem się redakcji i w ten sposób ochronilem tytuł przed upadkiem. Swoje miejsce znalazła w nim Konfraternia Najstarszych Chórów i Orkiestr, a recenzje nagrań muzycznych zamieszcza Jacek Kurek.

Od 1999 roku funkcjonuje Śląska Biblioteka Muzyczna – jest to samodzielny dział Biblioteki Śląskiej. Tworzą ją zbiory nutowe, muzykologiczne i dokumentalne. Staramy się, by Śląska Biblioteka Muzyczna była ukierunkowana na potrzeby śląskiego ruchu muzycznego. To ważna funkcja naszej Książnicy jako ośrodka bibliotecznego w środkowej Europie i służąca wydawaniu dzieł kompozytorów tej części Europy.

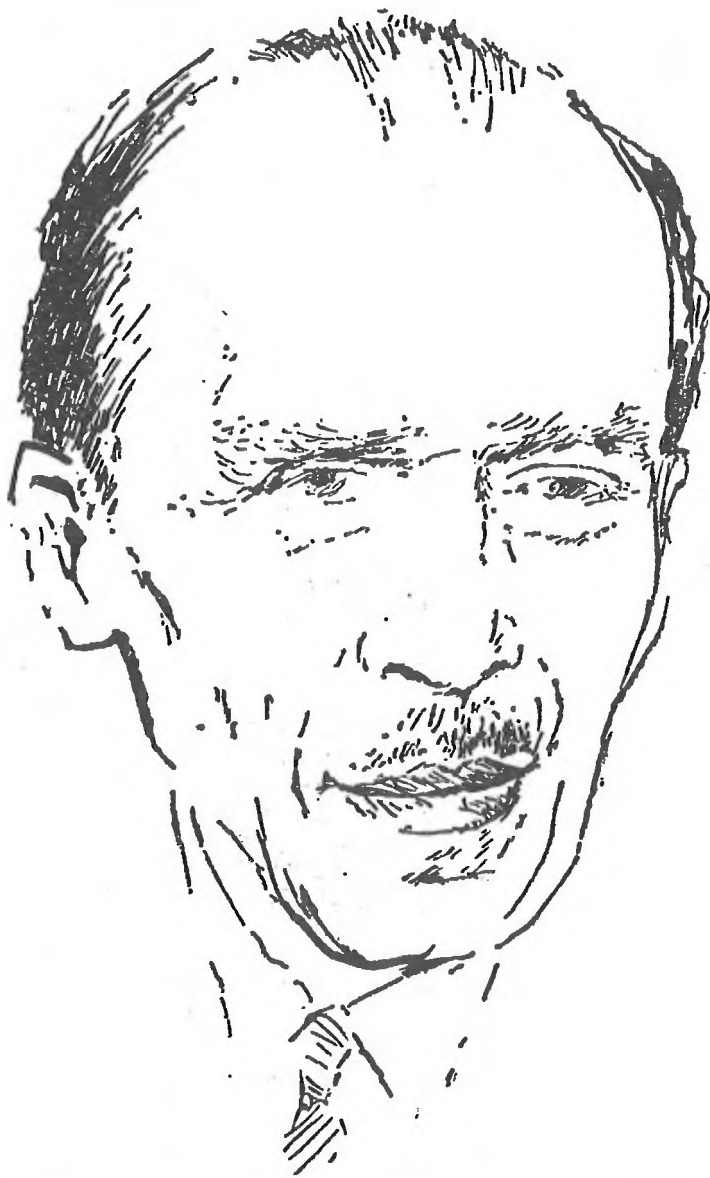
– Pan sam jest autorem wielu publikacji książkowych, artykułów prasowych, rozpraw, nie licząc przygotowywania redakcyjnego kolejnych numerów „Śpiewaka Śląskiego” czy „Śląskich Zeszytów Nutowych”, a do tego „Życie Muzyczne”. Ogrom zadań. Skąd u Pana takie zainteresowanie chóralistyką?

– Z tradycji mojej rodzinnej miejscowości – w Pawłowicach działał chór „Lutnia”. Miał charakter elitarny – dawał koncerty w kościołach i na estradach. Odbywały się liczne spotkania chóralne. Poza tym jeszcze do dziś dźwięczy mi w uszach „Exodus” Wojciecha Kilara, wykonany w katowickiej katedrze. Po moim poprzedniku Zdzisławie Pyziku – znakomitej postaci związanej całym sercem z ruchem śpiewaczym na Śląsku, kompozytorem wielu piosenek: „Karlika”, „Pyk, pyk z fajeczki”, „Od Siewierza”, rozślawionych przez Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” na całym świecie, jak zostało powiedziane, odziedziczyłem ogromną schedę, a wraz z nią odpowiedzialność za blisko 100-letnią tradycję.

Rozmawiała:  
WIESŁAWA KONOPELSKA

# Bez nestorów

Rozmawiają: Marta Cuber, Anna Kałuża,  
Marian Kisiel, Dariusz Nowacki, Agnieszka Nęcka,  
Krzysztof Uniłowski.  
Moderator: Tadeusz Kijonka



Zdzisław Hierowski (1911-1967), krytyk i historyk literatury śląskiej, który miał szczególne zasługi w przełamaniu stereotypów regionalnych tutejszego piśmiennictwa i w uformowaniu środowiska literackiego. Rys. Jerzy Moskal.

**TADEUSZ KIJONKA:** Temat dyskusji *O stanie krytyki literackiej na Śląsku* jest zarazem ścisły i trochę mylący. Nie chodzi o to, by dokonać bilansu stanu krytyki literackiej na Śląsku – nie funkcjonuje ona prze-

cież w izolacji. Jest też parę kontekstów, o których trzeba pamiętać. Musimy odnieść się do sytuacji obecnej, ale również i do przeszłości. Jak widzimy, jest tutaj obecne przy stole grono młodych i nieco starszych kry-



Tadeusz Kijonka

Foto: Zbigniew Sawicz

tyków. Można by zatem powiedzieć, że krytyka literacka na Śląsku odbywa się bez nestorów. Jest to fakt istotny i o czymś świadczący. Obecnie tu grono krytyków nie miało bezpośrednich poprzedników. Wywodzący się ze szkoły uniwersyteckiej, pracowali poza wcześniejszymi układami życia literackiego. Inaczej było w przypadku Mariana Kisiela, który przez pewien czas był związany z „Życiem Literackim”. Słowem, nie ma tu uwikłania w struktury literackie, w organizację życia literackiego. Do tej pory na Śląsku można było mówić o braku, czy niedostatku krytyki jako grupy krytyków. W drugiej połowie lat 30. pojawia się Zdzisław Hierowski, choć wcześniej jest oczywiście konsekwentny regionalista Alfred Jesionowski czy Paweł Musioł. Ale takim zawodowym krytykiem z nowoczesnym pojmowaniem literatury, który cierpiał na kompleks środowiska śląskiego, był Hierowski. Po nim rolę tę wypełniał przez pewien czas Witold Nawrocki. Hierowski jako instytucja jednoosobowa starał się mobilizować swoje otoczenie i miał poczucie swoistej misji w stosunku do tego środowiska. Spór o regionalizm skończył się w istocie pod koniec lat 30. Potem usiłowano amputować tę sprawę, ale nie miały one już uzasadnienia, wyczerpała się pewna generacja, ta, która miała powiązania z literaturą jeszcze o korzeniach ludowych, autentycznie regionalnych. Po 1945 roku każdy wchodzący rocznik usiłuje udowodnić, że odcina się od tych związków z regionalizmem. Sytuacji śląskiej krytyki nie da się porównać z ośrodkami o bogatych tradycjach literackich, np. z tym, co się działo w Krakowie, gdzie było wiele pism i instytucji; pojawiła się nawet szkoła krytyczna Kazimierza Wyki. Tutaj tego długo nie ma. O środowisku ludzi, którzy zajmują się krytyką literacką, a więc o grupie, można mó-



wić dopiero od lat 90. Pojawia się środowisko krytyków uniwersyteckich, związanych z Uniwersytetem Śląskim, którzy odebrali edukację w jednym miejscu, w zbliżonym czasie. Charakteryzuje ich pewna wspólnota przeżyć pokoleniowych i funkcjonowanie w nowych warunkach życia literackiego. Nie ma istniejącego wzorca na miejscu, są własne wybory, własne ambicje i powiązania. Jeśli spojrzeć na to od tej strony, sytuacja jest wyjątkowo korzystna. To stan, na który się długo czekało i odpowiada on istnieniu już zdomowionego, rozwiniętego uniwersytetu (z którego wywodzą się także poeci i prozaicy). Ten wysyp piór z Uniwersytetu Śląskiego jest znakiem normalności. Ponadto skończył się już tzw. model pisarza śląskiego, który był określany także przez rozliczne funkcje utylitarne i społeczne. Nie ma też już nikogo, kto współtworzył środowisko literackie w Katowicach po wojnie. Z wielu przyczyn doszło do zerwania ciągłości i poczucia dziedzictwa. Jesteśmy więc w całkowicie nowej sytuacji, która prowokuje do pytań. Jak wygląda obecnie mapa literacka? W jakim stopniu jest stabilna a w jakim ruchoma? Jakie są, w odczuciu samych krytyków, braki czy niedostat-

źebnie odnosiły się do literatury tutaj i nie tylko tutaj tworzonej. Krytyka literacka jest taką dyscypliną, która zawsze próbowała zwracać na siebie uwagę. Otóż, pytanie „komu była potrzebna krytyka literacka”, jest pytaniem, na które można udzielić wielorakiej odpowiedzi. Po pierwsze, dopiero w ostatnim piętnastoleciu krytyka usamodzielniała się jako dyscyplina literaturoznawcza, co spowodowało zmianę w nastawieniu krytyki do tekstu literackiego. Do tej pory panował pogląd, że krytyka jest naroślą na dziele a nie dziełem samym w sobie, że krytyk to jest impotent, który nigdy nie wstąpi do świątyni geniuszu. Przez całą Młodą Polskę, która tak naprawdę uruchomiła krytykę literacką, była ona traktowana jako czynność usługowa albo jako coś, co jest rzeczą wtórną w stosunku do samej literatury. Naturalnie krytycy mieli pełną świadomość tego faktu. Czy w takim środowisku jak Śląsk po roku 1992 można mówić o wykształceniu ważnej grupy krytyków? Wydaje się, że nie, choćby dlatego, że ta literatura na Śląsku powstająca zupełnie inaczej sytuowała się w stosunku do odbiorców i do tych odbiorców krytyka musiała formułować swoje własne narzędzia. Kiedy mówimy o latach 30., to mówimy o całkowitej zmianie w sposobie podejścia do krytyki, literatury czy kultury literackiej. Zmiana modelu krytyki nastąpiła po II wojnie światowej, kiedy to krytycy zaczęli pytać, czym naprawdę jest pisanie o dziele literackim, które nie chce być utożsamiane z pisanem literackim. Czy krytyka jest wobec dzieła faktem podrzędnym, nadrzędnym czy równorzędnym? Prawda jest taka: krytyka literacka rodzi się na glebie, która musi najpierw bardzo długo nasiąkać rozmaitymi ideami czy koncepcjami. Lata 90. to czas, kiedy znikają trybuty ideologiczne, ale to także czas znikania powinności nakładanych na krytykę. Do tej pory mówiono, że krytyka to jest instytucja życia literackiego, która powinna stawiać literaturze rozmaite wyzwania. Rok 1989 zaprzeczył tego typu postulat. To jest, jak sądzę, pierwszy tego typu moment, w którym krytyka literacka sama dla siebie może być sprawdzianem. Widać wtedy, że tych szkół krytycznych jest bardzo wiele, że mistrzów i uczniów jest niesłychanie wielu. To wszystko zaowocowało dużą plejadą krytyków, którzy przecież nie są utożsamiani z jedną szkołą metodologiczną ani z przywiązaniem do regionalizmu, ani z powinnościami moralnymi, ani w końcu z powinnościami feministycznego czytania literatury.



Krzysztof Uniłowski

Foto: Agnieszka Nęcka

Reasumując, dla krytyki jako instytucji życia literackiego w tym środowisku najlepszy czas nadszedł właśnie gdzieś około roku 1989. Myślę, że szczęściem dla tego środowiska było to, że zawód krytyka nie był tak popularny, jak byśmy chcieli. Ważne również było to, że o literaturze wypowiadali się sami pisarze. Uczy to bowiem krytykę pewnego nowego podejścia, wrażliwości, języka, oceny czy tolerancji.

**KRZYSZTOF UNIŁOWSKI:** Wydaje mi się, że jeżeli byłem nazywany śląskim krytykiem, a czasem się tak zdarzało, to były ku temu dwa zasadnicze powody. Pierwsza rzecz to rola Uniwersytetu Śląskiego, druga to „FA-art”. Być może jedno ma znaczenie dla drugiego. Tak sobie myślę, że gdyby nie pewna sytuacja, która wykształciła się dopiero po 1989 roku, to mogłoby się to jeszcze przesunąć w czasie. Mniejsze możliwości sprawiły, że do tego objawienia krytyki na Śląsku nie doszło wcześniej. Ten rezerwuare intelektualny, który także był zasługą uniwersytetu, nie mógł być skanalizowany w tego rodzaju przedsięwzięciach. Wraz z rozsypaniem starej sceny literackiej, starych reguł, pojawiły się nowe możliwości. To spowodowało, że jeśli dzisiaj ktoś mówi o krytyce śląskiej, to ma na myśli autorów, którzy są w pewien sposób afiliowani przy pewnych ukazujących się tu czasopismach. Te czasopisma, a zatem i środowiska krytyczne czy literackie są bardzo zróżnicowane, jak „FA-art”, „Opcje”, „Śląsk” czy „Kursywa”. Jeżeli jest zatem jakiś zwornik łączący nas z regionem to są nim właśnie czasopisma.

**ANNA KAŁUŻA:** Czyli wolisz określenie „krytycy na Śląsku” niż „krytycy śląscy”?

**K.U.:** Tak, ale jednocześnie te środowiska mają pewien charakterystyczny dla siebie rys. To jest już coś więcej niż taka afiliacja na zasadzie przynależności klubowej. To coś wię-



Marian Kisiel

ki, które nie pozwalają na pełną wypowiedź? Jak się ma sytuacja każdego z państwa do zobowiązań wobec macierzystego środowiska? Czego należałoby oczekiwać w stosunku do literatury o tematyce śląskiej? W jakim stopniu krytycy są usatysfakcjonowani tym, co się dzieje? Jesteście państwo twórcami nowego stanu życia literackiego w tym środowisku. Proszę więc o podjęcie tych wątków.

**MARIAN KISIEL:** Myślę, że w tych słowach Tadeusza o przeszłości krytyki na Śląsku, porzmięwa nutka goryczy, że tak ważny region wydał i nie wydał piarskie pióra, które poniekąd słu-

Foto: Agnieszka Nęcka

cej właśnie dzięki różnorodności i wyrazistości tych czasopism.

**MARTA CUBER:** Ale ta sytuacja działa w dwie strony. Z jednej, jest się reprezentantem jakiegoś śląskiego czasopisma – to jest jakby połowiczna „ślaskość”. Z drugiej, ma się pewien obowiązek pisania o poetach i prozaikach śląskich. Tymczasem, odwołuję się do mojego przypadku (osoby zajmującej się wyłącznie prozą), większość tych młodych prozaików, jak Kuczok, Pluszka czy Kobierski, mieszkali poza Śląskiem. Inaczej wygląda sytuacja pisania o nieco starszych pisarzach śląskich. Oni tu rzeczywiście są i sytuacja wypełniania „obowiązku” wobec literatów śląskich jest znacznie łatwiejsza.



Dariusz Nowacki

**M.K.:** Jakieś nieporozumienie. Przydawka „śląski” jest przyrośnięta i nikt jej się nie wyprze. Otóż to nie ma nic wspólnego z tym, czy się pisze o środowisku śląskim czy też nie. Jak rozumieć, sformułowanie „krytyk śląski” czy „krytyka na Śląsku” nie ma nic wspólnego ze śląskością rozumianą jako kategoria teoriopoznawcza. Błędem, który kilka lat temu wracał do dyskusji, jaką prowadziliśmy z Krzysztofem Uniłowskim, Darkiem Nowackim, Pawłem Majerskim i Konradem Kędrem na lamach „Śląska”, było to, że tak wielką część rozmowy poświęciliśmy zagadnieniom terminologicznym. Czy gdyby nazwać Jana Pieszczachowicza krytykiem krakowskim, ujęłoby to jego rangi czy dodało? Czy Kazimierz Wyka był krytykiem krakowskim? Oczywiście, że tak. Te przydawki dzisiaj nic już nie znaczą. Proszę zwrócić uwagę, w jaką państwa wpadają pułapkę. Przydawka jest zawsze zrośnięta z miejscem zamieszkania. Istotą tej dyskusji nie jest to, abyśmy mówili o regionalizmie, ale żebyśmy mówili o tym, że stąd właśnie wyszła w świat grupa krytyków.

**K.U.:** Zgadzam się, co do tego, że regionalizm nie jest już naszą zmurą,

natomiast nie wydaje mi się, żeby ta kwalifikacja była taka niewinna. Chciałbym rozproszyć jednak podejrzenie, że ja przed taką kwalifikacją uciekam, bo właśnie to, że ma ona podstawy w instytucjach, które stworzyliśmy, napawa mnie dumą i jest w pełni uzasadnione. Daje mi pewność, że to jest coś mojego, coś, co ja też stworzyłem. To niekoniecznie musi się łączyć z miejscem zamieszkania. Kiedyś Klejnocki zakwalifikował Roberta Ostaszewskiego jako krytyka śląskiego. Najprawdopodobniej połączył go ze śląskością tylko na podstawie jego związków z „FA-artem”. Incydent ów pokazał, że łącznie kogoś z regionem przez czasopismo jest sprawą podstawową.

**DARIUSZ NOWACKI:** To nie jest tak, że przewyciężanie syndromu śląskiego, rozumianego jako pewne upośledzenie, jest sprawą zamkniętą. Jakiś czas temu w „Twórczości” zamieszczono korespondencję Magdaleny Miecznickiej z Francji opisującą przygody pewnego krytyka, który nie chciał się zgodzić na układ establishmentu literackiego i w odpowiedzi na jego bunt, gdy wyszło na jaw, że jest profesorem Uniwersytetu w Grenoble, nazwano go „kretynem z Alp”. Mnie się wydaje, że dawniej u nas także, gdy ktoś z jakiegoś pisma centralnego polemizował z kimś stąd, to używał takiego pięknego oksymoronu „uczony śląski”, żeby mu dokuczyć. To jest już oczywiście zażegnane, ale może przecież wrócić.

**M.K.:** Bardziej kosmopolityczne go środowiska niż warszawskie chyba nie ma. Tworzą je ludzie, którzy się do swego pochodzenia nie chcą przyznać i mają pozycję twórców centralnych. Pewnych osób nie identyfikuje się z regionem. Na przykład Flaszen. Jest krytykiem ze szkoły Wyki czy krytykiem wrocławskim? Największą głupotą jest zgoda na tego rodzaju kategoryzację.

**T.K.:** W jakim więc stopniu państwo, jako krytycy, macie wpływ na realizację powinności związanych z profesją?

**K.U.:** Jeżeli tak się złożyło, że poprzestaję na obiegu offowym, to dlatego, że w nim mam pełną swobodę wypowiedzi, nie odczuwam większych ograniczeń czy presji środowiska. Mam jednak świadomość, że mówię o obiegu, który zajmuje miejsce dość marginalne.

**D.N.:** Zgłosiła się do mnie niedawno pewna pani z telewizji z prośbą, żebym poprowadził program o książkach. Chciała, żeby w miarę możli-

wości uwzględniać autorów śląskich i oczywiście jednocześnie mają to być autorzy znakomici. Mam z tym ogromny problem. Muszę się chwycić takich wybiegów jak np. to, że książka Foksa i Libery – autorów warszawskich – została wydana w Katowicach i to jest powód, żeby



Agnieszka Nęcka

o książce mówić. To jest właśnie nasz dramat. Chciałbym głosić wielkość literatury tutejszej, ale to nie zawsze jest możliwe.

**M.K.:** Pytanie o statut krytyki jest dobrym pytaniem, ale nikt nie jest sobie w stanie na nie odpowiedzieć. Trzeba powiedzieć, że te parę osób, które tu siedzą, to nie jest reprezentatywne grono dla krytyki na Śląsku powstające. A to z tego powodu, że zatarała się granica pomiędzy tzw. krytyką czystą a literaturoznawstwem. Kto państwa nominował do roli krytyków? Vox populi? Czasopisma? Przecież równie dobrze piszą młodzi ludzie, pojawiający się na pierwszych latach studiów polonistycznych. Może nie mają oni tej sygnatury krytyka, ale wypowiadają się na tym samym poziomie i z taką samą ostrością sądów. Kto powiedział, że ja jestem krytykiem, a siedząca kilka rzędów dalej Magda Boczkowska nim nie jest? Zatarała się obecnie sprawność krytyczna. Dzisiaj być sprawnym krytykiem oznacza napisać dobry tekst, krytykiem może być historyk literatury dawnej i najnowszej, student i profesor uniwersytetu. Dochodzimy do pytania o wartości, o hierarchię literacką i jestem ciekaw waszej opinii.

**T.K.:** Z krytykiem jest tak jak z katem. Krytykiem jest ten, kto zajmuje się opisywaniem i wartościowaniem. Dokonuje czynnej egzekucji. Ważna jest także kwestia pamięci czytelnicej, która przecież narasta latami.

**A.K.:** Myślę, że to narzekanie na krytykę wiąże się z pewną relatywi-

zaczą wiedzy i kryteriów. Były pewne kategorie, do których krytycy byli przywiązani i których używanie powodowało albo aprobatę tekstu, albo nie. Były to kategorie subiektywne.

**M.K.:** O tym, że książka się podobła lub nie, może powiedzieć np. moja ciotka...

**AGNIESZKA NĘCKA:** Mnie się wydaje, że nie wystarczy owa sprawność warsztatowa, o której mówi Marian. Na polonistycę, co oczywiście, muszą być ludzie, którzy posługiwać się powinni przynajmniej poprawną polszczyzną i umieć napisać



Marta Cuber

tekst zgodnie z zasadami gramatyki, ale to o niczym nie świadczy. To nie czyni z nich krytyków. Chodzi o to, by udowodnić, że to co piszę jako krytyk czy recenzent, ma jakieś znaczenie nie tylko dla mnie. Chodzi, w dużym uproszczeniu, o przyłożenie kryteriów wartościujących. Poza tym, dziś coraz częściej zaciera się granica między krytyką a recenzentem.

**D.N.:** Dla mnie kwestia takich kryteriów nie jest krępująca, bo ja ich nie posiadam.

**M.C.:** To książka narzuca nam pewne kryteria, konteksty.

**D.N.:** Cała warstwa, która do tej pory była czymś wstydliwym to warstwa towarzyska. Nasza kultura zabroniła nam cieszyć się takim zjawiskiem, jakim jest przyjaźń. Nie trzeba jej przecież kompromitować i nazywać kumoterstwem. Mnóstwo moich krytycznoliterackich decyzji zasadza się na przyjaźniach. Jest w tym wszystkim pewna trudność: jak zrobić komuś dobrze i nie zrobić tego prostaku. Ja się ożywiam jako krytyk. Nie zapominajmy, że uprawianie krytyki ma być frajdą także dla nas. Co w tej sprawie jest jedynie krępują-

ce? Owa wzajemność – ja dziś tobie, jutro ty mnie.

**T.K.:** Co w takim razie w życiu literackim wymagałoby reakcji i dlaczego takiej reakcji nie ma?

**M.C.:** Dla mnie największym problemem jest ograniczona objętość recenzji. W wielu czasopismach można pisać coraz mniej, recenzja staje się notą. Poza tym redaktorzy wymagają, by połowa tej noty zawierała streszczenie książki. Recenzja ma być przeznaczona dla czytelnika, który książki nie kupi, ale ma wiedzieć, co w niej jest. Na końcu zaś ma się pojawić coś, czego osobiście bardzo nie lubię, a mianowicie tych pięć gwiazdek, to znaczy: dobra książka/zła książka, polecam/nie polecam.

**D.N.:** Z mojego punktu widzenia największą bolączką jest wpłatywanie mnie w układy promocyjno-komercyjne. Czasem ktoś zamawia recenzję wewnętrzną, zatajając, że przygotowuje press-book. Problem polega na tym, że o niektórych książkach nie da się powiedzieć czegoś wyrazistego, nie da się przypiąć „najlepszey” latki. O dziełach wyrafinowanych nie można z kolei powiedzieć jednym zdaniem. Jest też taka prawidłowość, że w działach marketingu i reklamy pracują ludzie, którzy nie mają pojęcia, kto jest kim i kto się czym zajmuje.

**A.K.:** Piszący o poezji, nie mają takich problemów. Nie musimy współpracować z wielkimi wydawnictwami, bo kolorowe czasopisma nie chcą recenzji z poezji. To powoduje, że ta scena poetycka jest bardziej konserwatywna. Ta marginalizacja jest dla niej dość ważna.

**M.K.:** Ja się dziwię tym sądom. Dlaczego problemem jest rozmiar recenzji? Przypomnę, że jeden z największych krytyków międzywojennych, nazwany przez Tomasza Burka „puentylistą krytycznym”, Leon Piwiński, pisał króciutkie noty o powieściach.

**D.N.:** To jest ważne dlatego, że zachodzi podejrzenie, że recenzent wypowiadający się w eseju na tysiąc znaków, nie przeczytał książki, bo nie musiał jej przeczytać. Średnia objętość press-booka to trzy strony maszynopisu i pisać notę o książce, wystarczy go streścić.

**M.K.:** Państwo są zatem spadkobiercami tradycji z PRL-u, w którym średni rozmiar recenzji wynosił trzy strony i tego się nie przekraczało, bo taka obowiązywała norma. Pytam, do



Anna Kaluza

kogo taka recenzja jest adresowana? Dlaczego streszczenie kawałka książki ma być „obciachem” dla recenzenta? Trzeba pamiętać o tym, że dawnych kryteriów pisania nie można stosować do tej sytuacji komunikacyjnej, w której się znajdujemy. Każda płyta dvd czy kaseeta ma te pięć gwiazdek, dlaczego książka nie może? Trzeba zaakceptować nowe techniki, które wymusza na nas cywilizacja druku. Krytyk, chcąc nie chcąc, musi włączyć się w układy dystrybucyjne książki. Albo się w nie włączasz, albo traktujesz krytykę jak misję, a są to dwie odrębne sprawy.

**K.U.:** Skrótowość recenzji jest problemem. To, co dziś dzieje się w obrębie tych 1800 znaków jest żądaniem „myśli całkowicie oswojonej”, żądaniem, by utkać wypowiedź ze stereotypów, by to, co się mówi o pisarzu X, potwierdzało najbardziej obiegowe opinie. Jest to kłopot z przekonaniem, że w tej przestrzeni opiniotwórczej, najbardziej powszechnej, jest miejsce przede wszystkim na obrót komunałem, na obrót treściami anonimowymi, wyświechtanymi i zużytymi.

**M.K.:** Ale to jest kwestia gatunków krytycznych...

**K.U.:** Jakie gatunki krytyczne są realizowane w takich pismach, jak na przykład „Polityka”, „Newsweek”, jeśli tam w ogóle są jakieś rubryki kulturalne?

**M.K.:** To kwestia oczekiwań czytelnika danego typu pism. Po „Res Publicę” będzie sięgał inny czytelnik niż po „Politykę”.

**K.U.:** To, który czytelnik jest dominujący?

**M.K.:** Dominujący jest oczywiście czytelnik „Polityki”.

**K.U.:** Dokładnie! I to jest zasadnicza zmiana, dlatego że normy mó-

wienia w „Polityce” narzucają wzory na inne obszary obiegu komunikacyjnego. Aczkolwiek są różnice pomiędzy „Res Publicą” a „Polityką”, to i tak ta pierwsza będzie wpatrzona we wzory drugiej, bo zaczyna rozpaczliwie walczyć o umykającego jej odbiorcę. Dlatego skraca swoje recenzje, upodabniając je do tych z „Polityki”. Nie jest to jednak sytuacja bez wyjścia, nie są to zagrożenia, które skazywałyby nas na mówienie już powiedzianego, tylko tego, czego oczekują osoby zamawiające teksty. Pole manewru jeszcze zostało. Pamiętajmy o tym, że życie literackie nie sprowadza się tylko do „Polityki”, „Newsweeka” czy „Wprost”, jest jeszcze uniwersytet i inne pisma literackie. Być może to prawda, że krytyk dzisiaj jest skazany na taką przewrotną grę komunikacyjną, na próby rozsądzania tych treści nieoczywistych. W każdym razie, jeżeli widziałbym jakiś etos krytyczno-literacki, to tylko taki, że krytyk ma przeszkadzać w zamienianiu lektury czytania w skamienie linie. Kiedy utraciliśmy wpływ na to, co modne, to przedmiotem naszej troski powinna stać się kultura lektury, o to, żeby lektura nie była czynnością skierowaną na ujednolicenie czytania, ale na jego różnicowanie. Aby pochylić się nad książką, nawet z obrębu literatury popularnej i zakwestionować oczywiste mniemania, opinie.

**D.N.:** Sytuacja schizofreniczna jest naszą naturalną sytuacją. Takie jest przecież usytuowanie krytyki. Wcześniej pan Tadeusz powiedział, że dziś nie ma krytyków na etatach – oczywiście, że są, tyle tylko, że dziś jest to uniwersytet, najbardziej instytucjonalna forma uprawiania krytyki. Charakterystyczne, że są osoby, które były jakby poza akademią, a na stare lata zrobiły doktoraty. To jest jedno z tych uwikłań. Kolejnym jest to, że nasze opinie są zawłaszczane. Chodzi o to, że nikt nikomu nie obiecał, że będzie łatwo. Chciałbym zwrócić uwagę jeszcze na jedną rzecz: to, co mnie ostatnio martwi, to to, że ta robota przestaje być sexy. To nie jest tak, że młodzi ludzie się do niej garną, jest wręcz przeciwnie. Gdy rozmawiam z redaktorami z działów kultury ogólnopolskich gazet, to oni skarżą się, że nie ma kto dla nich pisać. Trudno dzisiaj namówić kogoś o jakimś autorytecie, nazwisku na pisanie. Pan Tadeusz zwracał na początku uwagę na to, że nestorzy w krytyce właściwie już nie istnieją. Dlatego ja wcale nie jestem spokojny o tę branżę, różnie może być.

**M.C.:** Zaczyna jeszcze istnieć taka prawidłowość, że ta działka traktowana jest właściwie jak sport dla ludzi w określonym przedziale wiekowym.

Potem przechodzi się w inne rejony, np. w historię literatury.

**D.N.:** Tak, to jest mechanizm opisany już bardzo dawno temu. Nie chcę robić tutaj wykładu z historii krytyki, ale w 1980 czy 1981 roku ukazała się na ten temat książka Stefana Chwina i Stanisława Rośka (*Bez autorytetu*), w której analizują, jak to się dzieje, że krytykę uprawia się tylko do pewnego wieku. Tłumaczą, że krytycy tej miary co Wyka, uciekali z tego obszaru, zgorzeleni stanem życia literackiego, jego nieautentyczności, wpływu partyjnego. Ten czynnik dzisiaj odpadł, więc jaki jest powód?

**A.N.:** Myślę, że częściowe wyjaśnienie jest dość prozaiczne. Mówicie, że jest pewien przedział, w którym młody człowiek najchętniej chce się zajmować krytyką. I tak jest – to jest ten okres uniwersytecki, kiedy przechodzi się na studia i ma trochę wolnego czasu, ambicji, potrzeb związanych z koniecznością sprawdzenia samego siebie. Ale niestety, nie wszyscy potem zostajemy na uniwersytecie. Związki te się rozluźniają, skutkiem czego potrzeba zajmowania się czymś, tak niedochodowym jak pisanie o literaturze, też przestaje być sexy – jak Ty to nazywasz. Przychodzi czas, by zająć się czymś „poważnym”, zarabianiem, a nie zabawą w „bycie krytykiem”. Powiedzmy wprost: łatwiej jest zajmować się literaturą, gdy mamy do czynienia z pisanem w jakimś sensie dla zabawy, dla przyjemności, gdy to wynika z kontekstu sytuacyjnego, który sprzyja ludziom związanym z uniwersytetem.

**D.N.:** Zgoda, ale z drugiej strony, pewnych fenomenów nie da się tak prosto wyjaśnić. Dawno zauważono, że krytyka jest w zasadzie sprawą pokoleniową. Tak zawsze było – najlepiej się znamy na literaturze naszych rówieśników i to jest główny nurt naszych wypowiedzi. Nasi rówieśnicy starzeją się wraz z nami, dlatego więc przestajemy towarzyszyć ich książkom? Opisaliśmy ich trzecią i czwartą, oni są przy szóstej, a my znikamy. To są dla mnie zagadki. Nie znam odpowiedzi.

**T.K.:** Myślę, że przyszedł czas, podsumowując, zwrócić uwagę na fakt najważniejszy. Że tutaj na Śląsku pojawiły się generacje krytyków i jest to pewien fenomen, który potwierdza pewną uniwersytecką normę. Bo jest to również świadectwo rozwoju uczelni. Jak więc, zdaniem państwa, wygląda wzajemne oddziaływanie? Marian ma już swoich wychowanków, panowie również. Skutkiem tego mamy środowisko, które się stymuluje.

**D.N.:** Na szczęście mamy pewne narzędzia, o które tak ostro dopominał się na samym początku Krzysztof, a mianowicie – czasopisma. Jest to jakby naturalne przedszkole krytycznoliterackie. Ja jednak nie odczuwam konieczności istnienia środowiskowego, ponieważ to jest robota samotnicza. Bo co my sobie możemy przekazać poza jakimiś kontaktami, numerami telefonów? Każdy z nas pisze, gdzieś to wysyła i nie musimy siebie wspierać... Przypomnę genialną opinię Jana Błońskiego, który zauważył, że wszystkie najważniejsze myśli na temat literatury, wypowiedział a nie napisał. Tak naprawdę przecież od wielu lat my nic innego nie robimy, tylko gędzimy o książkach. I nie tylko dlatego, że coś o tych książkach napisaliśmy, ale dlatego, że je przeczytaliśmy. Niebezpieczne w tej pracy jest więc to, że ktoś czyta tylko po to, by coś napisać.

**M.K.:** Trzeba powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy, która się do tej pory nie pojawiła. Krytyka literacka wcześniej i dzisiaj to jest tekst ziarnisty. To ta sfera działalności literackiej, która nie przynależąc do literatury, tworzy taką subdyscyplinę, którą można by nazwać świadomością literacką. Obojętne jaki to będzie tekst – długi czy krótki, dobrze napisany czy nie, marketingowy lub nie – kształtuje świadomość literacką swojego czasu. Każdy uniwersytet, nie tylko Śląski, choć w ostatnich latach miał on szczęście do takiego wysypu krytyków, jest obecny w tworzeniu owej świadomości. Toczono rozmowy, podpowiadanie, jak napisać tekst, pokazywanie gatunku krytycznego od recenzji po notę – to wszystko buduje tę świadomość literacką. Ponad sprawnością warsztatową jest tylko jeden element, jedni nazwą go talentem, inni – perswazyjnością, jeszcze inni – hierarchią wartości, którymi krytyk dysponuje. I od tego elementu właśnie rozpoczyna się krytyka literacka. Wszystkie pisma skupione wokół uniwersytetu: „Śląsk”, „Opcje”, „FA-art”, blogi, fora, które się pojawiają, są kuźnią krytyki. Ktoś, kto chciałby opisać to przyspieszenie, jakie zaszło na Śląsku w ciągu ostatnich dziesięciu lat, będzie miał bardzo trudne zadanie. Zatrą się nazwiska i trudno będzie określić szkołę, z jakiej kto pochodził. Podobieństwo stylów nie uprawnia do klasyfikowania kogoś do jednej szkoły.

**T.K.:** To, co przed chwilą powiedziałeś, jest dobrym podsumowaniem tej rozmowy. Bardzo państwu dziękuję.

Rozmowę zredagowała  
MAGDALENA BOCZKOWSKA



# Współczesność i tradycje: Wydawnictwo UNIA

Wydawnictwo  
**UNIA**

Wydawnictwo UNIA założył w 1989 roku, prowadzi i nieustrudzenie dba o jego poziom Jerzy Skwara. Właściwie mógłby powiedzieć: Wydawnictwo Unia – to ja... I nie byłoby w tym nawet cienia przesady, ponieważ z każdą książką tutaj wydaną czuje się mocno emocjonalnie związany, jako ze świadectwem swoich pasji, zainteresowań, a nieraz i biografii.

Dlatego tak cenne są powstające tutaj monografie, próbujące zweryfikować zastany, nieraz stereotypowy i uproszczony obraz wydarzeń historycznych, książki które wzbogacają przeszłość nie tylko o nowe informacje. Oparte na rzetelnych relacjach ich uczestników, przybliżają, ożywiają indywidualnym świadectwem to, co nieraz z braku zaangażowania, czy krytycyzmu opuszczamy powierzchownie prawdą.

Na tym przede wszystkim, na materiale źródłowym, gromadzącym wszelkie realia doświadczenia, zasada się atrakcyjność i waga publikacji książkowych tego Wydawnictwa. Chociażby w tak znaczących pozycjach jak: „Kresy w oczach oficerów KOP” – to niezwykle, dotąd niepublikowany, sporządzony w 1935 roku przez oficerów oświatowych poszczególnych batalionów Korpusu Ochrony Pogranicza, opis 18 gmin położonych przy wspomnianej granicy II Rzeczypospolitej, przedstawiający nasze skomplikowane stosunki z sąsiadami, czy „Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939-1945. Metropolie wileńska i lwowska, zakony”, ukazujące szeroką panoramę losów Polaków mocno związanych z dziejami Kościoła na tych ziemiach.

Jerzy Skwara urodzony 12 maja 1932 roku w Łazach do II wojny światowej przebywał w Grodnie; w latach okupacji mieszkał w Warszawie, gdzie w powstaniu był łącznikiem Armii Krajowej; w tym czasie zdobywając szlify konspiracyjne, kolportował gazety patriotyczne. Jako dwunastolatek doświadczył piekła ewakuowania się ocalałych oddziałów kanałami. Potem był obóz w Ursusie, tułaczka przez Milanówek i Rawę Mazowiecką do Katowic, gdzie mieszka i działa do dziś.

Tutaj ukończył Prywatne Gimnazjum i Liceum Katolickie Męskie im.



Jerzy Skwara

św. Jacka, tutaj okrzepła i duchowo utrwaliła się w nim tradycja narodowo-patriotyczna, wyniesiona już wcześniej z domu (ojciec oficer Wojska Polskiego), oparta na naukach Kościoła i utwierdzająca go w przekonaniu, że prawdziwym świadectwem dojrzałości jest zobowiązanie i wierność tym wartościom, które nie pozwalały na jakikolwiek udział we współtworzeniu, a tym bardziej we współuczestniczeniu w ideologicznym kłamstwie chorego i zbrodni-

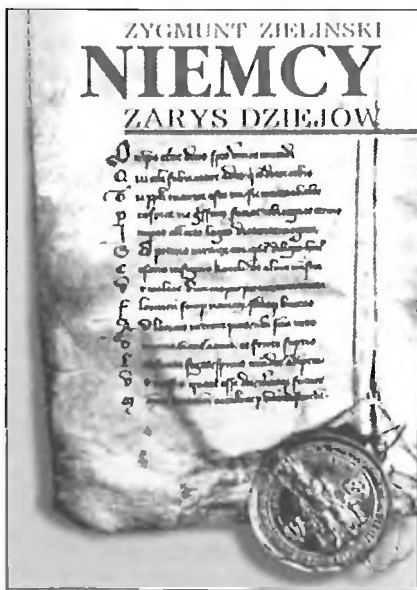
czego systemu stalinizmu, „... który szydził z nauki, deprawował młodzież, usiłował zniszczyć system wartości niesiony przez dom i Kościół” – wyznawał Skwara w artykule poświęconym legendarnej szkole („Pół wieku temu zamknięto »Jaska«”, „Śląsk” 6/2000).

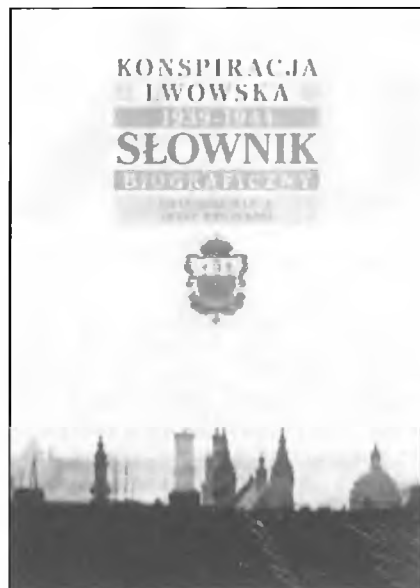
Te pryncypia patronowały potem jego działalności dziennikarskiej, redakcyjnej i społecznej w powojennej Polsce: w latach 50. w „Słowie Powszechnym” i w „Katoliku”, w 60. i 70. m.in. w miesięczniku „Więź”. Jednocześnie był współzałożycielem i organizatorem Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych w Warszawie (1969-1998). Został także redaktorem naczelnym biuletynu informacyjnego „Nasza Solidarność Jastrzębie” (1980-81) oraz tygodnika „Solidarność Jastrzębie” (1981), następnie był redaktorem naczelnym prestiżowego katolickiego Tygodnika Społecznego „Ład” (1987-91) aż wreszcie utworzył Wydawnictwo UNIA.

Ważna jest geneza nazwy samego Wydawnictwa: Jerzy Skwara postanowił nawiązać do niepodległościowej organizacji prowadzącej działalność konspiracyjną o charakterze społecznym, kulturalnym, politycznym i wojskowym w Polsce w latach 1939-1945, która skupiała różnorodne ugrupowania działające w oparciu o społeczne nauczanie Kościoła katolickiego.

Organizacja ta sformułowała i próbowała wprowadzić w życie idee unionizmu – był to system etyczno-moralny, który sprzeciwiał się podbojom i ujarzmianiu jednych narodów przez drugie, zdecydowanie występował przeciw faszyzmowi i komunizmowi i wyrażał dążność do harmonijnego, swobodnego zespolenia się potrzeb materialnych i duchowych poszczególnych społeczeństw, gwarantujący rozwój indywidualny i zbiorowy; rozwój, który ostatecznie ma doprowadzić człowieka do unii z Bogiem, a ludzkość do jedności.

Te idealistyczno-universalistyczne koncepcje oparte zostały i nawiązywały do tradycji oraz idei proponowanych między innymi przez Pawła Włodkowica na Soborze w Konstancji, idei Unii Lubelskiej, Konstytucji 3-go Maja, a także znajdowały inspiracje w poezji i w filo-





zofii mesjanistycznej od Adama Mickiewicza po J.M. Hoene-Wrońskiego.

Współcześnie idei unionizmu można doszukać się w programie społecznym papieża: Jana XXIII, Pawła VI i Jana Pawła II. Szeroko o tej organizacji i ruchu pisze Skwara w „Encyklopedii »Białych plam«” t. XVII, wydanej przez Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne, Radom 2006.

Ostatnimi osiągnięciami Wydawnictwa UNIA są kunsztownie i pięknie wydana „Polska litania” ks. Jana Twardowskiego (istny rarytas bibliofilski); wybór jego poezji i prozy, które łączy Polska i polskość pt. „znów najpiękniejszy w Polsce jest lipiec nad wodą”; zbiór esejów Włodzimierza Paźniewskiego „Europa po deszczu”; wspomnienia Jerzego Narbutta pt. „Wyrzucony na brzeg życia”; znakomity poradnik Siglinda Bruhna „Przewodnik interpretacji pianistycznej”, a także – wydana pod redakcją samego Jerzego Skwary – historia katolickiego gimnazjum i liceum w Katowicach im. św. Jacka, do którego uczęszczał autor, książka pod znamienym tytułem „Samodzielnie myśleć i wybierać”. Czyż to nie twórcza maksyma nie tylko dla dzisiejszych abiturientów?

Stan naszej wiedzy o dziejach Krusów Wschodnich, o dramatycznym czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej, a także najnowszej historii Polski, w tym o ruchu społeczno-politycznym „Solidarność” jest już od szeregu lat publiczną własnością; także dzięki wydawanym przez Wydawnictwo UNIA publikacjom, które zbliżają nas do badanego okresu poprzez archiwa, dokumenty, relacje, opracowania, ilustrujące złożoność i różnorodność rozpoznawanego czasu i miejsc.

BOGDAN NOWICKI

## KOCHANOWSKI:

(próbowałam raki zrobić)

Reduty wznośmy nie niszczy  
Ordonie  
minuty płyną nie będzie to koniec  
praca jest ważna nie liczy się honor  
„wracaj na tarczy nie z tarczą” uczono  
strzelać we wroga nie w redutę  
mielim  
czeladź pojęła nie wszyscy pojęlim

## JAN ANDRZEJ MORSZTYN:

Ile gwiazdek na niebie w ciemną noc  
jaśniej,  
ilu ludzi na świecie poetami nie jest,  
ile kropel jest w morzu, ile w oceanie,  
ile jeszcze wierszyków na świecie  
powstanie,  
ile mrówek w mrowisku, ile pszczoł  
jest w rojach,  
ile może mieć wersów wyliczanka  
moja,  
ile gdzieś na przystankach leży  
niedopałków,  
na tyle się reduta rozpadła kawalków.

## BAKA:

Życie chwilą jest jedynie,  
tak jak Ordon każdy zginie:  
Huknęło  
i już po.

## KRASICKI:

Jak lew walczył nasz Ordon w  
obronie reduty,  
gdy przegrywał, nie wahał się ani  
minuty  
i po chwili ujrzeni tam wrogowie  
bladzi,  
że Ordon się z redutą w powietrze  
wysadził.  
Taki z tej historii moral też wynika,  
że czasem nie warto być psem  
ogrodnika.

## KARPIŃSKI:

Laura i Ordon  
Już miesiąc wzeszedł, psy się pośpiły  
i coś huknęło za hutą!  
Pewni mnie czeka mój Ordon miły  
pod umówioną redutą.

Nie będę wiązać włosów, bo przecież  
– jak każdy w mig domyśli się –  
Ordon mi zaraz warkocz rozplecie,  
gdy pod redutą weźmie mnie.

Biegne pod hutę rozpromieniona,  
nagle przystaje i... o zesz!  
bo pod redutą nie ma Orдона,  
reduty zresztą nie ma też.

Cóż, skoro Ordon pewnie mnie zdradził,  
lzy moje Filon obetrze  
Ordon się może nawet wysadzić  
teraz z redutą w powietrze.

## MICKIEWICZ:

Gdy cię wysadzę – nawet nie  
zapłacę,  
uzna historia, że nie mógł inaczej.  
A jednak kiedy tak na ciebie zerkam,  
wiem, że zatęsknię, szarpie mną  
rozterka  
i w duszy sobie zadaje pytanie:  
oddać ją wrogom, czy wylecieć na  
niej?

## SŁOWACKI:

Byłem sam i myślałem. Rozmyślałem  
z wami.  
I głowiłem się ciągle, jak to zrobić,  
żeby  
na lont forsy starczyło, no i na dynamit.  
Ale nikt tak szlachetny, by dopłacać,  
nie był.

Nikt się decyzją moją nie będzie  
zachwycać.  
Nie trafi w wasze ręce ma sława i  
złote...  
Imię moje tak przejdzie, jakby  
błyskawica –  
najpierw wybuch i błyski, a groźny  
grzmot potem.

Zbyt wielu szło pod wodę – brzytwę  
się chwytały,  
ale ich zatopiła społeczna krytyka.  
Ja zaś, aby swój honor przynajmniej  
ocalić,  
prosto do nieba wzleczę. Niemal tak,  
jak Ikar.

Tak przejdę do historii – a o to mi  
chodzi.  
I już się wbijam w dumę, i ego me  
rośnie.  
Chcę sternikiem prochami  
napelnionej łodzi  
być i z hukiem odlecieć, jak się da  
najgłośniejsz.

## ASNYK:

Daremnne żale, próżny trud  
i zbędnych łez niemało  
reduty tej już żaden cud  
nie sklei w jedną całość.

Daremnne żale, lzy – no cóż,  
czasami Ordon załka,  
nie sklei swej reduty już,  
bo cała jest w kawalkach.

## KONOPNICKA:

Nie rzucim redut, skąd nasz ród.  
Wrogowi damy radę,  
bo u nas amunicji w bród –

# Redutki

IZA MIKRUT

zasypmy ich kul gradem...  
twierdzą nam będzie każdy fort,  
tak nam nakazał Ord!

I krwi ostatnią kroplę z żył  
z żył wroga wysączymy,  
a gdy opadnie nam wróg z sił,  
redutę wysadzimy –  
bo niepotrzebna będzie już.  
Zostanie po niej kurz!

NORWID:

Byłem u ciebie w te dni walk i bójek  
gdy wyruszałeś w swą drogę  
błady jak kit  
smutny, lecz... cyt!  
– przed pożegnaniem obiecać ci mogę  
nie stargam cię, nie... z r e d u t u j ę

STAFF:

Wysadzałem bunkry  
I nie zwały się.  
Wysadzałem mosty  
I nie zwały się.  
Teraz wysadzając zacznę  
od mojej reduty

BOY ŻELEŃSKI:

Mówią mi duzi i mali:  
„Ordon redutę rozwalił,  
nie daje nam to spokoju,  
dlaczego? Wyjaśnij, Boyu”

Cóż, proszę pani i pana  
historia ta jest mi znana,  
natychmiast opowiem więc ją:  
Ordon miał problem z potencją.

I nieposłuszne to ciało  
wciąż go w kompleksy wpędzało.  
Damę niejedną porzucił,  
twierdząc, że brak u niej chuci.

Wymyślił raz, że na Woli  
wróg ulży jego niedoli,  
że go z kutasa obedną  
(jak mawiał Imć stary Fredro)

Jak będzie już kombatantem,  
kobiety znów puści kaniem  
i żadna się nie zezłości  
na jego... nieruchomości.

Właził na redutę już, w bieli,  
„no, strzelaj, wrogu!” – wróg strzelił.  
Lecz Ordon nasz nie przewidział,  
że wróg na działa ma przydział.

Ordon nie wiedział poza tym,  
że strzeli wróg doń z armaty.

Już historyjka skończona:  
reduty niet i Ordona.

Oto świetny przykład lekcji,  
co przynosi brak erekcji.

LEŚMIAN:

Dwunastu braci, wierząc w sny  
w okopach tkwiło w czasie wojny.  
Wokół nich łąka, z wojny drwi  
– pokona bezkres działań zbrojnych.

Wtem jeden z braci, wpadłszy w złość  
przetarł swe oczy, mgłą zasłute  
i krzyknął pozostałym: Dość!  
Oni chcą zabrać mi redutę!

I pobiegł tam, gdzie wrogów miał  
choć ich od braci nie odróżniał...  
I potem dał się słyszeć strzał.  
I nagły wybuch. Potem – próżnia

I była zgroza nagłych cisz  
i łąka była ukwiecona.  
ty o tej łące teraz pisz,  
choć nie ma na niej już Ordona.

PAWLIKOWSKA-  
JASNORZEWSKA I:

Nie widziałem cię już od tygodnia  
i nic, bardziej tylko wloką się minuty,  
i czas płynie teraz tak wolno mi co dnia,  
lecz widać, że można żyć bez reduty.

BRONIEWSKI:

Kiedy przyjdą rozwalić coś,  
coś, co uwielbiasz – redutę,  
kiedy wzbudzą już w tobie złość,  
kiedy w drzwi załomoczą butem,  
ty ze snu podnosząc skroń  
stań przy drzwiach,  
redutę chroń –  
to twój fach.

Są w reducie rachunki trzy,  
których wróg nie może zobaczyć.  
Już w posadach reduta drży,  
Ordon rozkaz obrony wypaczył.  
Nie słuchał słów „redutę chroń”,  
lecz chwycił, och  
zapalkę w dłoń.  
Reduta w proch!  
Redutę chroń...

WIERZYŃSKI:

To wszystko spiski uknute!  
Ordon wcale nie zginał!  
W nosie miał swą redutę,  
gdy wokół wiosna i wino!

Kroczył, pijany już z rana  
szczęściem i winem i śmiechem,  
odrzucił za siebie granat  
(a wybuch rozniósł się echem)

Idzie wciąż Ordon radosny  
tak dobrze, wesoło jest mu tak –  
gdy wokół tyle jest wiosny,  
po co mu jakaś reduta?

JASIEŃSKI:

Stoi. Reduta. Ordon. Na niej.  
Oddał już. Wrogom. Swoje. Śniadanie.  
Tak jak. Oddawał. Śniadanie. Co  
dzień.  
By móc. Zaśpiewać. Pieśń. O głodzie.  
Urwał pieśń. Nagle. Na jednej. Nucie.  
Patrzy. Na wrogów. Jest na. Reducie.  
Wróg już. Podchodzi. Marszowym.  
Krokiem.  
Ordon. Popatrzył. Krytycznym. Okiem.  
„Odejdź stąd. Wrogu. Dobrze ci.  
Radzę.  
Zaraz. Zobaczysz. Kto tu. Ma.  
Władzę”.  
A że. Nie brakło. W nim też. Ambicji.  
Wskoczył. W magazyn. Do. Amunicji.  
Wskoczył. Z zapalką. Wróg.  
Krzyczy. „BIS”.  
Nie będzie. Bisów. Rest. In. Peace.

GAŁCZYŃSKI:

Był z niego łądak, romantyk,  
uwielbiał blaski księżycy  
i konfidentom był anty  
i byle czym się zachwycał.

Księżyc swym blaskiem wciąż kusił  
Ordona i lunatyków,  
aż Ordon poczuł, że musi  
sprawdzić blask jego w dotyku.

Najpierw zdawało się jemu,  
że księżyc pomacać zdoła,  
a gdy dosięgnąć go nie mógł,  
wybuch reduty wywołał.

Leci pod niebo już właśnie,  
niczym pijany cherubin  
chce złapać księżyc, nim zgaśnie

BRZECHWA:

Nad rzeczką, w pobliżu druta  
istniała sobie reduta.  
Lecz zamiast tak tkwić przy drucie  
marzyła, żeby stąd uciec.

Raz rzekła tak do Ordona:  
„chciałabym być wysadzona”

To znów, gdy Ordon gdzieś poszedł,  
wołała „wysadź mnie, proszę!”

Aż wreszcie Ordon się wkurzył,  
przyniósł ze sobą lont duży,  
całą redutę owinął,  
podpalił, a potem zginał!

**W** *Lapidarium VI* Ryszard Kapuściński zamieścił notatkę z podróży pociągiem z Krakowa do Wrocławia w maju 2000 roku. Wraz z pisarzem oglądaliśmy spotkane na trasie pejzaże – w większości smutne i brudne. Dojeżdżamy do Strzelce Opolskich. *Ulga, bo dalej już tylko lasy i lasy. Zielono. Bujnie. Gęsto. Potem – pola rozległe, droga w dolinie, wieża kościoła na wzgórzu. I znowu lasy* – relacjonuje Kapuściński. A jego wrażenia odpowiadają stanowi nazewnictwu Opolszczyzny, na której co krok stykamy się z formą z lasem związaną.

Oto moja stała trasa z Tarnowskich Gór do Wrocławia przez Opole. Po drodze mijam *Borowiany, Kielczę* (od *kiel* – „odzimek drzewa, pnia drzewnego po ścięciu, por. jeszcze gwarowe *kło* – „poręba, na której sterczy pełno odzimeków”), *Dębską Kuźnię, Suchy Bór Opolski, Chróścinę Opolską, Dąbrowę Niemodlińską* (w 1300 roku zapisaną jako *Dambrowa* i tak przez wieki na Opolszczyźnie wymawianą). Gdy wybieram trasę przez Kluczbork, mijam *Olesno*, które pierwotnie nazywało się *Oleszno* („osada z olchami”), wymawiane jednak w postaci mazurzącej *Olesno* (jak *syja, zyto, cysty* – „szyja, zyto, czysty”), ostatecznie w tej formie się utrwaliło. A przecież mamy jeszcze *Jemielnicę* (od *Jemioły*), *Sośnicowice* (od *sośnicy* – „lasu sosnowego”) czy *Jasionę* koło Góry św. Anny (od *jasionu = jesionu*).

Skoro pierwszą nazwą, jaka się pojawiła w dzisiejszym odcinku, są *Strzelce Opolskie*, dopowiedzmy teraz, że są one pierwotnym określeniem łuczników-strzelców, zobowiązanych do posługi łowieckiej na rzecz dworu. To typowa tzw. nazwa służebna. Nawiązują do niej pobliskie *Strzelczki*, które pierwotnie też były *Strzelcami*, a później *Małymi Strzelcami* (w dokumentach pisanych po łacinie – *Parva Streletz* 1531). W pobliżu leży także stara wieś *Rozmierka* – niezwykle ciekawa fonetycznie, bo zachowująca pierwotne „e” – takie jak w wyrazach *mierzyć, zmierzyć, wymierzyć*, a które przed twardym „r” musiało w polszczyźnie na mocy prawa fonetycznego funkcjonującego tylko w naszym języku (tzw. przegłos polski) przejść w „a”: *miara, miarka, rozmiar* (w *Kędzierzynie* mam znajomego, który się nazywa *Rozmiar*).

A leżący nad Kłodnicą *Kędzierzyn*, pierwotne *Kędzierzyna* (najstarszy zapis z r. 1283: *Kandersino*), to z kolei typowa nazwa dzierżawcza, oznaczająca „osadę Kędzierzaw”. Imię zaś *Kędzierza*, które nadawano osobom z kędziorami włosów, zanotowano już w roku 1136. *Kędzierzyn* – tak jak *Dąbrowa* – z pewnością wymawiano przez wieki jako *Kandzierzyn* (od tej postaci urobiono jej niemiecki substytut *Kandrzin*) – tak jak typowe na Śląsku jest nazwisko *Kandzia*, fonetyczny wariant *Kędzi*.

## Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

## Nazwy miejscowe na Opolszczyźnie

Jeszcze wcześniejszy od *Kędzierzyna* rodowód ma połączone z nim od r. 1975 *Koźle* (1104: *Kosle*). Nazwa tego grodu wywiedziona jest od wyrazu *koziół* – też zgodnie z prawem polskiego przegłosu przekształconego w dzisiejsze brzmienie *koziół*. Jest to więc słowotwórcza formacja tego samego typu co *Jastrzębie* czy *Turze* – od wyrazów *jastrząb, tur*. Od tego ostatniego urobiono, oczywiście, leżącą nad Małą Panwią *Turawę* (to z kolei model z przyrostkiem – awa: *Turawa* jak *Kozióława, Wroniawy*).

Bardzo archaiczny typ nazw dzierżawczych reprezentuje *Niemodlin* – pierwotny, poświadczony XIII-wiecznym zapisem *Niemodlim* (w dopełniaczu *Niemodlimia* – jak *Bytomia, Strzegomia, Radomia, Stradomia*). Archaiczny, bo jest to nazwa utworzona niedochowanym do czasów piśmienniczych przyrostkiem -j od nazwy osobowej *Niemodlim* – tak jak od imion osobowych *Bytom, Strzegom,*

*Radom, Stradom* urobiono tymże przyrostkiem nazwy miejscowe *Bytom, Strzegom, Radom, Stradom*. *Niemodlin* – z wygłosowym -in – powstał przez analogię do częstych nazw na -in (*Oświęcim*, urobiony od imienia *Oświęcim* również za pomocą przyrostka -j, także był w przeszłości często zamieniany na *Oświęcin*).

Pod wpływem fonetyki czeskiej ukształtowały się ostatecznie nazwy *Prudnik* i *Głubczyce*. Ale nawet w najnowszych tekstach gwarowych z Góry św. Anny znalazł się zapis *Prómnik*, powstały w rezultacie głosowych przemian *Prądnika* na *Pronnik*, a tego – na *Promnik* i *Prómnik*. Bo nasza nazwa to właśnie pierwotny *Prądnik* (brzmieniowo odpowiadający *Prądnikowi* pod Krakowem, również nazwanemu od rzeki *Prądnik*). Tak ją też wymawiała miejscowa ludność. W 1331 roku pojawił się już jednak sczechizowany kancelaryjny zapis *Prudnik* (w czeszczyźnie samogłoski nosowe przekształciły się w dźwięki ustne) i w końcu zdobył on sobie prawo obywatelstwa.

*Głubczyce* z kolei to pierwotne *Głębzyce* („potomkowie, ludzie Głębka”). Ale i one – zapisywane z czeska i z niemiecka *Glupcicih, Hlupchyzhc, Glubchiz* – zgubiły w końcu samogłoskę nosową „q”.

Polskim substytutem niemieckiej z pochodzenia nazwy jest natomiast *Kluczbork* – miasto założone nad rzeką Stobrawą przez rycerzy krzyżowych. Najdawniejsze zapisy potwierdzają postać niemiecką *Kreutzburg* – „gród krzyżowców”: 1252 *Cruceburgh*, 1257 *Cruczburch*. Z XVII stulecia pochodzą zapisy *Kluczbork, Krucibork*, a zatem prymarna niemiecka postać została spolszczona kolejno na *Krucbork, Klucbork* i *Kluczbork* (miejscowa ludność po ostatniej wojnie posługiwała się jeszcze bardziej spolonizowanym brzmieniem *Kluczborek*).

I wreszcie prastare *Opole*. Już w IX wieku Geograf Bawarski wymienia nazwę plemienną *Opolini*, utworzoną od *Opola*, przez które od prehistorycznych czasów prowadził szlak handlowy od Bramy Morawskiej oraz Rusi dalej na zachód i – przede wszystkim – nad Bałtyk. Jego nazwa etymologicznie znaczy tyle co „skupienie większej liczby osad rodowych, rolniczych, ponadgrodowa organizacja produkcyjno-rolnicza”.

Kiedy wracam często do słów Norwida, ubolewających nad tym, że „mało kto jest ciekawy, zuchwały”, by „dziejów słowa promień cały rozejrzeć”, to myślę, iż nazwy miejscowe są obszarem szczególnie ważnej poznawczo grupy wyrazowej. Dlatego wyraźnie je preferuję w tych comiesięcznych odcinkach mojej „Śląskiej ojczyzny polszczyzny”.



**Jan** Faska należy do oficerów zasługujących na eksponowane miejsce w gronie najofiarniejszych dowódców powstań śląskich. Przyszedł kawaler Orderu Virtuti Militari i Krzyża Walecznych urodził się 28 VIII 1893 r. w Królewskiej Hucie, jako syn Marcellego i Franciszki z domu Hanke. Po ukończeniu szkoły powszechnej w rodzinnej miejscowości, w latach 1905-1911 kontynuował naukę w bytomskim gimnazjum. Wychowanie w duchu patriotycznym zawdzięczał m.in. przynależności do TG „Sokół”. Dzięki uporowi i urokowi osobistemu wznosił się ponad przeciętność. Był empirykiem, który bacznie obserwował swoje otoczenie i wydarzenia. Stopniowo wyrobił w sobie własną metodę poznawczą. Lubiany w szkole, dzięki erudycji jako przyrodzawca wzbudzał szacunek nauczycieli i kolegów. Kształtowany przez egalitarną szkołę posiadał od samego początku nawyk ciężkiej pracy i został agronomem. W latach 1911-1913 studiował w Wyższej Szkole Rolniczej w Turyngii, gdzie później podjął praktykę w majątku ziemskim.

Żołnierzem został nie z własnego wyboru, wolał podziwiać przyrodę i krajobrazy, aniżeli zmagać się z zagadnieniami natury militarnej. W 164 pułku piechoty w ciągu trzech miesięcy (od 2 XI 1914 do 2 II 1915 r.) otrzymał solidne przeszkolenie w pruskim stylu, a następnie 6 II 1915 r. został wysłany na front zachodni. Tam zetknął się z najnowszymi wynalazkami używanymi przez służby zwiadowcze i łącznościowe oraz zdobył od strony praktycznej podstawową wiedzę na temat roli piechoty i artylerii. On i jego koledzy wystawieni byli na ogień artylerii i gazy bojowe. Od samego początku wojny widać było, iż niechętnie porzucił swoją dotychczasową pracę i nie pogodził się z ciężkim żywotem rekruta będącego pod stałym ostrzałem francuskich lub angielskich dział i karabinów maszynowych. Nie pociągał go propagowany przez cesarskich oficerów spartański tryb życia. W głębi duszy pogardzał tymi, którzy ulegli pruskiemu drylowi. Mimo woli stał się świadkiem paru najbardziej wyniszczających bitew uczestnicząc w akcjach przeciw Brytyjczykom i Francuzom. W 1916 r. zdezerterował do Anglików zanim ci ostatni razem z Kanadyjczykami w 1917 r. przeprowadzili swoje najsukceszniejsze ofensywy w kierunku Artois i we Flandrii stosując udoskonalone techniki artyleryjskie w połączeniu z atakami piechoty, czołgów i kawalerii. W tym czasie przebywał w Londynie, gdzie uczęszczał na wykłady Akademii Nauk Powszechnych.

Wraz z końcem wojny 12 XI wrócił do Francji, a 1 XII 1918 r. zaciągnął się (jako ochotnik) w stopniu starszego sierżanta do polskiego wojska. W armii gen. Józefa Hallera zmienił się jego stosunek do służby wojskowej. Raporty przełożonych potwierdzały jego rosnące zaangażowanie i entuzjazm dla idei niepodległości Polski i powrotu Górnego Śląska do Macierzy. W szereгах POW G.Śl. okazało się, iż był zdolny i lojalny, pracowity, energiczny oraz przejawiał duże zainteresowanie szkoleniem podkomendnych, jak również dalszym zdobywaniem wykształcenia. Oprócz umiejętności dowodzenia ludźmi cechowała go życzliwość, powściągliwość i niezwykle takt. Jego powrotna droga na Śląsk wiodła przez pola bitewne kresowej Polski, na których zmagali się z Armią Czerwoną żołnierze „Armii Błękitnej”. Chwilowo front wschodni stał się jego nowym „domem”. Tam zetknął się po raz pierwszy z komunistami, tworzącymi armię bolszewicką. 20 V 1920 r. został urlopowany i oddelego-

## Poczet dowódców powstań śląskich



## Jan Faska (1893-1953)

wany na Górny Śląsk, aby uczestniczyć w akcji plebiscytowej i drugim powstaniu śląskim. Znalazł się w ścisłym gronie członków DOP. Niezwykle absorbowała go praca konspiracyjna, którą prowadził pod pseudonimem dr Eisenberg. W powiecie prudnickim objął komendanturę po Brunonie Wyciśle. Sztab jego organizacji mieścił się początkowo w Ścigowie, a następnie w Głogówku.

Służba w POW G.Śl., którą pełnił z dużym poświęceniem od 3 VI, obfitowała w dramatyczne akcje. Jan Faska opisał niektóre z nich w swoich wspomnieniach. 22 XII 1920 r. w Strzeleckach został po odbytych zebraniach napadnięty przez 25-30 niemieckich bojówkarzy: „Atak był tak niespodziewany, że moi towarzysze w okamgnieniu zostali powaleni na ziemię. Bronielem się wściekle – relacjonował Faska – Widząc jednak, że towarzyszym moim nie mogę już pomóc, wyrwałem się z pierścienia otaczających mnie opryszków i rzuciłem się do ucieczki [...] Przypuściłem na jakieś 100 metrów i wygnałem z rewolweru”. Faska był mężczyzną niezwykle sprawnym fizycznie, wyróżniającym się dużą siłą niczym sienkiewiczowski Longinus Podbiپیęta. Uderzeniem pięści rozbił z łatwością stoły, krzesła, ławki. W sytuacjach krytycznych jego kondycja pozwalała mu całowchodząc z różnych opresji ze szkodą dla prześladowców.

10 III 1921 r. Jana Faskę aresztowała niemiecka policja i przez wiele tygodni był przetrzymywany najpierw w więzieniu w Głogówku, a następnie w Opolu. Ostatecznie odzyskał wolność, by ponownie kierować placówką POW G.Śl. w powiecie prudnickim. W trzecim powstaniu jako dowódca 2 baonu w Grupie „Północ” (Podgrupa „Bogdan”) uczestniczył w wielu najbardziej wyczerpujących bitwach. Była więc „ofensywa” na Strzelce zakończona zajęciem miasta i wzięciem do niewoli włoskiego generała Satteliego oraz wynikiem z tego walki z Selbstschutzem na przedpolach Góry św. Anny w rejonie szosy Czarnocin-Poręba. Wkrótce 7 V 1921 r. poznał

smak zwycięstwa. Jego baon opanował Górę św. Anny i odparł niemiecką ofensywę, a w kontrataku zdobył Żyrówę. 15 V 1921 r. oddział Franciszka Rataja złusował powstańców Faski, którzy w trakcie dalszych walk w rejonie Gogolina zdobyli Obrowiec i opanowali linię Odry. Od 21 do 29 V 1921 r. bronił linii Izbičko-Krońnica-Borycz, a następnie odparł atak Freikorpsu „Oberland” i formacji Schutzpolizei na Utratę. W trakcie walk stosował różne fortele, aby umożliwić powolne wycofanie się głównych sił unikając okrążenia w terenie. W czerwcu podczas ciężkich walk o Grodzisko Jan Faska został ciężko ranny.

Jako powstańczy oficer najczęściej był obecny na przednich liniach, by w trakcie batalii czynić przygotowania w kluczowych punktach do obrony lub kontrataku. Na powstańczym froncie uczył się ponownie sztuki dowodzenia i dawania przykładu innym. Do ostatniego dnia powstania zdobywał potrzebne doświadczenie i umiejętności. Był dowódcą dynamicznym, rozumiejącym psychikę swych żołnierzy. Wśród jego zalet należałoby wymienić: błyskotliwy intelekt, zdecydowanie, zdolności przywódcze, siłę fizyczną i uprzejmość. Miał „wyjątkowe zdolności organizacyjne, co umożliwiał mu znajdowanie szybkich i skutecznych rozwiązań”. Walcząc o Górny Śląsk stał się człowiekiem idei i czynu.

W okresie międzywojennym Jan Faska w latach 1922-1926 pracował jako komisarz Straży Celnej w Rudzie Śl. i Rybniku. Zanim wyemigrował poślubił Marię Terech. W 1926 r. po krótkim pobycie we Francji wyjechał do Urugwaju w Ameryce Południowej. Następnie przeniósł się do Sao Paulo w Brazylii. W latach 1929-1930 uczęszczał tam na zajęcia w Akademii Rolniczej. W międzyczasie pracował w przemyśle rolnospożywczym i udzielał się w organizacjach polonijnych. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, 12 IV 1939 r. wrócił do Polski i osiadł w Chorzowie. Podjął wówczas pracę w Zakładach Hohenlohego w Welnowcu.

We wrześniu 1939 r. w wielkim trudzie i znoju przygotowywał do działań militarnych szeregi oddanych jego komendzie oddziałów Batalionów Obrony Narodowej i powstańczej samoobrony Katowic. Pod naporem przeważających sił nieprzyjaciela, nie mając odpowiedniego uzbrojenia, toczył walki obronne i odpierał ataki wroga. Ostatecznie zmuszony był wraz z wojskiem polskim opuścić Górny Śląsk. 17 IX 1939 r. znajdował się we Lwowie, któremu zagrażali Niemcy i Rosjanie. Podobnie jak inni oficerowie przeżywał gorzkie porażki i rozumiał iż nie było już pod względem militarnym żadnych szans na ostateczne zwycięstwo. Jednak dzięki pomocy miejscowej ludności nie podzielił tragicznego losu polskich oficerów w ZSRR. Przez jakiś czas pracował jako robotnik leśny w Podciemnej, a następnie w latach 1941-1944 przebywał w Kamionce Strumiłowej. Na chleb zarabiał trudniąc się, jak wielu Polaków handlem, pracą na roli i udzielaniem lekcji języków obcych. Współpracował z polskim ruchem oporu. Po zakończeniu działań wojennych wrócił na rodzinną ziemię i podjął pracę na stanowisku inspektora rolnego w Wojewódzkim Urzędzie Ziemskim w Katowicach. Był aktywny w ruchu kombatanckim i pełnił m.in. funkcję przewodniczącego Klubu Pisarzy Powstańczych. Zmarł 8 X 1953 r. w Chorzowie.

ZDZISŁAW JANECZEK



– Co się dzieje z naszym środowiskiem naturalnym? Im bardziej poznajemy wszechświat, przyrodę tym bardziej jej zagrażamy...

– Mój osąd jest prosty. Człowiek jest elementem wielkiego wszechświata. Zaledwie częścią przyrody, ukształtowanej wraz z gatunkami roślin i zwierząt przez miliony lat. Mimo to wyobcowuje się z natury, wywyższa się i często bezmyślnie niszczy ją sądząc, że te działania przyniosą mu wielkie korzyści materialne.

Nie tylko w krajach po byłym Związku Radzieckim nie brakuje przykładów wysychania wielkich akwenów, po których pozostały już tylko statki na piaskach. Tak dzieje się obecnie także w dorzeczu wysychającej Amazonki i wielu innych miejscach na świecie. Wielkie połacie życiodajnych obszarów Ziemi zostały bezpowrotnie zdewastowane.

Myślę, że to skutek braku pokory wobec przyrody i braku zwykłej ludzkiej przemożności. Przyroda jej wymaga. Nie wiemy, co może się stać za dziesięć, dwadzieścia czy więcej lat. Efekty ujarzmiania natury, nieposzanowania jej praw są wynikiem przedstawienia systemu wartości. Wyboru nowej, fatalnej filozofii współczesnego życia. Zdominowanej nieokiełznanym konsumpcjonizmem, globalizacją, gonitwą za wielkimi pieniędzmi. A także odwróceniem się od drugiego człowieka, od normalnego życia, w którym jest czas na refleksję nad otaczającym nas ciągle, mimo wszystko, pięknym światem.

Przyroda jest systemem zdążającym do równowagi. Jeśli zostanie ona niebezpiecznie zachwiana, człowiek jako gatunek zacznie wymierać.

– Wymieranie trwa. Po raz pierwszy w historii Ziemi z winy człowieka znika każdego roku kilkadziesiąt tysięcy gatunków roślin i zwierząt. I dalej, beztrósko niszczy środowisko. Zachłystnięci postępem technologicznym modyfikujemy genetycznie gatunki. Czy to bezpieczne?

– Jest przerażające, że chcemy modyfikować wszystko, co żywe i co może przynieść jakąś doraźną korzyść. Pojawiają się coraz to nowe koncepcje klonowania różnych gatunków i pomysły udoskonalania ich według potrzeb określonych grup interesów.

W pewnych warunkach eksperymenty genetyczne (np. z myszami) są niezbędne dla celów badawczych. Przeprowadzamy je, by poznać procesy rozwoju nowotworów (onkogenezy), zrozumieć na czym one polegają. Ale modyfikowanie genetyczne krów po to, by razem z mlekiem „produkowały” białko jedwabiu pajaka (białko, z którego powstaje nieć pajęczyny) jest moralnie nieakceptowalną ingerencją w naturę zwierzęcia. Także cele nasuwają wątpliwości moralne i budzą opór.

– Po co przeprowadza się te modyfikacje?

## Ważne pytania

Rozmowa  
z prof. MIECZYŚLAWEM  
CHORAŻYM,  
pasjonatem przyrody,  
biologiem molekularnym,  
od kilkudziesięciu lat  
związanym z Instytutem Onkologii  
w Gliwicach



## Więcej pokory...

– Do genomu (chromosomów) krów i kóz wprowadza się gen pajaka kodujący jedwab pajęczyny. Nić pajęczyny jest wielokrotnie trwalsza niż nić jedwabiu pozyskana od jedwabnika. Pajęczy gen jest włączony w aparat genetyczny krowy w taki sposób, że białko pajęczyny wydzielą się z mlekiem. Mleko staje się surowcem do wyprodukowania specjalnej „nici”. Liny z takiej mlecznej pajęczyny, grubości węża ogrodowego mają potężną wytrzymałość. Mogą unieść dwa ogromne, załadowane po brzegi samoloty, boeingi najnowszej generacji. Trudno nie przerażać się wizją wielkiej fermy genetycznie modyfikowanych krów, wybudowanej obok przędzalni jedwabiu tylko po to, by mogła dostarczać dla celów wojskowych na przykład materiał do szycia superwytrzymałych mundurów dla żołnierzy czy lekkich kuloodpornych kamizelek. Natura stworzyła krowę by ta dawała mleko, podstawowy produkt białkowy dla ludzi. Czy aby nie przekraczamy granic w naszych relacjach z przyrodą?

– A jeśli modyfikacje genetyczne służą produkcji żywności, której ludzkość potrzebuje coraz więcej...?

– Żywności produkujemy dostatecznie dużo metodami konwencjonalnymi. Stale uzyskuje się także nowe, wydajniejsze odmiany zbóż metodami naturalnych krzyżówek genetycznych i selekcji. Moje zastrzeżenia budzą niektóre genetyczne modyfikacje zbóż techniką tzw. inżynierii genetycznej (zboża transgeniczne) i obsiewanie nimi coraz większych obszarów ziemi. Mamy już modyfikowane genetycznie: pszenicę, kukurydzę, rzepak, soję, bawełnę i setki innych gatunków roślin, w tym również drzewa. Hodujemy rośliny ulepszone, odporne na środki chwastobójcze i szkodniki, lepiej plonujące. To nie budzi wielkich kontrowersji jeśli chodzi o zagrożenie dla człowieka poprzez spożywanie żywnościowych produktów ze zbóż modyfikowanych. Choć nie mamy absolutnej pewności co stanie się w przyszłości w pewnych szczególnych przypadkach, o których tu nie możemy mówić ze względu na niezwykłą złożoność modyfikacji genetycznych. Ale już obecnie wiemy o niektórych zagrożeniach dla człowieka, a przede wszystkim dla środowiska przyrodniczego.

– Proszę o przykłady...

– Do systemu genetycznego niektórych gatunków roślin wprowadza się na przykład gen ryb z zimnych akwenów kodujący specjalne białko, które pozwala rybam mnożyć i rozwijać się w niskiej temperaturze. Rośliny tak zmodyfikowane mogą kiełkować w niskich temperaturach. Zatem uprawy można przesunąć do zimniejszych stref klimatycznych. Jednak stwierdzono, że to białko jest dla niektórych ludzi alergenem.

Do roślin wprowadza się gen toksyny bakteryjnej, który pełni rolę środka ochrony roślin. Takie zboża niszczą larwy nie tylko szkodników, ale i pożytecznych owadów. A z drugiej strony szkodniki uodporniają się na takie toksyny. Zmodyfikowane genetycznie rośliny mogą przenosić „nowe” geny na odmiany naturalne. Tak stało się z transgeniczną kukurydzą, która w Meksyku doprowadziła do „skażenia” naturalnych, selekcjonowanych przez wieki miejscowych odmian. Notowane były takie przypadki jak: przenoszenie „nowych” genów drogą zapylania (przepylania) na inne odmiany roślin naturalnych oraz przeniesienie odporności na herbicydy ze zmodyfikowanych zbóż na... chwasty.

W dłuższej perspektywie nasza nisza ekologiczna na tym ucierpi. Takie wielkie monokultury niszczą naturalną bioróżnorodność. Niszczą też tradycyjne rolnictwo, źródło naturalnej żywności dla człowieka. Poszerzanie upraw roślin transgenicznych zagraża stosunkom społecznym.

– W jaki sposób?

– Jeśli wielkie firmy produkują ziarna transgeniczne i jednocześnie preparaty

chwastobójcze czy owadobójcze, na do-  
datek kontrolują farmerów którzy na  
produkcję takiego ziarna podpisali z ni-  
mi wieloletnie kontrakty – to rodzi się  
nowe, niepokojące zjawisko społeczne  
– współczesny rolniczy feudalizm. Tym  
bardziej, że nowe strategie modyfikacji  
roślin zbożowych pod pozorem ochrony  
własności intelektualnej wprowadzają  
też produkcję ziarna, które ma pewne  
nowe cechy, ale nie ma zdolności kieł-  
kowania. Farmer takie zmodyfikowane  
ziarno może zasiać tylko raz. W następ-  
nym roku musi czekać na nowy materiał  
siewny, bo własnego nie ma. Wpada  
w sieć uzależnienia. W ten sposób zmu-  
szony jest do wykonania każdego, na-  
wet najbardziej szatańskiego pomysłu  
firmy, z którą podpisał umowę. To  
stwarza nową sytuację społeczną. I poli-  
tyczną, gdy ogromna produkcja żywno-  
ści jest w rękach wąskich grup intere-  
sów.

**– Jest Pan Profesorem przeciwnikiem  
GMO – genetycznie modyfikowanych  
organizmów?**

– Modyfikacje genetyczne takiego  
żywego materiału jak drożdże, grzy-  
by, a nawet rośliny są dopuszczalne.  
Powinny one służyć celom przemy-  
słowemu, medycznemu czy gospodar-  
czym.

Akceptuję eksperyment genetyczny  
na krowach w przypadku, jeśli ich mle-  
ko zostałoby uzupełnione np. o czynniki  
krzepnięcia krwi, niezbędne dla hemofi-  
lików. Istnieją też możliwości produk-  
owania w roślinach szczepionek dla ludzi  
i innych użytecznych preparatów leczni-  
czych. Procesy te muszą się jednak od-  
bywać w zamkniętych systemach kon-  
trolnych, by uniknąć niepożądanych  
skutków tych modyfikacji w środowi-  
sku naturalnym.

Wiele modyfikacji roślin jest bar-  
dzo potrzebnych, np. wzbogacanie  
w swoiste białka, witaminy, „użytecz-  
ne” kwasy tłuszczowe itd. Interesujące  
są koncepcje hodowania roślin toleru-  
jących słoną wodę i słoną glebę. Taki-  
mi roślinami można by obsiewać na-  
wadniane wodą z mórz tereny pustyn-  
ne, których przybywa na całym świe-  
cie. Albo genetycznie modyfikowane  
rośliny posiadające zdolność wiązania  
metali ciężkich, którymi w nadmiarze  
jest zanieczyszczony Górny Śląsk.  
Równie ciekawy jest pomysł wyhodo-  
wania roślin o zdolności rozkładania  
mutagennych policyklicznych węgl-  
owodorów aromatycznych. One rów-  
nież w dużych stężeniach zanieczysz-  
czają niektóre tereny nie tylko w wo-  
jewództwie śląskim.

– W latach osiemdziesiątych ubie-  
głego wieku interesowaliśmy się bada-  
niami wpływu zanieczyszczeń śro-  
dowiska na materiał genetyczny (DNA)  
człowieka, prowadzonymi w gliwic-  
kim Instytucie Onkologii. Odnotowa-  
łam wówczas Pana opinię na ten te-  
mat...

– „... nie można mówić o zależności  
wprost pomiędzy zanieczyszczeniem  
środowiska a zachorowalnością na no-  
wotwory. Dowody naukowe, epidemio-  
logiczne i doświadczenia nie pozwalają  
jednak tej zależności wykluczyć. Żyje-  
my w świecie chemii. Obok czynników  
fizycznych, biologicznych – także nie-  
które związki chemiczne po wnikięciu  
do organizmu tworzą trwałe wiązania  
chemiczne z materiałem genetycznym,  
czyli z DNA komórki...”

**– Jest to stwierdzenie aktualne?**

– W żadnym przypadku nie jest to  
nadużycie. Biologia molekularna, jak  
inne dziedziny szybko się rozwija. Ro-  
dzi się nowe hipotezy, interesujące kon-  
cepcje. Nie ulega jednak kwestii, że  
niepożądane zmiany genetyczne czło-  
wieka mogą być spowodowane wpły-  
wem szeroko pojmowanego środowi-  
ska. Bardzo ubolewam, że w Instytucie  
Onkologii w Gliwicach przestał praco-  
wać zespół badaczy, ceniony w świecie  
za opracowania dotyczące wpływu za-  
nieczyszczeń środowiska na chromoso-  
my i DNA człowieka. (Szczęśliwie, być  
może, ostatnio pojawiła się szansa na je-  
go częściową reaktywację.)

Zanieczyszczenie środowiska czło-  
wieka jest nadal ogromne. Dotyczy to  
w szczególności wód. Jakość wody do  
picia budzi zastrzeżenia. Przypadek  
Tarnowskich Gór nie jest odosobniony.  
W tym mieście trzeba było zamknąć  
studnie głębinowe, zanieczyszczone  
najgroźniejszymi toksynami, przenika-  
jącymi do wód podziemnych z odpadów  
składowanych przez dziesięciolecia  
w tamtejszych zakładach chemicznych.

Podstawowe, badane na co dzień pa-  
rametry jakości wody nie oddają pełne-  
go jej obrazu. Czasem zawiera ona  
znacznie więcej składników niepożąda-  
nych niż te rutynowo badane. Tylko do-  
świadczeni chemik jest w stanie zana-  
lizować obecne w niej wszystkie toksycz-  
ne związki.

Dużym problemem stała się głęboka  
obróbka żywności, oferowanej przez su-  
permarkety. Powszechnie się uważa, że  
tych kilka tysięcy związków chemicz-  
nych, poprawiających smak, wygląd,  
trwałość, zapach i inne cechy produk-  
tów spożywczych, sprzedawanych  
w supermarketach jest tolerowana przez  
organizm człowieka. Faktycznie chemi-  
zacja żywności nie pozostaje bez wpły-  
wu na nasze zdrowie.

**– Mimo to chcemy przekraczać  
granice człowieczeństwa. „Poprawia-  
my” przyrodę, „ulepszymy” żywność,  
klonujemy zwierzęta i... zabrał się  
się za genetyczne udoskonalanie czło-  
wieka...**

– Genom roślin, zwierząt ani tym bar-  
dziej człowieka nie jest dobrze poznany.  
Każydy postępy, każde nowe odkrycie nie  
zamyka żadnego problemu w tej dzie-  
dzinie. Wręcz przeciwnie. Otwiera no-  
we. Pojawiają się dziesiątki nowych py-  
tań, na które, być może, nigdy nie zdo-

lamy poznać odpowiedzi. Jeśli komuś  
się wydaje, że drogą klonowania uda się  
stworzyć nowego człowieka o wyjątko-  
wych walorach intelektualnych, fizycz-  
nych, estetycznych i innych zaprogram-  
owanych na zlecenie, jest w błędzie.  
To nonsens. To bardzo niebezpieczny  
kierunek.

**– Fizycy badający wszechświat są  
pokorniejsi. Wielu z nich uznaje, że  
tam gdzie nie sięga ludzki umysł, za-  
czyna się Bóg...**

– Wielki wszechświat, który badają  
fizycy i astronomowie jest niepojęty.  
Ale również ten przyrodniczy mikro-  
świat, którym zajmują się biolodzy tak  
samo nie daje się do końca pojąć. Mimo  
że wiedza o nim stale się rozszerza, na-  
tura bezustannie nas zaskakuje. Fizycy  
mają nie tylko większą dozę pokory wo-  
bec wszechświata i przyrody niż biolo-  
dzy, ale chyba także większą dozę od-  
powiedzialności.

**– O zagrożeniach myślimy global-  
nie, ale żyjemy lokalnie. Jaki ważny  
problem ekologiczny absorbuje dziś  
Pana Profesora najmocniej?**

– W Gliwicach najbardziej mnie mar-  
twi i boli wytyczony w projekcie, w ści-  
śłym centrum miasta gliwicki odcinek  
Drogowej Trasy Średnicowej (DTŚ). To  
jedyna propozycja jaką oferują władze  
miasta. Lokalizacja ta nawiązuje do pla-  
nów rozwiązań komunikacyjnych  
z końca lat pięćdziesiątych. Wbrew  
zdrzewemu rozsądkowi, obowiązującej  
logice urbanistycznej, wymaganiom  
ekologii, przy sprzeciwie i pogwałceniu  
prawa mieszkańców, obawiających się  
szkodliwej dodatkowej porcji spalin i hała-  
su. Znaczna część planowanej DTŚ  
w Gliwicach ma zająć miejsce, gdzie  
jeszcze sto lat temu przebiegał Kanał  
Kłodnicki, a gdzie miała powstać za-  
drzewiona i zazieleniona sekcja miasta.  
Teraz ma tam przebiegać pas betonu.  
Taką lokalizację uważam za niewyba-  
czalny błąd i niekompetencję tych  
wszystkich osób i instytucji, które wy-  
dają pozytywne opinie o tej kosztownej  
inwestycji.

W cywilizowanym świecie i dysku-  
sjach nad zrównoważonym rozwojem  
miast kładzie się nacisk na rozwój ko-  
munikacji zbiorczej, z pierwszeństwem  
dla transportu szynowego a tranzytowy  
ruch samochodowy przenosi się na ob-  
wodnice. U nas preferencje układają się  
odwrotnie. Unowocześnianie transpor-  
tu osobowego i towarowego sprowadza  
się w zasadzie do budowy autostrad  
i dróg. Tej uprzywilejowanej myśli  
podporządkowuje się gospodarkę prze-  
strzenną, spychając na drugi plan wa-  
lory urbanistyczne miast i miasteczek, ich  
kulturę materialną i zasoby przyrodni-  
cze a wreszcie także dążenia do lepszej  
jakości życia. Często dzieje się to  
wbrew lokalnej społeczności. Tak jak  
w Gliwicach.

JOLANTA KARMAŃSKA



Kolumny dofinansowane ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

WIELKA  
EKOLOGIA

**T**ematy grafik i rysunków Andrzeja Łabuza sytuują się przede wszystkim w obrębie problematyki związanej z kulturą Indian Północnoamerykańskich. Można na nich znaleźć postacie Indian, które niewiele odbiegają od ich utrwalonego w powszechnej świadomości obrazu. Literatura przygodowa oraz film spopularyzowały stereotyp Indian jako odważnych, szlachetnych wojowników kochających wojnę i pozbawionych poczucia humoru. Również w pracach Łabuza są oni przedstawieni w całym swym splendorze: w tradycyjnych strojach, w pióropuszach i ozdobach, z bronią i tarczami. Jednak artysta nie idealizuje tego obrazu, a podejmuje dialog z tym stereotypowym wizerunkiem.

Andrzej Łabuz w swoich pracach inspirował się materiałem zebrany przez fotografów na początku 20 wieku – w czasie, kiedy kultura Indian była żywa i nie stanowiła jeszcze skomercjalizowanej atrakcji turystycznej. Również tytuły prac nawiązują do realnie istniejących plemion i bohaterów indiańskich. Szalony Koń, Siedzący Byk to przecież postacie historyczne, a Tatanki, Irokezi czy Czarne Stopy to nazwy rzeczywiste istniejących plemion. Zostały one tak wchłonięte przez kulturę popularną, że stanowią już niejako kalkę językową a nie odniesienie do rzeczywistych społeczeństw, różniących się nie tylko nazwą, ale również odmiennymi językowo, kulturowo i politycznie. Nawiązując do etnograficznych i historycznych źródeł Łabuz stara się w swych grafikach wiernie oddać nie tylko obraz Indian, ale równocześnie nawiązuje do losów pewnej społeczności. Jej historia stała się już niejako symbolem odzwierciedlającym tendencje współczesnej kultury, która siłą stara się asymilować słabszych do modelu mocnych. Stąd kultura Indian, żyjących w zgodzie z prawami natury w pewnym integralnym świecie kształtowanym przez mity i rytuały, często postrzegana jest jako ideał, który został zniszczony przez brutalną, zewnętrzną siłę.

Zniszczenie podstaw kultury doprowadziło do przemiany wzorów osobowych, systemów wartości, ról społecznych i rozpowszechnienia amerykańskich wzorów konsumpcyjnych. Grafiki Andrzeja Łabuza świadczą o tym, że stara się on świadomie podkreślić tę zmianę. W pracy *Zginęły nam pióropusze* zauważa utratę wysokiego statusu indiańskich wojowników. Aby to zrozumieć, trzeba najpierw zdać sobie sprawę, jaką rolę odgrywała wymieniona w tytule część ubioru w tradycyjnej kulturze indiańskiej. W skrócie ujmując ten złożony problem, pióropusz wojenny stanowił nie tylko najbardziej atrakcyjną część ubioru Indian, ale według wierzeń tej

społeczności posiadał magiczną moc, która miała chronić jego właściciela na polu bitwy. Wydaje się, że ich „zniknięcie” z grafiki Łabuza ma sugerować utratę pewnej pozycji społecznej tych, którzy je nosili.

**P**odobną wymowę ma praca zatytułowana *Kurze pióra wyrwałem*. Indiańskim wojownikom za dokonanie niezwykle czynu przysługiwało prawo do noszenia odpowiedniej liczby orlich piór. Ich posiadanie było wyróżnieniem. W kosmogonii indiańskiej orzeł miał wyjątkowe znaczenie, ponieważ był posłańcem Stwórcy. Dlatego orle pióro było przedmiotem *sacrum*, wobec którego zachować należało specjalny szacunek, a prawo do jego posiadania miały tylko „prawdziwy człowiek”. Zastąpienie tak istotnego elementu piórem kurzym – z humorem, ale nie pozba-

## Indiańskie inspiracje Łabuza

wionym ironii – wskazuje na upadek pewnego świata i wartości, które były z nim związane.

Praca *6-ciu Wspaniałych* swoim tytułem nawiązuje do westernu *Siedmiu wspaniałych*, w którym tytułowi bohaterowie – rewolwerowcy – chronią meksykańskie osiedle przed bandą rozbójników. U Łabuza *6-ciu Wspaniałych* jest Indianami, którzy również stanowią jedną z ikon Dzikiego Zachodu. W tym kontekście zostali oni przedstawieni jako bohaterowie, wskazując pośrednio na tych, przed którymi mieli chronić.

Kolejnym elementem symbolicznym mającym doniosłe znaczenie dla kultury Indian Północnoamerykańskich, były włosy wojowników. Stanowiły one podkreślenie wartości osobistej oraz indywidualnej siły. Ich obcięcie było powodem do izolowania takiego osobnika od reszty grupy. Jednak podczas prób przymusowej asymilacji nakazywano je ścinać, aby dostosować wygląd do amerykańskich wzorców. Dlatego zachowanie przez Indian tradycyjnych fryzur stało się symbolem oporu wobec procesu cywilizacyjnego. Na grafice zatytułowanej *Piękny profil Irokeza* przedstawiony został „piękny profil” Indianina, ale bez tej części, która najbardziej go charakteryzuje – czyli fryzury, która swoją zwyczajową na-

zwę w języku polskim przyjęła od nazwy indiańskiego plemienia, którego mężczyźni nosili to specjalne uczesanie. Brak „irokeza” u Irokeza jest kolejną wskazówką podkreślającą, że to społeczeństwo może umrzeć i niedługo – w sensie kulturowym – zniknąć.

**T**ym, co najbardziej interesuje artystę w obrazie Indian, są ich twarze. Są one pełne zmarszczek, ale każda ma swój wyraz. Czasami artystę interesuje tylko wybrany fragment – nos, oko, ucho. Przedstawienie pełnych bruzd twarzy dla grafika warsztatowego jest prawdziwym wyzwaniem i jednocześnie zaprezentowaniem mistrzostwa opanowania tej techniki. Jednocześnie wybór twarzy mężczyzn dojrzałych, jest opowiedzeniem się za tym, co w pogoni za młodością odrzuca współczesna kultura – za mądrością, która nabywana jest wraz z doświadczeniem i w związku z tym najpełniejsza jest w wieku dojrzałym. To w kulturach uznawanych za prymitywne starców traktowano jako mędrców i obdarzano szacunkiem, podczas gdy w konsumpcyjnej kulturze współczesnej, uznawanej za rozwiniętą, wyrzucani są na margines społeczeństwa.

W kontekście indiańskich inspiracji wybór twarzy, jako najbardziej znaczącej, nie jest bez znaczenia w twórczości Łabuza. Jednym ze stereotypowych cech Indianina jest przecież zachowanie kamiennego wyrazu twarzy, bez względu na okoliczności, w których się znajduje. Wydaje się, że jest to maska zredukowana do twarzy. Również nakładanie „barw wojennych” jest przejawem traktowania w tej kulturze twarzy jako maski. Magiczny charakter maski polega na ukryciu przemiany – bycia innym pozostając tym samym. Przeistoczenia tego, czym się jest, w to, czym się chce być. Z drugiej strony ludzka twarz stanowi symbol promieniowania życia duchowego. Odbijają się w niej – szczególnie w spojrzeniu – niezliczone w swej zmienności „stany duszy”. Potraktowanie twarzy jako maski może stanowić chęć ukrycia tego, co znajduje się w głębi duszy – tego, co boli i rani.

Refleksja nad pracami Andrzeja Łabuza skłania do zadania pytania o przyszłość kultur tradycyjnych, których symbolem może stać się kultura Indian. Jak można prześledzić na przykładzie ich historii, powszechną reakcją na przymusową asymilację jest zamknięcie się w plemiennych tradycjach lub przyjęcie obcych wzorów, co prowadzi do utraty tożsamości kulturowej. Wobec zachodzących współcześnie procesów rodzi się troska o przyszłość regionalnych kultur, do której należy także kultura śląska.

BARBARA FIRLA





# Andrzej Łabuz

Grafiki i rysunki





Foto: Kamil Szydło



Foto: Kamil Szydło



Foto: Kamil Szydło

# Lech Kołodziejczyk

Galeria  
„ELEKTROWNIA”



Foto: Janusz Szewczyk

Foto: Janusz Szewczyk



**Jest** coś takiego w obrazach Lecha Kołodziejczyka, że trzeba je oglądać en masse – im więcej, tym ciekawiej. Wielkie formaty, zazwyczaj w pionie, bez ram, tylko płótno i farba. Jeden obraz obok drugiego – jak tapeta. Nic nie zakłócało ich przekazu. Tylko rzeczywistość malarstwa. Tak było w katowickiej galerii „Szyb Wilson”: na gładkiej, białej ścianie, na dwóch poziomach, tylko obrazy, bez żadnego kontekstu. One same przyciągają oko feerią barw, niezwykłą świetlistością, żywotnością. Są nieuchwytnie, niewytłumaczalne, a jednak takie bliskie i oczywiste. Choć nie przedstawiają, opowiadają: o Kosmosie, o przestrzeni, o człowieku. Przeświecają jak rentgen, jak przybliżane w nieskończoność na ekranie komputera cząsteczki materii. Tylko czasem, gdzieś tam, można dostrzec bardziej konkretne kształty jakiejś istoty lub zjawiska. Wszystko to rozedrgane, przenikające, zmagające z sobą i otoczeniem. Pozorny chaos precyzyjnie uporządkowany, jakby poddany działaniu jakiejś wewnętrznej siły.

Z resztą Lech Kołodziejczyk swoje dzieła zestawia w cykle, nazywając je: *Fantomanie*, *Kosmogonie*, *Luminofory*, maluje *Księgę Słońca* i *Księgę Nocy*, *Ogrody Ciemności* i *Głowy*... Zastrzega się przy tym, że autonomiczność wypowiedzi malarskiej nigdy nie dzieje się w wyabstrahowanej przestrzeni, bez jakichkolwiek odniesień do rzeczywistości zewnętrznej. Niby tak, a jednak odnosi się wrażenie, że to byty niezależne, funkcjonujące wyłącznie w swoim świecie, choć z inspiracji twórcy.

No tak, a co stanie się, jeśli te same obrazy ulokujemy w bardzo konkretnej rzeczywistości? Tak uczyniono z obrazami Lecha Kołodziejczyka w „Elektrowni” – poindustrialnym obiekcie, należącym do nieczynnej od kilkunastu lat kopalni „Saturn”, wypełnionym od ponad stu lat turbinami, kołami zamachowymi, pulpitami sterowniczymi, we wnętrzu rozświetlanym światłem wpadającym przez ogromne, poszatkowane kratownicami okna i ledwo widoczne w szczycie budynku świetliki. Niezwyczajna to sytuacja



Lech Kołodziejczyk w galerii „Elektrownia”.

## Dwie rzeczywistości

dla prac artysty, przywykłego do sterylnych, pozbawionych emocji wnętrz. Dlatego wystawę nazwał *Rzeczywistość malarska. Rzeczywistość obiektywna. Narodziny światła*.

Jaka jest ta „rzeczywistość obiektywna”? Przede wszystkim nacechowana obecnością człowieka, niegdysiejszego pracownika elektrowni. Szalenie konkretna, stwarzająca nową sytuację i nowy kontekst dla malarstwa, które nigdy dotąd tu nie gościło. A więc swoisty eksperyment. Efekt? Nadzwyczajne wrażenie: prawie 40 obrazów zastygłych w przestrzeni przemysłowej, ulokowanych w kilku rzędach ponad maszynami, zmuszone do bycia „pomiędzy”, a jednak swobodne. Dwa światy, różne, pozornie nieprzystające, a jednak wzajemnie oddziałujące. A więc obok siebie znalazły się dwa byty: materialny i rzeczywisty oraz ulotny, bo wywodzący się z myśli i duszy. Rzeczywistość malarska to też konkret, ale jakże odmienny: to przecież ograniczenie czysto fizyczne, jaką są ramy obrazu, to wewnętrzna dyscyplina nakazująca tworzenie takich a nie innych sytuacji.

Poza wszystkim odnotować trzeba wielką wrażliwość Lecha Kołodziejczyka na kolor, jego rozmalowanie, trzeba zauważyć sposób, w jaki buduje napięcia, jak dynami-

zuje przestrzeń. Kolor kładziony jest precyzyjnie, ponad wszelką wątpliwość, że w takim to a takim miejscu powinien się znajdować i sąsiadować z pozostałymi. Ogromna ilość drobnych, ale zdecydowanych pociągnięć pędzla, tworzących strukturę obrazu, układających się w ową malarską rzeczywistość ukazuje kunszt warsztatu Kołodziejczyka. I nie ma znaczenia, czy dzieje się to w obrazach mieniących się określoną gamą kolorystyczną barw czy w obrazach bez mała monochromatycznych, budowanych na bazie odcieni jednego koloru. Zarówno w jednym, jak i drugich pracach wielką siłę ma światło – przenikające, okalające, tworzące przepastną głębię bądź rozrzedzające barwne struktury.

**D**laczego zatem Lech Kołodziejczyk dopisał do tytułu wystawy określenie: *Narodziny światła*? Pewnie dlatego, że kilka prac zostało wykonanych, rzecz można, w ostatniej chwili. Jak sam mówił, wnętrze galerii „Elektrownia” zrobiło na nim ogromne wrażenie. Zderzenie dwóch światów, dwóch rzeczywistości, zaowocowało nowymi przemysleniami. Czy zaowocowało korektą nowych prac? Na to pytanie z pewnością musiał odpowiedzieć sobie każdy, kto odwiedził galerię i mógł zobaczyć najnowsze prace Kołodziejczyka. Cechuje je inna kolorystyka, inne niż dotąd dominanty barwne, jeszcze więcej światła i inne jego rozłożenie na płótnie.

Obrazy Lecha Kołodziejczyka można oglądać wielokrotnie, za każdym razem znajdując w nich coś innego, inny szczegół. Pozorna powtarzalność okazuje się być wirowaniem przestrzeni, materii i ducha. A kąty padania światła uwypuklają coraz to inne, zadziwiające układy, powiązania i ruch, ciągły ruch.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Lech Kołodziejczyk – wystawa malarstwa. Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia”, Czeladź, teren dawnej kopalni „Saturn”. Maj-lipiec 2006.



**P**rzypisy do współczesności to jest tytuł dość zagadkowy. Bądź co bądź, najnowsza książka Mariana Kisiele nie składa się z samego tylko ciągu ponumerowanych uwag, wydrukowanych petitem u dołu strony. O takich ekstrawagancjach nie ma mowy. Znajdziemy za to w tomie dziesięć regularnych szkiców polonistycznych, poprzedzonych ciekawym, instruktywnym wprowadzeniem, w którym autor pisze o specyfice historycznoliterackich rozważań nad współczesnością. Owszem, zebrane w książce artykuły są dość różnorodne. Obok siebie znajdziemy szkice o charakterze systematyzującym czy przeglądowym, sylwetkę zapoznanego krytyka (Ryszarda Zengla), jak też – tych zresztą najwięcej – rozprawki interpretacyjne. Dlaczego jednak wszystko to miałyby być przypisy?

W szkicu zatytułowanym *Gatunek i forma świata. Wstępny opis form poetyckich przełomu 1955-1959* Kisiel pisze o trzech sposobach rozumienia kategorii genologicznych. Pomińmy dwa tradycyjne (tj. klasycystyczny i postromantyczny), a skupmy się na tym trzecim, awangardowym. Jak cała estetyka nowoczesna, zasadza się on na pojęciu twórczej inwencji, preferując autorską wynalazczość w zakresie przekształcania i wynajdowania nowych, sobie-swojskich, często wręcz niepowtarzalnych form wypowiedzi artystycznej. Najwyraźniejszym przejawem takiej strategii twórczej jest wprowadzanie nowych pojęć (nierzadko słów pospolitych) w roli określeń gatunkowych. Wymownego przykładu dostarcza twórczość Białoszewskiego, który często tytułował swoje utwory za pomocą właśnie takich niby-gatunkowych określeń (od „donosów rzeczywistości” po „śnitki” czy „frywole”).

Otóż występujące w tytule książki Mariana Kisiele słowo „przypisy” zostało użyte zgodnie ze wspomnianą awangardową strategią. Nie należy więc rozumieć pojęcia podług słownikowego znaczenia, ale trzeba je traktować jako kategorię *quasi*-genologiczną. Innymi słowy, „przypisy” w naszym wypadku będą pewną formułą wypowiedzi polonistycznej, pewną szczególną odmianą eseju (próby, szkicu). Dodajmy, że chodzi o taką formułę, która nie jest dana z góry, nie stosuje się do żadnych wcześniejszych zasad programowych, lecz definiuje wyłącznie w samej książce i poprzez



Marian Kisiel

zane albo dowiedzione). Przyczynek oraz przypis służą bowiem czemuś większemu od siebie, jakiemuś dużo rozleglejszemu projektowi, zorientowanemu na fundamentalne zagadnienia historycznoliterackie. W tym jednak miejscu zaczynają się ważne różnice. Przyczynek jest czy też być powinien przygotowaniem do pracy, jaka dopiero powinna zostać wykonana. Co więcej, (mało istotny) przyczynek upomina się o wielkie, istotne przedsięwzięcie, którego jest zwiastunem. Tymczasem „przypis” odnosi się do czegoś uprzedniego, do „tekstu głównego”, który już istnieje. Przy czym zawiązana tu relacja wcale nie musi być jednoznaczna. „Przypis” nie tylko dopowiada, rozwija, uszczegóławia, bo również krytykuje, polemizuje, prostuje, sugeruje rozwiązania alternatywne.

Foto: Zbigniew Sawicz

Rzecz jasna, tyleż skromne, co autoironiczne określenie „przypisy do współczesności” sytuuje zebrane w książce szkice w sferze mało ciekawej, polonistycznej „dłubaniny”. Wydawać by się mogło, że naszą książkę zdominują rozmaite

problemy szczegółowe, a w dodatku będą to kwestie zazwyczaj odsyłane na stronę historycznoliterackich zatrudnień. Twórca „przypisów” przedstawia się nam jako fachowiec o stosunkowo wąsko określonej specjalności, który świadomie rezygnuje z szerszej perspektywy. W istocie jednak z pomocą swoich „przypisów” prowadzi nieustanny dialog z „tekstem głównym”, z wielką narracją historyczną na temat naszej współczesności.

Ani myślę ukrywać, że takie samo określenie bardzo mi się podoba. Przede wszystkim, *Przypisy do współczesności* okazują się książką niejako podwojoną. Dotyczą rozmaitych problemów szczegółowych, ale jednocześnie odnoszą się do hipotetycznej narracji syntetyzującej. Po drugie, Kisiel nie występuje jako kodyfikator, który usiłuje narzucić pewną jednolitą wizję współczesności. Wręcz przeciwnie, uzupełniając i dopowiadając, przypomina o wielości postaw artystycznych oraz ideowych, przypomina o wielobarwnym, złożonym, synkretycznym charakterze literatury XX wieku. Nie odrzuca wielkiej opowieści historycznej, zdaje się rozumieć jej potrzebę i w zasadzie zgadza się na taki jej kształt, jaki się przyjął w dzisiejszej nauce o literaturze (i nie tylko nauce).

## Przypis nie jest nauką łatwą ani małą

książkę. Określa się zatem z uwagi na własną immanentną poetykę, nie zaś wobec założeń, tradycji, typowych realizacji, przejętego dziedzictwa.

Tak rozumiane „przypisy” dość zasadniczo różniłyby się od dobrze zdomowionego w nomenklaturze polonistycznej przyczynka. Prawda, że oba „gatunki” wskazują na własną – ujmijmy to w ten sposób – odrębność. Prezentują się jako wypowiedzi służebne czy wręcz niesamodzielne. Ich wartość nie zawiera się wyłącznie w tym, co zostało powiedziane (wyka-



wowym zadaniem nie tylko szkolnictwa zresztą jest budzić nadzieję. Najpierw nadzieję, że tutaj można studiować i można żyć. Ja wierzę w to, że sytuacja będzie się poprawiać, bo my zaczynamy dostrzegać, że nie tylko produkcja, ale usługi też się liczą. Mówi się o nowym Detroit, ale ja twierdzę, że samochody to nie jest ten biznes przyszłościowy.

**M.S.Sz.:** Panie profesorze, to jest przemysł masowy, który nie tworzy innowacji, ale je konsumuje. Inwestycja pożądana to jest inwestycja w trzeci albo czwarty sektor gospodarki, sektor usług naukochołny, wiedzochołny, bo przecież najdroższym towarem jest wiedza, informacja, a najważniejszą umiejętnością – umiejętność wykorzystania w życiu zawodowym, praktycznym.

**J.G.:** Kiedy zajmowałem się restrukturyzacją, zmianami transformacyjnymi, przeczytałem o takim przypadku w Stanach Zjednoczonych. W jednym z miast chciano zlikwidować podstawowy zakład pracy. Ale mieszkańcy nie dopuścili do tego. Przesztaltali ów zakład w spółkę pracowniczą i to sprawiło, że to miasto w ogóle przetrwało. I tego myślenia nam przez całe lata brakowało.

**T.K.:** Jeżeli chodzi o te wyjazdy na fali emigracyjnego tsunami, w dużym stopniu wynikają one ze stanu państwa. A jest on taki, że wyjeżdżający mają alibi, tym bardziej, że nikt ich nie zatrzymuje. Nie ma czegoś takiego, żeby ktoś tworzył zachęty do pozostania, jakieś – jak to pan profesor powiedział – pola nadziei. Były wielkie fale emigracji politycznej w wieku XIX i po powstaniach, potem „za chlebem”, po ostatniej wojnie zostało na Zachodzie kilkaset tysięcy Polaków, w tym sporo inteligencji. Później, w okresie „Solidarności” i w latach następnych wyjechało z Polski bodaj milion 200 tysięcy. Pojawia się pytanie, jaki ten kraj mógłby być, gdyby nie takie straty, nieustanny odpływ. Jest nas, Polaków, w tej chwili poza granicami około 20 milionów. W Polsce natomiast mniej, niż się zapowiadało, gdy dochodziliśmy do 40 milionów. Ta optyka musi budzić uczucie pewnej trwogi. Jak tę lawinę zatrzymać? Co będzie dalej? Poprosilibym państwa teraz o coś w rodzaju wniosku końcowego.

**M.M.:** Niewątpliwie (przewijało się to w naszych wypowiedziach) jest to dewastacja kapitału ludzkiego. Każda transformacja, w założeniach przecież bardzo pozytywna, odbywała się tym właśnie kosztem. Dlaczego tak się dzieje? No, jakoś sam pan redaktor na to odpowiedział. To rzeczywiście jest pewna negatywna selekcja, bo skoro wyjeżdżają najlepsi, to zostają ci inni. Czasami są na tyle rozsądni, że się nie biorą do polityki. Warunki nadal są takie (nie powiem, że niedemokratyczne), ale nie pozwa-

lają swoich programów realizować. Nie mamy takiego polityka, który by powiedział: no to co, że są takie warunki, jeśli są – to je zmieńmy. Brak rzeczywiście skutecznego propagowania rzeczy pozytywnych. Kontrakt dla Śląska – bardzo dobra rzecz przecież. Prawdziwa umowa społeczna. Ale to się wszystko rozmywa, bo politycy ciągle mają coś innego do zrobienia. Mają swoje priorytety, rozprawę z przeszłością.

**W.R.:** Ja myślę, że my możemy trochę, ale niewiele. Główne decyzje należą do polityków. Jeżeli nie będzie się od nich wymagać, jeżeli nie będzie się ich rozliczać, to nie wiem, czy mamy szansę. Myślę, że to jest mała dróżka do naprawy, ale jest.

**M.S.Sz.:** Jest to możliwe, pod paroma warunkami. Polska demokracja jest jeszcze bardzo krucha, w fazie wstępnej... Mój przyjaciel brytyjski, znakomity socjolog, pytany: „Słuchaj John, kiedy wedle twojej wiedzy możemy się spodziewać w Polsce społeczeństwa obywatelskiego, dobra wspólnego, partycypacji społecznej?”, odpowiadał taką piękną metaforą, którą przytoczę. Mówił: „Demokracja, także w Polsce, jest jak angielski trawnik. Trzeba strzyc przez 200 lat, żeby ołśnił urodą”. Oczywiście pod kolejnym warunkiem: ludzie muszą zrozumieć, że pozostanie w domu w dniu wyborów jest najgorszą z możliwych dróg. Większość Polaków nie poszła głosować. I to również wtedy, kiedy wybierano w wyborach bezpośrednich, bezsztyldowych, kiedy wybierało się swoich wójtów, burmistrzów. Mechanizmy rozliczania polityków są możliwe, ale trzeba zacząć od poczucia elementarnej odpowiedzialności za heimat, ojczyznę prywatną, region, kraj. Tego poczucia nie ma. W badaniach 95% Polaków mówi, że nie ufa politykom. Ale 90% nie ufa też swoim ziomkom. Dobra wspólnego nie buduje się w takich warunkach. Jeżeli zapytać Norwega, czy ufa rodakowi z sąsiedniej wsi – 70% odpowiada „tak”. Jak w tej sytuacji, kiedy sami wokół siebie budujemy bardzo wąski krąg – rodzinny, przyjacielski, poza którym jest socjologiczna pustka, możemy budować wspólne dobro? Sami – co pani profesor powiedziała – możemy niewiele. Możemy przygotować naszych studentów do realnej Unii Europejskiej. Nauczyć ich umiejętności przekraczania pewnych własnych ograniczeń, rywalizacji, oprócz zawodowych, twardych kompetencji. W regionie zaś trzeba zadbać o podniesienie jego atrakcyjności, tak żeby przyciągał, przynajmniej niektórych. Ale do tego też trzeba silnych, regionalnych elit władzy. Nie kombatanów. Wizjonerów. Większość liderów (robiliśmy takie badania) jest konserwatorskich. Nic nie robić, nic nie zmieniać, przetrwać do następnych wyborów. Tylko nieliczni są wizjonerami,

k którzy nie odmierzają czasu wyborczą klepsydram. Przyszłość należy do trzeciego i czwartego sektora gospodarki. Do usług realnych i „matrixowych”. Usługi przez internet – przecież to są miliardowe rynki. Obrót nieruchomościami, turystyka kwalifikowana, asekuracja, reasekuracja, usługi paramedyczne. Pani profesor myśmy wykonali pierwsze w Polsce badania nad chirurgią plastyczną i jesteśmy poruszeni ich wynikami, które ukazują ogromne zainteresowanie tą dziedziną.

**W.R.:** To świadczy o tym, jak wielu ludzi ma niskie poczucie własnej wartości. Ktoś myśli, że usunie sobie zmarszczki i zmieni się świat. Tymczasem po kilku miesiącach trzeba zabieg powtarzać. To do niczego nie prowadzi. Człowiek powinien czuć się dobrze bez usunięcia zmarszczek.

**J.G.:** Możemy chyba spojrzeć na to optymistycznie. Po pierwsze uświadomiamy sobie, że – biorąc pod uwagę minione 15 lat – emigracja jest czymś złym. Dostrzegamy, że to nie jest dobre rozwiązanie problemu bezrobocia. Myślę, że pomału zaczynamy dostrzegać jakieś drogi wyjścia. Do 4 „T” pana profesora Szczepańskiego dotożyłbym anglojęzyczne 4 „P”, o których mówi ekonomia, marketing. Po pierwsze – musimy sobie uświadomić, jaki mamy produkt. Co możemy na Śląsku zaoferować tym, którzy tu przyjeżdżają i tym, którzy tu żyją, których chcemy tu zatrzymać. Po drugie – promocja. Musimy przekazywać zainteresowanym informacje. Po trzecie – cena, a w niej płaca, bo trzeba tym ludziom dać zarobić. No i po czwarte dystrybucja, czyli to wszystko, co jest związane z infrastrukturą, która pozwala tu żyć i mieszkać. Dodałbym jeszcze piąte „P” – lokalny patriotyzm. Emigracja nie buduje człowieka. Spośród tych, których znam, tylko niewielu się tam naprawdę udało. Ja jestem ekonomistą-informatykiem. Informatycy nie chcą wyjeżdżać, bo pojawiły się pewne możliwości pracy, czy to przez internet, czy w firmach zagranicznych. Znam młodego człowieka, który w Jurze stworzył jakąś tam drobną sieć agroturystyczną. Myślę, że właśnie przez takie przykłady możemy tutaj budować nadzieję, że może być lepiej.

**T.K.:** Kończąc i dziękując za tę rozmowę, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedną rzecz. Żeby uzasadnić swój trwały pobyt na emigracji, trzeba w sobie wytworzyć stały, negatywny stosunek do własnego kraju. Ktoś nie wraca, bo to i tamto wie, doświadczył, czuje. To musi być argumentacja negatywna, a taka niestety, niszczy kogoś, kto się posługuje takim narzędziem, żeby uzasadnić rozstanie z krajem na zawsze.

Rozmowę przygotował do druku  
BOGDAN WIDERA

Sytuując się na obrzeżach, wybierając pozycję peryferyjną wobec tej narracji (umieszczając się w „przypisie”), bardzo sprytnie wskazuje zarazem na ograniczenia, redukcjonistyczne zapędy, nieuchronne (a więc zrozumiałe i jakoś usprawiedliwione) uproszczenia, jakich dokonujemy w ramach „głównego tekstu” historii współczesnej literatury.

Z woli autora książka została podzielona na trzy zasadnicze części. Mamy więc szkice o utworach powiązanych z doświadczeniem II wojny światowej, poświęcone przemianom świadomości literackiej po przełomie październikowym, wreszcie – życiu literackiemu na emigracji. Łatwo zauważyć, że taka systematyka odpowiada trzem głównym wątkom w całym historycznoliterackim dorobku Mariana Kisiela. We wcześniejszych pracach, choćby omawiając twórczość Różewicza, autor zawsze mocno podkreślał duchowy i kulturowy wymiar wojennej cezury. Nie tylko w *Przypisach...*, bo także w kilku wcześniejszych artykułach przypominał o autorach z kręgu londyńskich „Kontynentów”. Do kwestii natomiast związanych z przełomem październikowym Kisiel powraca w najnowszej książce jako autor pracy *Zmiana. Z problemów świadomości literackiej przełomu 1955-1959 w Polsce* (1999).

Jeśli jednak pamiętamy o podwójnym charakterze „przypisów”, to dojdziemy do wniosku, że trójpodział, z jakim się spotykamy w najnowszej książce Kisiela, ma dużo większe znaczenie. Nie odnosi się on bowiem ani nie tłumaczy wyłącznie w kontekście naukowej biografii autora. Druga wojna światowa, przełom październikowy, powojenna emigracja funkcjonują tutaj jako kluczowe doświadczenia współczesności, jako zasadnicze motywy tego „tekstu głównego”, do którego odnoszą się „przypisy”.

Powiedziałbym zatem, że książka Kisiela zakłada taką wizję historii literatury współczesnej, w ramach której wojna, Październik oraz emigracja urastałyby do rangi centralnych wydarzeń, a zarazem – swoistych symboli tej literatury. Pozwala to spleść ze sobą plan faktograficznej kroniki, zewnętrznych kontekstów literackich (historia polityczna, życie społeczne itp.) z treścią omawianych dzieł. Kwestie dotyczące instytucjonalnego wymiaru życia literackiego Kisiel przedstawia w najściślejszym powiązaniu z interpretacjami wybranych utworów. Jedno oświeśla tutaj drugie i na odwrót. A jest to sprawa niezwykle istotna. Bez niej wspomniane kluczowe doświadczenia naszej współczesności – wojna, Październik oraz emigracja – funkcjonowałyby wyłącznie na prawach okoliczności życia literackiego, genetycznie i tematycznie warunkujących powstające wtedy (oraz później) dzieła.

Oczywiście, doświadczony badacz jest jak najdalej od takiego, wręcz szkolnego redukcjonizmu. W istocie Kisiel daje do zrozumienia, że wydarzenia historyczne same w sobie dla literatury i dla nas niewiele jeszcze znaczą. Ważą dopiero wtedy, gdy zostaną duchowo przepracowane, gdy wpłyną na nasze rozumienie ludzkiej kondycji, gdy staną się pojętymi na hermeneutyczny sposób symbolami, dzięki którym próbujemy zrozumieć samych siebie. Takimi właśnie symbolami w naszej literaturze współczesnej będą wojna, emigracja czy też Październik (rozumiany jako doświadczenie „ucieczki do wolności” – napisze Kisiel w szkicu o Ryszardzie Zenglu).

Na pierwszy rzut oka hipotetyczna (i hipotekstowa) historia literatury współczesnej, w jaką wpisują się zebrane w książce „przypisy”, wydaje się dobrze znana, oswojona i bezpieczna, a nawet – kanoniczna. Nie budzi u czytelnika poznawczego niepokoju. Jego czujność może usnąć już sam spis treści. Wojna? Październik? Emigracja? Ileż to książek i podręczników... Jeśli jednak wszystko to mają być doświadczenia współczesne, to muszą określać i pozwalać nam rozumieć nas samych, czyli – paradoksalnie – okazać się wyrazem naszych własnych niepokojów, tego wszystkiego, co dla nas w nas samych niezrozumiałe. Kisiel chciałby nadważyć przyjemne przeświadczenie, że współczesność i literatura współczesna – zwłaszcza ta znaczone symbolami wojny, emigracji, egzystencjalistycznego buntu – jest dla nas przejrzysta i bezpieczna. Chciałby przypomnieć o jej rebelianckim, nonkonformistycznym etosie. W tym wszystkim dużo bardziej przypomina krytyka aniżeli historia, z jego ofertą ostatecznego wyjaśnienia literatury.

Po kolei: wojna, co Kisiel pokazuje na przykładzie Kazimierza Wyki, Zdzisława Stroińskiego oraz *Ech leśnych* Tadeusza Różewicza, wymusiła daleko idącą rewizję postromantycznego kodu polskości oraz postromantycznej wizji literatury. Wymagała także wypracowania historiozofii, która gotowa byłaby się zmierzyć z nieobecnością w dziejach siły transcendentnej. Co ciekawe, w analizowanych przypadkach pisarze korzystali – w różnym, co prawda, stopniu – z odziedziczonego języka, sięgali do romantycznej i neoromantycznej spuścizny, a jednocześnie dekonstruowali ją, ujawniając jej nieprzystawalność do konkretnych, wojennych doświadczeń.

Tę swoistą, typową dla nowocześnieści, grę powtórzenia i różnicy, kontynuacji i zerwania, ciągłości i nieciągłości, będziemy obserwować również przy okazji kolejnych szkiców, aczkolwiek dotyczą one innych autorów, tworzących w innych warunkach. Co ważne, z konfrontacją dwóch anty-

nomicznych szeregów będziemy mieli do czynienia w wymiarze estetycznym (np. wiersz jako *mixtum compositum*), w planie koncepcji antropologicznych (dylemat zdrady, kwestia ciągłości chłopskiego losu i zerwania z nim w powieści Kawalca), jak też w metadykursie epoki, w krytycznoliterackich próbach określenia nowocześnieści (Zengel). Dla nowoczesnego człowieka oraz nowoczesnej literatury znamienny będzie dramatyczny konflikt, źródłowa nieprzystawalność czy też niezgodność. Człowiek i literatura określają się wobec tradycji oraz wobec języka, które utracili, z których zostali wyzuci lub które odrzucili. Charakteryzuje ich poczucie własnej odrębności i odmienności, ale przecież jednocześnie odkrywają, że nie mogą o sobie pomyśleć bez tego wszystkiego, do czego się odnoszą, co utracili, co kwestionują. Stąd właśnie popularność figury bezdomności, wykorzenienia, emigracji czy kategorii wyobcowania. Nieprzypadkowo więc na bohaterów ostatniej części książki Kisiel wybrał poetów i krytyków z grupy „Kontynentów”, sytuujących się poza tradycjami narodowej literatury, ale też w krytycznym odniesieniu do niej, co z kolei owocowało poczuciem odrębności i wyobcowania z anglosaskiej przestrzeni kulturowej (decydował o tym już choćby sam wybór polszczyzny).

Czytając i komentując współczesną literaturę, trzeba pamiętać, że nie oferuje ona łatwych pocieszeń, nie nagradza nas wygodnym poczuciem spełnienia, nie koi obaw ani lęków, nie zapewnia, że świat jest przyjazny, bezpieczny i znany niczym własna kieszeń. Co oznacza, że jej trudnej lekcji nigdy i nigdzie, nawet w podręcznikach do historii literatury, nie powinniśmy zamieniać w zbiór zbanalizowanych i wyświechtanych stwierdzeń. *Przypisy do współczesności* Mariana Kisiela czytam jako swego rodzaju polonistyczną partyzantkę, usiłującą dać odpór tendencji do zastęgnięcia żywego doświadczenia (ludzkiego, twórczego i czytelniczego) w historycznoliteracką diagnozę. Ze przy tej okazji autor wspomina nurt chłopski w popaździernikowej prozie, że chętnie pisze o utworach dystansujących się od tradycji romantycznej oraz szlachecko-inteligenckiej (tak czyta m.in. okupacyjny debiut Różewicza), że być może to wszystko odnosi się jakoś do jego własnego poczucia wyobcowania (Marian Kisiel jako na wskroś autor nowoczesny!), że – jednym słowem – przy okazji rachuje się z samym sobą, tym lepiej dla książki, tym lepiej dla czytelnika.

KRZYSZTOF UNIŁOWSKI

Marian Kisiel: *Przypisy do współczesności*. Wyższa Szkoła Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych w Katowicach, Katowice 2006 [Seria: Literaturoznawstwo, t. 2].

Carmen Bizeta to okręt flagowy repertuarów teatrów muzycznych na całym świecie: najlepsze głosy, najwspanialsze wykonania, najwięksi reżyserzy (także filmowi) i scenografowie prześcigający się w tworzeniu artystycznego entourage'u dla dramatycznych wydarzeń spisanych w skromnej nowelce przez Prospera Mérimée'a w 1845 roku, a więc ponad 160 lat temu!

Jakaż więc ogromna odpowiedzialność stoi przed każdym, kto zabiera się za realizację tego dzieła! W samej Operze Śląskiej była to już szósta realizacja w ciągu minionych sześciu dekad. Również i dla tego teatru, każda premiera *Carmen* oznaczała wielkie przeżycie i... rozterki. Każda była wielkim wydarzeniem artystycznym, co przypomina przygotowana z okazji premiery wystawa. Tytułową partię powierzano m.in. tak wybitnym śpiewaczkom jak: gwiazda Opery Łwowskiej Franciszka Denis – Słonievska i debiutująca w tej roli Antonina Kawecka (realizacja z 1946 roku). 10 lat później, w kolejnej premierze, wystąpiły Krystyna Szczepańska – przez szereg lat najświetniejsza polska mezzosopranistka i Zofia Wojciechowska, następnie Mira Czamecka i Krystyna Szostek-Radkova. W spektaklach występowały gościnnie w partii tytułowej Stefania Toczyska i Aleksandra Imielska, później Bożena Zawisłak. Świetny debiut sceniczny miała w tej partii w 1988 roku Katarzyna Suska. Z sukcesem wystąpiła też Elżbieta Mazur. Wyjątkowy zestaw wykonawców można wymienić spośród kreatorów partii Don Josego, gdzie spotykamy tej miary tenorów co Franciszek Arno, Wacław Domieniecki, Bogdan Paprocki, następnie Sławomir Żerdzicki, Józef Kolesiński, Wiesław Ochman i Bolesław Pawlus. Jeśli do tego katalogu wybitnych śpiewaków dopisać nazwiska m.in. Andrzeja Hiolskiego, Czesława Kozdra, Jerzego Kuleszy, Jerzego Mechlińskiego, Barbary Sowickiej, Marii Kumińskiej czy Barbary Baldy, okaże się, że co premiera i czelowa partia to wielkie kreacje. Plejada nazwisk wykonawców, reżyserów i scenografów, aż po ostatnią realizację w inscenizacji Marii Foltyn i Jerzego Dudy Gracza, którego scenografia wzbudziła wówczas wiele kontrowersji. Jeśli do tego dodamy teraz osobiste, wyniesione z największych scen operowych świata artystyczne doświadczenia Wiesława Ochmana, który podjął się obecnej realizacji *Carmen* na deskach Opery Śląskiej, łatwo uświadomić sobie ogrom odpowiedzialności stojącej za podjętą decyzją.

Bytomskiej Operze niewątpliwie potrzebna była nowa wersja dzieła Bizeta. Ta z 1988 roku to spektakl z innej epoki, innego czasu – choć scenografia Jerzego Dudy Gracza pozostanie niewątpliwie jednym z największych osiągnięć Opery Śląskiej w tej dziedzinie, podobnie jak jego scenografia do *Don Giovanniego*.

Do współpracy przy najnowszej premierze Wiesław Ochman zaprosił Allana Rzepkę, artystę, z którym dla Opery Śląskiej przygotował *Borysa Godunowa*. Z pewnością był to efekt „nadawania” na tych samych artystycznych falach i podobnego myślenia scenicznego. Obsadę, zgodnie z wyznawaną zasadą, postanowił przygotować wyłącznie z solistów związanych z Operą Śląską – bo jak stwierdził podczas konferencji prasowej, zadaniem opery jest nie tylko obsadzanie uznanych gwiazd w partiach tytułowych, ale także, coraz bardziej lekcewa-



Bytomska premiera „Carmen” – w głównej roli Renata Dobosz, partię Don Jose śpiewa Maciej Komandera.

Foto: Tomasz Zakrzewski

## Wielkie wyzwanie

OPERA

żone dziś w teatrach operowych, kształcenie i kreowanie młodych artystów.

Do swojej *Carmen* przygotował aż potrójną obsadę: partię Carmen śpiewają: Renata Dobosz, Magdalena Spytek i Alicja Węgorzewska, w partii Don Josego obsadził: Macieja Komandere, Janusza Wenzę i Patrycego Hauke, natomiast w postaci Torreadora Escamilla wcielają się: Zbigniew Wunsch, Maciej Bartczak i Adam Szerszeń. Micaelę kreują aż cztery solistki: Barbara Stryjecka, Aleksandra Stokłosa, Jolanta Wyszowska i Sabina Oldrich-Szafir. W obsadach innych ról pojawiają się m.in. Bogdan Kurowski i Tadeusz Leśniczak (Zuniga), Piotr Kajderski i Włodzimierz Skalski (Morales) oraz Grażyna Marek i Barbara Balda (Mercedes).

Na najważniejszy premierowy wieczór, który miał miejsce 27 maja w Operze Śląskiej w Bytomiu, reżyser wybrał Renatę Dobosz, Macieja Komandere, Adama Szerszenia i Agnieszkę Stokłosę. Temu spektaklowi towarzyszyło wielkie oczekiwanie: w powietrzu dało się wyczuwać wstrzymywany przez publiczność oddech – jaka będzie Carmen, czy porwie swą *Habanerę*? Już pierwsze dźwięki uwertury, pod batutą Tadeusza Serafina, zapowiadały brawurowy spektakl. Świetnie przygotowana orkiestra precyzyjnie realizowała zadania, jakie postawił przed muzykami kierownik muzyczny spektaklu. Również chór, przygotowany przez Annę Tarnowską, od pierwszej sceny pokazał, że jest zespołem potrafiącym sprostać najtrudniejszym zadaniom. Znakomicie brzmiały, z wyrównanymi głosami, pokazał wielką klasę.

Jednak największe oczekiwania publiczności musiały zostać zrealizowane przez cztery główne postaci dramatu: Renatę Dobosz w partii Carmen, Macieja Komandera jako Don Josego, Adama Szerszenia kreującego Torreadora i Aleksandrę Stokłosę ja-

ko Micaelę. Wszyscy debiutowali w tych popisowych partiach. Zdecydowanie najpewniej w swojej roli czuł się Adam Szerszeń – dysponujący klarownie brzmiącym nośnym barytonem. Nienaganny aktorsko, stworzył postać wiarygodną, niezwykle atrakcyjną, ekspresyjną.

Podczas premierowego spektaklu dała o sobie znać spora niedyspozycja głosowa Macieja Komandery, znakomitego przecież tenora, podziwianego w innych spektaklach operowych na bytomskiej scenie. Tym razem nie udźwignął odpowiedzialnej i trudnej roli, nie tylko w sensie wokalnym (nierówne wykonania partii) ale i aktorskim, bowiem nie stworzył postaci pełnej temperamentu i tragizmu. Można mieć tylko nadzieję, że w kolejnych przedstawieniach Komandera odzyska dawną formę.

Również uczucie niedosytu po premierowym spektaklu pozostawiła Renata Dobosz. Dysponująca dobrym głosem młoda artystka, nie stworzyła kreacji na miarę swoich wielkich poprzedniczek. A i z pewnością nie było to zadanie łatwe. Zewnętrznie nie wyróżniała się z grupy robotnic z fabryki cygar – była dziewczyną przeciętną, bez wigoru i tego, jakie potrzebnego Carmen błysku w oku, którym zniewalała mężczyzn. I tu należy mieć nadzieję, że młodzi soliści z „obsady Wiesława Ochmana” rzućni na głęboką wodę (w tym gronie także Aleksandra Stokłosa w interesującej partii Micaeli), kiedy okrzepną w swoich rolach, okażą się artystami wysokiej klasy – pod każdym względem. Co premiera widać bowiem efekty pracy tego wybitnego artysty z młodymi solistami, który z wielkim zaangażowaniem i konsekwencją stawia na młodych, stojących u progu kariery solistów.

Z plejady młodych artystów, przygotowanych przez Mistrza Ochmana, na szczególną uwagę zasługują obsada *Carmen* z 10 czerwca br., złożona z niedawnych absolwentów katowickiej Akademii Muzycznej. Bardzo dobre wrażenie głosowe i sceniczne pozostawili po sobie Magdalena Spytek, Patrycy Hauke, Sabina Oldrich – Szafir i najbardziej doświadczony w tym gronie baryton Maciej Bartczak.

Bardzo trafnym rozwiązaniem scenograficznym, o symbolicznym wymowie, okazał się pomysł Allana Rzepki, w którym centralnym obiektem jest arena, będąca zarazem miejscem życia i śmierci. Nie zostały jednak aprotaty niektóre kostiumy, jak turkusowe – bardzo współcześnie skrojone fartuchy ochronne, w których występowały robotnice z fabryki cygar w Sewilli.

Z kolei sceny baletowe skomponowane przez autora choreografii Jarosława Świątę, dynamiczne i barwne, dobrze wpisały się w spektakl.

Może tak to jest, że im bardziej „ograne” przedstawienie, tym wymagania są znacznie większe. Trzeba jednak pamiętać, że Wiesław Ochman nie zapowiadał parady gwiazd, lecz dał kolejną już szansę młodym, świetnie zapowiadającym się solistom – bez Carmen, nie miałby możliwości zaistnienia w kolejnych, ważnych w ich karierach dziełach operowych.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Georges Bizet, *Carmen*, opera w 4 aktach w oryginalnej wersji językowej. Reżyseria i inscenizacja: Wiesław Ochman, kierownictwo muzyczne: Tadeusz Serafin, scenografia: Allan Rzepka. Premiera 27 maja 2006 r. w Operze Śląskiej w Bytomiu.

**P**roces według Franza Kafki to bodaj najambitniejsze wyzwanie podjęte w ostatnich sezonach przez zespół Teatru Nowego w Zabrzu. Adaptacji, inscenizacji oraz reżyserii archetypicznej powieści Kafki podjął się Krzysztof Prus. Miał do dyspozycji zespół aktorski, który mógł sprostać (i ostatecznie sprostał) temu zadaniu; potrzebował jedynie jasnych wskazówek, klucza interpretacyjnego, pozwalającego zbudować spójną, a przez to dramatyczną historię urzędnika bankowego Józefa K., wyrwanego ze swej monotonnej, lecz przecież zaspokajającej potrzeby egzystencji i wciągniętego w tryby śledztwa. No, właśnie – klucz. Nieszczęście czasami tkwi w nadmiarze. Prus znalazł aż trzy i nie mógł się zdecydować, który wybrać. W rezultacie do zamka wypchał po kolei wszystkich. A teatr to mechanizm precyzyjny i takie manipulacje czasami mogą go zepsuć.

**K**lucz pierwszy – czyli totalitaryzm. Takie odczytanie Kafki narzuca się samoistnie, stanowi swoistą oczywistość, ale także staje się tym mniej atrakcyjne, im dalej odchodzimy od totalitaryzmu jako doświadczenia naszej społeczności. Mimo to Prus na samym początku otwiera historię Józefa K. tym właśnie kluczem. Dwaj strażnicy informujący K. o jego aresztowaniu równie dobrze mogliby być ubekami, czyli – stosując język bardziej oficjalny – pracownikami PRL-owskiego aparatu opresji. Tak jak Józefa K. mogliby wyrwać ze snu Tonię Dziwisz (bohaterkę *Przesłuchania* Bugajskiego), aresztować w wigilijny wieczór studiującego na Politechnice Janka Rodowicza „Anodę”, czy po prostu kogokolwiek. Bo w tym systemie o winie decydowała słynna zasada czekistów: „Dajcie człowieka, a paragraf się znajdzie”. Pierwsze sceny zabrzańskiej *Procesu* wyraźnie kierują nasze skojarzenia w taką stronę, to jasny adres, skoro nawet jeden z aktorów grających strażników moduluje swój głos tak, by falsyfikować intonację przemawiającego Gomulki. Ale po kilku scenach już za zaprojektowanego spektaklu Prus nagle zdaje sobie sprawę, że nie chce robić teatru historycznego i politycznego zarazem. Wycofuje się więc, wyrzuca ten klucz, nie kontynuuje wątku.

**B**o przecież istnieje inny klucz – otwierający psychikę głównego bohatera, wewnętrzny. Być może cały proces toczy się w umyśle (duszy?) Józefa K.? Psychiatria zdiagnozowałaby stan taki jako schizofrenię. I Prusa zdaje się uwodzić taka perspektywa, bo właśnie znalazł drugi – złoty – klucz. Józef K. jest schizofrenikiem, toczący



W roli Józefa K. Zbigniew Stryj

## Schizofrenia czy życie?

TEATR

się proces to wytwór jego chorego umysłu. Bo jak inaczej można tłumaczyć fakt, iż osoba aresztowana nie zostaje zamknięta w celi, nadal może chodzić do pracy (banku), rozmawiać z kobietą zamieszkującą w innym pokoju. Jemu rzeczywistość miesza się ze stanem paranoicznym. Przy tej okazji Krzysztof Prus sięga do paradygmatu inscenizacji *Kartoteki* – kolejne postacie defilują przez pokój (celę) Józefa K. niby przed łóżkiem Bohatera. Więc i tutaj głównym miejscem akcji jest łóżko. To dobra realizacja, tyle że nużąca – *Kartotekę* znamy już niemal od pół wieku.

W końcu konstatuje tę oczywistość także Krzysztof Prus, nie chce podążać przetartymi już ścieżkami, wpadać w koleiny, więc z zanedrza wyciąga klucz trzeci – wielką metaforę. Procesem jest całe życie, a sędzią śledczym Bóg. Józef K. pod sąd został wydany już w chwili narodzin, ten proces toczy się non stop, będąc naturalną konsekwencją egzystencji – u bram doliny usłyszymy tylko wyrok. To – jak się wydaje – najciekawszy klucz interpretacyjny. Niestety, do zamka włożony został zbyt późno, z jego pomocą skonstruowana została jedynie pointa. Dlatego w jej obliczu widz czuje się trochę bezradny. Bo jak ma odczytać śmierć Józefa K.? Czy po prostu umarł człowiek? Czy w gwałtowny sposób zakończył swoje życie schizofrenik? Czy też zdobył się na ostatni akt heroizmu tragiczny bohater w szponach systemu totalitarnego? Zamiast otwarcia wielu możliwości interpretacyjnych nastąpiło raczej ich rozmycie. Niewiele wiem, bo tej wiedzy nie nabyłem w trakcie spektaklu.

**A**le co gorsza – tej wiedzy chyba nigdy nie posiadli aktorzy. Nie wiedzą, którą wersję mają zagrać, na której zbudować swe role. Zamiast

wieć budować role – po prostu deklamują tekst. Czynią to dobrze, w bardzo dobrze zaprojektowanej przestrzeni teatralnej (urzeka drugi plan, niemal oniryczny, usytuowany za półprzezroczystym czarnym muślinem), jednak ich praca jest trochę zmarnowana. Bo nie wiedząc, jaką mają stworzyć postać – nie tworzą żadnej. Albo raczej: tworzą papierowe postacie, papierowe głosy. Im bliżej pierwszego planu, tym prawda ta jest boleśniej widoczna. Oto Zbigniew Stryj – jedna z najciekawszych indywidualności aktorskich zabrzańskiej sceny. Porównajmy trzy jego pierwszoplanowe kreacje ze spektakli granych w tym sezonie: kapitana Albina Musioła w *Wampirze* i naczelnika Jerzego Niechcieja w *Naczelniku*. Obie role wyraziste, zindywidualizowane, z charakterem. Zwłaszcza Musioł z *Wampira* – od

pierwszej do ostatniej sceny konsekwentny, pokazujący jedną, scenicznie (i życiowo) wiarygodną osobowość. Jestem pewien, że Stryj w taki sam (lub przynajmniej podobny) sposób poradziłby sobie z Józefem K. – ma do tego i warsztat, i wyobraźnię. Jednak reżyser powinien go jasno „ustawić”, powiedzieć mu na początku: chłopie, aresztowali Cię ubecy i bez względu na budowane dalej dekoracje i aluzje grasz ofiarę przypadku (Tonია) lub bohatera samotnie walczącego już tylko o godność (Anoda, Pilecki). Albo: jesteś schizolem, ten cały proces toczy się w Twojej głowie. Albo: po prostu żyjesz, a śledzą Cię urzędnicy Pana Boga, by wiedzieć czy zaliczyć cię u mety do tych śpiewających psalmy, czy do tych zgrzytających zębami. To jasne zadanie aktorskie. Wówczas zabawę ze znaczeniami całości można budować obok aktora – wierząc w inteligencję publiczności. Ale jeżeli Stryjowi każe się być równocześnie ofiarą totalitaryzmu, schizofrenikiem i normalnym człowiekiem – to nawet najlepszy aktor nie stworzy żadnej roli. Stworzy trzy szkice, w każdym mogąc jedynie deklamować.

Reżyser albo nie potrafił się zdecydować na interpretację, albo chciał się popisać pokazując, że potrafi jedno dzieło odczytywać w rozmaity sposób. W rezultacie nieco zmarnował możliwości zespołu, z którym przyszło mu pracować. Doceniam ambicje, chylę czoło przed możliwościami. Jednak oceniam wynik końcowy.

MARCIN HAŁAŚ

Franz Kafka: *Proces*. Reżyseria Krzysztof Prus. Scenografia: Marek Mikulski. Premiera 25 marca 2006 roku w Teatrze Nowym w Zabrzu.





## Panorama powstańcza

# W hołdzie wszystkim walczącym

**W** rotundzie Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny 28 kwietnia otwarta została *Panorama powstań śląskich* – unikatowa, supernowoczesna wystawa, pokazująca dramaty zwykłych ludzi, Polaków i Niemców. Jej bohaterami są anonimowi uczestnicy powstańczych walk – mężczyźni, którzy oddali swe życie po obu stronach barykady, ich matki, żony i dzieci. Sąsiedzi, którzy żyli na Śląsku w odrębności kulturowej i historycznej, ale w spokoju i zgodzie. Dopiero wielka polityka zmusiła ich do wrogich wobec siebie działań, nie zawsze zgodnych z ich przekonaniami.

– Nie pokazujemy Polaków i Niemców, ale tragiczny los ludzi, którzy nagle musieli stanąć przeciwko sobie i strzelać do swych sąsiadów – mówi Marek Mikulski, który wspólnie z synem Maciejem stworzył scenograficzny projekt panoramy. – Bez względu na to, co jest przyczyną konfliktów i kto je wywołuje, zawsze najwięcej tracą i najdotkliwiej cierpią walczący. Chcieliśmy oddać im hołd.

Wizja Mikulskich jest uzupełnieniem treści, zawartych w dotychczasowej ekspozycji, która szczegółowo relacjonuje przebieg powstańczych walk, przypomina sylwetki dowódców, opowiada o ofiarach, pokazuje plebiscyt i będący jego konsekwencją podział Śląska na polski i niemiecki. To właśnie w rejonie Góry Świętej Anny toczyły się jedno z najbardziej zaciętych walk III powstania śląskiego, które wybuchło w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku.

**A**utorzy scenariusza nowej wystawy, Urszula Zajączkowska z Muzeum Śląska Opolskiego i prof. Michał Lis z Uniwersytetu Opolskiego, postarali się przede wszystkim o wier-

ność faktom, unikając jakichkolwiek ocen i interpretacji, które pozostawiają historykom.

– Panorama nie przedstawia walki, lecz odradzające się życie, którego nośnikiem jest śląska kobieta – tłumaczy Urszula Zajączkowska. – Ta kobieta, która najpierw wysyłała męża i syna do powstania, potem była w nim sanitariuszką, a która po zakończeniu walk i nastaniu pokoju znowu mogła przynosić życie.

Na panoramę składają się 4-metrowej wysokości fotogramy, przedstawiające sceny sprzed 85 lat. Ekspozycja ma kilka planów. Pierwszy to właśnie archiwalne zdjęcia, głównie powstańczych oddziałów, polskich i niemieckich. Tłem dla nich, na drugim planie ekspozycji, jest przetransformowane graficznie, biegnące po całym obwodzie rotundy, zdjęcie z lazaretu. Widać na nim rannych i personel szpitalny. Tutaj już granica między stroną polską a niemiecką została zatarta. Kolejny plan jest planem cieni. Całość zamykają fotografie śląskich kobiet, które zostały same, gdy ich mężczyźni poszli się bić. Tu również autorzy nie określili przynależności narodowej postaci.

Wieloplanowość ekspozycji wzmacnia zaaranżowana między fotografiami przestrzeń, w której umieszczono autentyczne przedmioty z powstańczych czasów – rowery, radiostacje, konne uprząże. Ekspozycja Mikulskich łączyła w 20-minutowym spektaklu typu światło i dźwięk. Dzięki temu, że fotogramy zostały wykonane z przejrzystego materiału, przy odpowiedniej grze światła, poszczególne plany ekspozycji uwyraźniają się bądź znikają. Dramaturgię spektaklu wzmacnia muzyka skomponowana specjalnie dla panoramy przez Bogdana Mizerskiego. W sześć utworów pod wspólnym tytu-

łem *Resurrexere*, będących ilustracją takich motywów, jak bitwa, śmierć czy osamotnienie, włączono fragmenty powstańczych wierszy.

**S**pektakl rozpoczyna dźwięk dzwonów kościelnych bijących na trwogę. Potem słychać odgłosy walk, jęki zranionych, krzyki rozpacz i przerażenia. W finale, gdy brzmią dzwony cmentarne i rozlega się miarowy odgłos bijącego serca, światło wydobywa twarze osieroconych kobiet i dzieci.

Autorzy ekspozycji pokazują też tło krajobrazowe, na którym rozegrały się dramatyczne wydarzenia. W tzw. łączniku w budynku Muzeum Czynu Powstańczego, można zobaczyć cyfrowe kolaże przedstawiające florę i faunę okolic Góry Świętej Anny, umieszczone w gablotach okazy mineralów, zdjęcia klasztoru i kościoła na Górze Chelmskiej, pałace w Żyrowie i Kamieniu Śląskim.

– To swoisty przestrzenny plakat. Chcieliśmy, żeby zwiedzający, zanim trafią w centrum akcji, mogli zobaczyć jak piękny był świat, zburzony przez wielką politykę – wyjaśnia Marek Mikulski.

W rotundzie i łączniku wykorzystano zdjęcia Marka Maruszaka, Jerzego Stemplewskiego i Marka Zarankiewicza.

W zamierzeniu twórców – zarówno autorów scenariusza, jak i projektu scenograficznego – wystawa jest afirmacją pokoju i pokojowego współistnienia. Grając na emocjach, pobudzając do refleksji, ma służyć pojednaniu Polaków i Niemców.

**P**odczas uroczystego otwarcia wystawy, Ewa Rurynkiewicz, wicemarszałek województwa opolskiego, podkreśliła: – Jesteśmy w miejscu szczególnym – kultu św. Anny, pobytu papieża, miejscu, gdzie kiedyś krwią ustalano granice. Dzisiaj na tej ziemi wszyscy – Ślązacy, Niemcy i Polacy – żyjemy w zgodzie, a każda decyzja podejmowana jest na zasadzie wypracowanych kompromisów. Powstania śląskie niech dokumentują naukowcy. My zaś musimy wierzyć, że nikt nigdy nie będzie w sposób siłowy narzucał nam faktów.

Zarówno panorama, jak i poprzedzający ją remont rotundy i łącznika sfinansowany został (kwotą 258 tys. złotych) z budżetu samorządu województwa opolskiego. Początkowo w rotundzie planowano panoramę malarską, wzorowaną na raclawickiej. Muzeum Śląska Opolskiego nie stać jednak było na sfinansowanie gigantycznego płótna.

Wystawę można oglądać od wtorku do niedzieli w godzinach 9-15. Chęć udziału w spektaklu należy zgłosić w wyprzedzeniu (tel. 077 461-54-66).

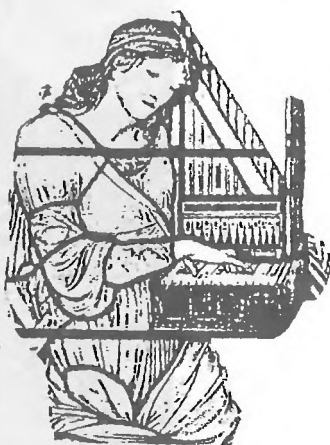
IWONA KŁOPOCKA

W latach 90. Katowice – dotychczasowy potentat życia koncertowego – zostały otoczone zwartym kołem imprez festiwalowych, utrzymywanych przez miasta powiatowe, a nawet mniejsze ośrodki. Mają swoje stałe serie Mikołów, Tychy, Bielsko-Biała, Cieszyn, Skoczów, Wisła, Wygiełzów wraz z okolicami – by po przestać na stronie południowej, dodatkowo atrakcyjnej ze względu na walory turystyczne. Niektóre z tych imprez imponująco się rozwijają, inne ledwie wegetują; jedne trzymają się ustalonej linii repertuarowej, inne dostosowują ją do potrzeb miejscowego rynku. Powodzenie festiwalowych przedsięwzięć powinno jak najszybciej stać się przedmiotem uwagi socjologów kultury. Na początek proponuję przyjrzeć się dorocznie organizowanemu na przełomie maja i czerwca Mikołowskim Dniom Muzyki.

Twórcy tego festiwalu od początku bazowali na największym potencjale miasta, jakim są zabytkowe kościoły z zachowanymi w nich dobrej klasy organami. Pomysł na powiązanie imprezy z kościołami pociągnął za sobą decyzję o skoncentrowaniu oferty programowej na muzyce organowej i kameralnej. Z czasem poszerzyła się ona o koncerty symfoniczne, oratoryjne oraz imprezy półroczkowe – haracz dla licznych na Śląsku wyznawców populizmu. Organizatorzy Mikołowskich Dni Muzyki, którymi są od lat szesnastu: burmistrz miasta Gerard Piszczek oraz organista Władysław Szymański, pedagog katowickiej Akademii Muzycznej, mogli od początku liczyć na własną publiczność, a także na odbiorców z Katowic, skąd dojazd do Mikołowa nie przedstawia żadnego problemu. Duża liczba potencjalnych odbiorców pozwoliła zbudować imprezę rozgrywającą się bardzo wolno: Mikołowskie Dni Muzyki trwają bez mała miesiąc; raz na dwa lub trzy dni odbywa się jeden koncert. Początkowo koncerty odwiedzało zmienne, w dużej mierze przypadkowe grono słuchaczy. Obecnie festiwal ma stałą, liczną i dobrą publiczność, taką, która nie klaszcze między częściami utworów, a nawet kupuje i czyta programy (ładnie i bogato wydane, ale nie zawierające komentarzy na temat utworów). Na koncertach kameralnych bywa zwykle 200 osób; koncert symfoniczny potrafi przyciągnąć i 500.

Regularna frekwencja to wielki sukces festiwalu. Drugim sukcesem jest to, że od szesnastu lat festiwal utrzymuje wysoki poziom oferty programowej, a co więcej – stale go podnosi. W miejscie uniwersalnych hitów muzyki organowej i kameralnej pojawiają się coraz częściej wysmakowane programy muzyki dawnej (rzadziej, niestety, współczesnej), ciekawie roz-

MIEDZY NUTAMI



wija się także strategia doboru utworów i wykonawców z ośrodków zagranicznych: zgodnie z najnowszym trendem światowym zapraszani są artyści spoza tak zwanej starej Europy – z ośrodków do niedawna traktowanych jako prowincjonalne (Środkowa Europa, Portugalia, południowe Włochy, Ameryka Łacińska).

Ten trend wycisnął wyraziste piętno na repertuarze tego-rocznych „Dni” mikołowskich, które trwały od 20 maja do 10 czerwca (większość koncertów odbyła się w kościele katolickim św. Wojciecha i kościele ewangelickim). Ale go nie zdominował – z egzotycznymi znaleziskami konkurował skutecznie Mozart – w związku z przypadającą w tym roku 250. rocznicą urodzin. Muzyką Mozarta był wypełniony koncert inauguracyjny w kościele św. Wojciecha. *Koncert fletowy G-dur KV 313* wykonał światowej klasy wirtuoz Philippe Bernold, motet *Exultate jubilate* ślicznie zaśpiewała Małgorzata Olejniczak, artystom towarzyszyła NOSPR pod batutą Łukasza Borowicza, który poprowadził na koniec *Symfonię „Haffnerowską”*. Pierwszy z koncertów kameralnych, który wykonali: organista Arkadiusz Bialic i trębacz Tomasz Ślusarczyk, miał program standardowy: Bach, Haendel i dwa mniej znane nazwiska. Główną jego atrakcją był fakt, że Tomasz Ślusarczyk grał na kopii trąbki barokowej (bezwentylowej). Sztukę tę, którą doceniła mikołowska publiczność, posiadał podczas studiów za granicą, m.in. u samego Philippe’a Herrevoghe.

Nurt wykonania muzyki dawnej kontynuowany był na drugim koncercie kameralnym, którego solistką była znakomita amerykańska klawesynistka Morwared Farbood, laureatka zeszłorocznego konkursu klawesynowego w Pradze. Jej wzorcowe wykonania sonat Scarlattiego i *Koncertu d-moll* Bacha uzupełniła prezentacja późno-

klasycznego kwartetu smyczkowego XIX-wiecznego kompozytora hiszpańskiego Juana de Arriagi. Utwór wykonał Kwartet Smyczkowy Prima Vista złożony z muzyków orkiestry Sinfonia Varsovia.

Unikatową kolekcję nieznanych utworów organowych romantycznych kompozytorów francuskich i hiszpańskich zawierał recital Vicente Rosa z Walencji. Rewelacją koncertu była prezentacja odnalezionych przez artystę w miejskim archiwum anonimowych XIX-wiecznych polonezów. Było to prawykonanie znalezisk, których powstanie było wynikiem nie zbada-nych jeszcze do końca kontaktów Walencji z Krakowem. Jeśli chodzi o inne muzyczne wykopaliska, jak zwykle nie zawiedli Czesi, od lat wyspecjalizowani w porządkowaniu i otaczaniu kultem własnej spuścizny. Recital organisty Jaroslava Tupy i skrzypka Bohuslava Matouska zawierał m.in. świeżo wyszperaną *Sonatę solemniss* Frantiska Musila.

Dużo dobrego dałoby się powiedzieć o występie Orkiestry Kameralnej im. Paderewskiego z Wrocławia pod dyрекcją Jurka Dybała, (soliści: Michel Lethiec, Satu Vänskä, Bartosz Sikorski) z programem późnobarokowym, jak również recitalu organowym Humberto Salvagnina z Genewy – artysty pochodzenia brazylijskiego, szczytującego się polskimi korzeniami. Jego program był również skomponowany w połowie z dzieł mało znanych; usłyszeliśmy m.in. *Preludium a-moll* Gustawa Roguskiego – polskiego kompozytora i pedagoga o pokolenie młodszego od Moniuszki. Jednym z kulminacyjnych punktów festiwalu był koncert wiedeńskiego zespołu wokalnego Unicorn, który zaprezentował stylowe, a przecież zaskakująco żywe wykonania utworów kompozytorów z kręgu Ars Nova i włoskiego trecenta. Publiczność miała rzadką okazję słyszeć na żywo muzykę, która znana jest właściwie tylko studentom muzykologii oraz wytrwałym słuchaczom radiowej Dwójki. Festiwal zakończył koncert nad koncertami – występ legendarnego zespołu Rheinische Kantorei pod dyрекcją Hermanna Maxa. W wykonaniu artystów zabrzmiały *Vespro della Beata Vergine* Monteverdiego (w wersji z basso continuo) – wspaniały okaz wczesnobarokowej muzyki koncertującej, z bogatą koloraturą wyrastającą ponad chorałowe melodie. Wykonanie, jakie zaprezentowali Kantorzy powinno stać się wyzwaniem dla naszych chórów. Dla mikołowskiej publiczności stanowiło wspaniałe ukoronowanie całego festiwalu (w którego omówieniu pominęłam z braku miejsca dwa koncerty plenerowe z muzyką operową i ludową) i zachęcającą zapowiedź przyszłego.

Niespokojny z niego duch, który zaczynał od nieufności względem języka, a teraz szuka poezji ukrywającej się na styku: słowo/obraz filmowy. Słowoobraz...

Nowe wiersze Grzegorza Olszańskiego tworzą zwartą, spójną opowieść o współczesnej duchowości ukazanej w pryzmacie kilkudziesięciu filmów. Już chciałem napisać: duchowości pokolenia, ale właśnie nie. Rzecz w tym, że udaje się tu uciec od tego rodzaju łatwizny w stronę szerszego horyzontu. Bytomski poeta nie miał raczej zamiaru oddać w tych swoich filmowych wierszach światodczucia charakterystycznego dla młodych ludzi, dla jednego tylko pokolenia. Wyszły mu wiersze uniwersalne, filozoficzne. Popkulturowe, a jednak głębokie. W popkulturowości dopatrujące się głębi i rzeczywiście ją tam znajdujące. Bo to jest kwestia wejrzenia, oglądu. Wyślizgił poetę na koncert rockowy, a wrócił z elegią. Olszański wychodził z kina porażony jakimś doświadczeniem transcendentalnym, całościowym. Przeżycie obrazu filmowego podobne było do fenomenologicznego wglądu. Otwierało się na chwilę wewnętrzne oko i w tym metafizycznym ułamku sekundy widział życie, śmierć, miłość, nicość. Te filmy są tylko pretekstem. Poetę można wysłać gdziekolwiek. Ale podobno mi się bardzo, że Olszański swego bohatera wysłał właśnie do kina, że areną zmagania o głębię ducha, o jakość przeżycia metafizycznego uczynił kino, tę, jak kiedyś mówiono, rozrywkę dla ubogich. Współczesny poeta nie musi stać na Judahu skale. Patrzy w białą płaszczyznę kinowego ekranu i odpływa, unosi się na powierzchni doznań gwarantujących wierszowi głębie.

Olszański dopracował się stylu, który najblahsze stwierdzenie przetrzuca natychmiast w sferę bardziej znaczącą. W tym jest ta jego łatwość metaforyzowania i coś, co kiedyś nazywałem „naturalizacją metaforyzowania”. W jego wierszach nie czuje się sztuczności tego zabiegu stylistycznego, nie myśli się o trudach koncipowania. A w nowych utworach doszła jeszcze laboratoryjna czystość frazy kojarzącej się z wypowiedzią aforystyczną. Większość z nich brzmi i wygląda jak rozpisany na liryczną sytuację aforyzm, gnoma, szorstka sentencja. Olszański myśli i mówi frazami, które niczym w matematycznym rachunku do czegoś zmierzają, układają się w równanie. Mało tym razem wierszy narracyjnych, anegdotycznych. Tu naprawdę nie opowiada się treści przeżytych filmów. Raczej szuka się ekwiwalentów. Szuka krótkiej, błyskotliwej, wieloznacznej konstrukcji słownej, która byłaby odpowiednikiem doświadczenia filmowego, kumulując w sobie obrazowość i emocjonalność,



## Poeta nie musi stać na Judahu skale

wygaszane na koniec intelektualną ripsostą o aforystycznym wydzwisku.

Poszczególne wiersze przyciągają uwagę przejrzystością i logiką, ale również cały tomik jawi się jako niesłuchanie precyzyjnie złożony album poetycko-filmowy. Jeden obraz wynika z drugiego i zapowiada następny. Olszański to poeta o szerokim oddechu, myśli całością, cyklem, zbiorem, a nie pojedynczym wierszem, który trzeba będzie jakoś upchać w tomiku. Wrażenie ładu i przejrzystości, logiki współgrających znaczeń pogłębia się, gdy uświadamiamy sobie konstrukcję tomiku opartą o triadę „śmierć-miłość-słowo”. Pierwsza część, której patronuje słynne zdanie Camusa o samobójstwie jako jedynym poważnym problemie filozoficznym, nosi tytuł „Poema Paradiso” i wskazuje na film Tornatore „Cinema Paradiso”. Smutek wierszy z tej części jest tym większy, im częściej powtarza się w nich, że sensu i Boga nie ma. Wówczas rzeczywiście pozostaje czysta rozpacz. Olszański nie potrzebował zbyt wielu słów, żeby ją wydestylować. Powstały przerażające wiersze. Niech nikogo nie mylą pozory lekkości, finezja sformułowań. Opowiada się o nicości, która nas trawi i otacza. Samobójstwo jest czymś więcej niż konsekwencją, jest koniecznością. Chyba że ktoś wcześniej się zakocha. To taki powszechnie dostępny środek uśmierzający ból

istnienia. O nim też się tu mówi bez złudzeń, aczkolwiek doceniając terapeutyczną wartość. Wiersze na temat miłości można znaleźć w części drugiej zatytułowanej „8x2”. Nawiązuje się do tytułu filmu Ozona „5x2”, historii związku dwójki osób ukazanej w pięciu odrębnych narracjach. Zapisy z tej części są bardzo przekonujące. Tylko miłość, tylko ona jedyna jest lekarstwem na szaleństwo i robi ze śmiercią, chociaż na chwilę, co chce.

Trzecią część nazywałbym autoteatyczną. W pierwszej chwili docierają do nas sygnały dotyczące szukania związków między obrazem poetyckim a obrazem filmowym i możliwości wzajemnego przekładania tych obrazów. Kończący zbiór wiersz „Lost in Translation” mówi o tym, że coś w tym tłumaczeniu można zagubić, że zawsze pojawia się cień nieprzekładalności. Tutaj Olszański zastanawia się nad fenomenem słowa. Słowo w filmie, słowo w wierszu. W utworze „Mondo Cane” ta refleksja pogłębia się: pewnego rodzaju obrazom słowa są niepotrzebne, a język jest przezeń uśmiercany. We wcześniejszym wierszu pojawia się ciekawa myśl-metafora o języku jako naszym domu bez okien, bez drzwi. W takim razie – można by zapytać po poważnym przemyśleniu wszystkich wierszy z tej części – czym jest to, co widzimy w ułamku sekundy za oknem? Czy to mignięcie wymyka się językowi? Czy to rzeczywistość wymyka się językowi? Więcej takich pytań pojawia się w tej najciekawszej części tomu. Okrucieństwo transcendentnej pustki z pierwszej części i terapia miłości, scalania się dwojga w Jedno przedstawione w drugiej, trafiają na koniec na kwestie granic języka i granic świata. Toczy się dysputa o wyrażalności. Odniosłem wrażenie, że Olszański czarno widzi jej podobno nieograniczone możliwości. Wyrażalność w jego ujęciu jest jakaś porażona, krucha, temporalna, naznaczona stemplem z datą określonej ważności. Nie ma w niej niegłębokości transcendentalnego. Jest jednorazowa, tymczasowa, taktyczna. O wieczności to sobie może tylko pomarzyć. I my, poeci, możemy sobie pomarzyć razem z nią. Stojąc pod ścianą, waląc głową w mur, wikłając się w paradoksy i sprzeczności. To już lepiej ma reżyser. Ogarnia więcej i mówi wszystkimi zmysłami, obrazem wchłanianym organicznie, często porozumiewa się bez słów, które są złudne i fałszywe. Grzegorz Olszański tą książką chciał powiedzieć, że „spośród dwóch rodzajów samobójców zawsze wolał tych, którzy robili filmy, od tych, którzy wydawali książki”. Stało się jednak tak, że powiedział o wiele więcej.

KAROL MALISZEWSKI

**P**rzyjemność, z jaką czyta się *Cały czas* Janusza Andermana, najmniej zależy od opowiedzianej historii. Zasadniczą rolę w powieści odgrywa następstwo zdarzeń i ich zależność od ruchu wskazówek zegarka. Im mniej czasu zajmuje rozegranie wielu fabularnych partii, tym pewniejszy sukces książki. Paradoxs? Pójście na łatwiznę? W żadnym razie, albowiem istnieje co najmniej jeden sposób, by uczynić zadość standardom literackim i posłużyć się w opowieści skrótem. Jest nim (sposobem) umieszczenie akcji w obrębie jednego dnia, w którego czasie bohater przypomina sobie całe życie.

U Andermana to jakość totalna, odniesiona do całkowitego przeżycia przeszłości w jednej chwili. Od wielu innych retrospektyw (w tym słynnej serii wspomnień umierającej Róży z *Cudzoziemki* Kuncewiczowej) różni ją fakt, że moment, w jakim bohater *Calego czasu* wraca do dawnego życia, staje się częścią całości. Stąd tytuł prozy i pomysł, by nawet banał (skądinąd pierwsze słowo oceniające biografię bohatera) uczynić jakoś ważnym. Niech znaczy, tłumaczy autor, razem z innymi zdarzeniami nie do unieważnienia. Powieść Andermana korzysta także ze schematów sensacyjnych. Totalne i krótkotrwałe przeżycie robiące na czytelniku wrażenie rozciągniętego w czasie ma swe udziały i w filmie (np. w porywających *Trzech dniach Kondora* Kubricka), z tą wszakże różnicą, że nie powroty do przeszłości, lecz galopada współczesnych wydarzeń ulegają tu kondensacji. Anderman zapewnił swojej najnowszej powieści powodzenie „podstępna” organizacją czasu (wiele w jednym), zadbał o proporcje między wartością i dostępnością, ale co dalej? Co stoi za techniczną sprawnością tej książki? Uwodzicielstwo i nic innego. Uwodzicielstwo bohatera, tekstu i sekretów osiągnięcia sukcesu. Także układów politycznych. Na pewno władzy.

*Cały czas* to współczesna wersja *Pamiętników Casanovy*. Załącznik do telewizyjnego *Tulipana*. Mowa o uwodzicielstwie pozornym, obliczonym na władzę i sławę. O miłosnych wyczynach, którym nie po drodze z romantyczną miłością, narcystycznych, niedojrzałych, popędowych. Zgrabnie zbudowana erotyczna metafora daje w powieści Andermana efekt politycznej groteski, uwiedzenie ciała jest uwiedzeniem przez system, nieatrakcyjność i starzenie się ciała powodują wykluczenie z układów. Ale nawet one sprawiają, że dzięki ingrediencjom (polityka, seks, literatura i pieniądze) *Cały czas* okazuje się co najmniej atrak-



## Bestia i huba

cyjną książką. Pokazuje ona nierozłączność naszych popędów, choć zaprzecza również słynnemu stwierdzeniu Freuda, jakoby seks i pieniądze były najwstydliwszymi tematami rozmów. Ale przecież trzeba powieść Andermana czytać także inaczej. Jako parabola życia intelektualisty w komunistycznym układzie sił może być postawiona obok – by wymienić nowsze pozycje – *Dysharmonii caelestis* Netza, *Wszystkich języków świata* Mentzla i *Madame Libery*. W ten sposób *Cały czas* staje się dramatyczną opowieścią o abulii władz umysłowych i człowieku, który by być kimś, musi podszywać się pod innych. Jak ważna jest weryfikacja tych przekonań przez kapitalizm i na ile warta wiara, że okaże się ona (weryfikacja) daleko różna od myślenia komunistów, o tym także przekonująco mówi powieść Andermana.

Jej bohater to nie tylko Casanova, to także łotrzyk, a nawet prawdziwy łotr. Jego zachowania motywuje nie najlepszy rodzinny układ z historyczną matką i wiecznie nieobecny ojcem ubekiem. Wyniesiona z domu niefrasobliwość przydaje się na studiach (polonistycznych). Dzięki uwiedzeniu germanistki i wzmowień jej choroby wenerycznej bohater „zdaje” imponująco egzamin. I raz tylko porywa się na „twórczość własną”, gdy publikuje w prasie literac-

kiej wiersze. Ale już zamknięty w szpitalu dla psychicznie chorych (by uniknąć wojska), korzysta z rękopisów innego pacjenta-samobójcy i po wyjściu z ośrodka publikuje je jako własną powieść w drugim obiegu. Ta *Apelacja* czy, jak kto woli, *Obłąd*, faktycznie zatytułowana *Co z tego* przynosi „autorowi” sukces i spore pieniądze od wydawców zagranicznych. Kolejne podboje „pisarza” dotyczą kobiet stojących blisko władzy. Obowiązują tu jednak zawsze zasady: nie wiązać się i nie dać zawłaszczyć. Syndrom męskiej koszuli, którą zakłada naga kobieta na siebie, oznacza w powieści lęk przed bliskością i otwarciem na drugiego. Towarzyszy im narcyzm, bezwzględność, cynizm i podłość. Wspomniany kapitalizm weryfikuje wartość „pisarza”, który traci pozycję i przestaje się liczyć w układach.

I właśnie to ostatnie spostrzeżenie jest dość niepokojące. Bo oto okazuje się, że komunizm błogosławił szujom, a kapitalizm je bezwzględnie zwalcza. W PRL „pisarz” mógł być nieprawdy, po 1989 roku powinien być czysty jak lza. Przyczyna, dla której bohater nie może zmieścić się w dzisiejszym świecie, jest daleko bardziej skomplikowana, i więcej wspólnego ma z prawdziwą chytrą niż z rzekomą prawością. Obecne czasy, przekonuje Anderman, wymagają od nas umiejętności mijającego w slalomie słupki narciarza. Omijać musimy nie tylko przeszkody, ale również prawo.

Kapitałna wręcz konstrukcja bohatera, który nic oprócz zabiegania o sławę nie ma do zaoferowania, każe pytać o granice podłości. Opiera się ona, czytamy, na skrytym pasożytnictwie: „(...) przecież ja nic nie umiem, zawsze byłem tylko hubą, jemiółą”. Granice cwaniactwa wyznacza system. Im kto bardziej ślamazarny, tym chętniej będzie przez system wyautowany.

Janusz Anderman napisał powieść wymarzoną do szybkiej lektury, ale postawił przy tym kilka ważnych pytań. O granice podłości i kariery, egoizm w miłości, wpływ nieludzkiego systemu na kształtowanie się niehumanistycznych postaw. „(...) to nie moja wina – tłumaczy się bohater – że on [świat] jest w ten sposób urządzony. Gdyby był urządzony inaczej, działałbym inaczej. Musiałem się dostosować do reguł”. Na pewno? W powieści Andermana bestia jest dzieckiem świata, w jakim się urodziła, ale też całą tę powieść czyta się z perspektywy bestii. W perspektywie człowieka o jego moralności decyduje także on sam, jego sumienie i osobowość.

MARTA CUBER



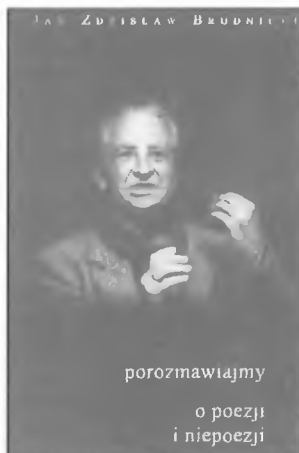
Trudno wyobrazić sobie „Po-  
ezję” bez osoby Jana Zdzisła-  
wa Brudnickiego, redaktora, któ-  
ry przez kilkadziesiąt lat był  
związany z miesięcznikiem za-  
równo w wymiarze duchowym,  
emocjonalnym, jak i konkretnej,  
cierpliwej i pełnej poświęcenia  
redakcyjnej pracy. Tutaj pisał  
ważne artykuły przekrojowe,  
m.in. szkic pt. „Niepokoje cywil-  
izacyjne w poezji polskiej”  
(1/1988), przeprowadzał rozmo-  
wy z twórcami, np. z Jerzym Ha-  
rasymowiczem (1/1987), pisał  
relacje z odbywających się im-  
prez literackich, jak na przykład  
z Wieczorów Poetyckich w ma-  
cedońskiej Strudze, gdzie został  
nagrodzony „Złotym Wieńcem”  
Tadeusz Różewicz (10/1987),  
były to ważne związki literatury  
polskiej z tym regionem kultury  
europejskiej. Ponadto opracował  
ponad kilkadziesiąt numerów te-  
matycznych, poświęconych jed-  
nemu autorowi lub zagadnieniu –  
są to kompendia, których mery-  
toryczna wartość wraz z czasem  
rośnie. Warto nadmienić, że opu-  
blikiował także książki monogra-  
ficzne o Mironie Białoszewskim,  
Tadeuszu Nowaku, Kazimierzu  
Ratoniu, Jerzym Zawieyskim.

Jednocześnie założył i prowa-  
dził stowarzyszenie o nazwie  
Korespondencyjny Klub Mło-  
dych, wokół którego tworzyły  
się i działały grupy poetyckie, tu-  
tąj wychodziły tomiki poezji  
oraz almanachy prozy, promują-  
ce to, co indywidualne oraz au-  
tentyczne – Brudnicki wyznaje:  
„... poezja to świadectwo obec-  
ności, akt pojednania, czujności,  
najbliższy związek z egzysten-  
cjalną chwilą. Poeci jednak róż-  
nią się w poglądach na temat na-  
rodzin wiersza, jego życia w wy-  
obraźni i w świadomości żywych  
ludzi, ponieważ odbiór jest za-  
wsze sprawą osobistą czytelnika.  
Nigdy zresztą nie zakończona”.

Te wieloletnie doświadczenia  
animujące środowisko literackie,  
przydały się w jego pracy dorad-  
cy artystycznej młodzieży lите-  
rackiej (od 1995 roku) w Cen-  
trum Promocji Kultury warszaw-  
skiej Pragi Południe. Brudnicki  
tak określa wartości twórcze, ja-  
kie preferuje: „Zawsze lansowa-  
łem styl indywidualny, wyrazi-  
sty, silnie powiązany z regiona-  
mi, kulturami lokalnymi. Popie-  
rałem ekspresję bogatą, sięgającą  
po środki dramatyczne, grotes-  
kowe, komediowe. Przedkłada-  
łem zmysłowość, nie stroniąc  
od eksperymentów, nowinek,  
gwary środowiskowej, obrazów  
nadrealnych, onirycznych”.

W dowód wdzięczności, za  
współpracę i pomoc, środowisko  
twórców i animatorów kultury  
Praga Południe, wydało zbiór  
szkiców i artykułów Jana Zdzisła-  
wa Brudnickiego pt. „Poroz-  
mawiamy o poezji i niepoezji”.

Jest to wybór szkiców o litera-  
turze polskiej, swoista antologia do-  
konań krytycznych autora, przed-  
stawiająca jego literackie fascyna-  
cje i peregrynacje artystyczne. Ba-  
dacz ze swadą pisze m.in. o Nor-



## Autorytet

widzie, Żeromskim, Leśmianie,  
Witkacym, Białoszewskim, No-  
waku, Różewiczu. Styl i metoda  
badawcza Brudnickiego sytuują  
się w szeroko pojętej hermeneu-  
tyce; jako humanista rozumiejący,  
dąży on do wnikięcia w indy-  
widualne i niepowtarzalne racje ta-  
kiego, a nie innego eksponowania  
świata, w jego wymiarze histo-  
rycznym oraz uniwersalnym, nad  
którym dominuje proces osobiste-  
go zbliżenia się do poszczególn-  
ego dzieła oraz jego autora i przy-  
swojenia sobie danej treści. Dlatego  
w swoich dociekaniaach badacz  
jest dyskretny i ostrożny, unika  
stereotypów czy atrakcyjnych,  
choć powierzchownych odkryć.  
Z pełną rezerwą, a zatem z odpo-  
wiedzialnością, wyraża własne  
opinie, dając pierwszeństwo fak-  
tom, wydarzeniom i zjawiskom –  
w nich widzi zasadniczą moc per-  
sważji, broniącej ten czy inny  
punkt widzenia. Jeśli już decyduje  
się na komentarz, jest to komen-  
tarz głęboko przemyślany i oczek-  
kujący od czytelnika aktywności,  
a nawet współpracy we wspólnym  
dążeniu do celu, czyli do rozpo-  
znania, przyswojenia i uakwalnie-  
nia tekstu czy opisywanych zda-  
rzeń. Stąd jest wiarygodny.

Taka jest na przykład zwieżła,  
lecz wstrząsająca relacja – repor-  
taż z ostatnich dni oraz chwil ży-  
cia Witkacego czy próba obrony  
artystycznej i publicystycznej  
działalności Żeromskiego, z któ-  
rego tak bezlitośnie nasmiewał  
się Gombrowicz, czy przejmują-  
ca interpretacja „Dziwczynny”  
Leśmiana albo „Karuzeli z ma-  
donnami” Białoszewskiego.

Teksty zawarte w całym zbio-  
rze przeczytałem jednym tchem,  
nie tylko dlatego, że potrafiły  
przenieść mnie one w obszar po-  
staci i zjawisk literacko mi bli-  
skich, ale także ze względu na  
możliwość obcowania z dobrą,  
uczuciową, nie negującą tradycji,  
praktyką krytyczną, godną rewe-  
rencji, której tak bardzo nam  
brak w zacierzaniu dzisiejs-  
szych marketingowo-medial-  
nych ciurów od literatury.

BOGDAN NOWICKI

Powieść jest w decydują-  
cym stopniu oparta na  
osobistych doświadczeniach  
życiowych pisarza. Czytelnik  
poznaje młodego Żyda, zmu-  
szonego w trudnych realiach  
Palestyny w drugiej połowie  
lat trzydziestych znaleźć  
miejsce na ziemi mitycznych  
przodków. Poszukuje on od  
nowa tożsamości i buduje  
swoją przyszłość w warun-  
kach stałego zagrożenia ży-  
cia, walki z Arabami i zbliża-  
jącej się II wojny światowej.  
Z tego też punktu widzenia,  
książka jest interesującą lek-  
turą. W zbeletryzowanej for-  
mie ukazuje rolę Żydów pol-  
skich w kształtowaniu zręb-  
ów niepodległego państwa  
żydowskiego, na tle pozosta-  
łych emigrantów z innych  
społeczności europejskich  
i amerykańskich. Ilustruje  
przemiany w postawach  
i osobowości napływających  
do Palestyny osadników,  
a równocześnie uzmysławia  
nam łączące nas historycznie  
więzy.

Kornblum poprzez opis lo-  
sów Żydów polskich na tere-  
nie Erec Izrael, uświadamia  
nam, że ich dzieje w jakimś  
stopniu przynależą do historii  
Polski i to niezależnie od za-  
barwienia politycznego uka-  
zanych w niej bohaterów.  
Tym samym w wypadku  
„Miłości i szarańczy” mamy  
do czynienia z pomostem,  
zbudowanym przez autora  
ponad latami wojny i komu-  
nistycznej dominacji. Z tego  
też powodu książka jest próbą  
wprowadzenia do naszej  
świadomości nie zawsze na  
gruncie polskim w pełni  
utrwalonych kart z XX-  
wiecznej historii Izraela i Ży-  
dów polskich. W tym do-  
strzegam m. in. podstawową  
wartość tej powieści.

Podkreślmy, że „Miłość  
i szarańczę” spaja nie tylko  
życzliwa ludziom postawa pi-  
sarza, ale i głęboko ludzka  
pacyfistyczna wymowa. Te  
cechy wyróżniają piarstwo  
Kornbluma. Dodajmy ponad-  
to, że autor od początku  
w sposób bezkompromisowy  
poszukuje prawdy o obu bli-  
skich mu narodach. W wy-  
miarze historycznym i ludz-  
kim rozbija obowiązujące  
stereotypy i proponuje własną  
interpretację oddziałujących  
na nas sił. Z tego punktu wi-  
dzenia od razu na wstępie  
zwraca uwagę tytuł powieści  
i jego binarny charakter. Zda-  
niem autora uczucie miłości  
w życiu człowieka niezmienn-

JÓZEF KORNBŁUM  
MIŁOŚĆ I SZARAŃCZA  
NA TLE ŻYDÓW ORIENTALNYCH



Józef Kornblum: *Miłość i szarańcza. Na tle ziemi obiecanej.*  
Wydawca Józef Kornblum.  
Druk: Ośrodek Wydawniczy  
„Augustyna” Sp. z o.o. Bielsko-  
Biala 2006, ss. 248.

## Freski palestyńskie

nie od tysięcy towarzyszą  
niezrozumiałe i nie poparte  
żadnymi racjonalnymi prze-  
słankami akty zbrodniczego  
zbiorowego obłąd i szaleń-  
stwa. Wyzwolone siły niszc-  
zą i dewastują wszelkie  
przejawy życia i w swej de-  
strukcji nie oszczędzają na-  
wet samych jej sprawców.  
W tym kontekście optymiz-  
m, pozytywne zakoń-  
czenie powieści, wypływa  
z siły młodości i stałe odr-  
dzającego się cyklicznie ży-  
cia. Książka dzięki temu zda-  
je się być bliższa życiu, a jej  
wymowa ideowa nie została  
podporządkowana z góry  
przyjętej tezie o fatalizmie  
ludzkiego losu.

Autor zachowując z kulturą  
polską stałą styczność, rów-  
nież i w najnowszej swojej  
książce nie zapomni o swo-  
ich korzeniach. Wszak uro-  
dził się w 1917 r. w Pruchnej  
na Śląsku Cieszyńskim.  
W Polsce ukończył Państwo-  
we Gimnazjum Polskie  
w Bielsku i w 1935 r. wyje-  
chał do Jerozolimy. Jest Ho-  
norowym Obywatel Mias-  
ta Cieszyzna. Dotychczas  
ukazały się cztery książki:  
„Ziemia przyobiecana”  
w 1993 r., „Od Wisły po Jor-  
dan” w 1996 r., „Obrazki  
izraelskie” w 2002 r. i „Opo-  
wieści o zwykłych ludziach  
jak ty i ja” w 2004 r.

ANDRZEJ LINERT

Jerzy Jarzębski w swojej najnowszej książce *Prowincja Centrum. Przypisy do Schulza* podjął się zebrania w jeden tom artykułów napisanych na temat prozy autora *Sanatorium pod Klepsydrą* w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Poświęcona jest ona, żywo dyskutowanej we współczesnych badaniach literackich, kategorii przestrzeni, zwłaszcza przestrzeni mitycznej, jakże charakterystycznej dla twórczości Schulza. Autor nie ogranicza się na szczęście tylko do tego jednego zagadnienia, swoją uwagę kieruje również w stronę najnowszych losów spuścizny artysty w jego rodzinnym mieście, włączając się w dyskusję nad skandalem, jakim było wywiezienie fragmentów odnalezionych przypadkowo ściennych malowideł artysty do Izraela. Wiele miejsca poświęca wreszcie Jarzębski postaci, której współczesne badania nad Schulzem zawdzięczają najwięcej – Jerzemu Ficowskiemu.

Artykuły zawarte w książce pisane były sukcesywnie, choć nie z myślą o zebraniu ich w jeden tom, dzięki czemu każdy z tekstów, stanowiąc odrębną całość, jest jednocześnie komentarzem do innego. Dlatego właśnie praca Jarzębskiego porusza – mniej lub bardziej – najważniejsze zagadnienia związane z twórczością Schulza, od *Sklepów cynamonowych* poczynsz, przez rozważania nad możliwością przeniesienia jego prozy na deski teatru i krytyczne omówienia realizacji teatralnych, po kwestie związane z dorobkiem artystycznym pisarza. Jako historyk literatury dokonuje on wszechstronnej analizy twórczości autora *Sanatorium pod klepsydrą*, choć daleko mu do wyczerpania tematu, sam zresztą podkreśla, iż nigdy nie miał takich ambicji.

Lektura *Prowincji Centrum* może budzić mieszane uczucia w kimś, kto nie zetknął się do tej pory z wizją Jerzego Jarzębskiego, pokazuje on bowiem, jak bardzo stereotypowy jest sposób postrzegania twórczości Schulza. Lata badań, to lata powielania stereotypów, wskutek czego został on zaszklakowany jako prowincjonalny pisarz, który całe swoje życie związał z kresowym miasteczkiem.

Tytułowy artykuł to próba głębszej analizy zjawiska „prowincjonalności” Schulza. Owszem, życie i twórczość pisarza korzeniami sięgają rzeczywistości galicyjskiej prowincji, gdzie przeplatają się kultury polska i żydowska, autor uważa jednak, że współczesne spojrzenie powinno wyjść poza ramy historycznoliterackiego banału, bo ani Schulz nie był prowincjuszem, ani Drohobycz prowincjonalną dziurą, a pojęcie „prowincjonalności” jest pojęciem tak złożonym, jak złożone i odbiega-



Jerzy Jarzębski: *Prowincja Centrum. Przypisy do Schulza*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

## Powroty do Schulza

jące od potocznie rozumianego jest pojęcie „centrum” świata jego prozy. Niesłychanie precyzyjny sposób, w jaki badacz przedstawia aspekt nieprzejrzystości Schulzowskiego języka powoduje, że książkę dobrze się czyta, a czytelnik nie ma wrażenia, jakby nagle znalazł się wewnątrz omawianego świata rodem ze snu, gdzie zacierają się granice między prawdą a fikcją. Z książki wylania się obraz pisarza, który potrafi przenikliwie wpatrywać się w proste zdarzenia i dostrzec w nich znamiona uniwersalnej historii człowieka. W tym właśnie tkwi niepowtarzalność i niezwykła siła przyciągania Schulza.

Interesujący z historycznego punktu widzenia jest artykuł: *Schulz w Drohobyczu – wiek XXI*, traktujący o losach spuścizny pisarza w jego rodzinnym mieście. Uroczystości rocznicowe zorganizowane w 1992 roku, w setną rocznicę urodzin i pięćdziesiątą rocznicę śmierci artysty nie wzbudziły żadnego zainteresowania wśród miejscowej ludności. Próby przeniesienia znalezionych w willi Landaua malowideł do dawnego domu Schulzów i stworzenia w tym miejscu muzeum spotkały się z oporem lokalnych władz. W wyniku braku jakiejkolwiek decyzji malowidła zostały zdjęte ze ścian przez przedstawicieli jerozolimskiego Instytutu Yad Vashem i przewiezione do muzeum w Jerozo-

limie. W książce przytacza Jarzębski własne, drukowane w „Rzeczpospolitej” i „Gazecie Wyborczej” artykuły, dotyczące tejże sprawy. Autor ubolewa nad tym, co się stało i stara się wytłumaczyć Polakom, Ukraińcom i Żydom, dlaczego spuściznę Schulza powinni traktować nie jak pamiątkę po kolejnej ofierze Holocaustu, lecz szansę pełnego zrozumienia swoich dziejów. Zabiera także głos w sprawie wmurowanej na domu artysty pamiątkowej tablicy z napisem: „W tym domu w latach 1910-1941 mieszkał i tworzył wybitny żydowski malarz i pisarz, mistrz słowa polskiego Bruno Schulz 1892-1942”, którego był pomysłodawcą. Jarzębski przedstawia własny punkt widzenia, co wiąże się z podjęciem polemiki. Przeprowadza ją badacz w sposób kulturalny i kompetentny, jego argumentem nie brakuje racjonalności, a wyjaśnieniom tej dawki emocji, która świadczy o fascynacji i podziwie wobec drohobyckiego artysty.

I jeszcze artykuł, który pojawił się zaiste w najlepszym momencie, dlatego zasługuje na szczególną uwagę. Krytyk milujący: *Jerzy Ficowski jako badacz twórczości Schulza*, poświęcony jest zmarłemu 9 maja bieżącego roku badaczowi i pasjonatowi jego twórczości, któremu historia literatury zawdzięcza odnalezienie i zebranie rozproszonych dokumentów, tekstów, rysunków i pamiątek po artyście. Dzięki jego działaniom rekonstrukcyjnym Schulz został odkryty na nowo i choć Ficowski nie był badaczem zawodowym, to udowodnił, że bez rekonstrukcji biografii Schulza, nie zrozumiemy, a co ważniejsze – nie przeżyjemy do głębi jego dzieła. Książka jest hołdem oddanym Schulzowi, a wymieniony artykuł „krytykowi milującemu”, dzięki któremu artysta jest ciągle żywo obecny we współczesnej literaturze i kulturze. Autor książki wyraża się o Ficowskim z ogromnym szacunkiem, jako wybitny badacz Schulza, publicznie docenia pracę zmarłego krytyka i podkreśla, jak doniosłe znaczenie ma ona dla współczesnych badań literaturoznawczych.

Trzeba mieć nadzieję, że książka Jerzego Jarzębskiego to nie ostatnie jego słowo o Schulzu. Pasja badacza to cecha, jaką powinni dysponować wszyscy, mający ambicje zajmowania się literaturą. Jarzębski jest w tym względzie wyposażony niezwykle hojnie, co widoczne jest w od pierwszych stron *Prowincji Centrum* (i nie tylko rzecz jasna!). Genialne analizy, które czyta się z zainteresowaniem, polemiczne dyskusje i bardzo osobiste rozważania sprawiają, że pozostaje życzyć sobie tylko takich opracowań i tylko takich badaczy literatury.

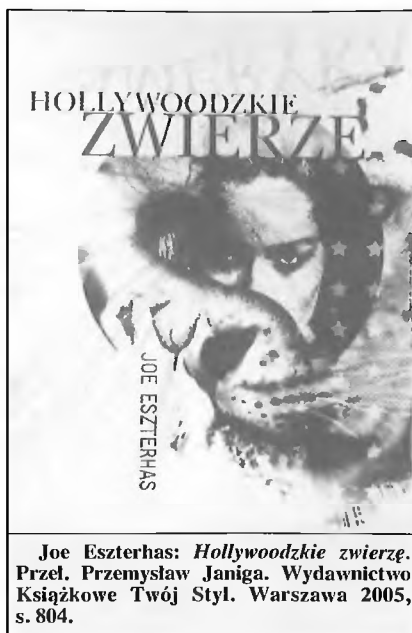
AGNIESZKA BOTOR-FICK

**H**ollywoodzkie zwierzę jest biografią człowieka, który w swoim dorobku ma scenariusze zarówno do filmów uznanych za hity (*Nagi instynkt*, *Flashdance*, *Nóż*), jak i gnioty (*Showgirls*, *Jade*), a także do tych nigdy niezekranizowanych (np. *Zbrodnia doskonała*, *City Hall*). Ta, licząca osiemset stron książka, stanowi jakby scenariusz jego życia. Każdy rozdział rozpoczyna bardzo krótkie fragmenty tekstów z jego filmów. Pełnią one rolę motta bliskiego w tonie rozpoczynanym przez nie rozdziałom.

Joe Eszterhas, syn węgierskiego pisarza i nacjonalisty Istvana Eszterhasa oraz żarliwej katoliczki, Marii Biro, urodził się w 1944 roku. Dorastać przyszło mu w obozach dla uchodźców w Austrii, a później także w Nowym Jorku – skupisku przesiedleńców z Węgier. Hollywood wezwało go w roku 1974. Miasto, gdzie obowiązuje prawo selekcji naturalnej, było niczym obóz, gdzie poczucie zagrożenia i obcości wyostrzało instynkt samozachowawczy. Opowieści hollywoodzkie, czytane w kontekście rozdziałów retrospektywnych, opowiadających wzruszającą historię dziecka, nabierają specyficznej barwy – koloru udeptanej obozowej ziemi, gdzie krew i lzy pieczętują zwycięstwa i porażki walczących o byt i szacunek. Joe stał się tam jednym z samotnych bogów, dzikusiem w dżungli, gdzie słaby ginie, a oprawca nie ponosi konsekwencji. W świetle prawa dżungli wszyscy, w gruncie rzeczy, niewiele się od siebie różnią – przyjaciele stają się wrogami, jeśli to zwiększa szansę przeżycia (a zatem, gdy tego wymaga koniunktura).

Scenarzysta toczył nieustanne boje (z wprowadzającymi zawsze „nie-wielkie” poprawki reżyserami) o nieetykalność swoich tekstów – jak ojciec próbujący chronić własne dzieci. Więzy rodzinne, a przede wszystkim relacja ojca z synem, przedstawione zostały jako wartości cenne, ale również poddane ciężkiej próbie zaufania i lojalności. Istvan Eszterhas w młodości wyznawał faszystowskie poglądy i pisał na ten temat oracje i książki, co czyniło go pośrednio odpowiedzialnym za zbrodnie wojenne dokonane na Żydach.

Opowieść o dorastającym chłopcu, uciekającym przed Krampuszem (przebrany za diabła, napominał dzieci, by były grzeczne, bo wtedy odwiedzi je Święty Mikołaj) i podglądającym obozowe prostytutki, jest zabawną i momentami bardzo wzruszającą historią inicjacji w dorosłość. Joe, biegający niegdyś z pistoletem samobróbką, walczy o przetrwanie w branży filmowej innymi sposobami – manipulacją i szantażem: *Jestem hollywoodzkim zwierzęciem, kimś, kto trzyma splunę*. Nad miejscem starcia unosi się dym, z papierosa. Ten niezastąpiony towarzysz w interesach i grach ha-



Joe Eszterhas: *Hollywoodzkie zwierzę*. Przel. Przemysław Janiga. Wydawnictwo Książkowe Twój Styl. Warszawa 2005, s. 804.

## Na udeptanej ziemi

zardowych jest także cichym zabójcą, eliminującym zarówno wrogów, jak i sojuszników. Wielu przyjaciół Joego zmarło na atak serca. Papieros to również atrybut i przyczyna śmierci jego chorej psychicznie matki. Joe także był nalogowym palaczem, debiutującym w wieku dwunastu lat, a operowanym z powodu raka gardła jako pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna.

Już początki w branży filmowej naznaczone były skandalem. Eszterhas prowokował swoimi scenariuszami, w których łączył papierosy z seksem jako mieszanek powodującą efekt erotyczny (np. *Nagi instynkt*), czy „od kuchni” przedstawiał paradoksy Hollywood (*Spalici Hollywood*). Ekscysem nacechowane było również życie Joe – dwukrotnie żonatego i spędzającego noc z innymi kobietami, często prostytutkami, które miały być cudownym lekarstwem na samotność. Paradoksalnie, nazwisko scenarzysty w języku węgierskim jest określeniem: *włóczęgi, który co noc sypia na innym dachu*. Opinię o Eszterhasie poprawiło drugie małżeństwo. Z Naomi Baką spędził najtrudniejsze a zarazem najpiękniejsze lata życia, o których czytelnik biografii dowiaduje się także z zamieszczonych w niej, dzienników jego żony.

Joe, zdając relację ze swojego życia, często wspomina również ludzi, jacy się przez nie przewinęli. Z rozmachem i świetnym poczuciem humoru opisuje legendarnych reżyserów, scenarzystów, aktorów, hazardzistów i pijaków – czyli gatunki hollywoodzkich zwierząt. Nie tylko re-

alizuje się jako pisarz, ale i demaskuje mechanizmy ich środowiska. To sprawiło, że na gruncie zawodowym nie próbuje wcielać w życie utopijnych zasad walki, jakie wpajali mu rodzice. Walczy kierując się instynktem samozachowawczym. Swoim sześciorcu dzieciom natomiast stara się zaszczyścić wiarę w sensowność i siłę kierowania się honorem i lojalnością.

*Hollywoodzkie zwierzę* jest mądrą książką o wartościach takich, jak życie, miłość, przyjaźń, rodzina, przedstawiającą także walkę o ich godne trwanie. To również opowieść o pisaniu. Eszterhas tworzył swoje scenariusze „w ciemno”, bez zamówienia, czego inni twórcy nie robili w obawie przed brakiem popytu. Mimo że nie wszystkie jego dzieła zostały zekranizowane, przynosiły mu rekordowe wynagrodzenia i, przede wszystkim, przyjemność tworzenia, którą potęgowała możliwość wystukiwania liter na zażytkowej maszynie do pisania. Jego credo brzmiało: *Wkładaj każdą cząstkę serca, całą duszę i pasję, która w tobie wre, w każde zdanie każdego twojego scenariusza. I ciesz się*. Powtarzał to sobie i innym aż do chwili, gdy przyszło do konfrontacji, do walki, której miejscem starcia stał się on sam, jego zaatakowany przez raka organizm.

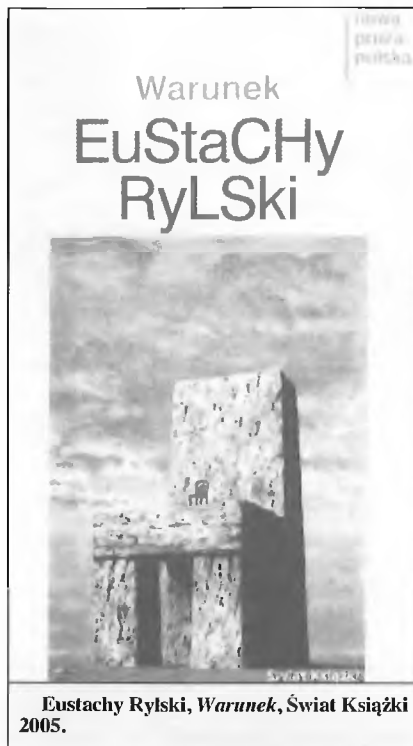
Okupiona mnóstwem wyrzeczeń i radykalnymi zmianami w dotychczasowym życiu, ale jednak wygrana, walka z nowotworem gardła, zmodyfikowała nieco jego życiowe motto: *Wkładaj każdą cząstkę serca, całą duszę i pasję, która w tobie wre, w każdą nanosekundę twojego życia. I módl się!* W ten sposób również każda stronica „księgi dżungli” Eszterhasa jest częścią scenariusza, jaki napisał dla niego życie. W jednej ze scen kluczowych przyszło mu na przykład zorganizować kampanię antynikotynową pod hasłem „Join Joe”, której celem jest, jak sam się wypowiedział: *zneutralizowanie pozytywnego przesłania o paleniu*. Joe Eszterhas podjął nowe wyzwanie, udowadniając jednocześnie, że żyjąc, człowiek ciągle musi stawiać czemuś czoło. Nad ringiem pisarza nie unosi się już dym. W głowie czytelnika wciąż pozostaje jednak jego wspomnienie. *Hollywoodzkie zwierzę* to nie lada gratka nawet dla tych, którzy nie znają Joe Eszterhasa, jego filmów i scenariuszy, nie widzieli *Nagiego instynktu* albo widzieli i nie kojarzą nazwiska scenarzysty. Godziny poświęcone tej książce zaowocują śmiechem i łzami oraz refleksją nad jakże twórczymi, zapędami pisarskimi ludzkiego losu, który tym razem napisał scenariusz wielkiego amerykańskiego sukcesu.

EWA PILARZ

„**Nikt** na świecie nie doszedł jeszcze i nie wytłuma-  
czył, co w jednym człowieku dla dru-  
giego taką przyjaźń wznieca, że gdy-  
byś i widłami od siebie ją odpychał,  
powraca” – napisała Orzeszkowa.  
Tymczasem, kapitan Andrzej Rangult  
i porucznik Semen Hoszowski, żołnie-  
rze, których los zetknął na pustkowiach  
Rosji, z miejsca poczuli do siebie nie-  
chęć – równie silną, jak owa opiewana  
przez autorkę *Nad Niemnem* przyjaźń.  
Niechęć, przeradzającą się momentami  
w nienawiść. A jednak – służący  
w wojsku napoleońskim mężczyźni zo-  
stali na siebie skazani. Odrzucając nie-  
wygodny i dziwny rozkaz rozmiłowa-  
nego w Rangulcie generała, rezygnując  
z zachowania konwencji, porzucili  
służbę i uciekli na wschód, by przedo-  
stać się na Litwę. Mordercza wędrów-  
ka przez niegościnną, mroźną Rosję  
wyczerpywała ich, potęgowała wzaj-  
emną nienawiść i – paradoksalnie –  
wywołała nieuświadomione poczucie  
przyjaźni. Mężczyźni podświadomie  
zdawali sobie sprawę z tego, że „wszel-  
kie upadki dodane do siebie, a potem  
podzielone przez dwa, dają mniej niż  
połowę. Że dzieląc ból, mdłości, go-  
rączkę, rany i dymienice, każdy coś  
drugiemu ujmuje i wyzwala go w ja-  
kieś mierze z własnej udręki”. Dotar-  
cie do domu Rangulta nie kończy jesz-  
cze perypetii skazanych na siebie ucie-  
kinierów.

Tak naprawdę w *Warunku* niczego  
nie można przewidzieć. Pojawienie się  
siostry Rangulta, Anny, nie zwiastuje  
wcale miłosnej historii, zakończonej  
*happy endem*. Ucieczka ze szwadronu  
nie musi oznaczać pościgu czy posą-  
dzenia o tchórzostwo i dezercję. Dotar-  
cie do pozornego celu wyprawy nieko-  
niecznie oznacza początek sielanki.  
Eustachy Ryłski doskonale radzi sobie  
ze stopniowaniem napięcia, gra emo-  
cjami czytelników i umiejętnie buduje  
dramaturgię opowieści.

Rzecz dzieje się w 1812 roku, w cza-  
sie rosyjskiej kampanii wojsk Napole-  
ona. Gdyby nie ascetyczne opisy i rze-  
czowa, niestylizowana opowieść, po-  
myślałbym, że to przeniesiona o dwa  
wieki *Trylogia*. Ryłski konstruuje *Wa-  
runek* tak, jakby akcję z *Potopu* obser-  
wował od strony zjawisk pomijanych  
czy potraktowanych marginalnie przez  
Sienkiewicza. Przed oczami jawiły mi  
się wybryki kompanów Kmicica w Lu-  
biczu – u Ryłskiego podobną zabawę  
zorganizowali sobie przyjaciele Ran-  
gulta. Motyw tułaczki Rangulta i Ho-  
szowskiego przypomina ucieczkę Basi  
od Azji Tuhajbejowicza. Analogii tak-  
kich jest zresztą więcej. Sienkiewicza  
przypomina Ryłski w warstwie fabu-  
larnej. Stonowane opisy, język powie-  
ści – tylko czasami kojarzą się z *Trylo-  
gią*. Ryłski dopasował styl narracji do  
zdarzeń – suche, beznamiętne relacje  
rymują się z żołnierską postawą i z bez-  
kresami zimnej Rosji. Ale – co zaská-  
kujące – przy całej ascetyczności, po-  
wściągliwości, potrafi autor *Warunku*



## W każdym siedzi dureń

wzruszyć. Zasada wywoływania emo-  
cji da się lapidarnie ująć tak: proste,  
a wzruszające. Proste, a przerażające.  
Proste, a wstrząsające. Jedyne słabym  
punktem w tej narracji mogą być –  
wydaje się – niedostatecznie opraco-  
wane sceny śmierci. Zgony poprzedza-  
ne są naturalistycznymi (choć przecież  
zwięzłymi) opisami wydarzeń. Ale  
chwilą agonii odsuwa się na daleki  
plan. Śmierć jednego z czołowych bo-  
haterów *Warunku* kwitowana jest jedy-  
nie krótkim oznajmieniem, choć czy-  
telnik spodziewałby się w tym miejscu  
co najmniej akapitowego opisu.

Książka Ryłskiego staje się również  
próbą rozliczenia z legendą. Jerzy Sza-  
niański w *Zeglarzu* ukazywał, jak two-  
rzy się fałszywe wyobrażenia o bohate-  
rach, jak konstruuje się w wyobraźni  
zbiorowej mity postaci. Ryłski zaczyna  
od przedstawienia „dobra narodowe-  
go”, pierwszego kawalerzysty Rzeczy-  
pospolitej, by potem konsekwentnie de-  
maskować obłudę, odzierać herosa  
z glorii i chwały, zrzucić z piedestału,  
ba – upadłać go. Zmieniające się jak  
w kalejdoskopie wydarzenia relacjonu-  
je autor *Warunku* rzeczowo, bez ko-  
mentarza. Wnioski pozostawia czytel-  
nikom. Jednocześnie uczy, jak niebez-  
pieczna może być wiara w bohaterstwo.

Pierwsza część powieści to także de-  
maskowanie formy. Połączenie XIX-

wiecznych ideałów i gombrowiczow-  
skiej „gęby” staje się przedmiotem  
międzywierszowej krytyki. Podporząd-  
kowanie się konwencji, przymus spro-  
stania wymogom sytuacji, nieodmien-  
nie wiedzie do zakłamania i w efekcie  
– do nieszczęścia. Doprowadzone do  
granic absurdu sceny mogą uzmysło-  
wić nam, jak potężna jest presja oto-  
czenia. W końcu „każdy cień ma to do  
siebie, że od siebie nie zależy. Rzuci go  
coś albo i nie rzuci. Ma się na czym  
odbić albo i nie ma”. Nie każdy potra-  
fi sprzeciwić się druzgocącym oczeki-  
waniom. A cena, jaką przychodzi pla-  
cić za ucieczkę od formy, bywa wyso-  
ka. Jednocześnie konieczność podda-  
nia się wymogom otoczenia okazuje  
się nierzadko zgubna. Kto zbacza z wy-  
tyczonej trasy, decyduje się zawrócić  
w swoim życiorysie tajemnicę. A „ta-  
jemnica może być po drodze, przy oka-  
żi, nie na końcu”. Rozprawia się z ro-  
mantycznym pojmowaniem Polaka-  
żołnierza, Polaka-bohatera, honorowe-  
go i nieustraszonego. Drwi sobie:  
„honor podpowiadał rzeczy oczywiste,  
więc straszne. Zapomnij o świecie  
i skup się na sprawie, która się nim sta-  
ła. Instynkt był wyrozumiały. Wiej,  
bracie, gdzie pieprz rośnie, z honorem  
albo i bez, bo co ci po nim w godzinie  
próby”. Ryłski rzadko pozwala sobie  
na ironię, jeśli na kartach *Warunku* za-  
gości komizm, to jest to wyłącznie ko-  
mizm sytuacyjny i oderwany od istot-  
nych wydarzeń. Dodam, że gości nie-  
zwycie rzadko.

Warta zauważenia jest ciekawa kon-  
strukcja powieści. Pierwsza część za-  
czyna się i kończy podobnym moty-  
wem, motywem przedstawionym na  
ostatnich stronach *a rebours*. Z pozoru  
nieznaczące szczegółiki wracają po ki-  
ludziesięciu kartkach, niespodziewa-  
nie i bez zapowiedzi. To sprawia, że  
*Warunek* nabiera znamion cykliczno-  
ści. Ryłski próbuje wywołać złudzenie  
powtarzalności, *deja vu* u czytelnika.  
Prowadzi z odbiorcą misterną grę, sta-  
ra się udowodnić mu, jak wiele i jak  
niewiele zarazem zależy od przypadku.  
Ukazuje, że „*losu się nie ominie*”. Co  
w takim razie z tytułowym „warun-  
kiem”? Bohaterowie powieści są prze-  
konani, że wszystko jest równaniem.  
Żeby z tym równaniem się uporać, na-  
leży spełnić warunek.

Ryłski buduje opowieść pozornie  
(czy – *in expressis verbis*) zanurzoną  
w mentalności XIX-wiecznych wojsk.  
Nawprawę jednak tworzy uniwersalną  
historię o człowieku – o jego charakte-  
rze, skłonnościach, zachowaniach  
w chwili próby. Wyczerpująca uciecz-  
ka Hoszowskiego i Rangulta staje się  
w rzeczywistości pretekstem do snucia  
rozważań na temat kondycji ludzkiej,  
psychiki i czynów, na jakie zdobyć się  
możemy w momentach krytycznych.  
To opowieść o niemożności całkowite-  
go odkrycia siebie. Przecież „*jest takie  
miejsce na drodze poznania, z którego  
znowu nic nie widać*”.

IZABELA MIKRUT



**W kręgu Krzysztofa Kieślowskiego. In memoriam w dziesiątą rocznicę śmierci.** Pod red. Andrzeja Gwoźdźia. Instytucja Filmowa „Silesia-Film”, Katowice 2006. S. 144 + płyta DVD.

Ta książka jest jakby dopełnieniem zorganizowanego z okazji X rocznicy śmierci reżysera festiwalu poświęconego jego pamięci. To nie żadna monografia, zapis życia i dzieła Kieślowskiego. Znalazły się bowiem w tej pracy teksty bardzo różne: wspomnienia (o artyście opowiadają m.in. Magdalena i Piotr Łazarkiewiczowie, Kazimierz Kutz, Henryk Baranowski, Stanisław Zawisliński), jest relacja Doroty Paciarelli na temat warsztatów prowadzonych przez twórcę „Przypadku” w latach 80. w Berlinie, o epigonach i następcach opowiada Margarete Wach, Andrzej Gwoździć zajmuje się filmami *Niebo i Piekło*, zaś np. szkic Iwony Sowińskiej poświęcony został muzyce Preisnera. Jednak „w tym szaleństwie jest metoda”, książka bowiem pokazuje, że Kieślowski to nie tylko autor filmów, ale nadal żywe we współczesnej kulturze zjawisko. Cennym uzupełnieniem tekstu jest dokument Wojciecha Sarnowicza, rejestrujący wydarzenia katowickiego festiwalu.

**Jan Sochoń: Bagaż podręczny (wiersze amerykańskie).** Towarzystwo Przyjaciół Sopotu. Seria: Biblioteka „Toposu”, t. 23, Sopot, 2005. S. 56.

Kolejny tomik wierszy księdza-poety, ale i filozofa, krytyka literackiego, eseisty i tłumacza. Tytuł sugeruje, że będzie to coś w rodzaju literackiego zapisu podróży po Stanach Zjednoczonych, ale Ameryka pojawia się w tych utworach na planie dość dalekim, najczęściej w kontekście ironicznym. Np. w wierszu „Cmentarz amerykański” czytamy: *Pole golfowe z dolkami / na umarłych*. W innym Sochoń zauważa: *W Nowym Jorku nie urząda się karnawału, tylko wciąż po nim sprząta*. Większą część tomiku stanowi – nie lubię tego określenia – „poezja religijna”. I – niestety – nie zawsze „z górnej półki”. Miejscami razi deklaratywność i oczywistość. Spodobał mi się krótki, prosty wiersz „Ucho igielne”: *Czy wolno, / Jezuu, prosić, / skoroś zajęty, / nie sobą, / ale ubogimi*. I, z zupełnie innego powodu, „Rozmowa ze świętym Tomaszem z Akwinu”, bo – to rzadkość w dzisiejszej poezji – pojawia się w niej humor, przy czym autor ma odwagę „śmiać się sam z siebie”.

**Adam Kałuża: Przeciw carowi! Rok 1905 w Zagłębiu Dąbrowskim.** Wyd. Muzeum w Sosnowcu, Sosnowiec 2005. S. 212.

Autor, zafascynowany „ogromną burzą rewolucyjną 1905 roku” w Zagłębiu Dąbrowskim, stwierdziwszy, że ani w polskiej, ani w rosyjskiej literaturze historycznej nie ma żadnego całościowego opracowania tamtych wydarzeń, pokusił się samo napisanie pracy dotyczącej tego tematu. Książka jest wynikiem wieloletniej pracy. Kałuża przestudiował wszelkie dostępne, zapisane źródła, zapoznał się z dokumentami i innymi materiałami archiwalnymi, dotarł także – na początku swoich badań – do żyjących jeszcze wtedy uczestników wydarzeń 1905 roku i spisał ich relacje. Powstała w ten sposób bogato udokumentowana praca opisująca fakty od wybuchu w tamtym czasie strajku powszechnego w Zagłębiu Dąbrowskim aż do powstania Republiki Zagłębiowskiej, którą Muzeum w Sosnowcu wydało w setną rocznicę tamtej rewolucji. Obszernym posłowiem opatrzył książkę prof. Jan Walczak. Tekst uzupełniony został cennym materiałem ilustracyjnym.

**Jarosław A. Krawczyk, Przemysław Nadolski: Dzielnice Bytomia na starych fotografiach, pocztówkach i mapach.** Wyd. Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowo-Usługowe „ROCOCO” – Jarosław Krawczyk, Bytom 2005. S. – 64.

Dwujęzyczne (polsko-niemieckie) wydawnictwo albumowe, prezentujące bytomskie dzielnice: Bobrek, Dąbrówę Miejską, Górniki, Karb, Łagiewniki, Miechowie, Rozbark, Stolarzowice, Stroszek, Suchą Górę i Szombierki na starych zdjęciach i widokówkach. Coś dla tych, którzy lubią wracać do przeszłości, przypominać sobie jak miasto wyglądało dawniej, martwić się, że coś tam już nie istnieje, cieszyć, iż coś innego przetrwało. Jest to książka, poza najbardziej zainteresowanymi publikacją mieszkańcami Bytomia, dla miłośników dawnej fotografii a zwłaszcza pocztówek „ręcznie malowanych”. Obiekty sakralne, zabytki, gmachy urzędów i „normalne” domy sąsiadują w tym albumie z pejzażem przemysłowym – kopalnianymi wieżami wyciągowymi, wysokimi kominami, hutniczym wielkim piecem, czyli tym wszystkim, co ze śląskiego krajobrazu bezpowrotnie znika. Dobrze na nostalgię.

**Marcin Halaś: Bytom magiczny. Wypominki.** Wyd. Urząd Miejski w Bytomiu, Bytom 2006. S. 104.

Autor – poeta i dziennikarz, urodzony w Bytomiu i z tym miastem związany, od lat publikujący teksty o nim w *Życiu Bytomskim* i w naszym miesięczniku, zebrał te rozproszone szkice i wydał w książkę, która jest trochę przewodnikiem przydatnym w „podróżach” sentymentalnej a trochę kroniką historyczną ze szczególnym akcentem na sprawy kultury i sztuki. Część pierwsza *Bytom magiczny* to opis miejsc, co nie znaczy, że nie pojawiają się w tych zapiskach i ludzie. *Wypominki* natomiast są – jak to określił sam autor – suplementem do *Bytomskiego Słownika Biograficznego*. W części tej znalazły się sylwetki: Bolesława Stawińskiego, Kazimierza Kruczkowskiego, Urszuli Szumskiej, Kazimierza Moździerz, Władysława Targalskiego, Stanisławy Boczarowskiej, Stanisława Horaka i Piotra Woźniaka, osób, które mają w swej biografii wyrazisty, bytomski rozdział.

**Maciej Zięba OP: Epoka Jana Pawła II. Zrozumieć niezwykły pontyfikat.** Wydawnictwo „W drodze”, wydawnictwo „eSPE”, Poznań – Kraków, 2006. S. 108.

Dominikanin, o. Maciej Zięba, znany z mediów jako błyskotliwy komentator różnych wydarzeń z życia Kościoła, usiłuje tym razem w niewielkiej książeczce „podsumować” długi pontyfikat Jana Pawła II. W części pierwszej opisuje stan, w jakim ta instytucja znalazła się po Soborze Watykańskim II, czyli w momencie wyboru Karola Wojtyły na Stolicę Apostolską. To dość krytyczna diagnoza. Następnie autor stara się określić priorytety papieskiej działalności, dzieląc ją na dwie dekady i wejście w III tysiąclecie. Kolejny rozdział tworzą rozważania, jak nauczanie Jana Pawła II wpłynęło na samoświadomość Kościoła. W ostatniej części Zięba próbuje odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób na pontyfikat wpłynęła narodowość papieża, konkretnie – jego polskość, pochodzenie biskupa Rzymu „z dalekiego kraju”. Książkę zamyka *Post scriptum*, zatytułowane norwidowsko: *Uwydatnienie?* Ten znak zapytania jest ważny. Autor wyraźnie mówi, że to, co stanie się z dziedzictwem pontyfikatu, zależy od nas. Od naszego wyboru, czy pozostaniemy generacją JP II.

## ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Gdzieś tam na przelomie lat sześćdziesiątych wylądował na ASP w Katowicach „pilot szybowcowy” Jan Franosch z Bydgoszczy. Zonaty z dziewczyną urodzoną w dniu powstania Manifestu PKWN, która w dniu 22 lipca z tego tytułu dostawała od Peerelu to robot kuchenny, to pralkę, to lodówkę...

Janek był szczupłym blondynem o lekko kręconych włosach i mającym wadę wymowy zwaną potocznie jakanieniem się, choć pewne popularne przekleństwo wymawiał bezbłędnie. Miał także inne wady, ale puścimy je w niepamięć jako już przedawnione i nielicznym znane.

Dyscyplina studiowania na ASP była dość swobodna ale były zajęcia, na których trzeba było być i nawet spóźnienie się na nie, nie było dobrze widziane.

I nadszedł taki dzień, w którym Jankowi piwko było bliższe niż zaliczenie z grafiki u prof. Raka.

Opuściwszy więc bursę udał się do nieodległej knajpki skąd wykonał następujący telefon:

– A...A...ASP? tu Ko... komitet Woje...wódzki, u... usprawiedliwiecie tam stu... studenta Franoscha Jajana, któ... który wy... wykonuje u nas pra... pra... pracę społeczną i na... na za... zajęciach dziś by... yć nie może.

Zadowolony z siebie Jaś oddał się ulubionej czynności picia napoju zwanego ówczesnie piwem, podczas gdy pani Irena z Sekretariatu uczelni relacjonowała rozmowę profesorowi i nawet nie dziwiła ją, że z Komitetu dzwonił jakiś jakąś, tyłu tam przecież mieli mówiących inaczej.

## SPOJRZENIA

KRYSTIAN PRYNDA

Wzrok w ciemnościach wyostrza jedynie strach.

\* \* \*

Sprawiedliwego zawsze podejrzewać będą o stronniczość.

\* \* \*

Ludzie bezinteresowni też mogą mieć smykałkę do interesów.

\* \* \*

Gdybyśmy nie popełniali błędów, byłibyśmy jak dzieci: bezradni z braku doświadczeń.

\* \* \*

Nie każdy, kto nie potrafi się weselić, potrafi się też smucić.

\* \* \*

Nie wszystko mogłoby się potoczyć inaczej... „gdyby”...

\* \* \*

Niekiedy czujemy się bardziej samotni wśród bliskich, niż na odludziu.

\* \* \*

Szczęście przypomina fatamorganę: niby ma realny wygląd, lecz zwykle jest złudzeniem.



PODKOPKI

## TELEGRAMY

CZESŁAW CZAİKA

Do Dorna

Ulice są nasze. Nie zazdrościmy doli.  
Czas na kamasze!

GRUPA KIBOLI

Do Wassermann

Potrzebna nie kobiecina, a hoża panna!  
Podpisano:

JA, TWOJA WANNA

Do Tuska

Gdy wszystkich wyrzucisz,  
Co będzie, co?  
Do UW wrócisz?...

Wkurzona PO

Do społeczeństwa

Nie chorujcie wcale!

STRAJKUJĄCE SZPITALA



Rys. Ryszard Twardoch

Jeszcze całkiem niedawno „wypadało” być „człowiekiem kulturalnym”. Nie można było nie przeczytać pewnych książek, nie „bywać” w teatrze, nie znać – choćby tylko z reprodukcji w albumach – określonego zestawu dzieł sztuki światowej i polskiej, nie obejrzeć kilkudziesięciu filmów nie tyle „kultowych”, co składających się na jakiś tam kanon artystyczny i estetyczny, obowiązkowe było też – nawet przy braku słuchu – emocjonowanie się Konkursiem Chopinowskim i bezbłędne rozpoznawanie po pierwszych taktach przynajmniej *IX Symfonii* Beethovena. Snobizm? Niewątpliwie, ale wtedy właśnie tzw. obcowanie ze sztuką określało pozycję towarzyszącą człowiekowi, a nie to jaką „bryką” jeździ, w jakie ciuchy się ubiera i z którym politykiem popija wódeczkę, aby mieć z tego pieniędzy albo stanowisko (przynajmniej członka jakiejś rady nadzorczej).

Czas się zmienił. Pod Muzeum Historii Katowic nie ustawiają się kolejki takie, jak niegdyś pod galerią BWA, kiedy trafiła do naszego miasta wystawa *Romantyzm i romantyczność*. A przecież ekspozycja *Nastroje natury*, prezentująca pejzaże z II połowy XIX wieku polskich artystów ze szkoły monachijskiej to nie tylko oficjalnie uznane „wydarzenie muzealne”, ale także bardzo ważny rozdział naszej narodowej historii sztuki. Wystarczy wymienić kilka nazwisk autorów pokazanych w MHK prac, żeby uzasadnić taką konstatację. Chełmoński, bracia Gierymscy, Wyczółkowski, Witkiewicz, Wierusz-Kowalski. Trzeba więcej?

W MHK zaprezentowano osiemdziesiąt prac. Są wśród nich zarówno obrazy znane i łatwo rozpoznawane, należące do kanonu polskiego malarstwa, np. *Wyjazd na polowanie* (wł. Muzeum Narodowe w Poznaniu) i *Obóz Cyganów II* Maksymiliana Gierymskiego (wł. Muzeum Narodowe w Krakowie), *Powitanie słońca* – żurawie Józefa Chełmońskiego (wł. Muzeum Sztuki w Łodzi), *Napad wilków* Alfreda Wierusza-Kowalskiego (wł. Muzeum Narodowe we Wrocławiu) czy *Noc ukraińska* Stanisława Witkiewicza (wł. MNK), jak i prace małych mistrzów polskiego pejzażu, często niesłusznie zapomnianych, m.in.: Romana Kochanowskiego, Zygmunta Sidorowicza, Ludomira Benedyktowicza, Władysława Maleckiego, Antoniego Kozakiewicza, Aleksandra Świeszewskiego i Franciszka Streitta.

Sprowadzone z różnych muzeów i wypożyczone z kolekcji prywatnych obrazy olejne, akwarele, szkice olejne i rysunki ołówkiem

ukazują nie tylko bogactwo rozwiązań pejzażowych w twórczości polskich monachijszczyków, ale także są odzwierciedleniem bardzo zróżnicowanych temperamentów artystycznych oraz poglądów estetycznych. Podobieństwa i różnice, widoczne w podejściu do pejzażu, wyborze motywów, wreszcie rozwiązaniach formalnych i kolorystycznych, wynikają przede wszystkim z wrażliwości artystycznej, która skłaniała do podejmowania konkretnego problemu malarskiego: ukazania pory roku i dnia, zjawisk atmosferycznych, światła i barwy. Tym, co łączy dzieła pejzażowe i pejzażowo-rodzajowe polskich monachijszczyków jest połączenie realistycznego sposobu rejestracji rzeczywistości z dążeniem do oddania nastrojów tkwiących w naturze

## Pejzaże obowiązkowe

Szkoła monachijska, w której z wielką ochotą uzupełniali swoje studia polscy artyści, nie miała „dobrej prasy”. Znany historyk sztuki, Tadeusz Dobrowolski napisał wręcz, że nauczali tam właściwie „podrzedni malarze”. Inni krytykowali „monachijskie sosy” – obowiązującą w szkole dosyć ponurą, jakby przygaszoną kolorystykę. Coś w tym jest. Bo kiedy ogląda się każdy z tych obrazków z osobna – można się dać oczarować. Nie ma wątpliwości – to naprawdę dzieło sztuki. W masie natomiast te pejzaże mogą stać się przyczyną głębokiej depresji. Jak to? Nasza Polska jest taka ponura? Przrygnębiająca? Bezkresne, monotonne równiny z przysłowiami wierzbami, brzoza-ami pod zachmurzonym niebem – istna ściana wschodnia, kraina bez perspektyw. Dominującego nastroju pełnego melancholii nie są w stanie przezwyciężyć nawet tak bardzo charakterystyczne dla polskiego malarstwa wspaniałe uchwycione w ruchu konie, nie mówiąc już o ludziach – bohaterach rozmaitych scen rodzajowych, czy batalistycznych. Trochę na tym tle pokrzepiają góry z prac Stanisława Witkiewicza, ale tak naprawdę ucieszył mnie utrzymany w różowej tonacji typowo miejski pejzaż Aleksandra Gierymskiego, bez żadnej tam natury i jej nastrojów. Sęk jednak w tym,

że patrząc na tę wiejską „a to Polskę właśnie”, wpadamy w pewną pułapkę. Bowiem wcale znacząca część tych krajobrazów nie ma nic wspólnego z naszym krajem. Dlatego, że wielu artystów uwieczniło w swoich pracach podmiejskie widoczki niemieckie – ścianę zatem jak najbardziej zachodnią.

Pozostaje pytanie, co sprawiło, że polscy twórcy wybrali nie radosny, paryski impresjonizm, tylko monachijski *Stimmung*? Osobowość Józefa Brandta, który rodakom stworzył w tym mieście kolonię artystyczną, aby przez lata jej „szefować”? Presja naszych krytyków, którzy za „jedyny, słuszny” kierunek w sztuce uznawali realizm? Niewątpliwie autorytet dla opinii publicznej w tym czasie, Bolesław Prus pisał przecież wyraźnie: *Jeżeli sztuka ma spełniać swą misję cywilizacyjną to za pierwszy warunek musi postawić prawdziwe odtwarzanie rzeczywistości*. Czy wreszcie potrzeba „bycia razem” (choć później ich drogi, w wielu przypadkach, się rozeszły), stworzenia środowiska, w którym tworzy się i rozmawia o sztuce? Być może po trochu każda z tych przyczyn przyczyniła się do założenia polskiej kolonii w Monachium. I do powstania zgromadzonych na wystawie w MHK obrazów.

Tu powrócę do stwierdzeń zawartych we wstępie. Dla każdego, kto nawet w dzisiejszych czasach, kiedy to już nie jest najbardziej „trendy”, chce uchodzić za „człowieka kulturalnego” odwiedzenie ekspozycji przy ul. Szafranka 9 jest obowiązkowe. Bo te prace – jak już wspomniałem – to ważny rozdział w historii sztuki polskiej. A też naprawdę świetna okazja, żeby obejrzeć je wszystkie w jednym miejscu. Bo „na co dzień” znajdują się w zbiorach: Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Narodowego w Poznaniu, Fundacji Raczyńskich przy MNP, Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowego w Kielcach, Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu, Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku oraz z kolekcjach prywatnych. Wyliczenie tych placówek to jeszcze jedna rekomendacja wystawy, ale także najbardziej lapidarne określenie rangi i znaczenia tej sztuki dla kultury narodowej.

JAROSŁAW STARZYK

Muzeum Historii Katowic: *Nastroje natury. Pejzaż w twórczości polskich monachijszczyków w II połowie XIX wieku*. Komisarz wystawy – Aleksandra Krypczyk. Czynną do 31 lipca 2006 r.





W. Malecki „Alpy Bawarskie”

# Polscy Monarchijczycy w drugiej połowie XIX w.



F. Streitt „Wędrowni muzykanci”



J. Fałat „Krajobraz poleski z łosiami”



J. Chelmoński „Powitanie słońca żurawie”



S. Witkiewicz „Orka”



M. Gieryski „Wjazd na polowanie”



S. Witkiewicz „Jesieniomisko”



A. Wierusz Kowalski „Krowy na pastwisku”





Łuki Spodka i kopuły znakomicie się uzupełniają.



Do wnętrza prowadzą rozliczne rozgałęzienia schodów.

**B**udowa katowickiego ronda od samego początku wzbudza wiele emocji, zwłaszcza wizja architektoniczna z ogromną, przeszkloną kopułą, która z dnia na dzień nabiera konkretnych kształtów.

W kopule, jak już wiadomo, mieścić się będą galerie sztuki, którymi zarządzać będzie katowicka Akade-

## Nowe oblicze katowickiego ronda

mia Sztuk Pięknych, kafejki i sklepy. Z pewnością będzie to jedna z najbardziej efektownych budowli w mieście. Posadowiona w sąsiedztwie Spodka – dotąd spełniającego swego rodzaju niezwykle charakterystyczny punkt orientacyjny dla Katowic, przyciągać będzie wzrok przyjeżdżających do stolicy województwa. Rozpiętość kopuły jest imponująca – do jej wnętrza prowadzą rozliczne schody ze wszystkich kierunków.

Czy stanie się drugim Spodkiem, zobaczymy. Ale na pewno jest to obiekt godny swoich poprzedników: odważny architektonicznie i intrygujący, jak rzadko która budowla nowoczesnej architektury w mieście. Z pewnością Rondo im. Jerzego Ziętka (którego pomnik znajduje się w pobliskim parku) zasługiwało na tak okazały obiekt. Finałowe efekty zobaczymy już za kilka miesięcy.

(wk)



Już wkrótce kilkusetmetrowym tunelem pod rondem pomkną pojazdy w kierunku Chorzowa i Sosnowca.



Ogromny szkielet kopuły przyciąga imponującą wielkością.





## VIII Letni Ogród Teatralny

KATOWICE

*Wieczory wzruszeń i dobrej zabawy*

Letni Ogród Teatralny już po raz ósmy zaprasza swoich widzów w podcienia Górnosląskiego Centrum Kultury. Od początku lipca aż do końca sierpnia, w każdy weekend będzie można spędzić wieczór obcując z teatrem, na wesoło z kabaretem lub posłuchać muzyki. Wzruszać



nas będzie między innymi Teatr Tatro – tegoroczni zdobywcy „Złamanego Szlabanu” na festiwalu Bez Granic w Cieszynie, Piotr Bikont i Stowarzyszenie Teatralne Badów, Teatr Studio Mobile z spektaklem przygotowanym specjalnie na 50. rocznicę obchodów istnienia Piwnicy pod Baranami... „Wylupy przez duże W” zaprezentuje Grzegorz Halama. Tomasz Jachimek i Kabaret Limmo spotkają się na „Benefisie” w „Miasteczku”. Muzycznie zaś rozkołyszą atmosferę: Marcin Świetlicki, Cezary Ostrowski, Tymon Tymański, Miła Urbaniak. Repertuar został przygotowany zarówno na po-

trzeby dorosłych jak i najmłodszych, z myślą o tych ostatnich w niedzielne popołudnia w świat baśni i przygód zabiorą dziecięcą widownię „Sznurkowe skrzaty” Teatru Wielkie Koło, historię o tym jak to „Siała baba mak” przypomni Teatr Banialuka a Teatr Animacji opowie dlaczego pewien rycerz był bez konia („Baśń o Rycerzu bez Konia”). Dodatkową atrakcją jest propozycja udziału w warsztatach teatralnych przeznaczonych dla dzieci. Otwartość i bliskość sceny oraz specyfika przestrzeni tych spotkań dostarczają niezapomnianych wrażeń, o czym z pewnością wiedzą stali bywalcy LOT-u.

Wiedzą też o tym organizatorzy Letniego Ogrodu Teatralnego – Górnosląskie Centrum Kultury i Teatr Korez, którzy przez cały rok starannie przygotowywali kompozycje wykwintnych smaków i smaczków pochodzących z kuchni różnych stron świata teatru.



Teatro Tatro

Katowice, GCK 1.7. – 28.8.

## Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej

BYTOM

*Jedynie w Europie*

Śląski Teatr Tańca choć działa zaledwie od 14 lat, może poszczycić się niewątpliwymi sukcesami. Ma już swoje miejsce na mapie kulturalnej zarówno w kraju, jak i za granicą. Najważniejszym przedsięwzięciem realizowanym corocznie jest Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej. Od 2 do 15 lipca odbędzie się już jej 13

edycja. Jest to cytując za prestiżowym pismem „Ballet International”: „największe i jedno z najważniejszych przedsięwzięć artystycznych w Europie”. Na jej program, oprócz



ZiviDance Company

spektakli festiwalowych najciekawszych zespołów tańca współczesnego z całego świata, składają się również warsztaty taneczne (ok. 20 technik tańca w 8 studiach), dziennikarskie, fotograficzne, oraz unikalne seminaria z zakresu zarządzania instytucjami kultury, z udziałem wielu wybitnych specjalistów z Europy i USA.

W trakcie dotychczasowych dwunastu edycji Konferencji-Festiwalu, publiczność w Bytomiu, Warszawie, Krakowie i Poznaniu mogła podziwiać takie gwiazdy światowej sztuki tanecznej jak zespoły Philadanco, Dayton Contemporary Dance Company, Alonzo King Dance Company, Jose Limon Dance Company, Jennifer Muller Dan-

ce Company, Battery Dance z USA, Compagnie Drift ze Szwajcarii, Rina Schenfeld Dance Theatre z Izraela, Kokoro Dance z Kanady, Daghdha z Irlandii, Granhoj Dance z Danii, Random i Diversion z Wielkiej Brytanii, Anjika z Indii, „kultową” grupę Ultima Vez z Belgii, a przede wszystkim Mikhaila Baryshnikova ze swoim zespołem White Oak Dance Project. Spektakle festiwalowe wystawiane będą na scenie głównej, w sali mieszczącej 600 osób, oraz wielu miejscach poza teatrem: w muzeach, obiektach postindustrialnych (elektrociepłownie, zabytkowe sztolnie górnicze, itp.) i na reprezentacyjnych placach miejskich. Bytom 2.7. – 15.7.

## Tydzień Kultury Beskidzkiej

WISŁA, SZCZYRK, ŻYWIEC, MAKÓW PODHALAŃSKI, OŚWIĘCIM

*Światowe spotkania folklorystyczne*



Historia tego festiwalu tradycjami sięga przedwojennego Święta Gór - Tydzień Kultury Beskidzkiej to jedna z najstarszych imprez folklorystycznych w Europie. W 1964 roku w Wiśle zorganizowano przegląd zespołów regio-

nu cieszyńskiego, wzbogacony występami gości z Podhala i zaprzyjaźnionego Zaolzia. I tak się to zaczęło. Obecnie to jeden z największych przeglądów folklorystycznych oraz... najdłużej trwających, bo aż 9 dni. Gromadzi ogromną liczbę widzów z kraju i zagranicy, wykonawców (każdorazowo około 100 zespołów), obserwatorów, znawców folkloru oraz ludzi związanych z kulturą i sztuką. Impreza ta jest jednym ze światowych spotkań folklorystycznych objętych patronatem C.I.O.F.F. – Międzynarodowej

Rady Stowarzyszeń Folklorystycznych. Festiwal i Sztuki Tradycyjnej. Koncerty festiwalowe odbywają się na pięciu głównych estradach: w Wiśle, Szczyrku, Żywcu, Makowie Podhalańskim i Oświęcimiu. W ramach 43. Tygodnia Kultury Beskidzkiej tradycyjnie już odbędą się: XXXVI Festiwal Folkloru Górali Polskich w Żywcu, XVI Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne w Żywcu, 58. „Gorolski Święto” w Jabłonkowie na Zaolziu – Republika Czeska, XI „Festyn Istebniański” w Istebnej,



„Wawrzynkowe Hudy” w Ujsołach. Do imprez towarzyszących należą również barwne korowody zespołów i koncerty kapel w Wiśle i Żywcu, targi sztuki ludowej w Żywcu oraz kiermasze i wystawy. 29.7. – 6.8.



## BĘDZIN

**MUZEUM ZAGŁĘBIA**  
PAŁAC MIEROSZEWSKICH  
ul. Świerczewskiego 15,  
tel. 267-77-07

**ZAMEK**  
ul. Zamkowa 1,  
tel. 267-47-31  
[www.zamek.bedzin.pl](http://www.zamek.bedzin.pl)

## BIELSKO-BIAŁA

**GALERIA BIELSKA BWA**  
ul. 3 Maja 11a,  
tel. 033 812-58-61  
[www.galeriabielska.pl](http://www.galeriabielska.pl)

**MUZEUM**  
ZAMEK SUŁKOWSKICH  
ul. Wzgórze 16,  
tel. 033 822-06-56  
[www.muzeum.bielsko.pl](http://www.muzeum.bielsko.pl)

**REGIONALNY OŚRODEK KULTURY**  
ul. 1 Maja 8  
tel. 033 812-52-76

## BYTOM

**MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE**  
pl. Jana III Sobieskiego 2  
tel. 281-82-94

Filia Muzeum Górnośląskiego  
w Bytomiu,  
ul. W.Korfantego 34

**GALERIA „OD NOWA 2”**  
ul. Dworcowa 24  
tel. 787-15-57  
[www.um.bytom.pl](http://www.um.bytom.pl)

**ŚLĄSKI TEATR TAŃCA**  
ul. S. Żeromskiego 27  
tel. 281-82-53  
[www.stt.art.pl](http://www.stt.art.pl)

## CHORZÓW

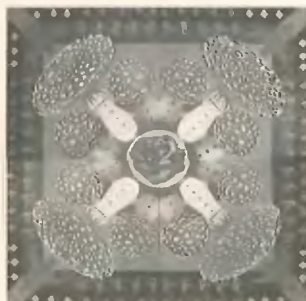
**MIEJSKA GALERIA SZTUKI „MM”**  
ul. H. Sienkiewicza 3  
tel. 249-17-19  
[www.galeriamm.chorzow.pl](http://www.galeriamm.chorzow.pl)

## BIELSKO-BIAŁA

**GALERIA BIELSKA BWA**

sala dolna  
**Bogdan Konopka**  
„Beijing Opera”  
– work in progress”  
czynna do 23 lipca

sala górna



Bożena Grzyb-Jarodzka. *Magiczna Amanita*

**Bożena Grzyb-Jarodzka, Paweł Jarodzki**  
Malarstwo najlepsze na nerwy lekarstwo  
**Bożena Grzyb-Jarodzka** – to ogromne portrety umieszczone w ornamentalnym, kwiatowym tle, nawiązujące z jednej strony do pop-artu, z drugiej do charakterystycznego zdobnictwa secesji.

**Paweł Jarodzki** – to obrazy, inspirowane współczesną rzeczywistością społeczną, odwołują się do formy szablonu, wraz z jego skrótem myślowym, dowcipem, powtarzalnością motywu. Wystawa artystycznego małżeństwa z Wrocławia pokazuje, że malarstwo wciąż może być radością i dla twórców, i dla widzów.  
czynna do 3 września

28.7. piątek, godz. 19.00  
sala dolna  
**Ernest Zawada**  
„MINI-MAL”

Ernest Zawada rzadko pokazuje swoje obrazy, może dlatego bardziej znany jest z akcji artystycznych, happeningów i instalacji. Jego malarstwo, związane z nurtem minimalizmu w sztuce, utożsamiane jest z abstrakcją. Artysta – rodem z Koniakowa – o swoich pracach mówi, że są surowe, oszczędne, tak jak oszczędni są górale.  
czynna do 3 września

28.7. piątek, godz. 19.30  
sala górna  
**Interieur**  
wystawa młodych bielskich artystów

Wystawa ukazująca młodą bielską scenę artystyczną powstała niejako na zamówienie poznańskiej Galerii Arsenal, która wy-

stała z pomysłem wzajemnych prezentacji „młodej sztuki” środowisk Bielska-Białej, Poznania, Torunia i Łodzi. Wystawa, której premiera będzie miała miejsce w Galerii Bielskiej BWA, powędruje w najbliższych miesiącach do kolejnych miast – współuczestników projektu, a jej finał zapowiadany jest w warszawskiej Galerii Zachęta w 2007 roku.  
czynna do 3 września

## CHORZÓW

**GALERIA MM**  
3.7. poniedziałek, godz. 17.00  
wernisaż

**Lola Granell – collages**  
Artystka urodzona w Barcelonie, obecnie mieszka i tworzy we Francji, zajmuje się głównie sztuką instalacji i kolażu.



czynna do 31 lipca

**CZĘSTOCHOWA**  
**MIEJSKA GALERIA SZTUKI**  
Sala Poplenerowa  
8.7. sobota

**25 lat Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza**  
Wystawa uświetniająca długoletnią działalność Stowarzyszenia Plastyków. Utworzone w 1981 roku, dziś liczy kilkudziesięciu członków w wieku od 30 do 84 lat, pracujących w różnych specjalnościach zawodowych, a twórczość artystyczną uprawiających amatorsko. Mają oni na koncie kilkadziesiąt wystaw w kraju i zagranicą. Od października 2005 patronem Stowarzyszeniu jest Jerzy Duda-Gracz. Celem Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków jest zbliżenie się do społeczeństwa, kontakt widza z artystą.  
czynna do 23 lipca

Sala Gobelinowa  
8.7. sobota  
**Jolanta Rychwalska**  
Wystawa jubileuszowa  
Wystawa indywidualna artystki w 40. rocznicę pracy twórczej.

Jolanta Rychwalska jest absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Częstochowie i Specjalistycznego Studium Reklamy w Warszawie. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków. W malarstwie zajmują artystkę przede wszystkim motywy natury prezentowane z niezwykłą ekspresją kolorystyczną. Maluje olejami, akrylami, pastelami.

czynna do 23 lipca

**REGIONALNE TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH**

**MAŁA ZACHĘTA**

**Małgorzata Rozenau**  
malarstwo  
wystawa indywidualna  
czynna do 9 lipca

13.7. czwartek  
**Marek Izdorczyk**  
malarstwo  
czynna do 6 sierpnia

**KATOWICE**  
**GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA**

**6 Triennale Grafiki Polskiej Katowice 2006**  
czynna do 30 lipca

**GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM KULTURY**  
**GALERIA ENGRAM**  
**Marcin Surzycki**  
grafika  
czynna do 15 lipca

**GALERIA SEKTOR I**  
**Zwyczajny terror**  
Prezentacja galerii lokal 30 artystów: Anna Baumgart, Andrzej Cisowski, grupa Sędzia Główny (Aleksandra Kubiak i Karolina Wiktor), Zuzanna Janin, Piotr Kopik, Maciej Kurak, Leszek Lewandowski, Krzysztof Pruszkowski, Jan Simon  
czynna do 30 lipca



Piotr Kopik



## GALERIE

### GALERIA PUSTA

**Jaroslav Beneš Fotografie**  
wybór J.B.

*W jego pracach sztuczność i naturalność istnieją w podobnej współzależności jak informowanie i dezinformacja. Obrazy te często zbudowane są z wielu warstw odbić; jedne przedmioty fotografia odbija wprost, a inne poznajemy poprzez refleksy w ich powierzchniach.*  
czynna do 30 lipca

### GALERIA SZYB WILSON

**Nowe malarstwo niemieckie**  
**szkoła lipska**



Wystawa obejmuje prace grupy artystów niemieckich, związanych ze szkołą kształcenia artystycznego w Lipsku. Wyróżnia ich charakterystyczna postmodernistyczna konwencja malarska, w której wykorzystują motywy m.in. socrealistyczne, symboliczne itd. Obok niedawnych absolwentów ASP w Lipsku, znajdują się także prace kilku profesorów, którzy mieli decydujący wpływ na młodych adeptów malarstwa.  
czynna do końca sierpnia

### SOSNOWIEC

#### SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI ZAMEK SIELECKI

**Cisza – tylko w oddali...**  
wystawa fotograficzna  
formacji Landskapiści

Landskapiści to grupa fotografików w różnym wieku, o różnym wykształceniu i zawodowej działalności. Łączy ich wspólna pasja i sposób patrzenia na otaczający świat. To nieprawda, że fotografowanie jest mechaniczną czynnością, która daje zawsze takie same efekty. Ważne, kto stoi za aparatem.  
czynna do 3 września

#### Ochrona Sosnowieckich Zabytków

czynna do 16 lipca

*Ludzie nie dlatego przestają się bawić, że się starzej, lecz starzeją się bo przestają się bawić.*  
Mark Twain

## MUZEA

### BĘDZIN

#### MUZEUM ZAGŁĘBIA ZAMEK

**Historia zamku będzińskiego**

#### PAŁAC

**Habemus papam**  
ze zbiorów Muzeum w Pilźnie

#### SALA

**IM. PROF. J. ŚWIDERSKIEGO**  
**nowa stała ekspozycja,**

na której prezentowana jest kolekcja obrazów przekazanych do zbiorów Muzeum Zagłębia w 2005 r. przez żonę artysty prof. Janinę Kraupe – Świdorską. Wystawę wzbogacono o obrazy i akwarele zgromadzone już w zbiorach Muzeum na początku lat 80. a także pamiątki, rzeczy osobiste Profesora, zdjęcia i fotokopie dokumentów. Prof. Jan Świdorski był Honorowym Obywatel Miasta Będzina, wybitnym malarzem i grafikiem, a także nauczycielem akademickim i teoretykiem sztuki znanym na całym świecie. Choć większość swojego życia spędził w Krakowie, głęboko angażował się w tworzenie i promowanie kultury Śląska i Zagłębia. Przez



całe życie podtrzymywał też związki emocjonalne i artystyczne z Będzinem.

### BIELSKO-BIAŁA

#### MUZEUM ZAMEK SUŁKOWSKICH

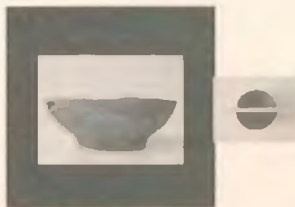
**Jan Kanty Pawluśkiewicz**  
wystawa z cyklu żel-artów  
**Parasolnie płyną w sztolnie**  
czynna do końca lipca

22.7. sobota

**Marcin Luter Reformator**  
Wystawa przygotowana przez Centrum Lutra w Wittenberdze (Luther Zentrum Wittenberg) i prezentowana w licznych krajach Ameryki i Europy, ukazuje życie wielkiego Reformatora i epokę reformacji poprzez szereg starannie przygotowanych plansz poglądowych oraz witryn z ekspozycjami.  
czynna do 6 sierpnia

### GALERIA ZAMKOWA

**Katarzyna Handzlik-Bąk**  
ceramika



Absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Juliana Fałata w Bielsku-Białej, Uniwersytetu Śląskiego, w którym studiowała w latach 1995-97 na Wydziale Pedagogiczno-Artystycznym w Katedrze Malarstwa oraz ASP we Wrocławiu w Katedrze Ceramiki na Wydziale Ceramiki i Szkła (1997-2001). Dyplom wykonała pod kierunkiem prof. P. Lasaka. Zrealizowała do niego aneks z zakresu malarstwa w pracowni prof. P. Błażejewskiego. Współzałożycielka Niezależnej Grupy Artystycznej „Gouhaus”, stypendystka Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Bielska-Białej.

### BYTOM

**MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE**  
**Dziecko w obiektywie historii**  
Górny Śląsk i pogranicze  
czynna do 15 października

Włodzimierz Jan Zakrzewski.  
Z Warszawy do Łodzi, i dalej...

**Polskie szkoły wojskowe.**  
**Z dziejów polskiego**  
**szkolnictwa wojskowego XX w.**

**Na tropie**  
**nieznanych zwierząt**

### CHORZÓW

**MUZEUM**  
**Chorzów**  
**na dawnej pocztowce**  
czynna do lipca

### GÓRNOŚLĄSKI PARK ETNOGRAFICZNY

1.7.-2.7. godz. 14.00  
**Łączy nas Olza**  
**Festiwal polsko-czeski**  
czeska muzyka – folk, rock, cover, czeska kuchnia, czeskie filmy.  
Wioska dziecięca  
pod patronatem Krecika,  
konkursy, wystawy, gawędy  
i wiele innych atrakcji

### CHUDÓW

**MUZEUM ZAMKU**  
ekspozycja obejmuje  
5 kondygnacji wieży:  
poziom 0 - loszek

## MUZEUM W CHORZOWIE

ul. Powstańców 25  
tel. 241-31-04  
[www.muzeum.chorzow.pl](http://www.muzeum.chorzow.pl)

### GÓRNOŚLĄSKI PARK ETNOGRAFICZNY

ul. Parkowa 1  
tel. 241-55-01  
[www.chorzow-online.pl/skansen/](http://www.chorzow-online.pl/skansen/)

### TEATR ROZRYWKI

ul. M. Konopnickiej 1  
tel. 346-19-31  
[www.teatr-rozrywki.pl](http://www.teatr-rozrywki.pl)

## CIESZYN

### MUZEUM ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

ul. T. Regera 6,  
tel. 033 852-15-77  
[www.muzeum-cieszyn.ox.pl](http://www.muzeum-cieszyn.ox.pl)

## CHUDÓW

### MUZEUM ZAMKU W CHUDOWIE

tel. kom. 601-314-755  
[www.zamek.chudow.republika.pl](http://www.zamek.chudow.republika.pl)

## CZĘSTOCHOWA

### MIĘJSKA GALERIA SZTUKI

aleja NMP 64,  
tel. 034 324-60-57  
[www.net-galeria.art.pl](http://www.net-galeria.art.pl)

### MUZEUM CZĘSTOCHOWSKIE

aleja NMP 45 A  
tel. 034 360-56-31  
[www.czestochowa.pl](http://www.czestochowa.pl)

### PAŁAC ŚLUBÓW

ul. Focha 19/21  
tel. 034 361-50-08

### DWOREK KRASIŃSKICH

w Złotym Potoku  
ul. Kościuszki 11  
tel. 034 327-81-91

### REGIONALNE TOWARZYSTWO ZACHĘTA SZTUK PIĘKNYCH

al. Wolności 44  
tel. 034 324-55-81  
[www.net.galeria.art.pl](http://www.net.galeria.art.pl)



## GLIWICE

**MUZEUM W GLIWICACH**  
WILLA CARO  
ul. Dolnych Wałów 8a  
tel. 231-08-54

**ZAMEK PIASTOWSKI**  
ul. Pod Murami 2  
tel. 231-44-94  
[www.muzeum.gliwice.pl](http://www.muzeum.gliwice.pl)

## JANÓW

**SAMORZĄDOWY  
OŚRODEK KULTURY**  
[www.janow.pl/imprezy](http://www.janow.pl/imprezy)

## KATOWICE

**GALERIA SZTUKI  
WSPÓŁCZESNEJ BWA**  
al. Korfantego 6, tel. 259-90-40  
[www.bwa.katowice.pl](http://www.bwa.katowice.pl)

**GÓRNOŚLĄSKIE  
CENTRUM  
KULTURY**  
pl. Sejmu Śląskiego 2,  
tel. 255-43-69  
[www.gck.org.org.pl](http://www.gck.org.pl)

**GALERIA „SZYB WILSON”**  
ul. Oswodzenia 1  
tel. 730-32-20

**MUZEUM  
ARCHIDIECEZJALNE**  
ul. Wita Stwosza 16  
tel. 608-15-24

**MUZEUM ŚLĄSKIE**  
al. Korfantego 3,  
tel. 258-56-61 do 63  
[www.muzeumslaskie.art.pl](http://www.muzeumslaskie.art.pl)

**MUZEUM HISTORII  
KATOWIC**  
ul. ks. Szafranka 9,  
tel. 256-21-34  
[mhk.katowice.pl](http://mhk.katowice.pl)

**TEATR KOREZ**  
Górnośląskie  
Centrum Kultury  
pl. Sejmu Śląskiego 2,  
tel. 209-00-88  
[www.korez.art.pl](http://www.korez.art.pl)

ekspozycja archeologiczna,  
historyczne mapy Śląska,  
dawne wizerunki zamku;  
poziom I – pomieszczenie straży  
– rekonstrukcja ryglowego  
systemu zamykania bramy  
poziom II i III (pomieszczenia  
mieszkalne i gospodarcze)  
– wystawa stała:  
**Kafle z zamku w Chudowie  
XV-XIX w.**  
poziom IV  
– rekonstrukcja XVI-wiecznego  
pomieszczenia mieszkalnego,  
jedyne na Śląsku wykusz  
latrynowy

### CIESZYN

**MUZEUM ŚLĄSKA  
CIESZYŃSKIEGO  
GALERIA**  
**Cieszyn przed stu laty**  
– Manewry cesarskie 1906  
czynna do października

### CZĘSTOCHOWA

**MUZEUM  
CZĘSTOCHOWSKIE  
RATUSZ**  
**Portrety wielkich Polaków**  
wystawa ze zbiorów Zamku  
Królewskiego w Warszawie



czynna do września

**Malarstwo współczesne**  
ze zbiorów Regionalnego  
Towarzystwa Zachęty  
Sztuk Pięknych  
w Częstochowie  
czynna do 15 lipca  
**1966 Milenium kontra  
1000-lecie**  
wystawa z Instytutu Pamięci  
Narodowej w Katowicach  
czynna do końca lipca

**Lwów**  
na fotografiach  
**Adama Lenkiewicza**  
czynna do końca lipca

**Benedykt XVI w obiektywie**  
częstochochowskich fotoreporterów  
wystawa fotograficzna  
czynna do 15 sierpnia

**ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA**  
**Malarstwo na szkło z Podhala**  
wystawa ze zbiorów  
Muzeum Tatrzańskiego  
im. T. Chałubińskiego  
w Zakopanem  
czynna do września

**PAŁAC ŚLUBÓW**  
**Nauki dawne i niedawne**  
wystawa ze zbiorów Muzeum  
„Collegium Maius”  
Uniwersytetu Jagiellońskiego  
w Krakowie  
czynna do sierpnia

**REZERWAT  
ARCHEOLOGICZNY  
Cmentarzyska  
kultury łużyckiej**  
Zbiory Muzeum  
Częstochowskiego  
wystawa fotograficzna,  
przedstawiająca Rezerwat  
Archeologiczny od czasów  
jego powstania

**WILLA GENERALSKA**  
**Przez poznanie Ojczyzny  
do jej umiłowania...**  
wystawa zorganizowana  
z okazji stulecia  
polskiego krajoznawstwa  
czynna do września

**MUZEUM ZDZIŚŁAWA  
BEKSIŃSKIEGO**  
**Malarstwo z kolekcji Anny  
i Piotra Dmochowskich**  
Wystawa stała (w czasie trwania  
wystaw czasowych) obejmuje  
50 obrazów oraz rysunki z ko-  
lekcji Anny i Piotra Dmochow-  
skich. Integralną częścią wysta-  
wy są dwa stanowiska audiowi-  
zualne: Videodziennik, przy któ-  
rym można oglądać Beksińskie-  
go przy pracy oraz Videoalbum -  
stanowisko będące swoistym po-  
szerzeniem przestrzeni wystawy  
o obrazy na niej nieobecne, lecz  
prezentowane na ekranie.

### GLIWICE

**MUZEUM  
WILLA CARO**  
**Gliwice 45-56**  
**Polityka i życie społeczne**  
Unikalne fotografie z lat 40.  
i 50., w większości przypadków  
pokazane po raz pierwszy a tak-  
że sztandary, plakaty, obwiesz-  
czenia, druki ulotne i sztuka so-  
crealistyczna.  
Wystawie towarzyszy publika-  
cja:

*Pierwsza dekada.*  
*Gliwice 1945-1956.*  
czynna do 31 sierpnia

**ZAMEK PIASTOWSKI**  
**Gliwice 45-56**  
**Życie codzienne.**  
**Kultura i rozrywka**  
czynna do 17 września

**ODDZIAŁ ODLEWNICTWA  
ARTYSTYCZNEGO**  
do 15 sierpnia  
**V Przegląd Plastycznej Twórczości Dzieci i Młodzieży**  
wystawa prac

**MUZEUM HISTORII RADIA  
I SZTUKI MEDIÓW**  
**RADIOSTACJA GLIWICE**  
**Multimedia konspiracy**  
**czyli z raklą na czołgi**  
czynna do 31 sierpnia

### KATOWICE

**MUZEUM  
ARCHIDIECEZJALNE**  
**GALERIA SZTUKI  
WSPÓŁCZESNEJ**  
**FRA ANGELICO**  
**Krzysztof Kula**  
**Polityk 2006**  
wystawa towarzysząca  
Międzynarodowemu Triennale  
Grafiki Kraków 2006  
czynna do 9 lipca

**MUZEUM ŚLĄSKIE**  
11.7. wtorek  
**wzniesienie ekspozycji**  
**85. rocznica Plebiscytu**  
**na Górnym Śląsku**  
**oraz III Powstania Śląskiego**  
czynna do sierpnia

**Śladami Stasia i Nel**  
czynna do sierpnia

6.7. czwartek  
**Marcin Luter – Reformator**  
czynna do 18 lipca

**Dziki lud sądzi,**  
**że nie ma życia bez wojny**  
**Ryszard Grzyb**  
**malarstwo 1980-2005**



*Niech muchy dostaną swoją ofiarę.*  
1985

czynna do sierpnia

**Przemysł śląski**  
**w produkcji zbrojeniowej**  
**XIX i XX wieku**  
czynna do sierpnia

**Barbara Frankiewicz,**  
**Agnieszka Opala**  
**malarstwo**

**Barbara Frankiewicz** – naj-  
ważniejszą inspiracją dla artyst-  
ki jest natura. Z obrazów emanu-  
je ciepło, spokój, uderza subtel-  
ność barw, gra kolorów.

**Agnieszka Opala** – obrazy ar-  
tystki są pogodne, pełne nasycy-  
onych kolorów, tchną optymiz-  
mem i bajkową aurą.  
czynna do sierpnia

**GALERIA SZTUKI  
POGRANICZE**

**Między chaosem a kosmosem**  
twórczość plastyczna rodziny  
Holeszów

Obrazy Ludwika Holesza, jego żony Agnieszki, córki Weroniki Holesz-Kurzydym i jej syna Karola Kurzydyma, to bohaterowie najnowszej wystawy twórczości artystów nieprofesjonalnych prezentowanej w Muzeum Śląskim w Katowicach. Rodzina Holeszów pochodzi ze Świerklan Dolnych, wsi położonej nieopodal Rybnika w województwie śląskim. Jej artystyczną karierę zapoczątkował Ludwik Holesz (1921-1999), na co dzień pracujący jako górniczy cieśla. Do namalowania pierwszych prac, na początku lat 50-tych, skłoniła go chęć ozdobienia własnego, nowo wybudowanego domu. W 1987 roku Ludwik i Agnieszka Holeszowie uruchomili w swoim domu w Świerklanach Dolnych rodzinną galerię sztuki, która cieszy się dużym zainteresowaniem zwiedzających, także spoza kraju.

czynna do września

**MUZEUM HISTORII  
KATOWIC**

**Nastroje natury.**  
**Pejzaż w twórczości polskich**  
**monachijczyków**  
w II połowie XIX wieku  
m.in. M. Gieryski  
J. Chelmoński,  
A. Wierusz-Kowalski,  
S. Witkiewicz



A. Wierusz-Kowalski

oraz prace małych mistrzów polskiego pejzażu, często niesłusznie zapomnianych, m.in.:

R. Kochanowskiego,  
Z. Sidorowicza,  
L. Benedyktowicza,  
W. Maleckiego,  
A. Kozakiewicza,  
A. Świeszewskiego i F. Streitta  
czynna do końca lipca

**RACIBÓRZ**

**MUZEUM W RACIBORZU**

**Tadeusz Michał Siara**  
**grafika**

czynna do sierpnia

14.7. piątek

**Zabytki w Muzeum**  
**w Raciborzu po konserwacji**  
czynna do sierpnia

**RYBNIK**

**MUZEUM**

**100 lat kościoła**  
**pw. św. Antoniego Padewskiego**  
**w Rybniku**  
czynna do września

**SOSNOWIEC**

**MUZEUM**

wystawa pokonkursowa  
**Jan Paweł II**  
**Pielgrzym Świata**  
czynna do końca sierpnia

**Komarom**

**na dawnej widokówce**  
ze zbiorów Muzeum Komarom,  
Republika Węgierska  
czynna do końca sierpnia  
4.7, 6.7, 11.7, 13.7, 18.7  
godz. 12.00-14.00  
**Warsztaty plastyczne**  
**Małe formy artystyczne**  
**dla dzieci i młodzieży**

**TYCHY**

**MUZEUM MIEJSKIE**

**Ulice, place, domy... Tychy**  
**i ziemia pszczyńska na dawnej**  
**pocztówce**

Około 300 pocztówek z końca XIX wieku i pierwszej połowy XX wieku, pokazujących Tychy, Mikołów, Pszczynę, Bieruń, Łędziny, Bojszowy, Goczałkowice, Orzesze, Łaziska, Murcki i inne miejscowości. Aranżację wystawy wzbogacają takie obiekty zabytkowe, charakterystyczne dla scenerii dawnych ulic, jak skrzynka na listy z początku XX wieku, motocykl z lat międzywojennych, rower i inne.  
czynna do końca października

**TYSKIE MUZEUM  
PIWOWARSTWA**

w każdy piątkowy i sobotni  
wieczór do końca sierpnia  
**Wakacje z duchami**

**czyli zobacz browar nocą!**

Stary książę witający gości w swoim browarze, blask latarni oświetlający zabytkowe budynki, dźwięki harmonii i muzyki Telemanna oraz opowieści starego piwowara. To tylko niektóre z atrakcji czekających na uczestników nocnego zwiedzania browaru w Tychach. Oprócz spaceru przez nocny Browar goście będą mieli okazję zwiedzić jedyne w Polsce Tyskie Muzeum Piwowarstwa, a następnie napić się piwa przy dźwiękach starego jazzu w pubie w podziemiach, oglądając wizerunki Browaru sprzed wieku. Zwiedzających wita Klucznik, który przez kolejne kilkadziesiąt minut będzie prowadził gości wśród zabytkowych budynków Browaru Książęcego. Goście z latarniami ruszają na teren

Browaru gdzie czekać na nich będzie szereg tajemniczych postaci, ściśle związanych z dawnymi dziejami tego zakładu. W zabytkowej warzelni spotkać można będzie Starego Piwowara, który wtajemniczy gości w tajniki piwowarskiego kunsztu, dzieląc się przy tym wieloma anegdotami. Będzie jeszcze... to pozostawmy na razie tajemnicą, dość rzec, że kawalkada browarowych duchów wyjdzie gościom na spotkanie.

**USTRÓŃ**

**MUZEUM**

**USTRÓŃSKIE**

**IM. JANA JAROCKIEGO**  
Ustrońska Galeria Sztuki  
Współczesnej B. & K. Heczko  
**wystawa i sprzedaż**  
**prac ustróńskich twórców**

**Wystawa etnograficzna**  
ze zbiorów własnych  
Muzeum Ustrońskiego

**Zabawki ludowe**

**Skansen kuźniczy i sprzętów**  
**gospodarskich**

**MUZEUM USTRÓŃSKIE**  
**ODDZIAŁ ZBIORY**  
**MARII SKALICKIEJ**  
**Ekspozycja prac wybitnych**  
**polskich twórców**  
P. Stellera, J. Wałacha,  
S. Jaworskiego,  
L. Konarzewskiego, M. Siary  
i innych

**Kolekcja medali**

**Zbiór exlibrisów**

**Walka o niepodległość**  
**podczas II wojny światowej**

**Starodruki,**  
**druki bibliofilskie**  
cenny zbiór książek  
„Cieszyniana”

**ZABRZE**

**MUZEUM MIEJSKIE**

**Wiś w malarstwie**  
ze zbiorów  
Muzeum Okręgowego  
w Lesznie  
czynna do 17 września

**Dawne widoki Zabrze**  
ze zbiorów własnych  
Muzeum  
czynna do 17 września

**GALERIA POD MUZEUM**

1.7. sobota

**Penetracje strukturalne**  
**grafika**  
**Marka Marciniaka**  
czynna do 31 sierpnia

**ESTRADA ŚLĄSKA**

ul. T. Kościuszki 88/90  
tel. 251-93-38  
[www.estradaslaska.pl](http://www.estradaslaska.pl)

**BIBLIOTEKA ŚLĄSKA**

pl. Europy 1  
tel. 208-37-00  
[www.bs.katowice.pl](http://www.bs.katowice.pl)

**MIEJSKA  
BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA**

ul. Kossutha 11  
tel. 254-60-98  
[www.mbp.katowice.pl](http://www.mbp.katowice.pl)

**KOSZĘCIN**

**ZESPÓŁ**  
**PIEŚNI I TAŃCA**  
**ŚLĄSK**  
im. Stanisława Hadyny  
ul. Zamkowa 3,  
tel. 034 357-63-40  
[www.slask.art.pl](http://www.slask.art.pl)

**MAKÓW PODHALAŃSKI**

**CENTRUM KULTURY,**  
**PROMOCJI,**  
**TURYSTYKI I SPORTU**  
ul. T. Kościuszki 5  
tel. 033 877-18-03  
[www.makow-podhalanski.um.pl](http://www.makow-podhalanski.um.pl)

**MIKOŁÓW**

**MIEJSKI**  
**DOM KULTURY**  
Rynek 19  
tel./fax 226-21-47  
[www.mikolow.um.gov.pl](http://www.mikolow.um.gov.pl)

**OŚWIĘCIM**

**OŚWIĘCIMSKIE**  
**CENTRUM KULTURY**  
ul. Śniadeckiego 24  
tel./fax 033 842-25-75  
[www.ock.org.pl](http://www.ock.org.pl)

**PODZAMCZE**

**ZAMEK**  
**OGRODZIENIECKI**  
tel. 673-22-85  
[www.podzamcze.pl](http://www.podzamcze.pl)  
[www.jura.art.pl](http://www.jura.art.pl)



## PSZCZYNA

### PSZCZYŃSKIE CENTRUM KULTURY

ul. Piastowska 1  
tel./fax 210-45-51  
[www.pszczyna.bip.info.pl](http://www.pszczyna.bip.info.pl)

## RACIBÓRZ

### MUZEUM W RACIBORZU

ul. Rzeźnicza 15,  
tel. 415-49-01  
[www.muzeum.raciborz.pl](http://www.muzeum.raciborz.pl)

## RYBNIK

### MUZEUM W RYBNIKU

ul. Rynek 18,  
tel. 422-14-23  
[www.muzeum.rybnik.pl](http://www.muzeum.rybnik.pl)

## SOSNOWIEC

### SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI ZAMEK SIELECKI

ul. Zamkowa 2, tel. 297-90-76  
[www.zameksielecki.pl](http://www.zameksielecki.pl)

### MUZEUM W SOSNOWCU

ul. Chemiczna 12,  
tel. 363-16-70  
[www.muzeum.sosnowiec.pl](http://www.muzeum.sosnowiec.pl)

## SZCZYRK

### MIEJSKI OŚRODEK KULTURY, PROMOCJI, TURYSTYKI I INFORMACJI

ul. Myśliwska 34  
tel./fax 033 817-86-36

## TYCHY

### MUZEUM MIEJSKIE

ul. Katowicka 9, tel. 327-18-20

### TYSKIE MUZEUM PIWOWARSTWA

ul. Katowicka 9  
[www.TYCHY.prv.pl](http://www.TYCHY.prv.pl)

## USTRÓŃ

### MUZEUM USTRÓŃSKIE

ul. Hutnicza 3  
tel. 033 854-29-96

EKSPOZYCJA  
W HOTELU DIAMENT  
Za Polską czy za Niemcami.  
Zabrze w okresie plebiscytu  
czynna do 31 sierpnia

### ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE  
4.7. wtorek, godz. 17.00  
wernisaż  
230 lat

Kurkowego Bractwa  
Strzeleckiego w Żorach  
czynna do 31 sierpnia

27.7. czwartek, godz. 18.00  
Wakacyjny kurs fotograficzny

1.7. sobota, godz. 20.30  
hala namiotowa  
obok Hali Widowiskowej  
MOSiR

Szlakiem afrykańskich barów  
prezentacja multimedialna  
Muzeum Miejskiego

*Anonimowy darczyńca.  
Poszukiwany sztandar  
odnaleziony!*

*Do siedziby Muzeum Miejskiego  
w Żorach zgłosił się młody mę-  
czyzna i nie stawiając żadnych  
warunków finansowych przeka-  
zał Muzeum sztandar znajdują-  
cej się w stanie likwidacji miej-*



Pracownik muzeum Jan Delowicz  
prezentuje odnaleziony sztandar.

*scowej Odlewni Żeliwa. Pikante-  
rii dodaje fakt, że ukazujące się  
do tej pory apele i anonasy pras-  
owe w sprawie sztandaru prze-  
chodziły bez echa i kiedy wyda-  
wało się, że bezcenna dla historii  
miasta pamiątka przepadła na  
zawsze, do drzwi muzeum zapu-  
kał anonimowy darczyńca.*

GALERIA POD CHMURKĄ  
Rynek  
1.7. sobota,  
wystawa  
prac fotograficznych  
Andrzeja Żabki

30.7. niedziela  
wystawa  
prac fotograficznych  
Dariusza Cebuli

MUZEUM

## BYTOM

### ŚLĄSKI TEATR TAŃCA XIII Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej

2.7.-15.7.  
Festiwal Sztuki Tanecznej  
szczegółowy program na  
[www.stt.art.pl](http://www.stt.art.pl)

2.7.-15.7.  
godz. 10.00-12.00  
Warsztaty taneczne

10.7.-14.7.  
godz. 10.00-12.00  
Warsztaty menedżerów sztuki

3.7.-14.7.  
godz. 10.00-12.00  
Międzynarodowe seminarium  
krytyków i historyków tańca

3.7.-14.7.  
godz. 10.00-12.00  
Warsztaty pisania o tańcu  
Oferta warsztatowa kierowana  
jest do osób zainteresowanych  
pisaniami o tańcu (studentów fi-  
lologii polskiej, dziennikarstwa,  
podyplomowych studiów dzien-  
nikarskich, teatrologii). Celem  
warsztatów dziennikarskich jest  
kształcenie osób, które w przy-  
szłości podejmą tematykę tańca  
w publikacjach z wykorzysta-  
niem różnych gatunków dzienni-  
karskich. W trakcie festiwalu re-  
dagowana jest gazeta festiwalowa,  
zamieszczona w niej artyku-  
ły będą efektem prowadzonych  
warsztatów dziennikarskich.

3.7.-15.7.  
godz. 10.00-12.00  
Warsztaty fotografii tańca  
Celem warsztatów fotograficz-  
nych jest kształcenie fotografów  
dla potrzeb promocji tańca,  
a także zainteresowanie artystów  
fotografików tematyką taneczną.

3.7.-14.7.  
godz. 10.00-12.00  
Projekty społeczne  
VIII Międzynarodowe  
Warsztaty Tańca Integracyjnego  
dla osób poruszających się  
na wózkach inwalidzkich

3.7.-14.7.  
godz. 10.00-12.00  
Warsztaty  
Terapii przez Ruch

3.7.-14.7.  
godz. 10.00-12.00  
Seniormovement  
taniec III generacji  
Warsztaty tańca współczesnego  
adresowane do osób starszych  
mające na celu integrację inter-

personalną oraz ćwiczenia twór-  
cze zmierzające do wyłonienia  
grupy wchodzącej w zakres dłu-  
gofalowej współpracy w celu  
stworzenia międzynarodowego  
spektaklu.  
Charakter warsztatów: zajęcia  
otwarte zachęcające osoby star-  
szego pokolenia do aktywności  
społecznej w pracy twórczej.

**Taneczne Lato**  
warsztaty tańca dla dzieci  
i młodzieży spędzającej lato  
w mieście

3.7.-7.7.  
**Mała Konferencja Tańca**  
warsztaty dla dzieci w wieku  
7-12 lat, 3 techniki dziennie,  
w programie:  
taniec współczesny, hip-hop,  
taniec chiński

### CHORZÓW TEATR ROZRYWKI

9. WAKACYJNY PRZEGLĄD  
PRZEDSTAWIEŃ  
TEATR POLONIA  
W WARSZAWIE

21.7. piątek, godz. 19.00  
**Darkroom**  
scenariusz i reżyseria  
Przemysław Wojcieszek



wystąpią: Maria Seweryn,  
Arkadiusz Janiczek,  
Jerzy Łapiński, Rafał Mohr,  
Karol Wróblewski

22.7. sobota, godz. 19.00  
**Badania terenowe  
nad ukraińskim seksem**  
adaptacja i reżyseria  
Małgorzata Szumowska



wystąpi Katarzyna Figura

23.7. niedziela, godz. 19.00  
**Stefcia Ćwiek**  
w szponach życia  
adaptacja i reżyseria  
Krystyna Janda  
wystąpią: Agnieszka Krukówna,  
Zofia Merle, Violetta Arlak,  
Michał Piela

TEATRY

24.7. poniedziałek, godz. 19.00  
**Ucho, gardło, nóż**  
adaptacja i reżyseria  
Krystyna Janda



wystąpi Krystyna Janda

25.7. wtorek, godz. 19.00  
**Shirley Valentine**  
reżyseria Maciej Wojtyśzko  
wystąpi Krystyna Janda

26.7. środa, godz. 19.00  
**Skok z wysokości**  
opracowanie i reżyseria  
Krystyna Janda  
wystąpi Krystyna Janda

**KATOWICE**  
**GÓRNOŚLĄSKIE**  
**CENTRUM KULTURY**  
Teatr Korez  
VIII LETNI  
**OGRÓD TEATRALNY**  
1.7. sobota, godz. 21.00  
**INAUGURACJA**  
**Bianka Braselli, kobieta**  
**o dwóch głowach**  
J. Weis – O. Spiśk  
Teatr Tatro (Nitra/SK)

2.7. niedziela, godz. 20.00  
**I wieczór kabaretowy**  
**Limo: „Miasteczko”**  
Jachim Presents: „Benefis”

8.7. sobota, godz. 21.00  
spektakl audio  
**Stolik**  
formacji Karbido  
Hermetyczny Garaż  
we Wrocławiu i GCK Katowice

15.7. sobota, godz. 21.00  
**Wszystko o kobietach**  
Miro Gavran  
Teatr Ludowy w Krakowie

16.7. niedziela, godz. 20.00  
**I wieczór muzyczny**  
**Grupa Meritum**  
wystąpią:  
Paweł Szamburski – klarnet  
Tomasz Bandyra – gitara basowa  
Karol Maśluszczak  
– fortepian elektr.,  
Fender Rhodes  
Roman Ślefarski – perkusja

Marcin Świetlicki  
Cezary Ostrowski  
**Czółgaj się**  
Marcin Świetlicki  
śpiew, melorecytacje  
Cezary Ostrowski  
elektronika, sampler

22.7. sobota, godz. 21.00  
**Kandyd czyli optymizm**  
Wolter  
Teatr Baj Pomorski w Toruniu

23.7. niedziela, godz. 20.00  
**II wieczór muzyczny**  
**Yass Ensemble**  
wystąpią:  
Tymon Tymański – gitara  
Antoni Ziut Gralak  
– trąbka, tuba  
Marcin Ślusarczyk  
– saksofon altowy  
i barytonowy  
Wojtek Mazolewski  
– gitara basowa  
Kuba Staruszkiewicz – perkusja

29.7. sobota, godz. 21.00  
**Architekt i Cesarz Asyrii**  
wg F. Arrabala  
Stowarzyszenie  
Teatralne Bado

30.7. niedziela, godz. 20.00  
**II wieczór kabaretowy**  
**TZDS:**  
**„Kim jest człowiek-lampa?”**  
Grzegorz Halama Oklasky:



„wyglupy przez duże W”

**LETNIA GRZĄDKA**  
**TEATRALNA**  
2.7. niedziela, godz. 16.00  
**Siała baba mak**  
Krystyna Milobędzka



Teatr Lalek Białaluka  
w Bielsku-Białej

9.7. niedziela, godz. 16.00  
**Wrażliwość**  
na motywach „Stokrotki”  
J.C.H. Andersena



Teatr CoNieco w Białymstoku

16.7. niedziela, godz. 16.00  
**Sznurkowe skrzaty**  
J. Łabacz, P. Pelczar  
Teatr Wielkie Koło w Będzinie

23.7. niedziela, godz. 16.00  
**Pinokio**  
Carlo Collodi  
Teatr Baj Pomorski w Toruniu

30.7. niedziela, godz. 16.00  
**Baśń o Rycerzu bez Konia**  
Marta Guśniewska



Teatr Animacji w Poznaniu

**ESTRADA ŚLĄSKA**  
**Wakacje z „Estradą Śląską”**  
amfiteatr w Parku  
im. T. Kościuszki

4.7. wtorek, godz. 11.00  
**Mydło i witaminy**  
program estradowy  
w wykonaniu  
„Lesia Truskawka”  
i „Ewy Rzędzkiej”

godz. 12.00  
**Pchła szachrajka**  
spektakl w wykonaniu aktorów  
Teatru Rozrywki w Chorzowie

11.7. wtorek, godz. 11.00  
**Kot w butach**  
spektakl w wykonaniu  
Autorskiego  
Teatru Młodego Widza

godz. 12.00  
**Czarnoksiężnik z Krainy Oz**  
spektakl w wykonaniu aktorów  
krakowskich

18.7. wtorek, godz. 11.00  
**Kabarecik klauna Tirulka**  
program estradowy  
w wykonaniu DUO FIX

godz. 12.00  
**Pieskie życie**  
spektakl w wykonaniu Teatru  
Wit-Wit z Gliwic

25.7. wtorek, godz. 11.00  
**Była Babuleńka**  
spektakl Teatru DiM z Katowic

godz. 12.00  
**To nie żarty, czyli ostrożność**  
**nigdy nie zawadzi**  
program edukacyjno-teatralny  
w wykonaniu Teatru Nie-Wiel-  
ki Pompon z Bąblem z Opola.

Oddział  
**Zbiory Marii Skalickiej**  
ul. 3 Maja 68  
tel. 854-29-96

**MUZEUM**  
**REGIONALNE**  
**„STARA ZAGRODA”**  
ul. Ogrodowa 1  
tel. 033 854-31-08  
[www.ustron.pl](http://www.ustron.pl)

## WĘGIERSKA GÓRKA

**OŚRODEK**  
**PROMOCJI GMINY**  
**WĘGIERSKA GÓRKA**  
ul. Zielona 43  
tel. 033 864-21-87  
[www.wegierska-gorka.pl](http://www.wegierska-gorka.pl)

## WISŁA

**WIŚLAŃSKIE**  
**CENTRUM KULTURY**  
**I INFORMACJI**  
pl. B. Hoffa 3  
tel./fax 033 855-29-67  
[www.wisla.pl](http://www.wisla.pl)

## ZABRZE

**DOM**  
**MUZYKI I TAŃCA**  
ul. gen. de Gaulle'a 17  
tel./fax 271-47-17  
[www.dmit.a4.pl](http://www.dmit.a4.pl)

**MUZEUM MIEJSKIE**  
pl. Krakowski 9  
tel. 271-56-89  
[www.muzeum-miejskie-zabrze.pl](http://www.muzeum-miejskie-zabrze.pl)

## ŻORY

**MUZEUM MIEJSKIE**  
**W ŻORACH**  
ul. Dolne Przedmieście 1  
tel. 434-48-82  
[www.muzeum.zory.pl](http://www.muzeum.zory.pl)

## ŻYWIEC

**MIEJSKIE CENTRUM**  
**KULTURY W ŻYWCU**  
al. Wolności 4  
tel. 033 475-11-60  
[www.zywiec.pl](http://www.zywiec.pl)



## GLIWICE

Muzeum  
LETNI OGRÓD WILLI CARO

9.7. niedziela, godz. 12.00

Ogród, Willa Caro

**Południe z Mozartem**

Koncert

Kwartetu Smyczkowego

CON SPIRITO

w programie kwartety  
smyczkowe:

A-dur KV 169 molto allegro,

andante, menuetto, rondo;

B-dur KV 172 allegro spiritoso,

adagio, menuetto, allegro assai;

dwa divertimenta: nr 1 KV 136

oraz nr 3 KV 138

wystąpią:

M. Lulek – skrzypce

P. Wajrak – skrzypce

A. Dumanowska – altówka

M. Mączyński – wiolonczela

## KATOWICE

ESTRADA ŚLĄSKA

Koncerty promenadowe 2006

Od Bacha do Beatlesów

2.7. niedziela, godz. 11.00

**W kręgu sonaty barokowej**

Zespół muzyki dawnej

Il Sospiro

w składzie: S. Klyta – obój

I. Manderla – szpinet

Tomasz Manderla – skrzypce

Łukasz Tudzierz – wiolonczela

w programie: J. S. Bach,

A. Vivaldi, G. P. Telemann,

G. F. Haendel

9.7. niedziela, godz. 11.00

**Divertimento a quattro**

Kwartet „Akademos”

w składzie:

A. Rechlewicz – skrzypce

J. Cogiel – skrzypce

A. Batog – altówka

D. Sobik-Ptok – wiolonczela

w programie: J. Haydn,

S. Moniuszko, W. A. Mozart.

16.7. niedziela, godz. 11.00

**Tańce z czterech stron świata**

Kwartet smyczkowy

„Quattro Stagioni”

w składzie:

M. M. Rogowska – I skrzypce

K. Kucharska – II skrzypce

W. Dudek – wiolonczela

Tomasz Ptak – altówka

w programie: F. Chopin,

J. Strauss, tańce węgierskie,

polskie, czeskie

23.7. niedziela, godz. 11.00

**Przeboje muzyki poważnej**

i rozrywkowej

Chór „Harmonia”

i Mikołowska

Orkiestra Kameralna

pod dyktando Elżbiety Krusz

w programie: W. A. Mozart,

J. S. Bach, A. L. Weber,

The Beatles

30.7. niedziela, godz. 11.00

**Harfa z ogniem**

wystąpi: A. Faber,

w programie: W. Zajączkowski,

A. Faber, S. Kulpowicz,

renesansowe tańce na harfie

## KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA

„ŚLĄSK”

1.7.-2.7.

**ŚWIĘTO ŚLĄSKA 2006**

**Wielki Piknik Artystyczny**

**Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”**

im. Stanisława Hadyny

## OŚWIĘCIM

kościół św. Maksymiliana

**KONCERTY ORGANOWE**

2.7. niedziela, godz. 17.30

**Jordi Vergès Riart**

Barcelona

w programie m.in.:

P. Bruna, A. Soler, C. Bague,

F. M. Bartholdy

9.7. niedziela, godz. 17.30

**Przemysław Kapituła**

Warszawa

w programie m.in.:

L. Boëllmann, J. S. Bach,

J. Pachelbel, A. H. Brewer

16.7. niedziela, godz. 17.30

**Dominik Sprada**

Bielsko-Biała

w programie m.in.:

J. S. Bach, C. Franck,

C.-M. Widor

## PSZCZYNA

PSZCZYŃSKIE

CENTRUM KULTURY

## Festiwal

PSZCZYŃSKIE KONCERTY

PLENEROWE 2006

park

9.7. niedziela, godz. 16.00

**Jazz jest dobry na wszystko**

wystąpi: Formation – IN

Jest to formacja wywodząca się

ze środowiska wydziału Jazzu

i Muzyki Rozrywkowej Akade-

mii Muzycznej w Katowicach.

w programie:

Travells (P. Metheny),

Spain (C. Corea),

Satin Doll (D. Elington),

A Foggy Day (G. Gershwin)

i wiele innych standardów

16.7. niedziela, godz. 16.00

**Przeboje mistrzów**

wystąpi

Trio „Nas-troje”:

Wojciech Barczyński – obój,

prowadzenie koncertu,

Elżbieta Kwas – skrzypce.

Jarosław Kwas – fortepian

Muzyka Mozarta, Beethovena,

Brahmsa ale również kompozy-

torów, którzy jednym czasem

utworem podbili serca meloma-  
nów a także nowe opracowania  
nieco zapomnianych kompozycji  
J. Straussa i oryginalne utwory  
z kategorii pop.

23.7. niedziela, godz. 16.00

**Pamiętajmy o klasyce**

wystąpi

Trio „Piffero”:

Wojciech Barczyński – obój,

prowadzenie koncertu,

Krzysztof Wagstyl – obój,

Jacek Olesik – fagot

Ten koncert poświęcony będzie  
starej dobrej muzyce klasycznej  
w szerokim rozumieniu tego slo-  
wa: utwory mistrzów baroku:  
Bacha, Haendla, Vivaldiego,  
klasycyzmu: Haydna, Mozarta,  
Beethovena, romantyzmu: Schu-  
manna oraz utwory kompozyto-  
rów, których nazwiska nie śniły  
się nawet krytykom muzycznym  
a nawet kompozycje twórców  
anonimowych.

## WĘGIERSKA GÓRKA

8.7. sobota

Szalas pod Baranią

**II Międzynarodowy**

**Konkurs Heligonistów**

Impreza mająca na celu zacho-  
wanie i popularyzację gry na he-  
ligonce oraz przybliżenie trady-  
cyjnych utworów muzycznych  
górali żywieckich, wypoczywa-  
jącym w gminie Węgierska Gór-  
ka turystom.

## ZABRZE

DOM MUZYKI I TAŃCA

**Jubileuszowe muzyczne lato**

1.7. sobota, godz. 20.00

Steffen Möller

8.7. sobota, godz. 20.00

koncert

wystąpią: Trubadurzy

15.7. sobota, godz. 20.00

koncert

wystąpią: Elektryczne Gitary

22.7. sobota, godz. 20.00

koncert

wystąpią: Wanda i Banda

29.7. sobota, godz. 20.00

koncert

wystąpi: Francesco Napoli

## ŻYWIEC

MIEJSKIE

CENTRUM KULTURY

IV LETNIE SPOTKANIA

Z MUZYKĄ KLASYCZNĄ

W DOMKU CHIŃSKIM

**III Koncert**

**Muzyki Kameralnej**

wystąpi Trio stroikowe

w programie: W. A. Mozart,

J. Haydn, L. van Beethoven

## BLACHOWNIA

Amfiteatr

1-2.7.

**Powitanie lata**

Piknik rodzinny, któremu towa-  
rzyszyć będzie Jarmark Jurajski  
stoiska handlowe, informacyjne,  
itp. giełda staroci, turniej szacho-  
wy, place zabaw dla dzieci, po-  
kaz sprzętu i akcji Państwowej  
Straży Pożarnej w Częstochowie,  
koncert zespołu Chrzęszcze.

2.7. niedziela

**Koncert laureatów Jurajskiego**

**Grania – Freeks, 69**

## GLIWICE

Muzeum

LETNI OGRÓD WILLI CARO

21.7. piątek, godz. 20.30

Ogród, Willa Caro

**Joanna Szczepkowska**

**kontra fortepian**



Wieczór z piosenkami  
i monologami

Muzykę do piosenek napisali  
m.in. Grzegorz Turnau, Andrzej  
Żarycki i Janusz Bogacki. Na  
fortepianie gra Michał Salamon.  
Aktorka w intymnej, trochę klu-  
bowej atmosferze, wcielając się  
w różne postaci opowiada i śpie-  
wa o życiu od, jak sama mówi,  
dzieciństwa przez starość po ży-  
cie pozagrobowe. Klimat dobrej  
zabawy przeplata się z głęboką  
refleksją... porusza ludzkie spra-  
wy, czasem codzienne, czasem  
wielkie namiętności.

## JANÓW

ZŁOTY POTOK

1-2 lipca

**Sportowe lato**

**nad Amerykanem**

13 – 16 lipca

blonia

**VIII Jurajskie Lato Filmowe**

Plenerowe, bezpłatne projekcje

filmów komediowych,

spotkania z gwiazdami

polskiego kina,

limuzyny i szampan,

koncert muzyki filmowej,

konkurs malarski dla dzieci,

filmowy,

występy zespołów góralskich

i cygańskich,

spotkania z piosenką aktorską,

arie operetkowe, jazdy konne,

gastronomia i piwo...

**KATOWICE****BIBLIOTEKA ŚLĄSKA**

Dobiegła końca VII edycja spotkań w Klubie Dobrej Książki w Bibliotece Śląskiej, do końca lipca, można głosować na jedną z dziewięciu nominowanych do nagrody

**Śląskiego Wawrzynu****Literackiego**

książek. Karty do głosowania znajdują się w Holu Głównym Biblioteki Śląskiej

nominacje:

**Z pamięci**

Marii Iwaszkiewicz

Paw Królowej

Doroty Masłowskiej

Pamięć i tożsamość

Jana Pawła II

Warunek

Eustachego Rybskiego

Szewski poniedziałek

Bogusława Kierca

Woloka

Mariusza Wilka

Dwukropek

Wisławy Szymborskiej

Anteny

Adama Zagajewskiego

Supliki

Urszuli Koziol

**MIEJSKA BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA**

lipiec – sierpień

zaproszenie dla dzieci

Akcja Lato z Książką

pod hasłem przewodnim

**Doktor Dolittle na wakacjach**

w związku z przypadającą

w 2006 roku 120. rocznicą

urodzin H. Loftinga

**LUBLINIEC**

30.7. niedziela

Amfiteatr Miejski, Park Miejski

**Festiwal Piwa****Piknik Rodzinny**

stoiska prezentacyjno-handlowe

firm z regionu.

place zabaw dla dzieci.

występy zespołów folkowych

**MIKOŁÓW****MIEJSKI DOM KULTURY**

1.7. sobota, godz. 16.00-22.00

Estrada Rynek

**Dni Mikołowa**

w programie m.in.:

benefis Lucjana Czernego

artysty kabaretowego, animatora kultury, dziennikarza, wodzireja, aktora, wykonawcy muzycznego, twórcy audycji radiowej „Gości-niec Śląski” (obecnie radio Pie-kary); współtwórcy między innymi „Śląskich Godów”, „Księgi Rekordów i osobliwości”.

W czasie benefisu wystąpią: Iwona Węgrowska, Magda Durecka, Józef Skrzek, Jerzy Grunwald, Stanisław Wita, Jerzy Cnota, a wieczorem zagra legenda bluesa **Tadeusz Nalepa**

2.7. niedziela, godz. 15.00

Estrada Rynek

**Dni Mikołowa**

w programie m.in.:

gwiazdą wieczoru będzie

**Andrzej Piasek Piaseczny**

a także „tamte prywatki”

Wojciecha Gąsowskiego,

Orkiestra Dęta KWK Bolestaw

Śmiały. Kabaret Masztalcy,

dla najmłodszych widowisko

„Baśniowy Czarodziej”

**OGRODZIENIEC**

9.7. niedziela

**Jurajskie Śpiewanie**

Prezentacja zespołów

folklorystycznych

15.7. sobota

**Piknik Rodzinny**

koncert zespołu Big Cyc,

pokazy w wykonaniu bractw

rycerskich, stoiska handlowe,

loty balonem,

place zabaw dla dzieci,

pokaz akcji ratunkowej

w wykonaniu

Jurajskiej Grupy GPR,

pokaz fajerwerków

21.7.-22.7.

**III Soundtropolis**

koncerty gwiazd

muzyki elektronicznej

28.7.-30.7.

Gospodarstwo

Hippiczo-Hodowlane

„Koniczyny”

w Przemyłowicach-Kotysowie

k. Olsztyna

**Woltyżerka w „Koniczynach”**

**OLSZTYN**

1.7. sobota, godz. 18.00

u podnóża ruin zamku

**IX Międzynarodowe Spotkania**

Folklorystyczne

Z daleka i bliska

wystąpią zespoły

z Serbii, Ukrainy, Słowacji,

Czech i Polski

**WĘGIERSKA GÓRKA**

Pracownia dr. W. Opani

w Żabnicy

2.7.-16.7.

**Wakacyjny Plener Plastyczny**

Uczestnikami są przyszli adepci

sztuki, studenci malarstwa, gra-

fiki, rzeźby. Pomysłodawca, znany architekt, wykładowca WST w Katowicach oraz Politechniki Śląskiej w Gliwicach, dr W. Opania zaprasza także miejscowych rzeźbiarzy celem wymiany doświadczeń. Prace powstałe podczas pleneru można oglądać na łące znajdującej się naprzeciwko pracowni, która stanowi swoistą galerię.

**WISŁA****WIŚLAŃSKIE CENTRUM****KULTURY**

2.7. niedziela

godz. 10.00

**Jest w orkiestrach dętych**

jakaś siła

VI spotkania orkiestr dętych

8.7. sobota

godz. 10.00

**IV Wybory Wiślanki Wakacji**

9.7. niedziela

godz. 10.00

**Wakacyjny Dzieciak Wisły**

13.7. czwartek

godz. 10.00

**XXX Wiślańskie Dni Muzyki**

Organowej

20.7.-23.7.

godz. 10.00

Festiwal życia

28.7. piątek, godz. 10.00

**VI Międzynarodowa**

Konferencja

Europa wielu kultur

**ZAWIERCIE**

9.7. niedziela

**Piknik rodzinny**

place zabaw dla dzieci,

loty balonem, skoki na bunge,

występy zespołów,

pokazy Jurajskiej grupy GPR,

koncert zespołu Chrząszcze.

final MŚ na telebimie,

pokaz fajerwerków

**43. TYDZIEŃ KULTURY**

BESKIDZKIEJ

29 lipca – 6 sierpnia

**ISTEBNA**

29.7.-30.7.

**XII „Festyn Istebniański”****MAKÓW PODHALAŃSKI**

estrada „Makowianka”

soboty i niedziele

o godz. 18.00

dni powszednie o godz. 19.00

koncerty

**OŚWIĘCIM**

estrada obok Oświęcimskiego

Centrum Kultury

codziennie o godz. 18.00

koncerty

**SZCZYZRK**

estrada „Skalite”

niedziele o godz. 17.00,

w pozostałe dni o godz. 18.00

koncerty

30.7. niedziela, godz. 15.00

**Korowód zespołów**

**WISŁA**

Muszla Koncertowa w Parku

Kopczyńskiego

soboty i niedziele

o godz. 17.00,

dni powszednie

o godz. 18.00

koncerty

estrada na placu B. Hoffa

codziennie o godz. 11.00

koncerty

kapel i grup śpiewaczych

29.7. sobota, godz. 16.00

**Korowód zespołów**

**ŻYWIEC**

amfiteatr „Pod Grojcem”

codziennie o godz. 18.00

koncerty

estrada między zamkami

codziennie o godz. 10.00

koncerty

kapel

codziennie godz. 10.00-15.00

**Targi Sztuki Ludowej**

29.7. sobota, godz. 12.00

**Korowód zespołów**

**37. FESTIWAL**

FOLKLORU

GÓRALI POLSKICH

31 lipca – 3 sierpnia

amfiteatr „Pod Grojcem”

codziennie o godz. 18.00

Koncerty

zespółów góralskich

estrada między zamkami

codziennie o godz. 10.00

koncerty

kapel,

grup śpiewaczych i solistów



## Z operą, operetką i baletem

Pierwsze dni czerwca to już tradycyjne spotkania muzyczne w katowickim Parku Kościuszki. Samorząd Miasta Katowice od kilku lat patronuje przedsięwzięciu, które w czerwcowy weekend skupia liczne grono melomanów. A liczba ich rośnie z roku na rok. To już prawdziwe tłumy oblegające widownię w oczekiwaniu na wspaniałe występy artystów z Polski i zagranicy.

Katowickie Spotkania Opery, Baletu i Operetki – bo taka jest nazwa tego cyklu koncertowego, przynosi urozmaicony repertuar – od poważnego po nieco lżejszy, a i dla miłośników baletu nie brakuje propozycji. I niekoniecznie zawsze są to szlagiery muzyki klasycznej, często proponuje się publiczności utwory i dzieła znacznie trudniejsze w odbiorze, wszak publiczność koncertów w Parku Kościuszki to już wyrobieni melomani, od lat biorący udział w wielkim dziele upowszechniania muzyki i edukacji. W tym roku kierownictwo muzyczne nad Katowickimi Spotkaniami sprawował Bogusław Kaczynski, który również wszystkie wieczory prowadził i wygłaszał muzyczne komentarze.

I tak w programie usłyszeć można było „Wesołą wdówkę” Lehara – operetkę cieszącą się niesłabnącą popularnością, z udziałem artystów Opery Śląskiej w Bytomiu Joanny Kściuczyk-Jędrusik i Mirosława Błaszczyka oraz orkiestry pod dyrekcją Tadeusza Serafina. Kolejny wieczór wypełniła opera „Aina” („Etna”) Matteo Musumeci – dzieło mniej znane polskim melomanom – w wykonaniu Narodowego Teatru Morawsko-Sląskiego w Ostrawie. Solistami byli: Mitsuko Mori, Luciano Mastro, Martin Gurbal i inni. Całość muzycznie przygotował Jurij Galatenko.

Trzeci koncert był zarazem zakończeniem sezonu artystycznego Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Śląskiej. W Galowym Koncercie Gwiazd Opery i Operetki pod batutą dyrektora artystycznego Filharmonii Mirosława Jacka Błaszczyka wystąpili: Barbara Baranowska, Iwona Hossa, Leszek Świdziński i Aleksander Teliga.

Prócz Katowickich Spotkań w Parku odbywają się liczne koncerty Promenadowe z udziałem znakomych kameralnych zespołów muzycznych i solistów: w tym roku, w czerwcu koncertowali uczniowie PSM im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, także uczniowie słynnego „Karłowicza” oraz studenci Akademii Muzycznej w Katowicach. Melomanów czekają również koncerty w lipcu i sierpniu, a usłyszą oni muzykę baroku, taliche czterech stron świata, przeboje muzyki poważnej i rozrywkowej, koncert harfowy a także rytmy flamenco, muzykę żydowską. Finałowy koncert będzie miał miejsce 28 sierpnia, a wypełni go koncert Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Zabrzeńskiej pod batutą Sławomira Chrzanowskiego.

WIESŁAWA KONOPELSKA

## KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

### Wymiary nadziei

25 maja w Muzeum Śląskim otwarta została wystawa „Wymiary nadziei”, prezentująca instalacje Philine Joanny Kempf, szkło artystyczne Jerzego Beceli oraz grafiki Adama Romaniuka.

Philine Joanna Kempf to artystka niemiecka, tworzy biżuterię artystyczną, rzeźby i przedmioty z brązu, kamienia, ceramiki, drewna, skóry oraz z samodzielnie czerpanego papieru. Zajmuje się także malarstwem i grafiką.



Adam Romaniuk, grafika cyfrowa.

Jerzy Becela, to absolwent wrocławskiej PWSSP, Wydziału Ceramiki i Szkła. Pracuje jako samodzielny projektant w dziedzinie szkła artystycznego, zajmuje się również grafiką i malarstwem.

Adam Romaniuk jest profesorem ASP w Katowicach, gdzie prowadzi Pracownię Technik Cyfrowych na Wydziale Grafiki Warsztatowej. Uprawia grafikę warsztatową (litografię, serigrafię, grafikę cy-



Jerzy Becela, szkło artystyczne.

frową), grafikę projektową (projektowanie książek, grafikę prasową, plakat).

Wystawę przygotowano po 60 latach od momentu zakończenia II wojny światowej i służy ona budowaniu polsko-niemieckiego pojednania. Muzeum Śląskie w Katowicach jest drugim miejscem, w którym można ją zobaczyć. Pierwsza jej odsłona odbyła się w krypcie kościoła ewangelickiego, tzw. Stadtkirche, w Karlsruhe (Niemcy) w 2005 roku.

### Monroe rozmawia z papieżem

Sukcesem zakończyła się pierwsza wspólna produkcja chorzowskiej Rozrywki i warszawskiego Teatru Polonia Krystyny Jandy. Spektakl „Marilyn i papież. Listy między niebem a piekłem” to adaptacja prozy niemieckiej teolożki Dorothei Kuehl-Martini. Monodram w wykonaniu Ewy Kasprzyk najpierw był grany kilka razy w stolicy, a dopiero potem doczekał się śląskiej premiery – przyjętej zycielwie, choć temat sztuki jest kontrowersyjny. To fikcyjny dialog (tutaj właściwie monolog) między Marilyn Monroe a Janem XXIII. Rzecz o samotności, potrzebie miłości i zrozumienia w świecie komercji, kłamstwa i moralnej przemocy.

Adaptacji dokonał Remigiusz Grzela, wyreżyserowała Marta Ogrodzińska, a scenografię przygotowała Diana Marszałek. O powodzeniu zdecydowała jednak przede wszystkim aktorska dojrzałość i osobowość Ewy Kasprzyk.



Foto: ARC Teatru Rozrywki

### Drewniana architektura Zagłębia

W chorzowskim skansenie otwarta została wystawa ukazująca drewnianą architekturę Zagłębia Dąbrowskiego. Zagłębie Dąbrowskie utożsamiane raczej z przemysłem górnico-hutniczym, zachowało wiele przykładów drewnianej architektury wiejskiej. Wśród tradycyjnej architektury prym wiodą chałupy i stodoły, nieco mniej zachowało się obiektów

### Jednym zdaniem

■ 27 kwietnia br. minister kultury Kazimierz Ujazdowski wręczył Medale Zasłużonych Kulturze Gloria Artis, otrzymali je członkowie dyrekcji Biblioteki Śląskiej w Katowicach: prof. dr hab. Jan Malicki, dyrektor, Magdalena Skóra, zastępca dyrektora do spraw Książnicy, Maria Gutowska, zastępca dyrektora do spraw bibliotek samorządowych, Remigiusz Lis, zastępca dyrektora do spraw technicznych.

■ „Nie wiesz? – zapytaj w bibliotece” – pod takim hasłem w dniach od 8 do 15 maja obchodzono w tym roku w Polsce Tydzień Bibliotek, a Biblioteka Śląska była organizatorem spotkania, podczas którego omawiano współczesne problemy bibliotek województwa Śląskiego i ich działalność.

■ Instalacje Marcina Berdysaka pt. „Narzędzia Kultury” prezentowane były w Galeria Sektor I Górnos Śląskiego Centrum Kultury w Katowicach.

■ W cyklu koncertowym „Muzyka organowa w katedrze” z utworami J. S. Bacha wystąpili organistki Magdalena Rainko i Krzysztof Karcz oraz violoncelista Adam Krzeszowiec.

■ W Muzeum Śląskim otwarto wystawy malarstwa Barbary Frankiewicz i Agnieszki Opali oraz wystawę fotografii „Odniesienia” Elżbiety Dzikowskiej.

■ W Muzeum Historii Katowic z wykładami historycznymi gościli prof. Zbigniew Opacki (Polityka Rosji wobec ziem polskich wcielonych do cesarstwa) oraz prof. Marek K. Kamiński (Stosunki polsko-czeskie w latach 1918-1945).

■ 19 maja w galerii Kronika w Bytomiu odbył się wernisaż grupy „Bad News”.

■ Gościem „Salonu Polityki” w Bibliotece Śląskiej był Tomasz Różycki, poeta, laureat Nagrody im. Kościelskich z 2004 r.

■ „Rafał Wojacek. Nigdy nie otwierać okna” – spektakl muzyczny i literacki dialog w 35. rocznicę śmierci Poety odbył się w ramach cyklu „Góry Śląsk – świat najmniejszej”, w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, a uczestnikami byli: Maciej Melecki, Krzysztof Świdyk, Bogusław Kierc oraz Krzysztof Karwat.

■ Rysunki z lat 1993-2005 autorstwa Krzysztofa Kusia pokazała Galeria „Na pograniczu II” Miejskiego Centrum Kultury w Mysłowicach.

■ Wystawę fotografii „Nikisz” Michała Łuczaka można oglądać w galerii Magiel w Katowicach Nikiszowcu.

■ Na wystawie „Komarom na starej pocztówce” ze zbiorów węgierskiego Muzeum w Komarom oraz „Jan Paweł II” zapraszało Muzeum w Sosnowcu.



sakralnych, użyteczności publicznej czy przemysłu ludowego. Niestety, nie zachowało się zbyt wiele drewnianej zabudowy miast i miasteczek. Wyjątkowym przykładem urody dawnych rynków miejskich jest karczma sławkowska. Podróżując po Zagłębiu trafimy na kościoły w Bobrownikach i Cynkowie czy kaplice w Dobrakowie i Ujejcu. Warto wspomnieć że Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie zgromadził trzy zagrody: z Kro-

słone do Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, „Odpoczynek żniwiarzy” wrócił do Katowic i został poddany drobiazgowej konserwacji. W pierwszej kolejności oczyszczono odwrotnie obrazu oraz lico, następnie usunięto zmatowiały werniks. Podobnie jak w przypadku poprzednio konserwowanego „Tkacza” Wacława Szymanowskiego, również tym razem największym wyzwaniem dla konserwatorów



Wincenty Wodzinowski, „Odpoczywający żniwiarze”, ok. 1893.

było zdublowanie dzieła, czyli spojenie go z nowym płótnem. Po krótkiej prezentacji w Muzeum Śląskim obraz powrócił do Łwowskiej Galerii Sztuki.



Spichlerz plebański w Wojkowicach Kościelnych, przeniesiony do GPE.

molowa, Łaz Błędowskich i Strzemieszyc Wielkich oraz spichlerz z Wojkowic Kościelnych. W Okradzionowie nad Przemszą organizowany jest z inicjatywy Muzeum Miejskiego w Dąbrowie Górniczej – skansen drewnianej architektury zagłębiowskiej.

Wystawa przygotowana została z fotografii i rycin nieistniejącej architektury drewnianej jak i zachowanych przykładów dawnej ciesiołki. Materiały ilustracyjne na wystawę użyczyli: Muzeum Zagłębiowskie w Będzinie, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Muzeum Miejskie „Sztęgarka” w Dąbrowie Górniczej, Muzeum Regionalne w Sławkowie, Stowarzyszenie Miłośników Czeladzi. Autorami wystawy są Damian Adamczak i Antoni Kreis.

## Zakończona konserwacja

Pracownia Konserwacji Dziel Sztuki Muzeum Śląskiego ukończyła prace nad obrazem „Odpoczynek żniwiarzy” z ok. 1893 roku, autorstwa Wincentego Wodzinowskiego. Dzieło to jest kolejnym, po „Tkaczu” Wacława Szymanowskiego, wnikliwie zakonserwowanym płótnem ze zbiorów Łwowskiej Galerii Sztuki.

Płótno sprowadzono do Polski we wrześniu ubiegłego roku na wystawę „Brandt... Malczewski... Siemiradzki... Polscy Monarchicy”. Pokazano je w Katowicach oraz podczas szczecińskiej edycji wystawy w Zamku Książąt Pomorskich. Podczas gdy pozostałe prace z ekspozycji pojechały na kolejną od-

## Tydzień Maja Poetyckiego

Od 8 maja br. Instytut Mikołowski zapraszał na Tydzień Maja Poetyckiego. W programie znalazło się spotkanie poetyckie „Poznań w Mikołowie” z poetami śląskimi, promującymi swoje najnowsze tomy wierszy: Bartłojem Majzlem, Zdzisławem Olszańskim, Marją Podgórnik. Uczestnicy Tygodnia spotkali się również z Leszkiem Szarugą – poetą, krytykiem literackim, jurorem XIV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka.

Odkonano również spotkanie autorskie Julii Fiedorczuk – poetki, tłumaczki z angielskiego, autorki dwu tomów wierszy, jurorki konkursu oraz Jerzego Jamniewicza – poety, tłumacza, krytyka literackiego. W tygodniu ogłoszono też wyniki XIV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka.

## O literaturze polsko-ewangelickiej

Polskie Towarzystwo Ewangelickie w Katowicach, Parafia Ewangelicko-Augsburska w Katowicach i Muzeum Śląskie w Katowicach byli organizatorami sesji popularyzatorskiej na temat: „Dzieje literatury polsko-ewangelickiej na Górnym Śląsku”. Sesja odbyła się 10 czerwca 2006 r. w Muzeum Śląskim. W programie znalazły się wystąpienia: prof. dr hab. Grażyny B. Szewczyk (Dorobek literacki ewangelików śląskich XVIII i początku XIX wieku), dr Izabeli Kaczmarzyk (Powinności „człeka chrześcijańskiego” w twórczości Adama Gdaczusza), Mariusza Pawelca: O religijnej twórczości literackiej Piotra Wacheniusa (Wacha). Sesją urozmaicił występ zespołu Camerata Cracovia, który wykonał pieśni do słów Kochanowskiego z kancjonału brzeskiego (1670).

## Zabrzmiało „Ave Maria”

Już po raz siódmy w czeladzkiej świątyni pw. Św. Stanisława BM odbył się Festiwal Ave Maria. Jego dyrektorem artystycznym i jednym z inicjatorów jest Sławomir Pietras.

Tegoroczna edycja festiwalu (koncerty odbywały się także w Będzinie i Sosnowcu) cieszyła się nadzwyczajną frekwencją. Nic dziwnego, bo w programie festiwalu pojawiły się same gwiazdy scen polskich i zagranicznych: Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” ze słynnym Stanisławem Jopkiem, Jacek Wójcicki z repertuarem pieśni włoskich i „Piwnicy pod Baranami”, znakomici wokaliści rodem z Zagłębia: Adam Szerszeń, Małgorzata Olejniczak, Monika Rajewska, Bartosz Urbanowicz. Nieodłączną częścią festiwalu czeladzkiego jest Turniej Tenorów, organizowany z okazji urodzin Jana Kiepury. W tym roku wystąpili: już po raz wtóry nestor sceny polskiej Bogdan Paprocki, Adam Zdunikowski, Sylwester Kostecki, Marek Szymański, Robert Woroniecki, Dymitr Fomenko, Paweł Sobierajski, a towarzyszyła im orkiestra Festiwalu Ave Maria pod dyrekcją Kazimierza Kryży.



Turniej Tenorów to żelazny punkt festiwalu. Na zdjęciu od lewej: Robert Woroniecki, Bogdan Paprocki i Paweł Sobierajski.

Elementy przemysłowe w heraldyce były tematem sesji naukowej zorganizowanej przez Muzeum Śląskie z udziałem wybitnych znawców tematu, m.in. prof. dr. hab. Stefana Kuczyńskiego prezesa Polskiego Towarzystwa Heraldycznego.

W Muzeum Archidiecejalnym odbył się koncert „Dzieci grają Mozarta” zorganizowany przez IPiUM „Silesia” z okazji Roku Mozartowskiego.

Podczas drugiej części Włotynowej Wystawy Kartograficznej, zorganizowanej z okazji 370. rocznicy powstania pomnikowego dzieła kartografii ziemi pszczyńskiej Andreasa Hindenberga z 1636 roku „Mapa Pszczyńskiego Wolnego Państwa Stanowego” przez Andrzeja Złotego, prezesa Bractwa Gospodarczego można było zobaczyć jak wyglądał powiat pszczyński w 1894-5 roku na mapie górniczej Harnischa, w 1827 roku na wojskowej mapie topograficznej ręcznie malowanej i na mapie generalnej księstwa pszczyńskiego z 1863-67 roku.

Koncert dyplomatów Akademii Muzycznej w Katowicach (Magdalena Jakubka – saksofon, Mateusz Konopka – puzon, Paweł Polak – skrzypce, Agnieszka Niewiadomska – śpiew, Tomasz Sadownik – śpiew, Sylwester Targosz – śpiew, Piotr Banasik – fortepian) odbył się w Filharmonii Śląskiej.

19 maja br. Orkiestra Symfoniczna i Chór Filharmonii Śląskiej z solistami: Hanną Banaszak, Elżbietą

Towarnicką, Zbigniewem Wodeckim i Jackiem Wójcickim w katowickiej archikatedrze Chrystusa Króla wykonaniem „Nieszporów Ludźmierskich” Jana Kantego Pawłuskiewicza uczciła rocznicę urodzin Jana Pawła II.

Wystawa „Anepigrafy. Krajobraz znikający” Krzysztofa Hubdasa i Bogusława Hajdy gościła w Galerii Piętro Wyżej katowickiego GCK.

Do końca maja czynna była w galerii „5” GCK wystawa studentów ASP w Katowicach z pracowni rysunku Lesława Tetli i Pawła Mendrka – prace wystawiali: Magdalena Drobczyk, Kamila Miłot, Szymon Kobylarz, Michał Kotula, Annabella Orosz, Wojciech Skrzypiec, Ewelina Tabor, Joanna Zdżienicka, Joanna Sowula i Heather Rothwell.

Prezentacja projektu „Życie i śmierć Williama Blake’a” – esej na głos i kontrabas: tekst Tadeusz Ślawek, muzyka Bogdan Mizerski, sopran Joanna Kściuczka – Jędrusik, drzewo 3d Darek Lezczycy, obrazki Ewa Satalecka, światła i dźwięk Sergiusz Brożek odbyła się na scenie Teatru Korez 24 maja 2006 r.

2 czerwca na scenie Filharmonii Śląskiej Jan Walczyński zaprezentował przeboje Nat King Cole’a, w których wystąpił Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej oraz zespół wokalny Affabre Concinui.

W Kinoteatrze „Rialto” w Katowicach odbył się premierowy pokaz filmu „Dwugłowy smok” opowiadający o architekturze 20-lecia międzywojennego na Górnym Śląsku.

Na scenie Teatru „Ateneum” w Katowicach koncertowali laureaci VIII Międzynarodowego Konkursu Słowiańskiej Muzyki Wokalnej.

Z okazji Dni Polsko-Czeskich IPiUM „Silesia” przygotowała dwa koncerty: „Przeboje muzyki czeskiej” i „Portrety muzyczne – Antonin Dvořák”.

Pastele Zbigniewa Matyska można oglądać w galerii „Na żywo” Radia Katowice.

W Bibliotece Śląskiej odbyła się promocja albumu „Cartographia Silesiae Superioris 1561-1946” oraz otwarcie wystawy reprintów map.

Śląski Teatr Tańca zapraszał na spektakl „Poza światem” w choreografii Jacka Łumińskiego i Dzień Projektów Społecznych czyli prezentację programu realizowanego przez „Młodych Gwiazd” z Bytomia – Bobrka, Integracyjny Teatr Tańca „Kierunek”, podopiecznych Domu Pomocy Społecznej „Republika” i Warsztatów Terapii Zajęciowej w Replach Śląskich.

W Klubie Dobrych Książek Biblioteki Śląskiej odbyła się prezentacja nominowanej do nagrody Śląskiej Wawrzyn Literackiej książki Urszuli Koziół pt. „Suplik”.



## Sprawni niepełnosprawni

Trudno pod Klimczokiem o bardziej wyrazistą i efektywną organizację niż Bielskie Stowarzyszenie Artystyczne Teatr Grodzki, któremu przesługuje znany w Beskidach aktor i animator kultury Jan Chmiel. Jak powiada prezes stowarzyszenia, Teatr Grodzki skupia artystów, pedagogów i animatorów działających na rzecz młodzieży sprawiającej kłopoty wychowawcze, osób uzależnionych od narkotyków i alkoholu, wychowanków domów dziecka i placówek resocjalizujących oraz osób niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo. Animatorzy kultury z Teatru Grodzkiego prowadzą zajęcia z wielu dziedzin sztuki – teatru, plastyki, animacji komputerowej, fotografii itp. Każdego roku organizują pracę i zdobywają fundusze dla 25 grup warsztatowych, w których może uprawiać sztukę około 300 osób szczególnie doświadczonych biedą i cierpieniem. BSA Teatr Grodzki utworzyło ponadto Zakład Aktywności Zawodowej (drukarnię, w której pracuje 40 niepełnosprawnych) i Warsztat Terapii Zajęciowej. Są w nim m. in. pracownice dziennikarstwa, fotografii, artterapii, sztuki użytkowej i mody, z których korzysta 30 osób dotkniętych przez los. Stowarzyszenie prowadzi również działalność wydawniczą. Ostatnio opublikowało książkę pt. „Teatr i terapia” Racheli Molickiej i Marii Schejbal – notabene jednej z najaktywniejszych animatorek stowarzyszenia.

10 czerwca Teatr Grodzki zorganizował cykliczną imprezę – VI Beskidzkie Święto Małych i Dużych, a dzień wcześniej ogólnopolską konferencję: „Sztuka prewencji – prewencja sztuki”. Policjanci z Komendy Głównej Policji pokazali, iż sztuka oraz trening zastępowania agresji pełni ważne funkcje w terapii więźniów i grup zagrożonych deprawacją. Na Święto Małych i Dużych przybyło około 1000 osób. Szczególny powód do radości mieli podopieczni Teatru Grodzkiego. Wystąpiło aż 15 grup warsztatowych prowadzonych przez artystów bielskiego stowarzyszenia (w tym znanego aktora Baniaduki Władysława Aniszewskiego). Jak stwierdziła animatorka z Teatru Grodzkiego Agnieszka Ginko, prezentacja całorocznego dorobku jest dla występujących podczas święta artystów wielkim przeżyciem i kulminacją ich działań. Praca nad spektaklem uczy, jak się powinno pracować. Teatr kojarzą już teraz nie tylko z frywolnością i zabawą, lecz również z ciężką pracą. Sztuka nauczyła ich cierpliwości i odwagi, której im często brakowało nie tylko podczas publicznych występów, lecz również codziennych kontaktów z innymi ludźmi. Podkreślają to szczególnie podopieczni stowarzyszenia, którzy wychowywali się w domu dziecka. Dzięki twórcom z Teatru Grodzkiego ludzie doświadczeni przez życie wzmacniają poczucie własnej wartości. Nawet niepełnosprawni czują się w pełni sprawni.

JAN PICHETA

## BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

### Laury dla bielszczanek

Zespoły z Centrum Wychowania Estetycznego w Bielsku-Białej zdobyły główne nagrody podczas Festiwalu Tańca „Czerwionka-Leszczyzna 2006”, w którym wzięło udział około 80 zespołów ze Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego, Opolszczyzny i Małopolski. 3 czerwca jurorzy festiwalu przyznali pierwszą lokatę w kategorii od 15 do 19 lat zespołowi „Art Dance Senior” Elżbiety Barwickiej. W gronie tancerzy od 12 do 15 roku życia jednym z laureatów pierwszego miejsca został zespół „Flex” prowadzony przez Magdalенę Kajfosh. Wśród tancerzy w wieku od 7 do 11 lat zespół „Art IV” Elżbiety Barwickiej zajął trzecią lokatę. Magdalena Kajfosh została ponadto uhonorowana tytułem choreografa festiwalu.



Zespół Elżbiety Barwickiej

### Dawne obyczaje

Coraz więcej osób dostrzega potrzebę kultywowania dawnych obyczajów. Tak jest także w Bielsku-Białej, gdzie 11 czerwca odbył się po raz drugi Średniowieczny Jarmark Świętojański. Na Zamku Sulkowskich byliśmy świadkami popisów Zespołu Muzyki Dawnej z Państwowej Szkoły Muzycznej w Bielsku-Białej, turnieju rycerskiego, scen historycznych i pokazów rękodzieła. Młodzież mogła zobaczyć warsztaty załudniających średniowieczny gród nad Białą tkaczy, a także garncarzy, bednarzy, szewców, hafciarek, wikliniarzy, platnierzów czy kowali. Jak wyznał jeden z organizatorów imprezy Bogusław Chorąży

z Muzeum w Bielsku-Białej, kolejnym edycjom jarmarku mają towarzyszyć także targ i giełda staroci.

### Worki, czapki i stoły

2 czerwca w Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej zaprezentowano najciekawsze prace w konkursie wzornictwa przemysłowego „Projekt Arting 2006”. Na konkurs nadesłano 36 projektów. Jury pod kierunkiem wiceprezesa Stowarzyszenia Projektantów Form Przemysłowych Pawła Balcerzaka ze względu na wyrównany poziom najciekawszych projektów nie przyznało Grand Prix, lecz trzy równorzędne II nagrody w wysokości 5 tys. zł każda. Otrzymali je: Anita Szymańska i Jarosław Szymański (za projekt płóciennego opakowania chleba dla firmy piekarniczo-cukierniczej w Bielsku-Białej), Marcin Gacek (za projekt wzoru użytkowego kompletu stołowego (stół i krzesła) dla fabryki mebli w Bielsku-Białej) oraz Jacek Dyga (za projekt systemu komunikacji wizualnej Galerii Bielskiej BWA, w tym logo galerii). III nagrodę (3 tys. zł) i nagrodę specjalną (notebook) zdobyła Agnieszka Nowak-Klempińska (za projekt czapki sportowej dla firmy z Bielska-Białej). Wyróżnienia (1,5 tys. oraz tys. zł) przyznano Dariuszowi Czernkowi (za projekt logo Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. w Bielsku-Białej i Beskidzkiego Inkubatora Technologicznego) i Mirosławowi Mikuszewskiemu (za projekt koncepcyjny miejskiego systemu informacji w Bielsku-Białej).

### Najlepsi recenzenci

75 autorów nadesłało prace na konkurs na recenzję teatralną „Recenzja 2006” zorganizowany przez Wydział Kultury UM w Bielsku-Białej. W kategorii uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych I nagrodę otrzymał Paweł Staszek z Bestwinki, II Agnieszka Słobodzian z Jastrzębia Zdroju, a trzecią Mateusz Patera z Bielska-Białej. W gronie uczniów szkół ponadgimnazjalnych I nagrodą uhonorowano Joannę Pruchnicką z Cieszyńska, II – Magdalенę Jeziorek z Jastrzębia Zdroju, trzecimi nagrodami – Bartosza Domiczka z Gliwic i Magdalенę Jeż z Bielska-Białej, a wyróżnieniem – Izabelę Kemparę z Bielska-Białej. W kategorii osób dorosłych I miejsce przyznano Joannie Forys z Bielska-Białej. Wyróżnienia otrzymały: Anna Hazuka z Bielska-Białej i Anna Jakubowska ze Szczyrku.

### Jednym zdaniem

- W maju swe fotografie w Galerii Bielskiej BWA wystawiał Jindrich Sztreit z Czech.
- Bielskie Towarzystwo Muzyki Dawnej im. G. Ph. Telemanna obchodziło dziesięciolecie istnienia.
- 25 maja w Teatrze Polskim wraz z Simply Acoustic Trio zagrał wirtuoz saksofonu z USA Joe Lovano.
- Do końca maja obrazy Michała Kwaśnego z kolekcji Władysława Banacha prezentowano w Książnicy Beskidzkiej.
- Twórca ludowy Józef Hulka z Łękawicy świętował 80 urodziny.

- 5 czerwca w salonie muzycznym Zamku Sulkowskich wystąpiły sopranistka Beata Raszkievicz i pianistka Ewa Bąk.
- 10 i 11 czerwca odbył się w Bielsku-Białej II Festiwal Miał Partnerskich, podczas którego oprócz artystów miejscowych wystąpili soliści i grupy muzyczne, śpiewacze i taneczne z Wiednia, Wolfsburga oraz miejscowości z Czech, Rumunii i Węgier.
- W czerwcu w Śląskim Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie odbyła się „powarsztatowa” wystawa plakatów studentów Instytutu Sztuki w Cieszynie i Uniwersytetu w Ostrawie pt. „Warsztaty pod specjalnym nadzorem”.



## Gaude Mater

Już od szesnastu lat w Częstochowie maj „rozkwita” przede wszystkim muzyką. Dzieje się tak za sprawą Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej Gaude Mater. W koncertach festiwalowych bierze udział blisko tysiąc artystów, a bywały edycje, w których liczba ta została znacznie przekroczona. Nikogo nie trzeba przekonywać, iż impreza ta jest przedsięwzięciem, którego organizacja wymaga nie lada logistycznych umiejętności. Jedynym organizatorem tego niezwykle wydarzenia muzycznego jest Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie, którego dyrektorem, Małgorzata Nowak, kieruje również festiwalem.

Jednym z najważniejszych celów, jaki przyświeca organizatorom w ustalaniu programu festiwalu, jest nie tylko szeroka prezentacja różnorodnych kultur, ale także ukazanie ich duchowej wspólnoty. Tytuł jednego z majowych koncertów – „Chrześcijańskie korzenie Wschodu i Zachodu” – znakomicie oddaje intencje tegorocznej edycji festiwalu. Koncert inauguracyjny odbył się w Bazylice Jasnogórskiej i muzycznie upamiętniał 350. rocznicę Ślubów Króla Jana Kazimierza. W programie znalazło się Oratorium „Śluby Jana Kazimierza” Mieczysława Sołtysa. Pośtać tego lwowskiego kompozytora w naszym kraju obecnie jest zapomniana, a Oratorium w trakcie koncertu jasnogórskiego doczekało się swojego prawykonania w Polsce. Wśród wielu wykonawców tego monumentalnego dzieła muzycznego, obok zespołu „Capella Cracoviensis”, znaleźli się także muzycy z Ukrainy: Wojskowa Orkiestra Dęta Zachodniego Sztabu Dowództwa Operacyjnego oraz Orkiestra Kameralna „Wirtuozii Lwowa”. Całością dyrygował jeden z najbardziej znanych ukraińskich dyrygentów współczesnych – Jurij Luciw.

W trakcie dni festiwalowych rozbrzmiewała także polska muzyka sakralna; stała się ona nawet „bohaterem” jednego dużego koncertu, w programie którego znalazły się dzieła dwóch najwybitniejszych kompozytorów współczesnych: Henryka Mikołaja Góreckiego i Juliusza Łuciuka. Utwory wykonali najznakomitsi artyści polscy z Chórem Polskiego Radia i Polskim Chórem Kameralnym „Schola Cantorum Gedanensis” na czele.

Ważnym wydarzeniem był z pewnością koncert prawykonania sakralnych, w którym swoje nowe kompozycje prezentowali uczestnicy II Międzynarodowego Konkursu Młodych Kompozytorów „Musica Sacra” odbywającego się w ramach Festiwalu Gaude Mater. Okazało się, iż sacrum może stanowić interesujące wyzwanie dla współczesnych kompozytorów. Nie zabrakło także polskiej muzyki dawnej; przypomniany został dorobek siedemnastowiecznego kompozytora ojca Cyryla Gieczyńskiego, którego utwory znajdują się w bogatych zbiorach klasztoru jasnogórskiego. Muzykę Zachodu reprezentował także największy muzyczny geniusz Wolfgang Amadeusz Mozart. W trakcie majowych spotkań w pięknych kościołach częstochowskich rozbrzmiewała również muzyka bizantyjska, ormiańska i cerkiewna. Szczególnie ciepło festiwalowa publiczność przyjęła koncert poświęcony pamięci Jana Pawła II, w którym znani wokaliści jazzowi m.in.: Lora Szafran, Ewa Uryga, Marek Bałata, wykonali pieśni do tekstów naszego Papieża. Należy zaznaczyć, iż program festiwalu nigdy nie ograniczał się wyłącznie do muzyki. Tym razem organizatorzy stworzyli możliwość spotkania się z malarstwem Jerzego Nowosielskiego i teatrem „A” z Gliwic.

ELŻBIETA KOT

## CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

### Zachęta dla Zachęty

Częstochowa jest jedynym miastem, które mimo utraty statusu województwa, realizuje Narodowy Program Kultury Znaki Czasu, wspierający w szczególności sposób sztukę współczesną. Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie działa niezwykle prężnie i aktywnie pod kierunkiem znanego krytyka sztuki Piotra Głowackiego. Choć wciąż Zachęta nie ma stałej siedziby, w której mogłaby organizować swoje przedsięwzięcia artystyczne, odbyło się pod jej szyldem wiele interesujących wystaw.

Dzięki dotacji finansowej Ministerstwa Kultury rozpoczęły się pierwsze zakupy obrazów. Powołano specjalną komisję, która zadecydowała o zakupach dzieł sztuki w ramach programu. I tak powstała już całkiem spora kolekcja sztuki współczesnej w Częstochowie, którą zaprezentowano pod koniec maja w Muzeum Częstochowskim w Ratuszu. W gronie artystów, których prace zakupione zostały w pierwszej transzy, znaleźli się twórcy bardzo blisko związani z Częstochową jak: Wojciech Prażmowski, Janusz Rafał Głowacki, Jarosław Kweclich, Marian Pank, Jacek Łydzba, Jacek Pałucha czy Adam Patrzyk. Jednak zdecydowano kolekcję częstochowską uzupełniać również o prace uznanych artystów z całej Polski. Zachęta posiada już prace Tadeusza Kantora, obrazy Edwarda Dwumnika i Henryka Wańka.

### Spotkanie z książką

Już po raz czwarty zostały odbyły się w Częstochowie Regionalne Dni Książki, zorganizowane przez Miejską Galerię Sztuki, Bibliotekę Publiczną im. Wł. Biegańskiego oraz Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie. W ciągu trzech dni w salach Miejskiej Galerii Sztuki odbyły się spotkania autorskie, promocje książek, wystawy. W programie Dni Książki nie zabrakło także prezentacji literatury w przestrzeni Internetu. Odbyło się spotkanie z Dariuszem Pado, redaktorem popularnego internetowego serwisu poetyckiego. Mateusz Szkop, młody poeta i inicjator wielu działań artystycznych w Częstochowie, zaprezentował „nową estetykę słowa”, ukazując znane hiperteksty, mail art, eboke.

■ W klubie Utopia ze swoim zespołem wystąpił Tymon Tymański.

■ W Muzeum Częstochowskim (Pałac Ślubów) przedstawiono fotografie Sylwii Szczygłowskiej.

■ W galerii Wejściówka (siedziba redakcji „Gazety Wyborczej”) można było obejrzeć najnowsze prace malarstwa Grażyny Lubuskiej.

W ramach programu zdecydowanie dominowała książka tradycyjna. Gośćmi imprezy byli m.in. znany reportażysta – Wojciech Tochman, Grzegorz Kasdepke – autor bajek dla dzieci oraz znany krytyk literacki – Dariusz Nowacki. Spore zainteresowanie wzbudziło spotkanie z młodym prozaikiem Piotrem Czerskim, autorem kontrowersyjnej książki „Ojciec odchodzi”, która opowiada o Polsce żegnającej Jana Pawła II. Na Regionalnych Dniach Książki nie mogło zabraknąć również prezentacji „Częstochowy literackiej”. Odbyła się promocja „Słownika bibliograficznego twórców związanych z Ziemią Częstochowską” i spotkanie z jego autorami: Władysławem E. Piekarskim i Zbigniewem Stańczykiem. Ludmiłą Marjańską, poetkę urodzoną w Częstochowie, wspominali m.in. Andrzej Kalinin, Andrzej Grądzan i Maria Nasińska. Tomasz Sętowski, historyk, autor książek o Częstochowie opowiadał o swoich fascynujących rodzinnym miastem.

Atrakcją dla publiczności była również możliwość obejrzenia procesu tworzenia papieru, który pokazała Czerpalnia Art-Papier z Gliwic. W programie majowych spotkań z książką znalazł się również pokaz filmu „Książę” autorstwa Tomasza Szymy i Andrzeja Baczyńskiego, którego bohaterem był kardynał Adam Sapieha.

### Literatura recytowana

W maju odbył się w Częstochowie XV Ogólnopolski Konkurs Recytatorski „Sacrum w literaturze”. Do finału drogą eliminacji wojewódzkich zakwalifikowano 21 recytatorów oraz 9 uczestników śpiewających poezję. Organizatorami konkursu są: Regionalny Ośrodek Promocji Kultury, Ministerstwo Edukacji i Sportu oraz Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater”. W składzie tegorocznego jury znalazło się m. in. dwoje ludzi silnie związanych z życiem teatralnym Częstochowy: Katarzyna Deszcz i Robert Dorosławski. Laureatką I Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy została Monika Kowalczyk (woj. śląskie), która recytowała fragmenty utworów K. K. Baczyńskiego i T. Nowaka. II Nagrodę zdobył Jarosław Zoń (woj. lubelskie), a III Nagrodę otrzymała Katarzyna Flader (woj. mazowieckie).

„Sacrum w literaturze” stwarza młodym ludziom możliwość nie tyle obcowania z poezją i literaturą, ale przede wszystkim odnajdywania własnej wrażliwości, własnej wizji świata w tekstach literackich. W ramach konkursu odbyły się także warsztaty artystyczne przeznaczane do wszystkich uczestników. Gwiazdą imprezy stał się Jarosław Chojnicki, który był przed laty laureatem konkursu częstochowskiego, a obecnie należy do najciekawszych wokalistów młodego pokolenia śpiewających poezję.

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Częstochowskim (Ratusz) prezentowana była wystawa „1966 – Milenium kontra 1000-lecie”, której eksponatami – dokumenty i fotografie – pochodzą z katowickiego Instytutu Pamięci Narodowej.

■ W Klubie Politechnik odbył się XI Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzystwa.

■ W Teatrze im. A. Mickiewicza odbył się Weekend z Kulturą Żydowską.



## Zgasty światła

Coraz więcej ładnych obrazków na srebrnym ekranie, coraz mniej nowych piosenek, zapisujących się w pamięci publiczności. Zgasty światła nad amfiteatrem, ucichły echa dyskusji o zakończonym Festiwalu Piosenki Polskiej, który wyróżnił się od poprzednich dzięki oryginalnej scenografii. Na łamach regionalnego dziennika składania do refleksji wypowiedź pani Katarzyny z Oleśna, bezkompromisowy głos młodego pokolenia: „Festiwal to historia, bo terazniejszość jest taka, że nagrodę dostaje Doda, co dla mnie jest żenujące... debiuty to konkurs bez znaczenia, zwycięzcy nie wydają płyty, nie pomaga im to w karierze”. Z perspektywy upływającego czasu widać jak trudno jest znaleźć następców Ewy Demarczyk, Ireny Santor, Marka Grechuty.

Jednak przyszłość festiwalu będzie zależała od realizacji projektu – Narodowe Centrum Polskiej Piosenki. Mają powstać: nowoczesny, zadaszony amfiteatr i muzeum polskiej piosenki, niezbędne jeśli umowa organizacyjna festiwalu zawarta na 10 lat pomiędzy władzami miasta a TV ma być małżeństwem z rozsądku. Stary amfiteatr w obiektywach telewizyjnych kamer na chwilę skrywa twarz pod makijażem iluminacji, ale na co dzień jest kopcem ziemi z ławkami, połączonym z estradą i budynkiem Miejskiego Ośrodka Kultury. Ale jak sfinansować inwestycję, która ma kosztować grubo ponad 80 mln złotych? Czy rozmach przedsięwzięcia nie jest zbyt duży? Co zrobić, aby obiekt nie był martwy pomiędzy kolejnymi edycjami festiwalu? To zaledwie kilka wątpliwości i pytań, które pojawiają się w dyskusji, oby merytorycznej a nie politycznej przed zbliżającymi się wyborami. Wiadomo od dawna, że budżet projektu przekracza możliwości miasta i województwa. Oby udało się uniknąć kłopotów z wyłonieniem profesjonalnych wykonawców.

Na Opolszczyźnie znaney niedługo z przedsiębiorstw budowlanych liczących się nie tylko na polskim rynku, coraz trudniej o firmy zgłaszające się do przetargów na inwestycje. Przekonała się o tym dyrekcja Muzeum Śląska Opolskiego. Po profesjonalnym przygotowaniu „Mons Universitatis” – projektu rozbudowy muzeum i pozyskaniu unijnych oraz wojewódzkich dotacji, ma problem z wyłonieniem realizatora inwestycji. Zaledwie jedna firma wrocławska złożyła ofertę, droższą o 10 mln zł od planowanego kosztorysu o wartości 20 mln zł. Droga oferta nie będzie budzić zdziwienia gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że na rodzimym rynku od wielu miesięcy poszukuje robotników. Zdesperowana niepowodzeniem zamierza sprowadzić robotników z Korei Północnej a już zatrudnionym podnieść płace.

NCPP to nie tylko sprawa opolska, ale ogólnopolska, godna znaczącego wsparcia finansowego przede wszystkim Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, z budżetów centralnych i regionalnych funduszy europejskich. Jeśli nie chcemy być przestrzenią do importu tandety kulturowej, dbajmy o dorobek artystyczny twórców polskiej piosenki, najnowsze dziedzictwo kultury, którego nie wolno znarmować. Przed Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego – przypominając nam o tym codziennie, zadumana na ławce Agnieszka Osiecka i Jerzy Grotowski idący z głową w chmurach, czekają już na Czesława Molendę, uwiecznieni przez Mariana Mołę, artystę rzeźbiarza, profesora opolskiej uczelni.

JANUSZ WÓJCİK

## OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

### Książki pod bukiem

Wojewódzka Biblioteka Publiczna zorganizowała „Dni Książki Śląskiej”.

Od 6-9 czerwca czytelnicy, bibliotekarze, literaci i naukowcy, uczestniczyli w prezentacji nowości wydawniczych, otwarciu wystawy z XIX-wiecznej śląskiej kolekcji WBP w Opolu, konferencji „Wokół książki śląskiej” a także w spotkaniach autorskich i prezentacji książki „Czym byłaby Opolszczyzna bez nich?”.

Inauguracja, podczas której wydawcy przez niemal dwie godziny prezentowali nowe publikacje o Śląsku, została zorganizowana w dużym namiocie pod rozłożystym bukiem, obok pałacyku dyrekcji biblioteki. Na stoiskach z książkami, przy dźwiękach muzyki, liczne grono publiczności skorzystało pomimo niepogody z różnorodnej oferty, od zeszytów naukowych po znaczące albumy ukazujące bogactwo przyrody i zabytków Śląska.

### Poemat narodowy malowany

„Polonia” to monumentalny obraz lwowskiego malarza Jana Styki, który można obejrzeć w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu. Ukazuje kilkadziesiąt osobowości z historii Polski od czasów Konstytucji 3 Maja po dzieje porzoborowe. Pośród wielu postaci obozu reform Sejmu Wielkiego, generałów i wodzów, szczególną rolę odgrywają twórcy polskiej kultury i sztuki. Artysta złożył im hołd uznając ich za obrońców zniewolonej Ojczyzny, walczących orężem ducha: piórem, paletą, klawiaturą fortepianu.

Na planie rozpoznajemy Mickiewicza, Słowackiego, Krasiń-

skiego, Kraszewskiego, Matejkę, Grotgera, Kossaka, Moniuszkę, Chopina i wiele innych znakomości z panteonu narodowej kultury. Dzieło powstało w setną rocznicę uchwalenia Konstytucji, zakupione ze składek społecznych mieszkańców Lwowa, od 1891 r. zdobiło salę ratusza, następnie Galerii Narodowej, a po wojnie trafiło do zbiorów wrocławskiego Muzeum Narodowego.

Malowany poemat narodowy przyniósł autorowi wielką popularność, jego reprodukcja rozeszła się w wielomilionowych nakładach i obok obrazu „Konstytucja 3 Maja” Jana Matejki, stał się najpopularniejszym dziełem upamiętniającym to historyczne wydarzenie. Niewątpliwie odniesiony sukces ułatwił Janowi Styce realizację „Panoramy Racławickiej”. Dzięki uprzejmości dyrekcji wrocławskiego Muzeum Narodowego „Polonia” będzie udostępniona zwiedzającym śląski Wawel do kwietnia 2008 roku.

### Wydarzenie miesiąca

Dziennik „Rzeczpospolita” uznał za wydarzenie miesiąca na ekranie TVP Kultura spektakl „Matka Joanna od Aniołów” Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu w reżyserii Marka Fiedora. Wystawiany i nagradzany w kraju i za granicą, został pokazany na żywo ogólnopolskiej publiczności we wtorek 6 czerwca, wprost z desek opolskiej sceny. Jak zauważyła redaktor Iwona Kłopocka, to pierwszy spektakl opolskiego teatru transmitowany przez telewizję. W latach 70. widzowie oglądali zarejestrowane już wcześniej przedstawienia: „Iwonę, księżniczkę Burgunda” w reżyserii Jerzego Golińskiego oraz „Tato, tato sprawa się rypla” w reżyserii Bogdana Hussakowskiego.

Najnowsze przedsięwzięcie telewizyjne mogło zostać zrealizowane dzięki mecenatowi Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Województwa Opolskiego.

### Jednym zdaniem

■ V Międzynarodowy Festiwal Młodych Pianistów odbył się w Głubczycach z udziałem uczniów szkół muzycznych z Polski, Czech, Niemiec, Estonii i Gruzji.

■ Zespół Taneczny „Pech” zdobyłca wielu nagród i tytułów polskich i międzynarodowych świętował jubileusz piętnastolecia działalności podczas uroczystego koncertu w Teatrze im. Kochanowskiego.

■ Urząd Miasta w Prudniku zorganizował IX Wystawę Twórców Ludowych i Rzemiosła Artystycznego pogranicza polsko-czeskiego.

■ Gimnazjum w Żelaznej (Gmina Dąbrowa Niemodlińska) nie spochoło na laurach po ubiegłorocznej uroczystości nadania imienia Krzysztofa Kamila Baczyńskiego poety – żołnierza Armii Krajowej i zorganizowało Konkurs Młodych Talentów Poetyckich, „Złote Pióro 2006”.

■ Muzeum Śląska Opolskiego oprócz cyklicznych „Wieczorów Muzealnych” przyciągnęło publiczność na X Noc Skarbów wystawiając XV-wieczne dzieło rzeźbiarskie „Madonna tronuująca z dwiema postaciami”.

■ Oczekując na powrót do siedziby po kapitalnym remoncie Orkiestra Symfoniczna FO sprezentowała melomanom i podróżnym odjazdowy koncert „Pociąg do muzyki” na wagonie przy III. peronie Dworca Głównego PKP w Opolu.

■ Opowieść o przypadkowym spotkaniu żołnierzy – niemieckiego i polskiego, uwiecznionych w plwnicy podczas zakończenia ostatniej wojny wystawił opolski Teatr Eko Studio w spektaklu „Zasypani” w reżyserii Andrzeja Czernika.



## Mamy wspólne źródła

Przedstawiciele Książnicy Cieszyńskiej oraz Kongresu Polaków, dyrektor Krzysztof Szelong i prezes Józef Szymeczek, podpisali 16 maja w cieszyńskiej siedzibie pierwszej z tych instytucji umowę o współpracy w ramach nowego projektu pn. „Wspólne źródła”. Celem projektu jest wspieranie rozwoju edukacji regionalnej oraz transgranicznych badań historycznych, zorientowanych na ochronę i promowanie kulturowego dziedzictwa Śląska Cieszyńskiego.

Projekt „Wspólne źródła” nawiązuje do wcześniejszego projektu „Wspólne korzenie”. Jak powiedział podczas konferencji prasowej w Książnicy dyrektor Szelong, współpraca tej instytucji z Kongresem, a przede wszystkim jego Ośrodkiem Dokumentacyjnym, zaowocowała powstaniem serii wydawniczej „Bibliotheca Tessinensis”. W skład jej Rady Naukowej weszli polscy i czescy historycy z ponadregionalnym autorytetem, m.in. Mečislav Borák, Edward Długajczyk, Krzysztof Nowak, Janusz Spyra, Zdzisław Pietrzyk czy Milan Myška. Jak dotychczas w serii ukazały się dwa tomy – „Materiały genealogiczno-heraldyczne do dziejów szlachty Księstwa Cieszyńskiego” oraz „Stát, církev a národ v československé části Těšínského Slezska”.

„Jako kolejny tom polskiej podserii Książnica zamierza ogłosić najważniejsze badania źródła do dziejów Cieszyna, a mianowicie »Kronikę miasta Cieszyna«, obszerne opracowanie, które wyszło spod pióra Aloisa Kaufmanna, burmistrza miasta w latach 1814-1847” – poinformował K. Szelong. – „Dzielo to, obejmujące cztery tomy oraz dwa tomy suplementu, przedstawia dzieje miasta, poczynając od jego legendarnego założenia w 810 r. aż po połowę XIX wieku”.

Publikacja, którą do druku przygotowuje Ingeborg Buchholz-Johanek z Westfälische Wilhelms-Universität Münster pod redakcją Janusza Spyry, ma się ukazać we wrześniu 2007 r. Jej promocji będzie towarzyszyć wystawa źródeł do dziejów Cieszyna oraz konferencja naukowa pn. „Kronikarz a historyk. Atuty i słabości regionalnej historiografii”. Książnica zamierza też opublikować w przyszłości protokoły z posiedzeń plenarnych Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego z lat 1918-1920 oraz „Dziennik” skoczowski-strumińskiego burgrabiego Johanna Tilgnera (żył w latach 1574-1635).

Z kolei w czeskiej podserii, którą przygotowuje Kongres Polaków, powinna się pojawić – pod redakcją Jiřego Friedla z Uniwersytetu Śląskiego w Opawie – publikacja o Zaolziu w świetle szyfrogramów między polską placówką dyplomatyczną w Pradze a rządem w Warszawie z lat 1947-1949. – „Także ten tom powinien się pojawić w roku 2007” – zapewnił prezes Kongresu, J. Szymeczek.

JACEK SIKORA

## ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

### Wieczór z filmem i bluesem

Nieżyjącemu już wokaliście zespołu „Dżem” Ryszardowi Riedlowi, jego trudnym życiowym losom i walce z narkotykami, poświęcony był film „Skazany na bluesa”, który wyświetlony został 12 maja na wieczorze filmowym w bystrzyckim kinie. Film przedstawił – wspólnie z Tadeuszem Wantulą z trzynieckiego Klubu Kultury – jego reżyser, Jan Kidawa-Błoński. Jak powiedział reżyser, pracę nad swoim obrazem (nb. chodzi o najbardziej kasowy film ub. sezonu w Polsce) podjął m.in. dlatego, iż R. Riedel był synem jego kuzyna.

– To jest przede wszystkim film o niespełnionych marzeniach młodego człowieka, który wyrastał w czasach komunizmu w małym śląskim miasteczku. A właściwie o jednym całym pokoleniu, które z powodu niemożności spełnienia swoich marzeń zaczęło sięgać po narkotyki. No i o wspaniałej muzyce – powiedział J. Kidawa-Błoński.

Piątkowemu wieczorowi w bystrzyckim kinie towarzyszyło powołanie do życia Klubu Filmu Polskiego, który odąd podobne spotkania będzie urządzał regularnie. Wybrano już też Radę Programową KFP – tworzą ją Danuta Branna, ks. Wiesław Szpak, Tadeusz Wantula i Jacek Sikora.

### Po polsku raz w miesiącu

Ponad 40 wiernych wzięło udział w pierwszym polskim nabożeństwie ewangelickim w stolicy RC, które odbyło się w niedzielę, 14 maja w praskim kościele ewangelickim pw. św. Michała przy ul. V Jirchářich. Nabożeństwo odprawił ks. senior Jan Waclawek z Nawsia, a zaśpiewali na nim także soliści Grażyna Wilk-Biemot i David Danel.

Po nabożeństwie przedstawiciele Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. spotkali się z przedstawicielami praskiej Polonii przy herbatce. Ustalono, że polskie

nabożeństwa u św. Michała odbywać się będą co miesiąc – zawsze w drugą niedzielę miesiąca o godz. 15.00.

– Podczas wakacji jednak polskiego nabożeństwa nie będzie. Jeśli zaś chodzi o nabożeństwo czerwcowe, odbędzie się ono w niedzielę 11 VI, a odprawi je ks. senior Janusz Kożuszniak – poinformował zwierzchnik SKEAW, ks. bp Vladislav Volný.

### Pod Kozubową „miyszano łowce”

W sobotę, 20 maja w Koszarzyskach Sekcja Ludoznawcza przy ZG PZKO i Jąblonkowskie Ognisko Oddziału Górali Śląskich Związku Podhalan urządziły drugą edycję imprezy pn. „Miyszani łowce”.

Co to jest właściwie „miyszani łowce”? Chodzi o prastary pasterski zwyczaj, znany w całym Łuku Karpackim, rozpoczynający co roku wypas owiec na górskich halach. O tym, jak ono przebiegało, opowiedział w sobotę uczestnikom koszarzyskiej imprezy (a zjechało ich pod Kozubową kilka setek) – piękna gwara – uczeń miejscowej czeskiej podstawówki, Janek Koźdoń. Po godz. 11.00 zaś publiczność mogła się na własne oczy przekonać, jak ten obrzęd wyglądał w rzeczywistości. Była zatem ceremonia „kludzynio” owiec we wspólnym kręgu wokół jodelki, spędzenie ich do koszora, okadzenie i wspólna modlitwa. Wreszcie pierwsze dojenie. – A jak łowczorzą kupa nadoji, tak se będzie w tym roku darzić – informował przyglądających się główny organizator, Leszek Richter.

„Miyszani łowce” było całodzienną imprezą. Miłośnicy folkloru z całego regionu, a także z Polski (gośćmi imprezy byli m.in. kapelan Związku Podhalan ks. Władysław Żąłel i prezes Oddziału Górali Śląskich Piotr Kohut), mogli obejrzeć nie tylko sam obrzęd, ale też wysłuchać muzyki w wykonaniu kapel góralskich. Zarówno zaolziańskich – „Torka”, „Lipka”, „Bukóni” czy „Polynica” (z tą ostatnią zagral na skrzypcach prezes P. Kohut) – jak i polskich (m.in. kapela braci Byrtków z Żywiecczyny), morawskich (Pavel Čip i Rostislav Winkler) czy słowackich (Jarko Sloboda z Martina). Ze Słowacji, z Czadcy, przyjechał też zespół „Kysučan”, który zaprezentował tańce i pieśni pasterskie.

A że nie samą kulturą człowiek żyje, można się było do woli raczyć smakowitymi placmakami czy baraniną z grillu. No i owozym serem, który na miejscu produkowali w kolibie „łowczorze” pod kierownictwem Jana Koźdonia.

### Jednym zdaniem

■ Uroczystym spotkaniem świata polityki, kultury, gospodarki woj. morawsko-śląskiego oraz przedstawicieli zaolziańskich polskich organizacji uczczono 11 maja w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie 215. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

■ W bibliotece w Cz. Cieszynie Sibicy odbył się 10 maja wernisaż pasteli Bronisława Liberdy.

■ Najstarsza chałupa w Mostach k. Jabłonkowskiej – stojąca niedaleko Urzędu Gminy – przekształcona zostanie w muzeum regionalne.

■ W Teatrze Cieszyńskim odbyła się 13 maja kolejna premiera Sceny Polskiej. Zespół wystawił „Złotą ciemkę” Antoniny Domańskiej w reż. Karola Suszki.

■ Jabłonkowska „Lipka” zdobyła pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie młodzieżowych kapel ludowych w morawskim Brzeclawiu. Wyróżnienie za stylowy śpiew otrzymał solista kapeli, skrzypek Chrystian Hezcko.

■ Młodzi plastycy z Zaolzia, Polski i Słowacji wzięli 19 maja udział w VI Międzynarodowym Plenerze Plastycznym „Krajobraz wokół nas”, który zorganizowała gmina Ligotka Kameralna.

■ Czesko-Polska Izba Handlowa, założona w 1999 r. z inicjatywy firm czeskich zainteresowanych współpracą z rynkiem polskim i od tego czasu prowadząca swoją działalność na całym terytorium RC i Polski, otworzyła swoje biuro w Oranżerii Śląskiego Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie.

■ Z krótką wizytą zawitał 29 maja na Zaolzie wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej – poseł Jan Rokita. Jak sam poinformował dziennikarzy, przyjechał nad Ołzę na zaproszenie wiceprezesa Kongresu Polaków, Tadeusza Wantuli, kandydującego z listy SNK-ED do Izby Polskiej Parlamentu RC.

■ Członkowie Macierzy Ziemi Cieszyńskiej na Walnym Zjeździe Delegatów, który odbył się w sobotę 27 maja w Cieszynie, przyjęli uchwałę o nadaniu godności Członka Honorowego Janowi Brannemu z Trzyna, długoletniemu byłemu prezesowi Macierzy Szkolnej w RC.



Centralna Stacja Ratownictwa Górniczego S.A. utworzyła w czerwcu 2003 r. Centrum Usług Specjalistycznych Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego Sp. z o.o. powierzając jej prowadzenie działalności komercyjnej oraz część funkcji ratowniczych wykraczających poza bezpośrednie zadania statutowe CSRG S.A. 100% udziałowcem Spółki jest Centralna Stacja Ratownictwa Górniczego S.A.

Centrum Usług Specjalistycznych CSRG CEN-RAT Sp. z o.o. zatrudnia wysoko wykwalifikowaną kadrę pracowników, posiadających stosowne zezwolenia na wykonywane usługi. Dzięki temu w krótkim okresie działalności rozszerzyła znacznie ich zakres i wciąż osiąga dobre wyniki ekonomiczne będące gwarantem prawidłowego funkcjonowania.

Spółka CEN-RAT posiada Certyfikat Zintegrowanego Systemu Zarządzania Jakością i Środowiskowego w zakresie:

- inertyzacji gazowej, serwisu i utylizacji sprzętu ochrony dróg oddechowych, utylizacji akumulatorów, analiz chemicznych powietrza, wód i ścieków, jakości węgla, serwisowania sprzętu elektronicznego, sprzętu lokacyjnego i łączności ratowniczej, serwisowania gaśnic, szkolenia, rzeczoznawstwa do spraw ruchu zakładu górniczego,

- działań na rzecz ochrony środowiska zgodnie z przyjętą „Polityką jakości i środowiskową”, spełniając wymogi norm PN-EN ISO 9001:2001 i PN-EN ISO 14001:2005.

Kontrahentami Spółki są głównie kopalnie i firmy związane z górnictwem, ale czynione są starania, aby wyjść ze swoją ofertą również poza branżę górnictwa.

Podstawową działalnością usługową Spółki jest stosowanie inertyzacji w kopalniach węgla kamiennego.

Jedną z najważniejszych i najbardziej skutecznych metod zwalczania zagrożenia pożarowego jest stosowanie gazów inertnych w wyrobiskach podziemnych zakładów górniczych.

CEN-RAT posiada specjalistyczny sprzęt i urządzenia do podawania gazów inertnych. Dysponuje specjalistami przeszkolonymi w zakresie ich stosowania oraz obsługi sprzętu. Są oni członkami pogotowia specjalistycznego do inertyzacji powietrza kopalnianego CSRG S.A.

CEN-RAT świadczy usługi w zakresie transportu samochodowego na rzecz CSRG S.A. Posiada bogaty tabor samochodów osobowych i ciężarowych oraz pojazdów specjalistycznego przeznaczenia, zabezpieczających wszystkie Górnicze Pogotowia Specjalistyczne CSRG S.A.

Mając na uwadze troskę o środowisko naturalne jak również wychodząc naprzeciw wymaganiom określonym w ustawie o odpadach z dnia 27.04.2001 r., Spółka oferuje i wykonuje kompleksowe usługi w zakresie odbioru i przetwarzania następującego sprzętu i odpadów:

# CEN-RAT

## usługi dla górnictwa i ratownictwa górniczego

- pochłaniaczy CO<sub>2</sub> z aparatów W-70,
- pochłaniaczy ochronnych górniczych POG,
- aparatów ucieczkowych SR-100A,
- zużytego sorbentu CO<sub>2</sub> – ostarytu,
- lamp górniczych RC-12,
- akumulatorów,
- węgla aktywnego,
- elektrolitu zasadowego,
- pozostałych odpadów niebezpiecznych i innych niż niebezpieczne w ramach posiadanego zezwolenia,
- przeterminowanych proszków gaśniczych,
- odpadów taśm przenośnikowych.

Spółka ponosi całkowitą odpowiedzialność za odebrane odpady do czasu ich wykorzystania lub unieszkodliwienia. Każdorazowe przekazanie odpadów potwierdzone jest stosownym dokumentem odbioru zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Spółka wykonuje również usługi w zakresie serwisu sprzętu lokacyjnego, łączności ratowniczej, lamp górniczych i urządzeń specjalnego przeznaczenia.

CEN-RAT jest przedstawicielem w zakresie dystrybucji profesjonalnego, wysokiej jakości sprzętu medycznego takiego jak:

- przenośne zestawy pierwszej pomocy,
- punkty pierwszej pomocy,
- apteczki,
- specjalistyczny sprzęt medyczny.

Spółka posiada laboratorium chemiczne prowadzące działalność usługową dla potrzeb górnictwa, energetyki, chemii i ochrony środowiska. Spółka oferuje usługi laboratorium w zakresie prac analitycznych obejmujących:

- badanie składu chemicznego próbek gazowych i jakości powietrza w zakresie:

- analiz składu powietrza i jego zanieczyszczeń,
- analiz gazów toksycznych na stanowiskach pracy,

- badanie parametrów jakości węgla,
- badania analizy jakości wody i ścieków,

- badania i pomiary stężeń czynników dla zdrowia w środowisku pracy.

CEN-RAT posiada punkt sprzedaży i konserwacji podręcznego sprzętu gaśniczego.

Spółka prowadzi pogwarancyjny serwis sprzętu ochrony dróg oddechowych produkcji Fabryki Sprzętu Ratunkowego i Lamp Górniczych „FASER” S.A. Prowadzi również projektowanie i wykonywanie nietypowych urządzeń na indywidualne zlecenie oraz produkcję i sprzedaż nowoczesnych diodowych lamp specjalnego przeznaczenia.

Decyzją WUG Spółka CEN-RAT otrzymała „Upoważnienie rzeczoznawcy do spraw ruchu zakładu górniczego” w zakresie:

- określania klasy stropu i spągu złoża rud miedzi w podziemnych zakładach wydobywających rudy miedzi dla celów związanych z zaliczeniem złoża do odpowiednich stopni zagrożenia tąpnięciami,

- wykonywania badań technicznych poprzedzających opracowanie nowych systemów eksploatacji rud miedzi, cynku i ołowiu lub odmian tych systemów,
- wykonywania badań, z uwzględnieniem warunków geologiczno-górnictwowych, właściwości geomechanicznych pokładu oraz badań skał stropowych i wykonywania opinii dla celów związanych z zaliczeniem złoża (pokładu) do odpowiednich stopni zagrożenia tąpnięciami.

Spółka CEN-RAT w swojej działalności usługowej dokonuje napraw i przeglądów serwisowych specjalistycznego sprzętu ratowniczego produkcji firmy Holmatro Polska Sp. z o.o.

Od 2005 r. w ramach Usług Górniczych Spółka świadczy usługi na rzecz kopalń w szerokim zakresie robót:

- montażowych i demontażowych rurociągów podsadzkowych, wodnych, odwadniających, odmetanowania, powietrznych,

- stosowania produktów chemii przemysłowej przy wykonywaniu pasów izolacyjno-podpornościowych nowoczesnymi środkami mineralno-cementowymi.

Spółka świadczy również usługi przy wykonywaniu następujących prac:

- iniekcji górotworu wokół wyrobisk górniczych w celu wzmocnienia słabego stropu, spągu, ociosów w wyrobiskach chodnikowych i ścianowych oraz uszczelnienia górotworu przed dopływem wody,

- wypełnianie pustek, szczelin w górotworze pianami oraz środkami mineralnymi,

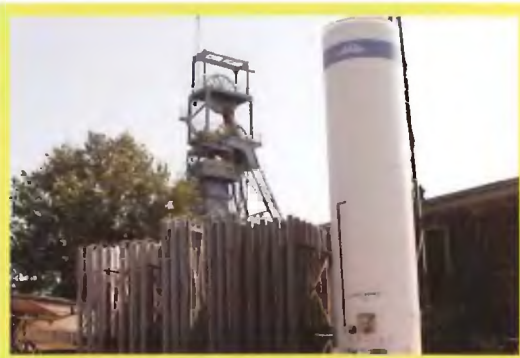
- torkretu natryskowego na „sucho” i na „mokro” w zależności od potrzeb,

- stosowania środków zapobiegających samozapłonowi węgla w zrobach ścianowych poprzez wypełnianie przestrzeni, w których występuje odslonięta powierzchnia węgla oraz pokrycie powierzchni węgla pozostawionego w zrobach.

Spółka świadczy także usługi w zakresie prac budowlano-remontowych.

Kontrahenci, dla których wykonuje się usługi postrzegają CEN-RAT jako firmę, która w pełni wywiązuje się z umów oraz zapewnia sumienną i profesjonalną realizację swoich usług.





## ZAKRES DZIAŁALNOŚCI:

- inertyzacja z zastosowaniem azotu i dwutlenku węgla,
- utylizacja zużytego sprzętu ochrony układu oddechowego,
- serwisy „FASER” S.A. i „HOLMATRO Polska” Sp. z o.o.,
- usługi laboratoryjne,
- usługi w zakresie rzeczoznawstwa i opracowań ekspertyzowych,
- usługi górnicze,
- usługi transportowe,
- sprzedaż i serwisowanie gaśnic,
- produkcja i sprzedaż lamp specjalnego przeznaczenia,
- serwisowanie i wynajem pomp,
- działalność gastronomiczna i cateringowa,
- sprzedaż specjalistycznego sprzętu ratowniczego i medycznego,
- usługi remontowo-budowlane.

**Fundacja Pracownicza Pro-Eko przy Elektrowni „Łaziska”**  
43-170 Łaziska Górne, ul. Wyzwolenia 30, tel. (032) 324 35 00, fax (032) 324 36 03  
Nasze konto: Bank BISE SA O/Łaziska Górne 13601063-10009-27005-000-00001



## **Cele Fundacji:**

Niesienie pomocy pracownikom Elektrowni „Łaziska”, ich rodzinom, rencistom, emerytom zakładu oraz społeczeństwu ziemi śląskiej

Organizowanie i wspieranie inicjatyw oraz przedsięwzięć na rzecz utrzymania substancji i ich rozwoju w zakresie ochrony zdrowia i pomocy społecznej, podnoszenia kwalifikacji zawodowych, wypoczynku, sportu i rekreacji, ochrony środowiska, działalności oświatowej i kulturalnej, wspierania załóg pracowniczych w procesie prywatyzacji, restrukturyzacji i przekształceń własnościowych, mieszkalnictwa



**Zapraszamy do grona Sponsorów Fundacji**  
**Gwarantujemy dobre towarzystwo**